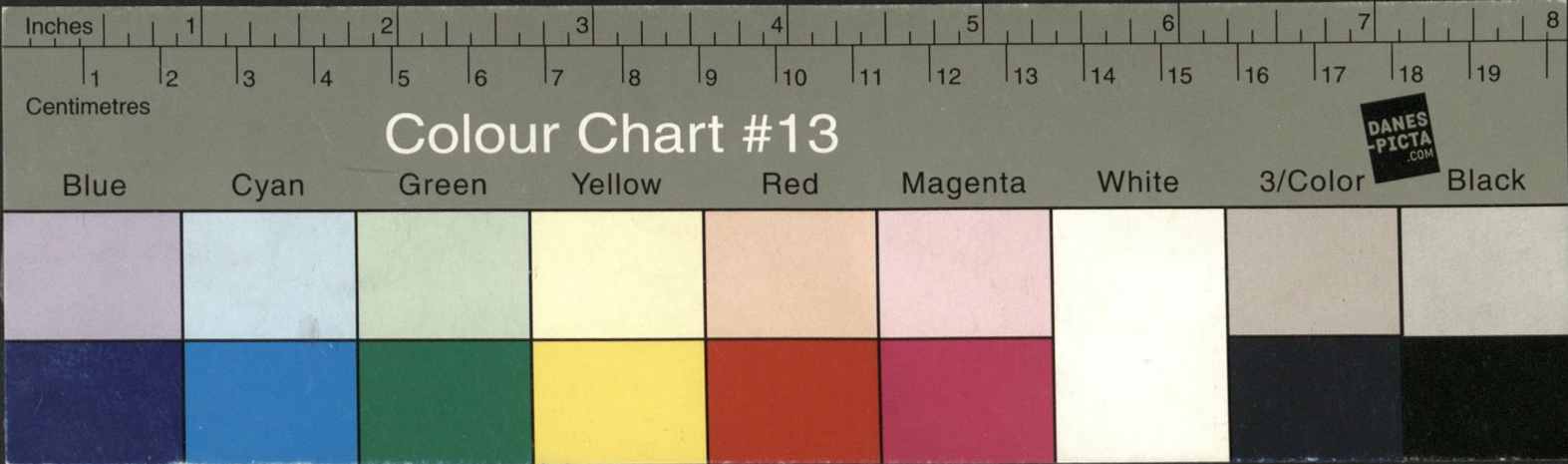
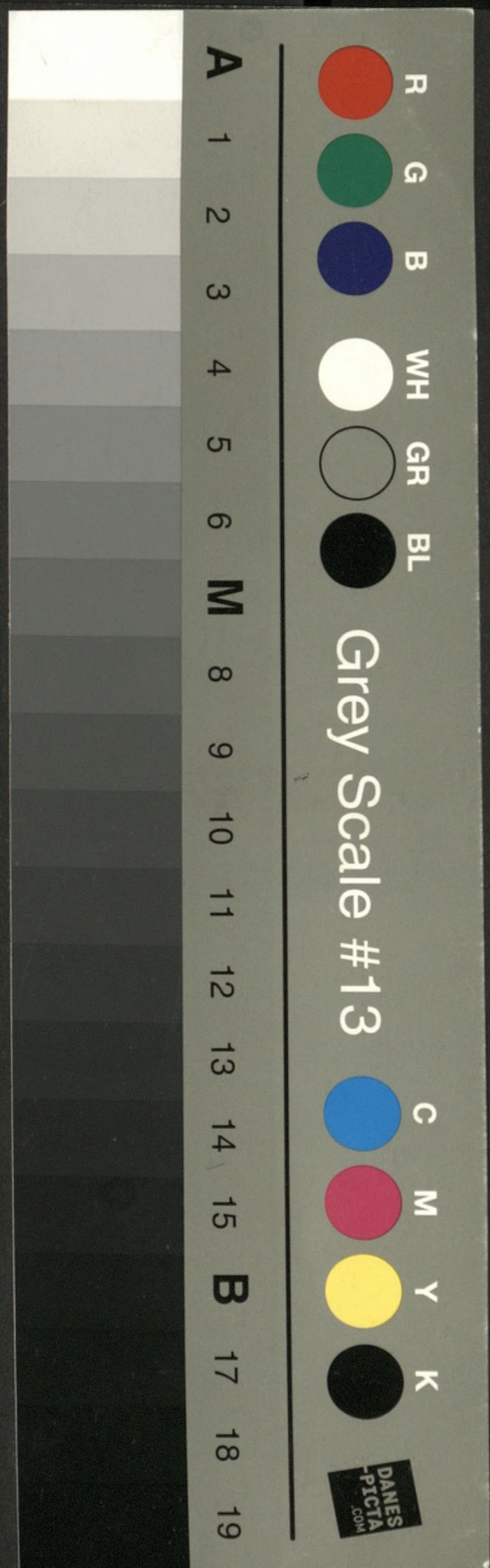




W WALKACH
W ŻELIŃKACH
PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA SZUMSKIEGO
1812 - 1848



Nakładem i drukiem
Józefa Zawadzkiego
w Wilnie



W WALKACH
I
W JELENIACH

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA SZUMSKIEGO
1812 - 1848



Nakładem i drukiem
Józefa Zawadzkiego
w Wilnie

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA SZUMSKIEGO



STANISŁAW SZUMSKI

STANISŁAW SZUMSKI

W WALKACH I WIĘZIENIACH

PAMIĘTNIKI

Z LAT 1812 — 1848

Z 17 ILUSTRACJAMI

WYDAŁ

HENRYK MOŚCICKI

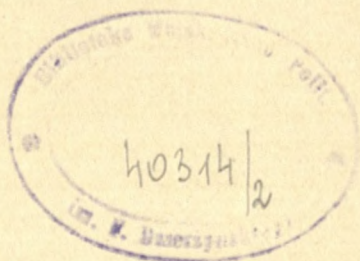
W I L N O

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO

1 9 3 1

OKŁADKĘ RYSOWAŁ
JERZY HOPPEN

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



PRZEDMOWA.

Wspomnienia Stanisława Szumskiego stanowią pośrednie ogniwo w cyklu wydanych dotychczas pamiętników D-ra Józefa Franka, D-ra Stanisława Morawskiego, Filaratów, Gabrjeli Puzyniny, Jakóba Gieysztora, dopełniając tym sposobem obraz stosunków litewskich w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Obejmują okres bezmała półwiekowy, od r. 1812 do 1851-go; najważniejsze wydarzenia dziejowe tych czasów — wojna z Rosją w 1812 r. powstanie listopadowe, sprzysiężenie Szymona Konarskiego, spisek Röhra — znalazły na kartach niniejszych wspomnień oświetlenie interesujące i w wielu szczegółach dotychczas nieznanne.

Przeżycia wojenne młodego adjutanta w sztabie Murata, żywo przypominające przygody Aleksandra Fredry, opisane w jego słynnych „Trzy po trzy”, zajęcie Moskwy i tragiczny odwrót Wielkiej Armji, składają się na treść pierwszej części pamiętników. Następna obejmuje działalność autora w dobie powstania listopadowego, jako członka Komitetu wileńskiego przygotowującego akcję insurekcyjną, jego stosunki z młodzieżą akademicką, prowadzoną przez Wincentego Pola, oraz z władzami rosyjskimi. Sporo tutaj nowych przyczynków do dziejów r. 1830—31 na Litwie, z tej strony najmniej wyjaśnionych. Najważniejsza atoli część wspomnień Szumskiego dotyczy działań konspiracyjnych po roku 1831-ym, pozostających w związku ze sprzysiężeniem Szymona Konarskiego, oraz Jana Röhra. Charakterystyki działaczy, przedewszystkiem Konarskiego, następnie prześladowców rosyjskich, opisy więzień, podróży i pobytu w Rosji, składają się na zajmującą barwną opowieść.

Wspomnienia swoje spisywał Szumski w przekonaniu o konieczności utrwalenia faktów zacierających się w pamięci współczesnych i przekazania potomnym świadectwa o niepożytej sile polskości w ciężkiej dobie niewoli. Pisał w niezłomnej wierze, iż „kiedys

chwila swobody dla kochanej ojczyzny naszej zabłyśnie"; wiarę tę, mimo ciężkich dopustów losu, utrzymywał w sobie i przelewał w serca swoich najbliższych.

Obszernie podany w pamiętnikach bieg życia autora uwalnia nas od powtarzania szczegółów biograficznych, to tylko dodać należy, że w czasie powstania styczniowego, chociaż był już w wieku bardzo podeszłym, żywo interesował się ruchem, sprzyjał mu całym sercem i w miarę możliwości pomagał powstańcom. Otoczony powszechną czcią i szacunkiem zmarł w Wilnie na cholerę 3 lipca 1871 r.; pochowany na Rosie *).

Tekst pamiętników ogłoszony został z autografu bez żadnych zmian i opuszczeń, wprowadzono tylko najniezbędniejsze poprawki stylowe, przetłumaczono ustępy w języku francuskim i rosyjskim, oraz podzielono całość na rozdziały. Przypisy w formie możliwie zwartej zawierają informacje o osobach i wypadkach w pamiętnikach opisanych, oraz odpowiednie dane bibliograficzne.

Wydawca poczuwa się do miłego obowiązku złożenia wyrazów gorącej wdzięczności wnukowi autora, p. Stanisławowi Łopacińskiemu i prawnukowi, p. Euzebjuszowi Łopacińskiemu, którzy z niezwykłą uczynnością zezwolili na korzystanie z oryginału pamiętników, a nadto dostarczyli cennych materiałów ilustracyjnych; oraz Dyrekcjom Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie i Biblioteki ord. Krasińskich za ułatwienia w pracy i udzielenie wartościowych reprodukcji. Szczera wdzięczność należy się również zasłużonej firmie wydawniczej Józefa Zawadzkiego w Wilnie, która w obecnych trudnych dla księgarstwa warunkach nie szczędziła kosztów na staranne i ozdobne wydanie niniejszego tomu.

HENRYK MOŚCICKI.

Warszawa, w grudniu 1930 r.

*) Szczegóły biograficzne, oprócz pamiętników, zawierają akta Komisji gub. wil. i Kancelarii gen.-gub. wil. z 1831 r., akta sądu wojennego pod przewodnictwem gen. Połozowa z 1839 r., — w Archiwum państw. w Wilnie, oraz Pamiętniki Jak. Gieysztora (Wilno, 1913) t. II, 7, 198, 211, 256.

SPIS RZECZY.

Str.

ROZDZIAŁ I.

Rodzina autora. Dzieciństwo. Studja w Wiedniu i w Warszawie. Hauke. Ludwik XVIII w Warszawie. Utworzenie Ks. Warszawskiego. Rok 1812. Służba wojskowa. Sztab Murata. Gen. Daumont. Wyprawa na Moskwę. Bitwy pod Smoleńskiem i Walutynową Górą. Spotkanie z Napoleonem. Przepawy wojenne. Bitwa pod Możajskiem. Wejście do Moskwy. Przygoda z Rosjanką. Tarutino. Wydarzenia w Moskwie. Rozmowy Murata z Miloradowiczem. Potyczki. Wintzingerode i Czernyszew. Odwrót z Moskwy. Bitwa pod Krasnem. Abramowicz. Przejsie Berezyny. Gen. Józef Kossakowski. Powrót do Wilna. Pobyt w Królewcu. Niewola. Awantura z oficerami rosyjskimi. Spotkanie z Żelwietrem. Uwolnienie. Lata 1815—1830

1

ROZDZIAŁ II.

Wilno w 1830 r. Gubernator Chrapowickij. Rewizje. Komitet powstańczy wileński. Uwagi o powstaniu litewskim. Biskup Kłagiewicz. Wincenty Pol. Zamiary akademików. Rozmowy z Chrapowickim. Gielgud. Aresztowanie. Wysłanie do Smoleńska. Uwolnienie

59

ROZDZIAŁ III.

Porfiry Ważyński. „Komitet turemny”. Przygoda z tabakierką. Interesy Żaluskich. Stosunki z emigracją. Stowarzyszenie patriotyczne i jego prace. Pierwsze wiadomości o Szymonie Konarskim. Konarski w Wilnie. Aresztowanie Szumskiego w Lipawie. Więzienie bazylińskie w Wilnie. Trubecki i Czetwertyńscy. Śledztwo. Życie więzienne. Towarzysze więzienni. Rozmowy z Konarskim. Sąd wojenny. Kaźń Konarskiego. Wyrok. Zesłanie

80

ROZDZIAŁ IV.

Podróż do Wiatki. Pobyt w Moskwie. Przybycie do Wiatki. Klaudjusz Mirski i inni wygnańcy. Gubernator Chamutow. Życie w Wiatce. Afera z Ledóchowskim. Wyjazd do Wołogdy. Stosunki w Wołogdzie. Biskup Innocenty

130

ROZDZIAŁ V.

Przyjazd do Wilna. Sprawy majątkowe. Ułaskawienie. Sprawa Röhra. Ponowne aresztowanie. Komisja śledcza. Wywiezienie skazanych ze sprawy Röhra. Uwolnienie i wyjazd autora do Sarji

164

Przypisy 185

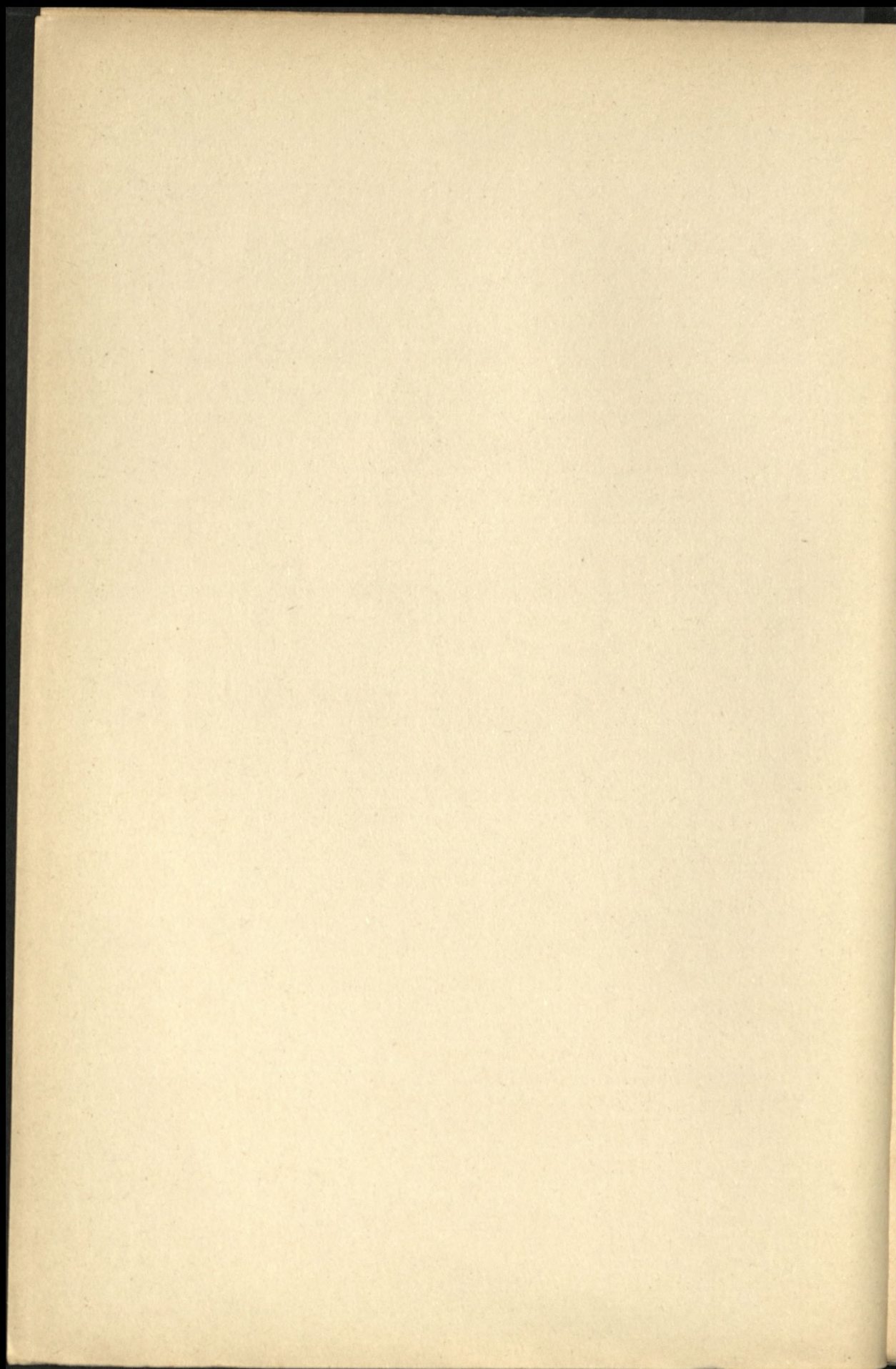
Indeks nazwisk 209

SPIS ILUSTRACYJ.

	Str.
1. Stanisław Szumski według portretu Rustema, w posiadaniu p. St. Łopacińskiego przed tytułem	
2. Stanisław Wojciech Mirski według miniatury współczesnej w pos. p. St. Łopacińskiego	1
3. Joachim Murat, król Neapolu według sztychu współcz.	16
4. Widok ratusza wileńskiego według akwareli Józefa Peszki w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie	48
5. Marja z Mirskich Szumska według portretu Rustema w pos. p. St. Łopacińskiego	56
6. Gubernator Maciej Chrapowickij według portretu Gerin'a z 1812 r.	64
7. Katedra wileńska od frontu według akwareli Józefa Peszki w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie	72
8. Wincenty Pol według portretu Marcina Jabłońskiego z 1841 r.	80
9. Katedra wileńska z tyłu według akwareli Józefa Peszki w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie	88
10. Edward Römer według autoportretu w posiadaniu rodziny.	96
11. Widok ulicy zwanej „Rybny Koniec”, patrząc od ratusza ku Zamkowej Bramie według akwareli Józefa Peszki w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie	104
12. Szymon Konarski według portretu ze zbiorów rapperswilskich w Muzeum Narodowym w Warszawie	112
13. Most Zielony w Wilnie według akwareli Józefa Peszki w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie	120
14. Ogłoszenie o egzekucji Szymona Konarskiego według oryginału	128
15. Maryla Szumska według popiersia w pos. p. St. Łopacińskiego	152
16. Gen.-Gub. Teodor Mirkowicz według portretu pomieszczonego w wydawnictwie „Fiodor Jakowl. Mirkowicz”. Petersburg 1889	168
17. Stanisław Szumski (około 1860 r.) według płaskorzeźby w pos. p. St. Łopacińskiego	176



STANISŁAW WOJCIECH MIRSKI



Naglony przez zięcia mojego, Łopacińskiego, krewnych i przyjaciół, abym pisał pamiętniki mojego dosyć burzliwego życia, lubo na starość dni moich, biorę się do pióra, nie szukając bynajmniej chluby ani ze stylu ani ze sławy, której nie nabyłem, prócz jednej sławy uczciwego człowieka, którą się nadewszystko szczycę, a którą mi przyznają wszyscy, co mię znali lub tylko o mnie słyszeli.

Pamiętniki te, w sześćdziesiątym trzecim roku życia, przy osłabionej pamięci, przez lata skołatanej, i troski, których niemało doznałem, pisane teraz pod wpływem najokropniejszego smutku, po stracie ukochanej mojej córki, anioła tego przez wszystkich uwielbianego, może i wiele niedostatków mieć będą; chcieliście — więc piszę.

Początek wcale nieinteresujący, zwyczajnie jak każdy początek, bo zawsze *ab ovo* zaczynać wypada. Późniejsze wszakże karty mogą rzucić światło na niektóre fakty albo mało komu znane, bo szatańska przemoc moskiewska nie dozwalała onych ogłaszać, albo wcale nieznane, jako tyjące się mojej tylko osoby, a które czasem w poufalach tylko gawędach znajomym opowiadałem. Nie dla świata więc je piszę, lubo może kiedyś despotyzm moskiewski (o czym nigdy nie wątpię) nad nami ciążący przepadnie, i to pismo niejednemu wpadnie w ręce. Nie wątpię i zawsze cieszę się nadzieją, że kiedyś chwila swobody dla kochanej Ojczyzny naszej zabłyśnie, a wówczas może piszącemu kiedyś historję tej nieszcześliwej naszej Ojczyzny, wolnej już od knuta moskiewskiego, pamiętniki te na coś się przydadzą, wykrywając, jak wyżej mówiłem, fakty albo mało albo wcale nieznane, w których i ja, choć małą, odgrywałem rolę.

Nad dziecinnymi moimi laty mało się zastanowię, nie chcąc być tak ckliwym i nudnym jak Lamartine (z którym równać się nie śmiem), a którym nietylko paryskie drukarnie,

ale nawet i nasze pisma perjodyczne napelnione są w przekładach, jak to widać w „Athenaeum” na r. 1850. Kogóż bowiem mogą interesować widzenia i marzenia dzieciennego wieku, chybaby to dziecko miało być kiedyś genjuszem jak Napoleon; ale mało jest Napoleonów — wieki na niego czekały i wieki na podobnego jemu czekać będą. Bez dalszych więc mało interesujących gawęd zaczynam.

Urodziłem się więc 14 października r. 1790, z ojca Wawrzyńca Szumskiego, koniuszego litewskiego, i matki Ludwiki Koszczycówny, jednej z sześciu sióstr Koszczycówn. Los mojej matki (bo ojca już nie pamiętam), a przeto i mojego rodzeństwa: Barbary, zmarłej w r. 1840 i Józefa, zmarłego w r. 1842 bez potomstwa, i mój los tak ściśle całe życie był połączony z losem Stanisławy Mirskiej, pisarzowej wielkiej litewskiej, jednej z sióstr matki, że nie tylko razem z tą ulubioną siostrą mieszkały, ale i mienie całe razem połączone wspólnemu uległo upadkowi. Z młodocianych moich lat pamiętam tylko to, że mając lat sześć, z siostrą i bratem byliśmy w Wilnie na pensji u Dabrego, i pamiętam huk armat grzmiałych wówczas w mieście, podobno podczas powstania Jasińskiego. Mówię podobno, bo już zapowiedziałem, że pamięcią nie mogę się pochwalić i często do braków jej odwoływać się będę musiał. Co później się stało, nie pamiętam, wiem tylko, że Mirski, gorliwy patrijota, unikając zemsty moskiewskiej, pastwiącej się nad Polakami, mając skonfiskowane majątki, z żoną i dziećmi uszedł do Galicji, gdzie u dobrego swego przyjaciela, Badeniego, wziął w dzierżawę nieopodal od gór Karpackich (których śnieżne wierzchołki nieraz podziwiałem) majątek Dąbrową zwany, dokąd też i matka nasza z nami się udała, dzieląc się własnym majątkiem z Mirskimi, a dając dowody coraz większego przywiązania, sprzedała pod Wilnem znaczny majątek Bołosza, kontentując się obliżem Mirskiego, za oddaną mu sumę, wziętą za ten majątek od kupca Przemienieckiego.

Dąbrowa jest sześć mil odległa od Tarnowa, tak w ostatnich czasach słynnego ze schronienia jakie tam znalazło mnóstwo rodzin szlacheckich, uciekających z pod noża wściekłej i rozhukanej tłuszczy chłopstwa galicyjskiego, podburzonego przez niecnny rząd austriacki. Z drugiej strony Dąbrowa

ta, bliżej ku Karpatom posunięta, jest niedaleko Starego Sącza, gdzie są pono zwłoki św. Kunegundy, królowej polskiej. Majątek ten położony jest nad niewielką rzeczką Dunajcem, który na wiosnę przybiera postać ogromnej rzeki, skutkiem topnienia śniegów w Karpatach. Dziecinna moja pamięć i teraz przedstawia mi często płynące tą rzeką całe domy z ludźmi na dachach, bydło, sprzęty różne, dzieci w kolebkach i ogromne drzewa z korzeniami przez powódź wydarte. Tu parę lat przeżyliśmy pod dozorem guwenera Francuza, l'abbé de Champeau, emigranta z armji Kondeusza; siostra zaś i kuzynka Mirska, późniejsza moja żona, miały też francuską guwernantkę, p. Balet. Para ta, lubo guwerner był księdzem, połączyła się węzłem małżeńskim, bo wówczas panował wolterjanizm, wyrzekający się Boga i religji. Po upływie dwóch lat, zawieziono mnie i brata do Wiednia, pod opiekę ks. Bonifacego Jundziłła, wysłanego kosztem uniwersytetu wileńskiego dla kształcenia się w historii naturalnej i botanice. Ale oddany swojej nauce, mało się nami zajmował, zdawszy nas pod bezpośredni kierunek pewnej wdowy Reizler, u której byliśmy na stancji, i z którą chodziliśmy na spacer, nic prawie się nie ucząc. Wiednia opisywać nie będę, bo mało co z niego pamiętam.

W parę znowu lat potem ks. Jundziłł musiał wracać do kraju, odwieziono nas, po niemiecku tylko mówiących, do Warszawy, i umieszczono z drugim guwernerem Francuzem, l'abbé de Gaulme, na pensji u p. Hauke, ojca późniejszego generała i ministra wojny Królestwa Polskiego, zabitego w 1830 r. na początku powstania, jak to wszystkim wiadomo. Warszawa wówczas była pod rządem pruskim. Z dziecinnych wspomnień, jakie mi po niej zostały, był najpierw przyjazd z Legjonów Polskich urlopowanego syna Haukego, wówczas tylko porucznika. W dziecinną moją pamięć wraził mi się ten młody wojak, którego piękny mundur i nazwa polskiego legjonisty, walczącego pod obcemi chorągwiami dla wywalczenia Ojczyzny, dla polskiego serca, lubo dziecinnego, obojętnym nie był. Oh! bo też z mlekiem matki każdy Polak ssie nienawiść ku ciemieżcom jego Ojczyzny. Nienawiść tę tak dobrze zachowałem, że później ani honory, ani otwierające się karjery, którebym mógł robić, zaprzędając się czartu

czyli carowi, nie zdołały nawet na chwilę stłumić we mnie tej wrodzonej nienawiści, tak właściwej każdemu Polakowi.

Drugą rzecz, którą jeszcze o Warszawie pamiętam, to bytność Ludwika, później XVIII-go, mieniącego się i wówczas królem francuskim, choć ani tronu, ani korony, ani kraju nie posiadał. Mniemany ten król z bratem, ks. d'Artois, później Karolem X-ym, i wielu innymi członkami obojej płci tej familji, mieszkał lat kilka w Warszawie, żyjąc z pensyjki przez rząd pruski im wypłacanej. Pensję tę, gdy Napoleon zaczął plondrować po Niemczech, rząd pruski płacić przestał i z państwa swego musiał ich wyprowadzić do Mitawy, gdzie Moskwa dała im lichy przytułek. Pamiętam jak dziś tego „jajkojeda”, jak go nazywano (bo po kopie jajek jakoby codziennie zjadał), chodzącego zawsze po ogrodzie Saskim, każdego dnia o południu. Tam się też zbierało mnóstwo rozmaitych emigrantów, wiernych, jak oni mawiali, prawemu monarsze, którzy w ubocznych alejach ogrodu czytawali gazety przepełnione świetnymi czynami Napoleona, rokując dla siebie pomyślne lub niepomyślne dni. Każdy z tych emigrantów zajmował się guwernerką i każdy z nich prowadził nas, uczniów swoich, do tego ogrodu. Bywało nas czasem do trzydziściorga dzieci i prawdziwa wesołość u nas panowała. Często ten król bez tronu, znudzony polityką, podchodził do nas, i maszerować nas uczył. Jak dziś pamiętam otyłą tę fasę w białych pończochach i krótkich czarnych spodniach, bawiącą się z nami.

W 1801 r. po śmierci Pawła, choć fiksata i gwałtownego, więcej wszakże serca mającego niż jego następcy, ów słynny z mniemanej łaskawości Aleksander i ów Mikołaj, prawdziwy tygrys, po śmierci, mówię, Pawła, Aleksander dozwolił emigrantom polskim na powrót do kraju. Z czego korzystając Mirski w powrocie z Galicji na Warszawę, zabrał nas z sobą, poczem oddano nas w Wilnie do szkół. Tu znowu nic ważnego nie zaszło — chodzenie do szkół, uczenie się i swawola czas zajmowały.

Rok 1807, rok ustanowienia przez Napoleona Księstwa Warszawskiego, zastał mnie osiemnastoletnim już chłopcem, z nieukończoną wszakże edukacją, z powodu zaniedbanych dziecinnych lat w Wiedniu, tak że dopiero w 1807 r. posze-

dłem na uniwersytet, na który przez dwa lata uczęszczając, w 1809 roku patent kandydata filozofji, za rektorstwa Jana Śniadeckiego, otrzymałem.

Istnienie Księstwa Warszawskiego obudziło w Litwinach poczynający zasypiać patryjotyzm. Wielu obywateli tajemnie gotowało się już do połączenia z warszawianami, rokując sobie przyszłe odrodzenie Polski. I we mnie wrzała krew polska, lecz za młodym mnie znajdowano, a wkońcu i patryjotów tych projekty z wiatrem uleciały, bo Napoleon o dalszych częściach Polski nie myślał. Tak stały rzeczy do r. 1812-go. Chęć służenia Ojczyźnie nowy zapal wlała w serca. Czekali wszyscy pożądanej chwili wkroczenia wojsk francuskich na Litwę. Tymczasem car Aleksander kaptował sobie w Wilnie patryjotów — mianował frejliny i kamerjunkturów. Lecz nagle przejście Niemna przez Francuzów, nagły też odwrót Aleksandra spowodowało, a uciekając z Wilna, jednych rozkazem, drugich nim odurzonych z Wilna wywoził. Niewielka wszakże była liczba odurzonych jego słodkimi słówkami i obietnicami. Między oczarowanymi był i Wawrzecki, ów namiestnik Kościuszki, po rozbiciu jego pod Maciejowicami. Wiedział dobrze Napoleon o Wawrzeckim i wraz spytał o niego, lecz z zadziwieniem dowiedział się, że z carem do stolicy pojechał. Ale o tem wszyscy wiedzą i historie pisały, jak również pisano o pobycie Napoleona w Wilnie, balu przez Paca dla niego wydanym i dalszym pochodzie jego do Moskwy.

Gdy to się działo, znajdowałem się przy matce mojej w Zawierzu, majątku Mirskich, ciągle pałając chęcią wejścia do wojska; słysząc, że Napoleon kazał formować Gwardję Honorową Litewską, złożoną z samych oficerów, pod komendą generała Kossakowskiego, dobrze mi znajomego, napisałem do niego, prosząc o miejsce w tej gwardji. Lecz Kossakowski odpisał mi, że skutkiem rozmaitych intryg (o które nigdy nie brak) książę Gabryel Ogiński otrzymał to stanowisko, i że życzyłby mi, abym gdzieindziej był umieszczony, bo lubo Ogiński, najlepszy człowiek, wszakże żadnych innych zasług wojskowych nie ma, i że ta gwardja nigdzie odznaczać się nie będzie, będąc tylko honorową strażą cesarza, co mnie, pałającemu chęcią walczenia, nie do smaku było. A więc

postanowiłem szukać innego miejsca. Jakoż przypadkowo zdarzyła mi się okazja, której oburącz się schwyciłem.

Jakiem to wyżej rzekł, byłem w Zawierzu, dokąd marudery francuskie z korpusu Murat'a, króla neapolitańskiego, komenderującego sześciu oddzielnymi korpusami kawalerji, będącej w awangardzie, wpadli, wszystko rabując. Wiedząc, że Murat od dwóch dni bawi w Belmontach u Manuczych, dosiadłem konia i w pół godziny blisko dwie mile umachawszy, wpadam tam, chcąc prosić o załogę, jak to było zwyczajem. Aż postrzegam Władysława Mostowskiego, brata marszałka, który dostał się był do głównego sztabu Murat'a odrazu w randze kapitana, a który począł mnie namawiać do wspólnego kolegowania i zaprowadził zaraz do generała Belliard, szefa sztabu, a raczej mentora Murat'a, dodanego przez Napoleona, który go znał jeszcze w Egipcie i wielką ufność jego posiadał. Trzeba było bowiem mentora królowi bardzo odważnemu, ale nie dosyć chłodnej krwi i głowy, mającemu do komenderowania tak ważnym korpusem; a wszystko to było w Belliardzie, któremu mina moja podobała się; potrzebował przytem do sztabu oficerów, znających język rosyjski, bo zawsze w awangardzie będąc często brało się jeńców, z którymi rozmówić się było potrzeba, wreszcie potrzebni byli i przewodnicy z włościan brani, i potrzebne były wiadomości o obrotach armji moskiewskiej, za którą śpieszono, a w biwakach przez nich opuszczonych znajdowano mapy i papiery jakimiś psimi hieroglifami pisane; ja je mogłem, choć nie biegle, odczytać, bo właśnie przed samą kampanją, nie cierpiąc tego ich barbarzyńskiego języka, Bóg wie skąd mi się była chętka wzięła do obeznania się z nim i, kupiwszy sobie rosyjski elementarz, jako tako po rosyjsku czytać zacząłem.

Ale wracam do Belliard'a, który począł mnie namawiać, abym wszedł do sztabu. Niedługo wahając się, przyjąłem propozycję, poczem zostałem przedstawiony królowi, który, uprzejmie mnie przyjąwszy, posłał ze mną swego adjutanta do zastępcy szefa sztabu, generała Borelli, z rozkazem, aby mnie wpisano w poczet służbowych. Borelli, Włoch złośliwego charakteru, spytał mnie ze złością: „Jaki stopień?” — „Kapitan”, odrzekłem, nie chcąc mieć niższej rangi od Mostowskiego,

Goreckiego Józefa, Narbutta i innych nowozaciągniętych w takiejże randze. Nie podobała mu się moja odpowiedź, bo odrzekł: „Cóż, u licha, wszyscy zgłaszający się tutaj, są już kapitanami, wówczas kiedy my mamy tutaj oficerów francuskich i włoskich, którzy, będąc w służbie już od lat, są zaledwie porucznikami!“ „Jak sobie pan chce, odpowiedziałem. Albo będę kapitanem, albo nie wchodzę do służby“. — Rozdane włoszysko posłał do króla swego adjutanta Majou z zapytaniem, jak ma postąpić. Po chwili wrócił adjutant z odpowiedzią, by zapisano mnie pułkownikiem, kiedy chcę, bo i cóż to mu szkodziło, albo co to go obchodziło? Potrzebował oficerów, a więc nie szczędził rang, na które ks. Poniatowski miał nam patenty wydawać i wpisywano nas tak: „*Capitaine de service de Pologne, adjoint à l'Etat-Major Général de la cavalerie pour faire le service sous les ordres du Roi de Naples*“. To też gniewało to najwięcej ks. Józefa i raz, gdy do niego byłem posłany z ustną jakąś komunikacją od króla, którą oddałem po francusku, gdy potem usłyszał mnie rozmawiającego po polsku z Wiktorem Jundziłłem, oficerem jego sztabu, rzekł: „Aha, pan pewno Litwin, bo też u waszego króla nieznających nic służby odrazu kapitanami robią, wtenczas kiedy moi oficerowie wiele kampanij odbyć musieli, nim się takiej rangi dosłużyli“. Miał w rzeczy samej Książę rację, ale czy mogłem nie przyjąć tej rangi, kiedy mi ją dawano i kiedy drudzy ją pobrali?

Tak więc przyjęty do sztabu, wróciłem z załogą do Zawierza, otrzymawszy rozkaz ekwipowania się jaknajprędzej i dopędzania nazajutrz wychodzącej armji tam, gdziebym ją znalazł. Na wsi i naprędce trudne ekwipowanie się. Koni wierzchowych parę miałem dobrych, a że służba dzienna arcypracowita wymagała mieć cztery konie, więc o drugie dwa prędko się postarałem. Z mundurem tylko była bieda. Był on granatowy z haftem złotym na kołnierzu też granatowym, a dla dystynkcji, że do polskiej armji należymy, mieliśmy wypustkę amarantową; na paradę spodnie amarantowe z lampasem srebrnym, kamizelka huzarska też amarantowa, naszywana srebrem, epolety francuskie złote, bo Polacy nosili srebrne, i kapelusz stosowany. Naprędce więc z fraka granatowego zrobiłem sobie mundur bez haftu, tylko z wypustką;

zamiast kapelusza włożyłem aksamitną okrągłą czapeczkę, a przypasawszy do boku pałasz jakiegoś ubitego kanoniera, przeobraziłem się w oficera, niby sztabowego. Mówię niby, bo nawet epoletów nie miałem gdzie dostać, lubo mi to obiecywano po pierwszej bitwie, zapewne po zabitym jakimś oficerze. Nie tracąc więc czasu, wzięwszy błogosławieństwo matki, a uściśnienia rodziny, puściłem się dopędzać króla.

Dążyłem przez Drużę, Połock do Witebska, gdzie go znalazłem nazajutrz po bitwie pod Ostrownem, niedaleko Witebska. Może zbyt długo rozwlekłem się nad tak mało dla kogoś znaczącymi szczegółami, ale ponieważ żądano, żebym pisał, piszę więc wszystko, co tylko pamięcią zasięgnąć mogę.

Króla znalazłem za Witebskiem, we dworze, jak dziś pomnę, państwa Brzozowskich. Jak się ten dwór nazywał i którego to było — nie wiem. Zgóry też zapowiedziałem, że o daty pytać mnie nie ma nikt prawa, bo pamięć stara.

Gospodarzy w domu nie widziałem, bo my, mniejsze figury, biwakowaliśmy na dziedzińcu, nie wchodząc nawet do domu. Stąd wyruszyliśmy na Krasne, drogą smoleńską i tegoż samego dnia rano, zawsze nie pomnę pod jakąś wioszczyną, byłem w pierwszej bitwie, mało wprawdzie znaczącej, bo tylko w awangardowej utarczce. Pierwsze wszakże wystrzały armatnie, pierwsze kartacze w szeregi nasze wpadające i ścielące trupem żołnierzy i konie, niemiłe, przyznam się, wrażenie na mnie zrobiły. Lecz widząc innych z zimną krwią na to patrzących i ja nieco odwagi nabrałem. Niech sobie jednak jak chcą fanfaronują niektóre śmiałki, których znałem i którzy dowodzili, że obojętni byli na to, otwarcie i śmiało powiem, że to byli tchórze, bo prawdziwie waleczny i doświadczony w boju wojak, nie zaprzeczy tego instynktu samozachowawczego tam, gdzie grad kul lata. I owszem, jeden z najwaleczniejszych adjutantów króla, generał Daumont, obok którego stałem, postrzegł moją trwogę i rzekł do mnie: „Zajdziesz daleko, młodzieńcze, i dobry będzie z ciebie żołnierz, bo uważam, że nie fanfaronujesz, jak te mniemane śmiałki, co głośno krzyczą, że się nie lękają, dają jednak poznać wprawnemu oku, że więcej umarli, jak żywi. Jak mię widzisz — ciągnie dalej — z tą krechą na twarzy i z trzema kulami, których dotąd ze mnie nie wydobyto, za każdym wystrza-

łem armatnim, kiedy się go jakiś czas nie słyszało, drzę w mojej skórze, choć później człowiek do tego przywyka. Możesz mi wierzyć, bo znają mnie wszyscy za śmiałka, i walecznego, a nie chwając się sprawiedliwie zasłużyłem na taką o mnie opinię“. Przypomniałem sobie wówczas, że kiedyś czytając życie Wielkiego Turenjusza, tego walecznego wodza, między szczegółami jego życia znalazłem i to, że za każdym pierwszym wystrzałem, kiedy go kilka tygodni już nie słyszał, dostawał rozstroju żołądka, co jednak nie przeszkadzało mu być jednym z najodważniejszych i największych wodzów.

Możeby gen. Daumont nie zauważył mojej trwogi, gdyby nie moja klacz, cudnej piękności, angliczowana i doskonale ujeżdżona, która ciągle na miejscu płasając i strzyżąc uszkami (jak jedni twierdzili — ze strachu, inni że z gorącości), jęczała i piszcziała za każdym wystrzałem armatnim. Spostrzegł ten jej manewr król i generał, który zaraz spytał, czybym nie sprzedał tej klaczy, ofiarując mi sto napoleonów; ale ja, widząc, że to ważna klacz, a żołnierzowi w kampanji koń jest wszystkim, odrzuciłem tak korzystną propozycję. Smutny wszakże los spotkał później moją Betty (tak się bowiem nazywała). W Moskwie, gdzie nieco osednioną musiałem zostawić przy ekwipażach królewskich z Tołoczka, moim masztalerzem, który często w tych pamiątkach figurować będzie, w Moskwie tedy, przy ustawicznych pożarach, jakim to miasto ulegało, spaliła się i ledwo mojego Tołoczka pijanego ze stajni wyciągnięto. Ale wracam do rzeczy, bo przez zwykłą starą gadaliwość, odstałem nieco od porządku.

Po wyżej opisanem nieprzyjemnem uczuciu w tej pierwszej bitwie, przepędziwszy Moskali, ruszyliśmy dalej ku Smoleńskowi, codziennie mniejsze lub większe z niemi mając utarczki, bo cofając się ciągle, lekki tylko opór stawiali, a my codzień w awangardzie będąc, codzień też ucierać się musieliśmy. Tu warto było wspomnieć co to była nasza służba sztabowa, — największemu nieprzyjacielowi nie radziłbym takiej służby w kampanji. Król nasz, prawdziwy *chevalier sans peur et sans reproche*, przy najlepszem sercu nadzwyczaj popędliwego był charakteru, bo głowę tracił i dlatego to Belliard był mu dodany przez cesarza, jakim to wyżej powiedział. Równie

ze dniem, po śniadaniu, które nam z królewskiej kuchni dawano na srebrze, siadaliśmy na koń i tuż za królem, albo obok niego, gawędzącego z nami, jechaliśmy. Zwykle koło południa napędzaliśmy rejterujących Moskali, stawiających nam ciągle lekki opór dla dania czasu armji swej do cofania się. W ciągu marszu, co moment, kolejno jeden ze sztabowych oficerów posyłany bywał do rozmaitych naszej kawalerji korpusów, których było sześć, a idących frontem z nami, lubo czasem o dwie, trzy i cztery mile od nas odległych. Misje te nasze w ciągu dnia, to były najczęściej ustne rozkazy do tego lub owego korpusu albo dywizji i brygady, zalecające trzymać się więcej na lewo lub na prawo, albo rozkazujące maszerować to pułkami, to szwadronami etc., dawać ognia ręcznego lub armatniego etc.... Tak cały dzień na koniu jeżdżąc z królem, jeszcze poboczne wycieczki kilkanaście wiorst odległe trzeba było dwa i trzy razy na dzień odbywać; dlatego to zawsze luźny koń był na pogotowiu tuż przy królewskich luźnych wierzchowcach. Kiedy nie było nic nagłego, to rozkazy regularnie dawane były przez króla lub Belliard'a; lecz kiedy Moskal mocniejszy czasem opór czyniąc, albo linje nasze łamał, albo w centrum wpadał, wówczas to była bieda, bo król głowę tracąc, krzyczał, futrował i łajał bez miary, zwłaszcza kiedy Belliard'a, gdzieś rekonesans odbywającego, przy nim nie było. Wówczas to była gorąca służba, bo trzeba było lecieć w cwał, przed frontem pułków albo i całych dywizyj, stojących pod ogniem kartaczowym i gradem kul, a niejeden z naszych w tej przejażdżce ubity lub raniony leżał bez ratunku, bo nikt z linji nie wyskoczy na pomoc. I tak człowiek ginął bez chwały i nikt o tem zaświadczyć nie mógł, bo tem się linjowe wojsko nie interesowało. I dla tej to przyczyny, dla pewniejszego dojścia rozkazów, posyłano duplikaty i tryplikaty, w kwadrans jeden po drugim. Tym sposobem, codziennie życie narażając, zginąć można było tak, że nie wiedziano w sztabie gdzie i jak kto zginął, wówczas kiedy oficer służby linjowej na czele garstki, którą komenderuje, może się odznaczyć pod okiem pułkowników, generałów i głównych dowódców. Ale nie koniec na tem. Po całodziennym tak ryzykownym i pracowitym marszu, ledwo stanąwszy na nocleg, i posiliwszy się (na srebrnych wpraw-

dzie talerzach i kiedy było co jeść) dobrem jadłem, wnet już w kancelarji sztabowej rozpisane były na jutrzejszy dzień rozkazy, które przez noc po korpusach musieliśmy rozwozić, nieraz narażeni na wpadnięcie w nocy w obóz moskiewski. Gdyby jeszcze wszyscy nasi oficerowie ciągle służbę pełnili, byłyby dnie odpoczynku, bo było nas dwudziestu pięciu Polaków i Francuzów, ale tylko dwunastu ciągle na służbie, a reszta hultająca i podająca się za chorych.

Te nocne jazdy najwięcej były utrudzające, zwłaszcza, że nigdy z pewnością u nas nie wiadano, gdzie który korpus może być. Król lub Belliard oddawał depesze, mówiąc: „Uda się pan do 4-go lub 5-go korpusu, weźmie się na lewo lub na prawo. Znajdzie go pan o dwie lub trzy mile stąd... etc.“. Kiedy tymczasem to, czego się szukało było zaledwie o parę wiorst, gdzieś za górą lub jakimś lasem. Tak było, pamiętam, ze mną. Kazano mi szukać pod Smoleńskiem korpusu ks. Józefa, który miałem znaleźć na prawem naszym skrzydle, nie dalej jak dwie lub trzy mile od nas, miarkując po całodzienniej w tej stronie kanonadzie. Ruszam więc w noc ciemną i ulewną, kierując się na ognie odbijające się na niebie, w pewności że to obóz księcia. Wtem słyszę po rosyjsku: „Kto idzie?“. Swój, rzekłem, szybko zawróciwszy konia, postrzegłszy, że na moskiewskie pikiety trafił, które mię też kulkami przywitały, widząc, że zmykam. A więc w przeciwną ruszam stronę i po trzygodzinnem jeźdzeniu wpadam na naszą pikietę. Pytam jaki korpus. „Króla neapolitańskiego“, odpowiada mi Francuz. I tak po ośmiogodzinnej jeździe, przemokły do nitki, powróciłem tam, skąd wyjechałem. Budzę Belliard'a ekskuzując się, że nie mógł księcia znaleźć. A ten mi odpowiada: „To dobrze, w godzinę po waćpana odjeździe, księżę dał nam znać, że o tysiąc kroków za parowem stoi“.

Taki to był u nas porządek. Później opowiadali moskiewscy gwardziści, że często cały nasz obóz, przebrani w mundury francuskie, przejeżdżali, z odpowiedzią na „kto idzie“, — „Francja—przyjaciół“, bo prawie nigdy hasła sekretne, jak to pospolicie w wojskach się praktykuje, u nas nie było.

Powróciwszy z takiej nocnej wędrówki, ani biwaku przygotowanego, jak to linjowy oficer znajduje przygotowany

przez swoich żołnierzy, ani usługi żadnej, nic. Rzucił się gdzie człowiek zmęczony, zdrzemnął się na ziemi, bez posłania, bez słomy, a nazajutrz rano dalej tym samym trybem.

Ale wracam do Smoleńska, pod który zbliżaliśmy się, a przy którego ataku nasza kawalerja najwięcej tylko w asekuracji stała, bo korpus księcia Józefa, jak to z historii wiadomo, najwięcej tam dokazywał.

Gdzieś przed Smoleńskiem, posłany do Davouta z depeszami, ujrzałem w jego sztabie Justyna Hrebnickiego, mojego ciotecznego brata, którego wnet namówiłem do naszego sztabu dla dzielenia wspólnego losu, który i w późniejszych czasach nieraz nie najpomyślniej dzieliliśmy.

Nazajutrz po wzięciu szturmem Smoleńska, weszliśmy do kurzącego się jeszcze po zbombardowaniu miasta. Tu znowu nic interesującego, ale zabawne wydarzenie nas kilku spotkało. Kwaterę zajęliśmy w zrabowanej aptece, w której jednak spostrzegam kubeł dosyć spory powideł kwaskowatych i bardzo smaczných. Nie mieliśmy nic do jedzenia prócz ryżu, bez masła. A więc dalejże zaprawiać ryż powidłami, lecz jakże się oszukaliśmy, gdy po pewnym czasie okropne rozwolnienie żołądka nas porwało, gdyż powidła te były tamaryndą, jak nam lekarz jeden powiedział, którą daje się na przeczyszczenie. Diarja okropna, prócz tego, w armji naszej panowała tak dalece, że całe pułki maszerujące co moment z szeregu wyskakiwały na bok drogi dla odbycia potrzeby, i nieraz naśmiać się można było, widząc po kilkudziesięciu i po kilkuset żołnierzy przykucniętych, opartych na karabinach, z ręką u bermycy na znak uszanowania, krzyczących „Vive l'Empereur“, kiedy ten przejeżdżał, bo bez tego entuzjazmu dla niego, nigdy się nie obeszło na jego widok.

Nazajutrz (tę datę pamiętam), dnia 19 sierpnia, wyruszywszy ze Smoleńska, pod Walutynową Górą, o siedem czy osiem wiorst od miasta, ujrzelśmy baterje moskiewskie. Barclay de Tolly, który ścierał się z Ney'em silniejszy niż dotąd opór nam stawiając, chciał nas zwrócić na inną drogę. Koło południa Napoleon sam przyjechał, zrobił rekonesans, po obejrzeniu pozycji, i dawszy na to swoje rozporządzenie, kazał *coûte que coûte* przepędzić Moskali. Jakoż koło godziny dziewiątej wieczorem wyparowano ich z pozycji, która nas wielu ludzi

i trudu kosztowała. Tam straciliśmy walecznego generała Gudin, któremu kula armatnia obie nogi urwała, a cała prawie jego dywizja na pobojuwisku ze swoim dowódcą, po cudach waleczności i przepędzeniu Moskali, grób znalazła. Jakie były straty Moskali, nie moją rzeczą opisywać — wiem tylko, com widział, że na jednym najoporniejszym punkcie góry, wzięto gen. Tuczkowa, rannego w głowę i pijanego, zagrzewającego do oporu swoich.

Ledwieśmy opuścili plac bitwy, udając się na spoczynek pod tąż górą przygotowany, zawołano mnie do króla, pierwszy raz w pięknym namiocie, przez księcia Józefa mu darowanym, spoczywającego, mówię pierwszy raz, bo zawsze albo w chałupie jakiej nocował, albo barak mu naprędce robiono. Trzeba wiedzieć, że w ważnych misjach król zawsze mnie używał, znając moją akuratność i skorość w wypełnianiu rozkazów, a nazywał mnie zawsze „*jeune homme*“, dla trudności wymówienia mojego nazwiska. Później wszakże, gdy w Moskwie zrabowałem sobie (jedyną rzecz com zrabował) kapelusz stosowany sowietnikowski, jeszcze Pawłowskiej daty, bo niski, od którego oddarłszy plumaż biały i przyczepiwszy tylko kokardę francuską bez taśmy i dalszych ozdób, stworzyłem sobie kapelusz, zupełnie taki jak Napoleon nosił, król mnie nazywał „oficer w cesarskim kapeluszu — *officier coiffé à l'Empereur*“. Kapelusz ten musiałem zrabować, bo do Moskwy w czapeczce chodziłem, lubo już po bitwie możajskiej dobrałem się do epoletów, które do dziś dnia chowam, a które po zabitym oficerze naszego sztabu, Bergeret, od służącego odkupiłem.

Ale może ktoś powiedzieć, że gawędą uniesiony, znowu od rzeczy odstępiałem; a przecież zgóry zapowiedziałem, że opisywać będę najwięcej fakty mnie dotyczące. A więc wracam do króla, który mnie zawołał i oddając depeszę do cesarza, kwaterującego w Smoleńsku, rzekł: „Zawieziesz pan te depesze natychmiast do cesarza. Jeśli będzie spał, trzeba go obudzić; ponieważ jest bardzo możliwe, że cesarz zechce pana wypytywać o operacje dnia tego i o wynik bitwy; żeby wiedzieć, czego się trzymać, odpowiesz pan to, co zawierają depesze“. I tak zaraz nauczywszy mnie co mam mówić i kazawszy powtórzyć sobie moją lekcję, „Jadł pan już?“ — spytał.

„Nie, Najjaśniejszy Panie“, odpowiedziałem. Dał mi więc sam bułkę pszenną przed nim leżącą i butelkę wina, mówiąc: „Jedź pan“. Ruszyłem więc, a po jedenastej w nocy stanąłem w Smoleńsku, gdzie wszystko najtwardszym snem spoczywało. Oddawszy więc konia ordynansowi, którego zawsze nam dawano, wbiegłem na schody, a u stojącego na warcie spytawszy, kto jest na służbie, ruszyłem szukać generała Rappa, wówczas będącego na służbie u cesarza. Wchodzę do sali napelnionej marszałkami, generałami, pułkownikami i niższych rang wojskowymi, wszystko pokotem, a nawet jeden na drugim, jak śledzie w beczce ściśnięci, tak, że przejść przez te ciała śpiące i chrapiące różnemi tonami, trudno było. Dyżurny wszakże oficer spytał mnie czego żądam, a na odpowiedź, że z depeszami do cesarza, obudził w portalu drzemiącego Rappa, adjutanta cesarskiego. Nagle przebudzony, spostrzegłszy przed sobą pół psa, pół kozy, jak to mówią, bo wiadomo że m był bez epoletów, z czapeczką niewojskową w ręku, zdziwiony spytał, czego żądam? „Widzieć cesarza dla wręczenia mu osobiście tych oto depesz od króla“ — „Daj“, rzecze. „Osobiście mam rozkaz wręczyć“, rzekłem. „Daj pan jednak“, powiedział. A więc oddałem. Cesarz, widząc z depesz, że będę mógł ustny mu zdać raport ze szczegółów, po chwilce kazał stawić się przed sobą.

Tu chciałbym lepszego pióra do opisanja, jakie na mnie wrażenie zrobił urok czarodziejski, tak na wszystkich, co Napoleona zbliżka widzieli, działający. Krótko więc mówiąc, Rapp wprowadziwszy mnie, stanął obok. Cesarz widać tylko co wstał z łóżka, miał na sobie biały pikowy surdut, długi po kostki, a na głowie szlafmycę też białą śpiczastą, *à la Voltaire* zwaną, a której używają zagranicą wszyscy karczmarze, furmani i wielu innych. Przy samem łóżku stał ogromny stół z rozłożonemi mapami, na których pozatykane były szpilki z kolorowemi główkami i lichtarz z umbrellką o dwóch świecach. Gdy m wszedł, cesarz tyłem do m obrócony, wpatrywał się w mapę, zmieniając szpilki. Powiadomiony o mojem wejściu, zwrócił się szybko do m, podchodząc zadziwiony moim kostjumem. „Co to ma znaczyć?“ — rzekł — „kto pan jest?“ „Sire, oficer Jego Królewskiej Mości króla neapolitańskiego, który przywiózł te depe-

sze“, — odparłem. „A pańskie epolety?“ — „Sire, jestem ze świeżo zdobytych przez Waszą Cesarską Mość prowincyj, a że niedawno wstąpiłem do służby, nie zdążyłem ich jeszcze sobie zdobyć“. „No, dobrze, Murat mi komunikuje (tak go zawsze nazywał), że możesz mi dać szczegóły z operacji ostatnich“. — Tu wyrecytowałem moją lekcję. „A więc biedny Gudin nie przetrzymał swoich ran?“ — „Nie, Sire“. A po chwili rzekł: „Idź pan odpocząć i oczekuj moich rozkazów“.

Wyszedłem więc do sali — ale gdzie tu spocząć w tej sali, tak zapelnionej, że kącika wolnego nie było? Spostrzegłem wszakże przy piecu taki kącik, że przykucnąwszy, oparłszy się o piec, mogłem spocząć; tam więc ulokowałem się i znużony dziennymi trudami i nocną jazdą zasnąłem. Wtem o godzinie coś czwartej czy piątej, Rapp dobrze mnie nogą w bok naszturchawszy, rzecze: „Chodź pan do cesarza“. Wchodzę. Już był ubrany i komuś coś wiadać piszącemu dyktował. Podszedł do mnie i chwyciwszy za guzik od munduru (jak to miał zwyczaj) rzekł: „Powiedz pan Muratowi, że dziś rano udaję się osobiście na front i niech armja nie rusza się z miejsca. Jedź pan“. Siadłem więc na konia, a nie widząc żadnego przygotowania do wyjazdu i okropnie senny, puściłem się kłusikiem, drzemiąc na koniu. Wtem, o kilkaset kroków od namiotu królewskiego, słyszę tentent koni galopujących, bo cesarz z całą świtą i eskortą z kilkuset koni złożoną, zawsze w galop jechał. Przełęknięty tym niespodzianym trafem, dałem ostrogi koniowi i wcał lecąc, pod namiotem królewskim stanąwszy, krzyknąłem: „Cesarz nadjeżdża za chwilę!“ Król krzyknął: „Do pioruna, prędzej konia i ubranie“. A ubierając się, łąjał mnie, że wcześniej mu tego nie oznajmiłem. Tłumaczyłem się, że do ostatniego momentu wyjazdu, cesarz mnie nie puszczał, że i tak wiele dokazałem, wyprzedzając go o kilka minut. Zdążył wszakże król się ubrać, i z całą świtą, wszyscy na koniach, o kroków może dwadzieścia spotkał cesarza, który udał się prosto na plac bitwy. Po obejrzeniu onego i pozostałej szczupłej garstki żołnierzy z dywizji Gudin'a, rozdać im kazał orderzy Legji Honorowej, a pogadawszy nieco z królem, wrócił koło 10-ej rano do Smoleńska. My zaś, zwinąwszy obóz, puściliśmy się za Moskalami nad Dniepr, gdzie most trzeba



było budować dla piechoty i artylerji, bo kawalerja prawie cała wpływ Dniepr przeszła, trzymając między dwoma końmi stojących na strzemionach saperów pieszych, potrzebnych dla pewniejszego budowania mostu, który poczynano budować z domów nad brzegiem stojących.

Tu nowa mię czekała misja, bo król znowu wezwawszy mnie rzekł: „Weźmiesz pan dwudziestu pięciu ludzi eskorty, dowodzonej przez doświadczonego oficera i zaniesiesz pan te oto depesze do generała Grouchy, którego spotkasz pan w Duchowszczyźnie, lub w okolicy. Uprzedzam Pana, że misja ta jest trudna, gdyż między mną a Grouchy może Pan natknąć się na Moskali. Gdyby więc Pana zaatakowano i schwytano, staraj się Pan zniszczyć depesze; jeśli się zaś Panu uda umknąć Moskalom po zniszczeniu depesz, powie Pan generałowi Grouchy, cośmy robili wczoraj i aby natychmiast udał się forsownym marszem do Dorohobuża, gdzie nań będę oczekiwał. Pamiętaj Pan, że misja jest trudna i że oczekuje Cię za nią wielka nagroda“. A podając mi świstek papieru, na którym ołówkiem narysowany był Dniepr i kilka punktów, rzekł: „Oto Dniepr, gdzie się obecnie znajdujemy, tutaj droga do Dorohobuża, którą zamierzam pójść, a tu Duchowszczyzna, dokąd ma się Pan udać przez góry i doliny, omijając szerokie gościńce i kierując się na ten mały kościółek, który jest widoczny tam na górze“. Wskazując mi przytem małą na górze stojącą cerkiewkę, o siedem lub osiem wiorst odległą — do Duchowszczyzny zaś pięć do 6 mil liczył — dodał: „Ostrożność i baczność“.

Wychodząc od króla, zastałem już czekającą na mnie eskortę, złożoną z 12 ułanów polskich 6 pułku, z 6 huzarów pruskich i z 6 ułanów też pruskich, wszystko pod komendą młodego Jankowskiego, porucznika 6 pułku ułanów pułkownika Pągowskiego, który zameldowawszy mi się, jako starszemu w randze, dodał, że ma rozkaz z największą bacznością strzec mojej osoby i słuchać moich rozkazów. Ruszyliśmy więc na wskazaną cerkiewkę, zawsze przed sobą posyłając szpicę o kilkaset kroków przed nami, dla dania alarmu na wypadek napadu. Po szpicie, składającej się z trzech ułanów, szedł drugi oddział z dziewięciu ludzi złożony, a w arjergardzie ja z Jankowskim i dwunastu pozostałych żołnierzy. Pod



JOACHIM MURAT, KRÓL NEAPOLU

cerkiewką szpica nasza złapała uciekającego chłopka, który nam się przydał na przewodnika. Pytany gdzie Moskale, odpowiedział, że przed kilku godzinami kilka sotni kozaków poszło niewielką drogą, wiodącą do Duchowszczyzny. Ruszamy więc dalej, a ujechawszy wiorst ze dwadzieścia spostrzegliśmy dworek, do którego postanowiliśmy dążyć na popas, przekonawszy się przedtem, że tam niema Moskali. Dworek ten tegoż dnia zrabowali już francuscy maruderzy. Należał on do kniahini Sokolińskiej, która do szczętu zrabowana przez Francuzów, klęła i nas na czem świat stoi, mówiąc, że cieszyli się z przybycia Napoleona, sądząc, że on z porządkiem wojskiem idzie, a tu same łotry i rabusie. Jak mogłem uspakajałem babę, która widząc przeciwny francuskiemu sposób postępowania, z ukrytych od rabunku zapasów posiłnić nas i konie kazała.

Po dwugodzinnym wypoczynku w dalszą puściliśmy się drogę zawsze z tą samą ostrożnością. Już zmierzchać narazcie zaczynało, a jeszcze, jak przewodnik mówił, z piętnaście wiorst było do Duchowszczyzny. Wtem o dobrym już zmroku, spostrzegamy na niebie dwie ogromne łuny, w pewnej jednakże odległości od siebie będące. Czysty stąd wniosek, że są to dwa obozy, ale który nasz, a który moskiewski, w tem był sęk. Podjeżdżamy jednakże pod ogromną wieś i, z ostrożnością wchodząc, szpica nasza spostrzega pełno pijanego chłopstwa, śpiącego przed domami na ulicy, o czem, cofnąwszy się bez hałasu, nas uwiadomiła. Ja, umiejąc po rosyjsku, idę z naszymi ułanami, w białe płaszcze odzianymi tak jak i moskiewscy wówczas ułani; udając Moskali, wchodzimy do wioski. Cicho. Budzimy wreszcie jednego chłopca i knebel mu w gębę wsadziwszy, żeby alarmu nie narobił, wracamy z nim nazad, a uwolniwszy go od knebla i pistolet do głowy przyłożywszy, każę mu mówić prawdę. Okazało się, że w tej, 80 chat liczącej, wiosce, nocuje ze sześciuset kozaków, którzy mając huk wódki i sami popili się i chłopów popoili, rozkazując im pilnować, a sami poszli spać. Ognie zaś, któreśmy widzieli, były to obozy francuskie i moskiewskie; ale do Francuzów, stojących za rzeczką i błotami poza wsią nie można było się dostać inaczej, jak przechodząc przez obóz moskiewski, bliżej nas

będący. Więc po naradzie, zatrzymawszy przy sobie porwanego chłopą, cofnęliśmy się do lasku, nieopodal od wioski i drogi będącego, w którym rozkiełznawszy konie, puściliśmy je na paszę, przyczem każdy żołnierz trzymał swego konia. Sami zaś, bez rozkładania ognia i posiłku, czekaliśmy dnia. Skoro o brzasku usłyszeliśmy bębny i trąby naszego wojska, które widocznie ruszało do marszu, bo Moskale, jak zawsze niezawodnie w nocy zemknęli, my, na koń siadłszy, przejechaliśmy przez wioskę, od kozaków oswobodzoną. Napotkawszy naszych maruderów, którzy nam zaręczyli, że za wiorst kilka dopędzimy Gruchy'ego, nie spotykając Moskali, puściliśmy się tęgim kłusem za nim. Jakoż po godzinnem kłusowaniu, dopędziwszy go, depeszę mu oddałem i już razem ku Dorohobuszowi ciągnęliśmy.

Po trzydniowym z Gruchym marszu, dopędziliśmy króla pod Wiaźmą, słynną z pierników. Połączenie się nasze z królem radośnie zostało przyjęte, bo lękano się, aby Gruchy, zupełnie od króla odcięty, nie był zmuszony do poddania się. Król i Belliard, radzi żem się dobrze sprawił, ponowili mi obietnicę nagrody; ale ciągle marsze bez skutku wszystko zostawiły.

Tymczasem zbliżaliśmy się pod Możajsk po naszymu, a Borodino po moskiewsku zwane, plac sławnej bitwy, bo właśnie bitwa ta nastąpiła pod tą wioską, odległą jeszcze wiorst kilka od Możajska. Koło tej nędznej wioszczyny, na płaszczyźnie, właśnie na tak walną bitwę wybranej, Moskale usypali ogromne trzy baterje, pierwszy raz od początku kampanji wydając nam walną bitwę, z czego Napoleon był uszczęśliwiony, bo ciągle sobie życzył „une grande bataille décisive”. Opisywać jej nie będę, bo różni różnie o niej pisali, ja mówić będę tylko to, co się mojej osoby tyczy, bo moje pamiętniki piszę. Kawalerja nasza cudów tam dokazywała, zdobywając baterje, na których pałaszowano kanonierów i piechotę. Pierwsze wystrzały koło siódmej rano słyszeć się dały, a do późnej nocy ciągły huk pięciuset grzmiących armat niemało uszy zmęczył. Król nasz, uosobienie odwagi, wszędzie w największym ogniu się znajdując, często sam szarżował na czele kawalerji. Cudnie było patrzeć na tego walecznego wodza, po arlekińsku trochę przybranego, z ogromną białą czapłą kitą, otoczonego wielką

świtą, uwijającego się po polu bitwy, albo osobiście prowadzącego do szarży pułki. Najczęściej wszakże stawał przy artylerji, której obrotami kierował. Wiadomo każdemu wojskowemu, że to punkt najniebezpieczniejszy, bo przeciwna artylerja, najwięcej także nań bije, w nadziei zdemontowania armat, wysadzenia kieszonów etc. Biała do tego kita króla i tuż obok niego zawsze będący faworyt jego, murzyn Otello, w białym zawoju, byli prawdziwym celem wystrzałów moskiewskich, tak dalece, że aby gdzie się pokazały te białe punkty, zawsze byliśmy pewni przywitania gradem kul. A raz tak pięknie lotry trafili, że królowi kitę kartacz na pół przełamał i kilkunastu nas ze świty ranili lub zabili; tuż obok mnie stojącemu Mostowskiemu kartacz tak ugodził w ładownicę, której zawdzięczał życie, że się z konia zwałił, otrzymawszy silną kontuzję, która go parę tygodni w okropnych bólach przetrzymała. Z drugiego mego boku, Francuz Malo, w samą gębę kartaczem trafiony, ani jęknął. Wielu zaś innym konie poubijano lub raniono, i dziwne boskie zrządzenie, że stojąc w pośrodku tego wszystkiego ani ja, ani koń mój draśniętymi nie byliśmy. Bo też są ludzie co od pierwszego wystrzału giną, wówczas kiedy inni, ciągle w ogniu, nigdy ranki żadnej nie odebrali.

Ale wracam do króla. Jak nas tak przywitano, Belliard, Daumont, Piezerno, Juliano, Castaneo, wszystko generałowiem-adjutanci króla, poczęli go błagać, aby się mniej narażał, nie nosił przynajmniej tej białej kity i murzyna z zawojem oddalił. Nietylko wszakże przy artylerji niebezpieczeństwo nam groziło, tu przynajmniej człowiek, między swoimi ranionymi, mógł spodziewać się pomocy; ale najpaskudniejszą było rzeczą, kiedy między armatami wystawionymi na grad kul kartaczowych, karabinowych lub na bomby, trzeba było pod okiem króla przelatywać te groźne linje, niosąc rozkazy do rozmaitych komend. Wtenczas to niejednen z naszych, pędząc na koniu, padał kulą przeszyty przed frontem nieznanych mu ani pułków ani ludzi, i nikt nie mógł poświadczyć gdzie i jak zginął; i dlatego to, jak już pono wspomniałem, za tak pędzącym duplikaty i tryplikaty posyłało, dla pewności dojścia rozkazów.

Raz w ciągu tego dnia byłem posłany do cesarza z usilną prośbą, aby kazał dać gwardję dla rozstrzygnięcia niepewnego

losu bitwy. Ale cesarz nie dał się ubłagać i to mu później zarzucano. Stał on na wzgórzu, z którego obejmował wszystkie czynności naszej i moskiewskiej armji, skutkiem czego przysyłał stosowne rozkazy; a stał otoczony wszystkimi gwardjami, których orkiestry, odzywające się przy huku armat, dziwny sprawiały efekt. On zaś spokojnie przez lunetę przypatrywał się — mówię spokojnie, bo punkt, przez niego obrany, był tak wyrachowany, że kule baterij moskiewskich ciągle do niego celujących, albo przechodziły ponad głowami kiedy *par ricochet* były puszczane, albo nie dochodziły do tego miejsca prawdziwie uprzywilejowanego, bo lubo był w środku ognia, jednak niebezpieczeństwo mu nie groziło.

Do późnej nocy trwała, jak wszystkim wiadomo, bitwa. W szczegółowe opisy nie wdam się, bo jakim już to powiedział, wielu lepszych pisarzy rozmaicie ją opisało. Krótko więc mówiąc, po skończonej bitwie, w noc późną, nie było czasu szukać wygodnego noclegu; — a więc każdy jak mógł szukał na placu bitwy spoczynku, którego napróżno szukaliśmy, nie mogąc go znaleźć przez jęki ranionych, chrapanie konających i wołanie rozmaitemi językami: „wody dajcie napić się, na miłość Boga”, albo „dobijcie, dobijcie mnie przez litość”. To też noc ta nie była spoczynkiem. Z niecierpliwością każdy dnia oczekiwał; a gdy nadszedł — ruch się zrobił na całej linji, bo Napoleon ze swoją, królewską i marszałków świtami, wolnym krokiem plac bitwy objeżdżał, zatrzymując się przed rannymi, dając rozkazy opatrywania i odwiezienia ich do ambulansów. Okropny to widok, plac bitwy nazajutrz. Opisywać go też nie czuję się zdolnym, nie mając dosyć poetyckich zdolności do tego, tak jędrnie, tak dobitnie mogącego się dać opisać widoku. Poprzestanę więc na tem, że po dwugodzinnem blisko jeźdźeniu wzdłuż, wszcz i wpoprzek, na moje własne uszy słyszałem, jak Napoleon do otaczających go powiedział: „Straty nasze mogą wynosić do piętnastu tysięcy ludzi, ale moskiewskie są trzykrotnie większe”; bo też gdzie było dziesięciu trupów naszych, tam trzydziestu pewno moskwi-cinów leżało.

Po tej bitwie wielu z naszych, i ja w tej liczbie, przedstawieni byliśmy do krzyża Legji Honorowej. Lecz ciągły marsz nie dozwalał skutecznie zaraz tych nominacyj, które

dopiero z Moskwy do kancelarii Legji Honorowej zostały przesłane. Lecz i tu losy przeciwnie zrządziły, bo w kilka tygodni po wzięciu przez nas Moskwy, między Mińskiem a Moskwą, kurjer z Paryża, wiozący kilkaset krzyżów, napadnięty przez chłopstwo, został zabity i zrabowany. Skutkiem czego wielu z nas dopiero po skończonej kampanji i abdykacji Napoleona, za pośrednictwem gen. Tomasza Łubieńskiego, prezesa komitetu, reklamującego od rządu francuskiego wszystkie pretensje Polaków do tego rządu, komitetu, ustanowionego przez Aleksandra w Warszawie, krzyże nasze, po wyciągnięciu nominacyj z kancelarii Legji otrzymało, z podpisami wszakże króla, nie zaś Napoleona, który już był na Elbie. Ze swojej strony Murat, pamiętny na moją gorliwą służbę, sam mi powiedział: „Odznaczenie neapolitańskie nie minie Pana wkrótce, jak tylko powrócimy do Neapolu”. I polskie krzyże nam się należały, lecz i te chybiły ze zmianą okoliczności. Hrebnicki, który również do krzyża Legji był przedstawiony, nie otrzymał go, bo wzięty do niewoli pod Tarutinem, bez wieści czy żyje (o czem później), nie mógł w biurze Łubieńskiego robić reklamacji, a biuro reklamowało dla tych, którzy się o to osobiście dopominali.

Wyszedszy więc obronną ręką z bitwy możajskiej, za co niech Bogu będą dzięki, ruszyliśmy nazajutrz ku Możajskowi, blisko osiem czy dziewięć wiorst od placu bitwy odległemu. Niewielkie to miasteczko, przed którem wszakże w kilku punktach stawiała lekki opór arjergarda moskiewska dla dania czasu do rejterady głównej swojej pobitej armji. W jednej z tych tak mało znaczących utarczek, gen. Belliard, wzięwszy z sobą adjutanta swego Welscha i mnie, pojechali zrobić rekonesans. Wtem, Bóg wie skąd, „zabłąkana kula”, jak to u nas nazywano, ubija mu pod nim konia i urywa mu całą łydkę od prawej nogi. Przerażeni, zeskoczyliśmy z koni, a widząc nieopodal oddziałek naszej piechoty, zawołaliśmy pomocy i na zrobionych naprędce noszach, zanieśliśmy kochanego naszego generała do domku, gdzie leżał już od kontuzji w wigilję raniony, waleczny gen. Ornano, przyjaciel Belliard'a, w niebogłosy krzyczący z bólu. Ornano, krewny i faworyt Napoleona, ożenił się później ze sławną naszą Walewską, matką syna, którego miała z Napoleonem,

a znanego dziś w dyplomacji francuskiej. Rana Belliard'a i króla niezmiernie zmartwiła. Nie mogąc już siedzieć na koniu, generał leżąc zawsze nam rozkazy wydawał podług raportów najakuratniej mu o wszystkim dawanych. Poczuliśmy wszakże i bardzo nieciągłą bytność Belliard'a przy królu, do reszty tracącego bez niego głowę.

Powoli więc posuwaliśmy się do Moskwy, pod którą znaleźliśmy usypane ogromne baterje, opuszczone przez Moskali. Podchodzimy nareszcie pod samą stolicę, której też opisywać nie myślę. Z góry, na której staliśmy, widzieliśmy ją w całej swej azjatyckiej okazałości. Wtem spostrzegamy niewielki oddział, ze dwustu może kozaków złożony, ku nam w charakterze parlamentarjuszy z pułkownikiem swym na czele zdążający. A że król zawsze był na przedzie, kazał więc zbliżyć się kozakowi, który zsiadłszy z konia, podszedł piechotą i króla w kolano pocałował z oznaką najwyższego uszanowania. Na zapytanie co go sprowadza, kozak, nieumiejący po francusku, swoim barbarzyńskim bełtał językiem. Wezwany na tłumacza, opowiedziałem królowi, że ten kozak przysłany jest od głównodowodzącego z propozycją aby nie bombardować miasta, które za dwie godziny bez strzału wydane nam będzie, a że te dwie godziny potrzebne im są dla wywiezienia rannych. Zgodził się król na propozycję, spojrział na zegarek i rzekł: „Punkt o drugiej wchodzimy do miasta. A czy masz — pytał kozaka — zegarek?” Na odpowiedź, że nie ma, król, żałując widocznie swego, wziął inny od jednego z adjutantów i ofiarował go kozakowi, który go w rękę pocałował i oddalił się ze swoimi kozuniami.

Mając dwie godziny odpoczynku, zsiadliśmy z koni i zającąc przygotowaną przekąskę, podziwialiśmy ogrom tego miasta. Wybiła nareszcie godzina druga, więc ruszyliśmy pod mury Moskwy, oddzielonej od przedmieścia niewielką rzeką Moskwą, na której most znaleźliśmy zawałony rozmaitego rodzaju furami i kozakami krzającymi się koło nich. Ci przybiegli prosić o jeszcze jedną godzinę zwłoki. Nie zgodził się na to król, mówiąc, że termin upłynął, a zatem co tylko zostało, do nas należy. Kozakom tylko pozwolił oddalić się, a nie mogąc dostać się do mostu, w bród niegłęboki przeszliśmy rzeczkę, na czele pułku huzarów Umińskiego,

zawsze w awangardzie będących, 8-go pułku księcia Dominika Radziwiłła i dwóch lekkich armatek francuskich. Wchodząc do miasta, puścił król kawalerję i armatki naprzód. Na ulicach spotykali nas kacapy przed domami z chlebem i wódką na tacach i tak spokojnie posuwaliśmy się pod Kreml. Wtem słyszymy, że idące przed nami armatki dały ognia. Strwożyło to króla, sądzącego, że to zdrada; lecz nadbiegł, zdaje mi się, Umiński, uspakajając i mówiąc, że gdy podchodzili pod bramę Kremlinu, nagle otworzyły się drzwi arsenału i wyskoczyło z niego ze dwustu pijanych rekrutów z karabinami. Oficer artyleryjski, sądząc że to zdrada, dał ognia z armatki, a motłoch, padłszy na kolana, wołał pardonu.

Moskwa jest obszerna — szliśmy coś ze cztery godziny od mostu do Sierpuchowskiej zastawy, na drugim końcu miasta będącej, a wiodącej na drogę kałuską, którą mieliśmy iść i gdzie ciągnęła cała armja dla biwakowania za miastem. W czasie przechodzenia przez miasto, zauważyliśmy największą ciszę, tylko w oddaleniu gdzie niegdzie spostrzegaliśmy dymy od palących się już domów i kiedy niekiedy wysuwające się z bocznych ulic kibitki z przestraszonymi kobietami i dziećmi, które nie zdążyły odejść ze swoją armją, dostając się w nasze ręce. Z jednej z tych kibitek wyskoczyła nieszpeta wcale kobietka i chwytając króla za nogę, zaczęła płakać, prosząc aby ją do męża (jakiegoś komisjonera) puszczono. Lubił nasz król płęć piękną, a zgłodniałemu w kampanji kęs był niepospolity. Kazał więc jej, aby się mnie, której byłem tłumaczem, pilnowała, a mnie dał rozkaz nieopuszczania jej i pilnowania, póki nie rozlokuje wojska, z tem, abym razem z nią ruszył do domu bogatego kupca Bataszewa, gdzie dla niego zatrzymano kwaterę. Kobietka ta, jak pijawka przyczepiwszy się do mnie, na krok nie odstępowała, pókiśmy nie stanęli w domu Bataszewa, gdzie góra zajęta była dla króla, a dół na służbę sztabową i kancelarję, obok której w małym pokoiku ulokowałem moją płaczącą moskiewicę. Koło dziesiątej wieczór król powrócił, rozdąsany coraz więcej ukazującemi się pożarami, które barbarzyński patryjotyzm Rostopczina wywołał. Bo wiadomo zapewne wielu, że ten fanatyczny wojenny gubernator Moskwy wmówił w Aleksandra poświęcenie tej stolicy na spalenie, wypuściwszy z turmy samych łotrów,

którym rozdawano palne materiały dla wzniecania pożarów, sądząc, że przez to zmuszą Napoleona do śpiesznej rejtenty. Barbarzyński ten jego postępek, nieprzynoszący wówczas żadnej korzyści dla Rosji, oceniło społeczeństwo i sam Aleksander, w którego niełaskę wpadłszy, Rostopczin wyemigrował do Paryża i do dziś dnia tam siedzi, wydawszy dwie córki, jedną za hr. Ségur'a, drugą nie wiem za jakiegoś Francuza zamaż. Ale mniejsza z nim, mnie teraz idzie o to, jak to, nie raziąc skromnych uszu tych, co to czytać będą, jakim sposobem z wojskowego pomimowoli zostałem *quasi* rajfurem królewskim, nie sądząc nigdy, że zaprotegowanie kobiety, o której wspomniałem, będzie dla mnie tak nieprzyjemne. Opisując wszakże wszystkie fakty mnie się dotyczące, i tego przepomnieć nie powinienem. A więc przeżegnawszy się, jak przed księdzem na spowiedzi, całą prawdę opowiem.

Nazajutrz, koło dziesiątej rano, zapomniawszy nawet, że gdzieś tam tę kobiecie ułokowałem, wołają mnie do króla, który mnie pyta: „Coś pan zrobił z tą kobietą, którą ci wczoraj powierzyłem?” — „Oczekuje ona rozkazów Waszej Królewskiej Mości” — odpowiedziałem. — „Każ jej przyjść tutaj przez te małe ukryte schodki, omijając poczekalnię, i przyjdź pan z nią”. Domyślałem się poczęści, że tu nieczysty będzie interes, ale jakże nie spełnić danego rozkazu? Idę więc po moją kobiecie i prowadzę ją do króla przez wskazane mi wejście. Jakiem tylko ją wprowadził, król kazał mi oddalić się, mówiąc: „Dobrze”. Moja dama, widząc mnie odchodzącego, rzuca się na mnie, krzycząc: „Nie odchodź pan, ja nie chcę, ja się boję pozostać sama”. Król, zniecierpliwiony temi lamentami, rzekł: „Wychodź - że”. A więc, nie czekając dłużej, puściłem się, jak to mówią, na sałatę. Po upływie godziny, wraca moja niewinna moskiewica, ale już nieplacząca wcale, i pokazując mi garść pełną napoleonów, rzecze: „Weź pan, ile zechcesz”. I śmiech i wstyd mię porwał; śmiech, że tak prędko pocieszoną została, tak wielką niewinność wprzód okazując, a wstyd, że zostałem jakby pośrednikiem, któremu jeszcze zato płacono. Niemało się też naśmieli i koledzy, którzy widzieli wszystkie te manewry. Co się potem z tą kobietą stało, czy znalazła męża, czy szukała go, czy też przy Francuzach została, — nie wiem.

Dzień ten przebywszy, oczekując na cesarza, który do Kremlu po południu przybył, nazajutrz puściliśmy się ku Tarutinu, o którym później obszernie będzie mowa. Wieczorem przybyliśmy pod Woronowo, pyszne letnisko, z ogromnym, jak miasteczko, pałacem, letnią rezydencją Rostopczina, całą w płomieniach będącą, a przed którą była zawieszona ogromna tablica na słupie z francuskim, niemieckim i rosyjskim następującym napisem: „Palę moje domostwo własnymi rękoma, ażeby nie dać schronienia tym psom Francuzom”. Nie na tem wszakże koniec; na stajniach, chlewach i komórkach były podobne tablice z napisem: „Kwatera dla zwierza Napoleona”. Koniec końcem, nie mając gdzie się przytulić, biwakowaliśmy na polu.

Do Tarutina nic nas ważnego nie spotkało. Ponieważ jednak tu kilkanaście dni przebyliśmy, nieco więc dłużej nad tem miejscem zatrzymam uwagę czytających.

Tarutino było punktem, od którego zaczęła się nasza rejterada i, można rzec, wszystkie nasze klęski. Nazwę tego miasta dowcipniś jakiś moskiewski (powiedziałbym W. Książę Michał, sławny kalamburzysta, gdyby nie był za młody na owe czasy) w niezły kalambur ubrał, mówiąc: „*Ta routine t'a dérouté*”, bo realnie to była prawdziwa deruta, ta nasza rejterada. Otóż tedy Tarutino był to niewielki folwarczek z budynkiem mieszkalnym o czterech małych pokoikach. W pierwszym spali adjutanci, w drugim król z Belliardem, w trzecim i czwartym, bardzo małych, garderoba i murzyn króla. Dwa świronki, wozownię, stajnię i chlewy zajmowali królewscy i generalscy dworacy; reszta zaś i sztab biwakowała na dziedzińcu i w ogrodach. Dworek ten położony był nad ogromnym parowem, w którego głębi sączył się mały ruczajek. Na drugiej stronie parowu, zaraz za rzeczką, stała nasza grangarda, od której o kilkadziesiąt kroków rozciągała się linja placówek, którą król z okien swoich mógł widzieć. Król najczęściej tak się lokował, aby w każdym wypadku można było dać prędką radę i aby czujność forpoczt, na których bezpieczeństwo armji leżało, była większą. Na naszej stronie parowu rozłożone były wszystkie wojska.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad opisem tego miejsca, bo i tu moją rolę odegrałem. Ledwośmy więc doszli do Tarutina

i za parowem czaty nocne postawili, sądząc, że nazajutrz dalej pójdziemy, gdy w nocy zawitał do nas wyprawiony z Moskwy Lauriston, marszałek i adjutant Napoleona, jadący do głównej kwatery moskiewskiej dla układów z głównodowodzącym. Chęć tych układów spowodowała grecka chytróść Kutuzowa, dowodzącego moskiewskiem bydłem. Skutkiem zawartego traktatu z Turcją, Rosja cofnęła od granic tureckich Czyczagowa, stojącego tam ze znacznym korpusem, a Kutuzow, oczekując co chwila sześćdziesięciu tysięcy świeżych dońskich kozaków, idących mu na pomoc, puścił się na fortel. Posyła kurjera niby to do Aleksandra, ale każe mu umyślnie wpaść w ręce Francuzów, aby omanić Napoleona depeszami, w których perswaduje Aleksandrowi, aby błagał Napoleona o pokój, nieodzownie dla Rosji potrzebny, którego jeśli nie otrzyma, za następstwa nie ręczy. Napoleon, po przejęciu kurjera, mając takie dowody w rękę, pośpieszył posłać Lauristona, ofiarując pokój, o który miał się sam z Aleksandrem układać; tymczasem dla wypoczynku obu wojsk, żądał zawieszenia broni. Lauriston, przeprowadzony w swoim koczach przez nasze forpocztę, wrócił do nas wieczorem z poleceniem rozesłania po wszystkich korpusach rozkazów „nie strzelać, aż do odwołania”, nie określając, jak zwyczaj każe, terminu zawieszenia broni, bo ten zależał od powrotu kurjera, wyprawionego przez Kutuzowa do Aleksandra, z tem wszakże, że w razie nieprzyjęcia przez jedną lub drugą stronę warunków pokoju, strony powinny były być na kilka godzin przedtem o zerwaniu zawieszenia broni zawiadomione. Zobaczymy później, jak chytróść moskiewska na żadne prawa nie zważała i podłem postępowaniem swój naród, niemający i tak honoru, na gałganów kierowała.

Skutkiem więc powrotu Lauristona zaraz porozwoziliśmy korpusom rozkazy mieć się na baczności, jak zawsze, ale niestrzelania do nieprzyjaciela aż do nowych rozkazów. Wiadomość ta, komunikowana dowódcom, niezmiernie im się uśmiechała, bo wszyscy, marząc o pokoju, cieszyli się наконец tak upragnionym odpoczynkiem. Czternaście dni tak przebyliśmy. Służby prawie żadnej, prócz kolejki, co drugą lub trzecią noc przypadającej, a w której od godziny dziesiątej do czwartej rano trzeba było przejeżdżać się po linii i liczyć ognie nieprzyjacielskie, raportując rankiem królowi, czy się

nie powiększają lub nie zmniejszają, wnosząc stąd o powiększaniu się lub zmniejszaniu armji, przed nami stojącej. Te wiadomości posyłał król co kilka dni do Moskwy, do cesarza, na rozstawionych co kilkanaście wiorst koniach, stanowiących rodzaj poczty. Do tego użyte były ułańskie, huzarskie, kirasjerskie i karabinierskie konie, dzień i noc osiodłane, a stojąca placówka, skoro tylko spostrzegła którego z nas w cwał lecącego, dawała znak, aby kielznano. I tak, nie zsiadając nawet z lekkiego ułańskiego lub huzarskiego konika, przesuwał się człowiek na ciężkiego karabinierskiego, i dalej znowu w cwał do następnej stacji, w tym samym porządku, bo na depeszy oznaczona była godzina wyjazdu. Tym sposobem w niespełna trzy godziny udało mi się trzy razy odbyć tę drogę, osiemdziesiąt wiorst od Tarutina do Moskwy liczącą. Pierwszy raz gdy tę podróż odbywałem, wpadłem, lecąc ku Kremlinowi, w ulicę, rozżarzoną płomieniami, niszczącemi to miasto, a które były tak silne, że z palących się z obu stron ulicy domów ciekły rynsztokiem blaszane dachy, co mnie niezmiernie zadziwiło, nie mogłem sobie bowiem wyobrazić, aby blacha żelazna tak mogła topnieć. Żar zaś i gorąco były takie, że koń i ja już słabliśmy, nie mogąc prawie oddychać, gdy spostrzegłszy niepalącą się uboczną uliczkę i nagle w nią zawróciwszy — odetchnąłem.

Przybywszy do Kremla, biegnę na schody, na których spotykam tłustą fasę, powoli na górę pełznącą, która mię zatrzymuje i pyta: „Do kogo mam się zwrócić, ażeby rozmówić się z intendentem pałacu, hrabią Ségur?” — „Do mnie”, odpowiedziałem, poznawszy pocziwego Torquiniego, śpiewaka sopranistę, którego bardzo dobrze znałem w Wilnie w 1810 i 11 roku, a który dawał lekcje śpiewu mojej siostrze i mojej kuzynce, która później w r. 1819 została moją żoną. Jakoż, nie tracąc czasu, oddałem zaraz depesze księciu Neuchâtel, marszałkowi Berthier, szefowi sztabu cesarza, który, spojrzawszy na godzinę na depeszy zaznaczonej, i na swój zegarek, rzekł: „Dobrześ pan jechał, niecałe trzy godziny, idź się pan posilić”, co znaczyło, że za chwilę do tegoż salonu, napełnionego wojskowymi wyższych i niższych rang, wnoszono stoliczek nakryty serwetą, na którym była butelka wina, bułka pszenna i kawałek dobrego sera. Torquiniego doprowa-

dziłem do prefekta, który kazał mu przyjść dla dania, z rozkazu Napoleona, koncertu, dla rozrywki nudzących się w Moskwie oficerów. Ale nie tylko koncertami ich bawiono, był i teatr, w którym dawano niezłe wodewile, przez trupę aktorów francuskich grywane, którzy nie chcieli opuścić Moskwy, słysząc o przyjściu Napoleona.

Później dwa razy byłem w Moskwie, zawsze na parę tylko godzin. Za drugą moją bytnością, spotkałem tylko co przybyłego z Wilna kurjera od księcia Bassano. Kurjer ten miał między wielu listami list i do mnie od brata Józefa, który mi doniósł, że prócz formujących się pułków litewskich, formowano jeszcze bataljon strzelców, którego szefem książę Bassano, łaskawy na mego brata, mnie chciał nominować. Przy tym liście był drugi do mnie od p. Kazimierzowej Platerowej, matki Władysława i Cezarego, proszącej, abym to szefostwo odstąpił jej mężowi, któremu, w razie mojej odmowy, jak mi i brat pisał, ks. Bassano to stanowisko obiecał. Prosiła ona, abym przez tegoż kurjera, mającego zaraz wracać, odpisał o mojem postanowieniu. Niedługo namyślając się, odpisałem, że wolę być kapitanem w kawalerji, niż szefem w kiepskiej jakiejś tam piechocie,—bo raz, że nie cierpiałem piechurów, a po drugie nie widziałem dla siebie żadnej korzyści; odbywszy bowiem tak pracowitą kampanję, bez otrzymania jeszcze należnych mi nagród, nie chciałem opuszczać tak pomyślnie zaczętej kariery, mając zawsze w perspektywie, że i tak, po skończonej kampanji, mogę zostać szefem w kawalerji.

Mówiąc wszakże o Moskwie, muszę wspomnieć, że w pierwszym dniu wejścia naszego do niej, znajdowali się na dziedzińcach wielu domów furmani, zaprzęgający konie do karet, koczów i drażek. Nie zdążyli oni wyjechać do swoich panów; tegoż samego dnia bowiem, na parę godzin przed naszym wejściem, Rostopczin zebrał obywateli za miastem na jakiejś górze, gdzie im dopiero wtenczas zakomunikował projekt oddania nam stolicy, która jednocześnie w kilkunastu punktach będzie podpaloną, poświęcając na ołtarzu ojczyzny wszystkie bogactwa prywatnych nawet osób. Do tego stopnia w sekrecie trzymał on barbarzyński ten swój projekt poświęcenia wszystkiego, że w pośpiechu mało co kto mógł zabrać z sobą; tak

dalece, że w wielu możniejszych domach znajdowano porozrzucone perły, brylanty, srebro, bieliznę etc., których nie zdążono spakować, a w garderobach magnatek znajdowano porozrzucone peniuary, szale, suknie i inne rupiecie damskie, wskazujące też, z jakim pośpiechem każdy uciekał jak mógł. To też nietylko Francuzi, ale i wielu naszych Polaków tego rabunkiem się bawili, lubo cesarz nadzwyczajnie tego zabraniał, a podpalaczy kazał rozstrzeliwać.

Ale otóż znowu opuściłem Tarutino, do którego wracam. Jesień była piękna, więc codziennie wyjeżdżaliśmy z królem na spacer na linję placówek, znajdującą się naprzeciw placówek moskiewskich, do których król pozwalał nam jeździć dla gawędy, z której spodziewano się coś wyciągnąć. Wiadomo, że w czasie zawieszenia broni takie odwiedziny się praktykują. Jadąc więc poza linję, wywieszaliśmy białą chustkę, oznakę przyjaźni, poczem ruszaliśmy na stronę moskiewską, wdając się w gawędę z ich oficerami, którzy nas przyjmowali wódką i tytoniem; poczem wracaliśmy do króla, wypytującego o czem się mówiło. Ale najczęściej nie był zadowolony, bo z tych pustych gawęd nigdy nic wynioskować nie mógł.

Pewnego dnia, król, przejeżdżając po linji z całą naszą świetną świtą, spostrzegł na moskiewskiej stronie podobną grupę świetnych mundurów. Zaraz też wysłał mię z zapytaniem kto to może być. Przyniosłem odpowiedź, że to Miłoradowicz, drugie wydanie, jak później mówiono, naszego króla, bo tak się lubił stroić jak on i podobny był do niego z żywości. Obie grupy zatrzymały się, a po chwili przypatrywania się sobie przez lunety, król wyciągnął chustkę, którą jął powiewać. Na to hasło Miłoradowicz z całym orszakiem posunął się naprzód. Król ze swej strony to samo uczynił, poczem obie strony spotkały się na terytorjum neutralnem, między dwiema linjami zawsze będącem, i kilka chwil z sobą rozmawiali. Ale i o tem różni już pisali.

W ciągu tych naszych spacerów, pewnej nocy posłyszeliśmy, dobrze przede dniem, odległe wystrzały, powtarzające się częściej lub rzadziej, raz armatnie, to znów z ręcznej broni, wreszcie jednocześnie jedne i drugie. Posłany z zapytaniem, co by to znaczyło, otrzymałem odpowiedź, że ćwiczą rekruta. Odpowiedź była zaspakajająca, i w zupełnem bezpie-

czeństwie zasypialiśmy, nie spodziewając się wcale, że chytry Moskwicin zdradę nam tem gotował, osuwając nas z coraz silniejszym i gęstszym ostrzeliwaniem. Napoleon, lepiej widocznie poinformowany, nadesłał nam był z Moskwy rozkaz mieć się ciągle na baczności, zwłaszcza w nocy, i mieć zawsze konie osiodłane i okiełznane do dnia. Na nieszczęście, król nadto łatwowierny, nie kazał spełniać tych rozkazów, żałując koni, i tak niebardzo wiele sił mających. Na złe wszakże wyszło nam to niespełnianie rozkazów cesarskich, bo czternastego dnia, jeszcze przed świtem, przy zwyczajnem całonocnem strzelaniu, wyszedłszy z baraku dla mojej potrzeby, widzę mojego Tołoczkę, lecącego z końmi od wodopoju i krzyczącego: „Mospanie, Moskale strzelają i biją się z naszymi za parowem, i ja ledwo od kozaków, już na tej stronie plondrujących, umknąłem”. Wpadam więc do królewskiego domku, krzycząc: „Na koń! na koń! jesteśmy napadnięci!” — „Kto tam?” — krzyknął król, który to posłyszał — „Wejść”. Wszedłszy więc, naprędce opowiedziałem wszystko, a tymczasem siodłano konie i ubierano króla. I czas też był najwyższy, bo ledwo król wskoczył na konia, a już bomby, kartacze i kule na dom rzucano, i z różnych punktów, z boków, z tyłu i przodu, to piechotą, to kawalerją, Moskwa na nas nacierała. Można sobie było wyobrazić, co za popłoch ogarnął naszą armję, już i tak zdezorganizowaną, zwłaszcza, że przywykli zawsze iść naprzód i bić. Tym razem musieliśmy się cofać, będąc bitymi, a na dobitkę tej rejterady wojsko nasze, otrzymawszy w wigilję tego dnia ogromne transporty wódki, nadesłanej z Moskwy, popiło się. Dywizja cała kirasjerów Sebastianiego, bez odzienia na żołnierzu, z końmi niesiodłanymi, wziętą została z bagażami i srebrem generała. Również kuchnia królewska, garderoba i sprzęty, wszystko dostało się w moc Belzebuba. Tylko korpus Ks. Józefa, nieopodal od nas biwakujący, choć również tego pijany, mężny wszakże opór stawiał, mianowicie artylerja, bo kanonierzy, przy armatach będący, lubo na nogach ustać nie mogli, jednak z taką szybkością i celnie strzelali, że zwrócili uwagę króla, przejeżdżającego koło nich. Król tymczasem latał i rozsyłał rozkazy na wszystkie strony, by gromadzić pierzchające w popłochu tłumy, bo to pierwszy raz przyszło wojsku zmykać. W jednej

z takich wycieczek króla, gdyśmy za nim w kilkadziesiąt koni lecieli, na wzgórzu, skąd chciał objąć wzrokiem, co się dzieje z naszą armją, raptem z poza góry, kilkuset kozaków, którzy już na tyłach naszych się znaleźli, wpada na króla, lecącego na czele. Lecz król, widząc ciągnący za nami bataljon naszej piechoty, miał tylko czas krzyknąć na nas, abyśmy poszli w rozsypkę, a do bataljonu: „Ognia”. Tęgo przywitano kozuniów, którzy już byli tak natarli, że jeden z nich rozdarł królowi piką surdut. A że u nas mało było piechoty, potrzebnej dla zasłonięcia naszej rejterady, posłano jednego z naszych do dywizji gen. Friant, o trzy mile od nas obozującego, a który słysząc nasze strzały, musiał i sam wyruszyć nam na pomoc; lękając się wszakże, by kozacy nie schwytali wysłanego do dywizji kurjera, zaraz drugiego za nim, Hrebnickiego, odkomenderował wraz z kilkunastu konnemi. Ten jednak w oczach prawie naszych był napadnięty przez kozaków, którzy, jak później się dowiedziałem, obdarłszy go z munduru, butów, a nawet i bielizny, nakrywszy go tylko lichym szynelem, w niewolę uprowadzili. Nie wiedzieliśmy wszakże jeszcze, czy żyje, czy zabity, o czem będzie później mowa dla nieprzerwywania ciągu, który i tak często przerywam.

Friant, do którego żaden z trzech kurjerów nie dotarł, sam ruszył na głos kanonady i przybywszy koło drugiej po południu, pomógł nam trzepać Moskali, którzy i tym razem, jak i zwykle, nie umiejąc korzystać z chwilowego zwycięstwa, poczęli rejterować. Walczono wszakże bez porządku, bez linji, bez wykalkulowanych manewrów, bo nie było czasu myśleć o tem. Straciliśmy w tej derucie mnóstwo walecznych oficerów i kilku generałów, między innemi gen. Daumont, tego, co klacz moją targował, a wielkiego faworyta króla, który, nie widząc go wracającego, płakał nawet. Tegoż wieczoru przywieziono nam znajomego mi Wielożyńskiego, młodego chłopczyka z uniwersytetu wileńskiego, będącego w sztabie Ks. Józefa. Kula mu rękę zgruchotała i amputacja była potrzebna, a że Księżę nie ufał swoim chirurgom, przysłał go do króla z prośbą, aby gen. Pebord, doktor przyboczny króla, podjął się tej operacji. Wnet się też Pebord zabrał do dzieła, a że nie było komu trzymać ręki, więc ja się na to ofiarowałem. Z nadzwyczajną zręcznością odjął mu rękę

wyżej łokcia. Wielożyński parę tylko razy okropnie wrzasnął, ale w moment po odjęciu ręki prosił mnie o zdjęcie z niej pierścionka, który miał od matki, co też i zrobiłem.

Król nasz, nieutulony w żalu, napisał list do głównodowodzącego moskiewskiego, prosząc o dobre obchodzenie się z gen. Daumont, jeśli by ten był wzięty do niewoli, lub o przeszkanie między trupami, jeśli by go nie było, opisując jego mundur dla łatwiejszego wyszukania między poległymi. Do listu króla i wielu innych swoje dołączyło, pytając o krewnych lub przyjaciół, których dnia tego doliczyć nie było można. Król, wezwawszy znowu mnie do siebie, kazał równo ze świtem, wzięwszy dwóch trębaczy (jak to zwykle *en parlementaire* jechano) ruszyć do obozu moskiewskiego. A że szło mu również o wiadomość, jak daleko może być głównodowodzący, kazał mi wziąć zegarek i uważać jak długo będzie trwało zanim przyjdzie odpowiedź na jego list.

Nabrawszy dużo listów i pieniędzy dla wręczenia tym, o których mógłbym się dowiedzieć, że są w niewoli, ruszyłem podług rozkazu ze świtem, mając przed sobą moich trębaczy. Jadąc dosyć długo, nikogo nie spotkałem, co mię zaczęło niepokoić. Wtem spostrzegam oddział z kilkuset kozaków — każe trąbić. Lecz moi kozunie, przełęknięci, myśląc widać, że cała armja za nami pędzi, dalejże zmykać. Ja w pogoń za niemi, ciągle każąc trąbić, ale ani nadziei wstrzymać kilkuset ludzi, umykających od trzech. Więc począłem krzyczeć po rosyjsku: „Stój, zatrzymaj się”. Usłyszawszy swą bezecną mowę, stanęli w zdumieniu, widząc nas tylko trzech. Wytłumaczyłem setnikowi ich, dokąd jadę. Nie mając już więc żadnej obawy, po półgodzinnej jeszcze jeździe, doprowadzili mnie do swoich forpocht, oddalonych jednakże od naszych zdaje się o piętnaście wiorst; tak tego widać przez noc drapała ta waleczna armja, nigdy nieumiejąca korzystać ze zwycięstwa.

Na forpocztach znalazłem linjowego pułkownika, który, przepatrzywszy listy, zabrał mię z sobą do głównej kwatery, jak mówił, prowadząc mię jeszcze wiorst kilka, po których przejechaniu spostrzegłem ogromny obóz, do którego wprowadzono mię z zawiązanemi oczami. W samym obozie zdjęto mi opaskę i wprowadzono do namiotu jakiegoś generała, który po przejrzeniu i zabraniu listów, wyszedł z namiotu, zostawiając

mię pod strażą dwóch adjutantów. Zacząłem ich wypytywać o wziętych do niewoli dnia wczorajszego jeńcach, opisując twarze niektórych, a nawet nazwiska. Gdym wymienił Hrebnickiego, jeden z nich odezwał się do drugiego: „A ja tobie mówiłem, że to Hrebnicki, ja go dobrze poznałem, bo go w Witebsku często widziałem. Ale w żaden sposób nie chciał się przyznać do znajomości, dowodząc, że będąc sam z Księstwa Warszawskiego, nigdy w Witebsku nie był. Nie mogłem wierzyć własnym oczom i dziwiłem się temu podobieństwu, — rzekł, zwracając się do mnie — ale ciągle wypierał się mojej znajomości, chociaż zaręczałem mu honorem, że nie ma czego się lękać”. Na zapytanie moje, gdzie są ci jeńcy, odpowiedział mi, że, nie mogąc obciążać armji tak wielką liczbą, jaką wczoraj nabrali, odesłano przez noc wszystkich w głąb Rosji. Mając tak widoczny ślad, dobyłem pięćset franków, napisałem list do Hrebnickiego i prosiłem, aby mu te pieniądze przesłano. Adjutant ten ręczył mi słowem honoru, że mu je prześle, lecz Hrebnicki nie odebrał tych pieniędzy i ja więcej ich nie widziałem, lubo oficer, dotrzymując słowa, zaraz je przesłał. Ale jak mi później, wróciwszy z niewoli, sam Hrebnicki mówił, stało się to dlatego, że kiedy pytano jeńców, czy niema między nimi Hrebnickiego, dla którego Szumski posyła pięćset franków, on wolał być bez grosza, niż przyznać się do swojego nazwiska, obawiając się ciągle, że kiedy powie, że jest Litwinem, to go rozstrzelają.

Po dwugodzinnem oczekiwaniu wrócił nareszcie generał, mówiąc, że nie wiedzą gdzie jest głównodowodzący, ale że zadość czyniąc żądaniom króla, kazał wypytać o generała Daumont i że między poległymi znaleziono jakiegoś oficera, kilkanaście razy rannego i już nieżywego, w bogatej bardzo kurtce huzarskiej z gwiazdą, którą to kurtkę, okropnie zakrwawioną, kazał przynieść. Poznałem ją odrazu i z tą smutną zdobyczą wróciłem do króla.

Po tej smutnej tarutińskiej katastrofie, rejterowaliśmy nazajutrz ku Moskwie. Wtem otrzymujemy rozkaz Napoleona, który o wszystkim już wiedział, by iść drogą na Wereję, będącą na trakcie, wiodącym do Małej Rosji, gdzie cesarz chciał obrać leże zimowe i remontować kawalerję, której prawie już nie mieliśmy. Sam, też opuściwszy Moskwę, szedł

łączyć się z nami. Jakoż nazajutrz spotkanie nasze z nim nie było pomyślne dla króla, któremu okropnie zmył głowę. Poczem, połączywszy się z gwardjami, ciągnęliśmy przez całą noc *à marche forcée*, ku Małojarosławcowi, gdzie sądził, że uprzedzi Moskali, ale i to się nie udało, jak to później powiem.

W ciągu tego dnia nadbiegł adjutant marszałka Mortier, którego Napoleon zostawił był w Moskwie dla wysadzenia minami Starego Kremlu, co się jednak, jak wiadomo, nie udało, bo tylko jedna część opasującego muru wysadzoną została. Adjutant przywiózł wiadomość, że na wychodzącego z Kremlina Mortiera napadł był oddział, z kilku tysięcy partyzantów złożony, przeważnie z chłopstwa, mającego na czele generała Wintzingerode. Broniąc się, Mortier kazał uderzyć swoim karabinierom, którzy motłoch przepędzili, a Wintzingerodego z adjutantem, obu tylko w surdutach wojennych, bez epoletów i innych dystynkcij, schwytano, zaczęto szturchać i obdzierać. Chcąc tego uniknąć Wintzingerode oświadczył kim jest i prosił, aby go odprowadzić do Mortiera. Ten, znając nienawiść Napoleona do Wintzingerodego, uradowany tą zdobyczą, wnet go do cesarza pod dobrą odesłał eskortą. Nie pomnę, w którym to było miejscu. Na tę wiadomość zatarł Napoleon radośnie ręce, mówiąc: „Ach! mam go nareszcie — niech mi go tu przyprowadzą”. Zsiadł z konia i nam wszystkim kazano to zrobić i stanąć każdy przy swoim koniu w kole, w którego środku był cesarz, król, Berthier, i wielu innych wyższych wojskowych, a do którego dwóch karabinierów wprowadziło pod ręce już dobrze siwego Wintzingerodego z adjutantem; obaj, jak mówiłem, bez odznak wojskowych, w letnich furażerkach, które, przed cesarzem stojąc, zdjęli z głowy. Napoleon z gniewem rzekł wówczas: „Nareszcie mam pana w ręku, poddanego swego, bo przecież Westfalja do mnie należy; pana schwytano w Moskwie nie jak dzielnego żołnierza, ale jak prawdziwego bandytę na czele bandy chłopów, spotka więc pana los szpiega, nie zaś dzielnego żołnierza. Berthier, — rzekł, zwróciwszy się do swego szefa sztabu — zwołajcie sąd wojenny i każcie go rozstrzelać, jako szpiega, w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niech go odprowadzą pod dobrą strażą”. Na to Wintzingerode odpowiedział z godnością: „Sire, lekceważyłem śmierć wielokrotnie i pod różnemi postaciami, nie ulękłem się

i tego ciosu". Odpowiedź prawdziwie spartańska, którą wielu z nas słyszało, a o której jednak nie wspomniał żaden rosyjski historyk, nawet Danilewskij, tak obszernie kampanję 1812 roku opisujący, choćby dla honoru rosyjskiej armji, mogącej się przecie szczycić takim wodzem. (O Danilewskim będzie później mowa, jak przyjdę do Chamutowa w Wiatce). Po tej przemowie cesarz zwrócił się do adjutanta Wintzingerodego, pytając: „Ktoś pan jest?” — „Naryszkin, adjutant generała”, odparł. „Czy nie jest pan krewnym pięknej faworyty Aleksandra?” — „Tak, Sire”, — odpowiedział. „Panowie, — rzekł, zwracając się do swoich adjutantów, Napoleon, — proszę traktować tego młodego człowieka ze wszystkimi względami, należnymi wojennemu jeńcowi; adjutant nie odpowiada za czyny swego generała”.

Wszelako, po oddaleniu się Wintzingerodego, Berthier i obecni marszałkowie jęli perswadować cesarzowi, aby nie spełniał tego wyroku, gdyż Aleksander, mając wielu naszych generałów w niewoli, za jednego może kazać rozstrzelać dziesięciu. Tak więc, pod pretekstem niby braku czasu na złożenie sądu wojennego, odłożono egzekucję na później, a generała pod dobrą eskortą odesłano bezpieczną drogą do Mińska, do gen. Bronikowskiego, komendanta tamtejszego, z zaleceniem przesłania go na Wilno i Warszawę do Paryża; lecz i tu poraz drugi, człowiek podły, dość powiedzieć że Moskal, obsypany łaskami i względami Napoleona, Czernyszew, dziś księżę i minister wojny, a w roku 1812 tylko pułkownik, stanął, że tak powiem, w poprzek woli Napoleona. Pierwszy raz, była to najpaskudniejsza zdrada, jaką tylko wąż jadowity w zanadrzu chowany, popełnić może. Wiadomo wszystkim, że w roku 1807 Napoleon, zwycięzca Aleksandra, mogąc go do reszty pobić i dyktować mu pokój, jakiegoby tylko chciał, uniesiony jakąś słabością dla niego, czy też z innych względów politycznych, ofiarował mu w Tylży korzystny pokój, i nie tylko nie korzystał z nader smutnej jego sytuacji, ale owszem, na głowę pobitemu, podał przyjacielską dłoń, dodając mu jeszcze obwód Białostocki. W czasie tych układów, odbywających się w Tylży, do straży honorowej Napoleona dał był Aleksander Czernyszewa, młodego i pięknego wówczas porucznika kawalergardów. Napoleon lubił pięknych ludzi,

a postrzegłszy Czernyszewa, prosił Aleksandra, aby mu pozwolił wziąć go z sobą do Paryża, dla zaprowadzenia pięknej rasy, przez umizgi i bałamucenie dam francuskich. Po zgodzie wyrażonej przez Aleksandra, Czernyszew, najlepiej zawsze przez Napoleona widziany, od 1807 do 1812 roku ciągle prawie bawił w Paryżu, odwiedzając wprawdzie kiedy niekiedy na czas krótki Petersburg; a tak dalece lubił go Napoleon, że kiedy czasem dłużej zabawił w Petersburgu, to wraz pisał do Aleksandra, prosząc o odesłanie pięknego Czernyszewa, po którym wzdychały Francuzki. Tymczasem Tatar ten, nie tracąc czasu, knuł zdradę swemu dobroczyńcy.

Szef sekretnego biura Napoleona, nie pomnę jego nazwiska, miał nadzwyczaj ładną żonę, która wpadła w oko Czernyszewowi, a gdy wzajemna ich miłość doszła do zenitu szczęścia, Czernyszew, tajny szpieg Aleksandra, miał sobie daną instrukcję, wywiadywać się o planach kampanji, którą Napoleon gotował już na Rosję, nie mogąc zmusić jej do systemu kontynentalnego, tak nienawistnego dla Anglii, która Rosją rządziła. Na kongresie erfurckim, Aleksander, zawsze komedję grając, podczas przedstawienia w teatrze (dawano wtedy „Cyda”), gdy, wobec tyłu tam zebranych przez Napoleona monarchów, przez niego potworzonych, już nie pamiętam ktoś do kogoś mówi: „Przyjaźń wielkiego człowieka jest łaską bogów”, — Aleksander rzucił się w objęcia Napoleona, okazując całej oklaskującej publiczności, że ta „łaska” jest dobrodziejstwem; tymczasem już z Anglią knował przeciw temu Wielkiemu człowiekowi. Otóż tedy Czernyszew, mając rozkaz dowiedzenia się o planach tej kampanji, widząc przygotowania do niej i nie mogąc już pozostać w Paryżu, otrzymał audjencję pożegnalną i paszporty do wyjazdu. Od swej damy miał już przyrzeczenie, że mu pokaże sekretny plan kampanji, znajdujący się w biurku męża, do którego się dobrała. Czernyszew pod pretekstem przepatrzenia go, zabrał go ze sobą, a mając wszystko przygotowane do podróży, nie tracąc czasu, Paryż opuścił. Lękając się wszakże odkrycia, jechał nie swoim pojazdem, lecz pod pretekstem jego zepsucia, konno, *à franc étrier*, od stacji do stacji do granicy leciał. Dobrze przewidział, bo tegoż samego dnia Fouché, minister policji, często przez Napoleona karcony, że ma słabą policję, wpada do cesarza i mówi mu, że Czernyszew uciekł

z planem kampanji, ale że telegraficznie można go zatrzymać. Napoleon, nie dowierzając Fouchému, przekonany o uczciwości szefa biura, który pod jego pokojami miał swoje mieszkanie, tak że dosyć było cesarzowi nogą stuknąć w podłogę, aby go do siebie w razie potrzeby sprowadzić, wzywa szefa i pyta o plany. Ten biegnie po niego, a nie znajdując, zaczyna desperować, co widząc, żona przyznaje się do wszystkiego. Powraca szef do Napoleona, a padając mu do nóg, wyznaje winę żony. Natychmiast więc posłano telegraficznie rozkaz zatrzymania Czernyszewa i jako postępującego przeciw prawu narodów szpiega, bez sądu wnet rozstrzelać. Lecz na nieszczęście depesza nie dosięgła już Czernyszewa, który znalazł się już za granicą Francji, gdzie rozkazy Napoleona nie mogły być spełnione. I tak chytry Tatarzyn i doskonały złodziej, tak jak wszyscy w jego narodzie, uszedł zasłużonej karze.

Napoleon natychmiast zmienił plan kampanji, co jednak nie na korzyść mu poszło, bo wyszły na jaw rzeczy, które powinny były być tajemnicą dla wielu.

Przystępuję teraz do drugiego wydarzenia, w którym ten łotr znowu pokrzyżował plany Napoleona, dotyczące Wintzingerodego. W 1812 roku za dobre szpiegowanie Czernyszew był już pułkownikiem, a nie mając nigdy widocznie zdolności militarnych, prosił by go zrobiono naczelnikiem partyzantki i ze swoim oddziałem plondrował ciągle na tyłach naszej armji. Właśnie znajdował się on ze swoim oddziałem, składającym się z tysiąca kilkuset kozaków i dwóch armatek, koło Mińska, w czasie, kiedy Bronikowski wysłał był z niego Wintzingerodego w wygodnej karecie, pod eskortą kilkudziesięciu ułanów i oficera polskiego, który mi to później w Warszawie opowiadał, a którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę. Oficer ten jechał z Wintzingerodem w karecie, mając rozkaz, na wypadek czy ataku, czy chęci ucieczki generała, strzelić mu w łeb z pistoletu, który w ręku ciągle trzymał. Wtem spostrzega generała, machającego chustką, a widząc, że on tym sposobem daje znaki dość w odległości będącemu jakiemuś oddziałowi, przykładając mu pistolet do piersi, mówiąc, że jeśli nie przestanie, to go zabije, a tymczasem ułanom kazał być gotowemi do oporu. Ale próżne były jego zabiegi, bo większą daleko siłę miał przeciw sobie, i generał z najzimniejszą

krwią powiedział mu: „Schowaj swój pistolet i każ żołnierzom poddać się, bo za chwilę będziecie już w mojem ręku, nie ja w waszem, a odbierając mi życie, zginiesz z całą swoją eskortą, kiedy przeciwnie ja ci gwarantuję życie i wolność dla ciebie i twoich ułanów”. Nie było co długo myśleć, bo w chwilę potem otoczyli karetę kozacy, a na ich czele Czernyszew, który dobrze znał Wintzingerodego. I tak powtórnie jaszczurka ta stanęła na przeszkodzie zamiarom swego dobroczyńcy.

Wracam wszakże, bo i bardzo czas, do naszej rejterady. Po odprawieniu Wintzingerodego pod strażą, ruszyliśmy, zdaje mi się, ku Werei. Lecz tam Napoleon odebrał wiadomość, że tej drogi Moskwa postanowiła bronić, mając Małojarsławiec ufortyfikowany. Próbując wszakże szczęścia, zbliżyliśmy się do niego. Mała ta miejscina, na ogromnej górze, naturalną była fortecą. Jednakże waleczne nasze wojska, pod dowództwem Eugenjusza Beauharnais, z samych Włochów złożone, po cudach waleczności wzięły tę pozycję, lubo z niemałą naszą stratą.

Przenocowawszy na zgłiszczach zburzonego miasta, nazajutrz, gdyśmy chcieli ruszyć dalej, spostrzegliśmy przed nami rozwinięte obronne linje piechoty, artylerji i kawalerji, której u nas prawie nie było, a to wszystko zabezpieczone przez długą linję baterji. Spostrzegł Napoleon, że tego oporu nie przełamie i że Moskwa nas nie atakuje, tylko stoi tak, aby nam wzbronić przejścia ku Małej Rosji (gdzie chcieliśmy, jako w dobrym klimacie, stanąć na zimowe leże i zremontować naszą kawalerję). W ten sposób chce nas zmusić do cofnięcia się na możajską drogę, trupami, niepogrzebanemi jeszcze, zawaloną i spustoszoną już przedtem przez pochód moskiewskich wojsk, a potem naszych, za niemi idących. Ale nie moją rzeczą opisywać tę rejteradę, już tyle razy opisywaną — ja swoje pamiętniki piszę, więc ruszam z armją dalej.

Już król niczem nie komenderował, bo kawalerji tak dobrze jak nie było, a jej pozostałe resztki przyłączono do kawalerji gwardyjskiej, jeszcze dosyć świetnej, sztab zaś nasz przyłączono do cesarskiego i tak maszerowaliśmy ciągle przy głównym sztabie, w smutku i milczeniu, o głodzie i chłodzie. Wszakże miałem jeszcze dwa konie, a trzeci pozostały po Hrehnickim.

Pewnego dnia, o kilka dni marszu od Smoleńska, wysłano mnie z papierami do Ney'a, stanowiącego naszą arjergardę. Oddawszy depeszę, wracałem, dopędzając nasz główny sztab, gdy szkapa moja, niekarmiona, bo prócz słomy ze strzechy nic nie było, upadła i wkrótce zdechła. Wracałem więc piechotą, znużony i głodny, bo od dwóch dni nic nie jadłem, prócz kawałka kobyliny na węglach pieczonej bez soli i chleba, a którą litościwi jacyś piechurzy, przy biwaku siedząc, mnie poczęstowali. Już zaczynałem zupełnie z sił opadać, i położyłem się pod wiorstą murowaną (bo w gubernji smoleńskiej zamiast drewnianych, ogromne murowane kolumny stały), gdy spostrzegłem Księcia Józefa ciągnącego na czele swojego korpusu. Pocziwy Wiktor Jundziłł, o którym już wspominałem, poznał mnie, a widząc zupełnie osłabłego, pyta o przyczynę. Gdym mu powiedział, że z głodu, dobył z olstrów flaszkę wódki i dobry kawał chleba, czem się pokrzepiwszy, wstałem i pewniejszym krokiem czas niejaki, wesoło, idąc przy nich, maszerowałem. To też Jundziłł i wtenczas i później w Wilnie zawsze to przypominał, mówiąc: „Dziwny to człowiek, ten Szumski, głodny, słaby, umierający prawie, a zawsze w dobrym humorze. Ja mam co jeść, jadę na dobrym koniu, i płaczę, a on się śmieje”.

Po jakimś czasie Książę puścił się kłusem i ja znów sam pozostałem, dybiąc do Smoleńska, do którego już tylko dziesięć wiorst było, a że było już późno, ledwo więc nazajutrz doń dobrnąłem. Noc przepędziłem na biwaku, na którym znowu prócz kawałka kobyliny nic nie było. Nareszcie rano wstawszy, znowu zgłodniały i niezbyt silny, ledwo koło południa pod bramy Smoleńska dobiłem, a spostrzegłszy żołnierza, niosącego może z parę funtów chleba, proszę go o kawałek. On mi powiada: „Kup pan”. Pytam ile chce. „Jednego napoleona”, odpowiada. Miałem ich jeszcze dosyć, więc z ochotą zapłaciłem. Podchodzę pod bramę, która była zamknięta, a sztyldwach wzbrania mi wejść. Pytam o przyczynę — odpowiada mi: „Taki jest rozkaz, aby nie wpuszczać nikogo bez przepustki szefa sztabu, Berthier”. Zrobiono to dlatego, że tam były ogromne magazyny ryżu, sucharów białych, rumu, butów, kozuchów etc. dla armji przygotowanych, które rozmaici wchodzący żołnierze zaczęli rabować. Z rozkazu więc cesarza nie wpuszczano do miasta nikogo, a żywność

i odzienie za miasto wojskom biwakującym posyłano. Nie zniechęcony zakazem, piszę bilecik do Mostowskiego z prośbą o przepustkę dla mnie i oficera straży upraszam o przesłanie go zaraz do głównego sztabu. Właśnie była zmiana warty i oficer, odchodząc do kwatery, obiecał oddać mój bilecik. Jakoż po dwugodzinnem szczekaniu zębami pod bramą, przybiegł ordynans z przepustką i rozkazem wpuszczenia mnie, jako sztabowego.

W Smoleńsku bawiliśmy jeszcze parę dni, dając czas Ney'owi zająć Smoleńsk po naszym wystąpieniu, bo kręcący się między nami a Ney'em Moskale mogliby Smoleńsk zająć. Nie pamiętam którego dnia wyruszyliśmy rankiem ze Smoleńska. W środku miasta, koło soboru, jest ogromna góra, na którą drapać się trzeba, bo niema innej drogi. W tem miejscu spostrzegam Józefa Goreckiego, który zawsze się za chorego podawał i nigdy u nas służby nie pełnił, siedzącego w ogromnej bryczce, naładowanej zrabowanemi w Moskwie rzeczami, o których później będzie mowa. Otóż tedy Gorecki zaczyna mię prosić, abym masztalerzowi swojemu przykazał choć w części zabrać niektóre jego rzeczy na moją parokonną kałamaszkę, choć wszyscy z Moskwy wyjechali w koczach, karetach i innych zrabowanych ekwipażach. Nie mogąc oprzeć się usilnym naleganiom, przykazałem Tołoczce, swojemu masztalerzowi, zabrać nieco tych rzeczy, zwłaszcza, że na mojej kałamaszce prócz małego mantelzaczka nic więcej nie było. Sam zaś puściłem się dalej za armją. Od tego dnia Tołoczki mojego nie ujrzałem, aż nad Berezyną, do której z porządku przyjdę. Gorecki zaś, jak się później dowiedziałem, niedaleko Smoleńska, na biwaku, w nocy przez kozaków napadnięty, w niewolę z bogactwami został wzięty i jako jeniec do Witebska odesłany. Tam znalazł brygadjera Chrapowickiego, który był żonaty z jego siostrą, a który, będąc w dobrem u Moskali zachowaniu, wziął go na porękę. I tak, do amnestji generalnej Gorecki uszedł dalszej niewoli.

Ze Smoleńska maszerowaliśmy spokojnie przy głównym sztabie. Byłem już spieszony, bo i drugi koń mój padł, a Tołoczki nigdzie zdybać nie mogłem, bo on ciągle bokami drogi szedł, maruderując i żywności dla siebie i koni szukając. Tak jednego dnia, idąc pieszo, dogoniony zostaje przez

Belliard'a, rannego, jadącego w karecie przy ekwipażach cesarskich. Proponuje mi więc, abym go nie odstępował i kazał mi dać z pomiędzy kilkunastu luźnych, tuż za nim prowadzonych koni, ulubionego swego konika, *Petit gris* (Siwaczek) nazwanego, na którym obok jego karety dni kilka jechałem.

Pewnego wieczoru, niedaleko Krasnego, gdzie cesarz od dwudziestu czterech godzin oczekując na Ney'a, będącego w arjergardzie, bawił, słyszemy wystrzały i widzimy nieopodal chmurę kozaków, napadających na ekwipaże, które wszakże były eskortowane przez dwa bataljony piechoty. Ale piechota nasza tak była zdemoralizowana ciągłymi napadami kozaków, że już poczyniała zmykać. Belliard, to spostrzegłszy, kazał sobie nogę owinąć poduszką, bo mróz był silny, i tak siebie posadzić na swego Siwaczka, mnie dawszy innego. Zebrawszy pierzchającą piechotę, zakomenderował do ataku, rozkazując dać tęgiego ognia, którego się kozacy bardzo lękali, a przytomnością swoją pobił kozaków, uratował od rabunku ekwipaże i ciągnące niedobitki naszego wojska. Do karety już nie wrócił i w ten sposób pędziliśmy do Krasnego, gdzie zastaliśmy wielką trwogę, bo przed godziną, przybył przebrany goniec od Ney'a, proszącego cesarza, by mu z gwardją przyszedł na pomoc. Odcięty od cesarza, mając ztyłu i zprzodu nieprzyjaciela w znacznie przewyższającej sile, narażony był na poddanie się z całym korpusem, do trzydziestu tysięcy jeszcze liczącym. Cesarz nie mógł opuścić swojego ulubieńca, *le brave des braves*, jak go nazywał, i przez noc, sam, na czele gwardji, wyruszył naprzeciw Ney'a, a spotkawszy o wiorst kilka znaczny oddział moskiewski, tak go tego przywitał artylerją gwardji i pieszą swą gwardją, że ustąpić nam musieli. Ney, słysząc naszą kanonadę, podwoił waleczność swojego korpusu, ucieszonego nadzieją oswobodzenia, i złączył się z nami, nowe zadając klęski wojsku moskiewskiemu. Trzeba było widzieć ukontentowanie Napoleona, gdy widział Ney'a ocalonego, któremu, rozczulony, wobec całej armji rzucił się na szyję. Tak ruszyliśmy ku Berezynie, opuszczając Mińsk, na który przedtem ciągnęliśmy, bo cesarz, dowiedziawszy się, że tam dąży Cziczagow ze znacznym korpusem, figla mu zrobił, rzuciwszy się w bok Borysowa na Studziankę. Tu mosty kazał budować i po przeprowadzeniu przez nie armji, na drugim brzegu Berezyny

znowu Moskali pobił, korpusem Księcia Józefa drogę do Wilna sobie otworzył. W tej bitwie Zajączek nogę utracił. Ale wrócić muszę do budowy mostu, który stanął w niespełna dwadzieścia cztery godziny. Dlatego doń wracam, bo znów tu było zdarzenie, w którym rolę, choć niewielką, odegrałem. I dziwna rzecz, że choć sam przez się nic odznaczającego się nie zrobiłem, zawsze jednak okoliczności postawiły mnie w sytuacji odegrania choć podrzędnej roli w wypadkach innych osób, jak się to pokaże w następnem opowiadaniu.

Książę Bassano, będący zawsze w Wilnie, miał zupełnie przeciętą komunikację z naszą armją, cofającą się z Moskwy. Niespokojny o cesarza i potrzebujący stałej komunikacji, wysłał w tym celu Mikołaja Abramowicza, będącego wówczas w randze szefa. Droga niebezpieczna, a więc niemniej i misja. Abramowicz, przebrany po chłopsku, od wioski do wioski szczęśliwie przebywszy moskiewskie straże i obozy, podczas budowy mostu na drugiej stronie schwytyany został przez szaserów gwardji Napoleona i jako podejrzany, bo pistolety ukryte pod siermięgą przy nim znaleziono, — bez żadnego uszanowania, jako chłop był pędzony. A choć mówił, że ma depesze do cesarza, nie zważano nań i do głównej kwatery ciągnięto. Poznał mnie Abramowicz stojącego nieopodal mostu i prosił, abym go do cesarza doprowadził, bo nikomu innemu depeszy nie odda. Zaraz go więc uwolniłem z pod opieki szaserów i w chłopskiem ubraniu cesarzowi, budowy mostu pilnującemu, przedstawiłem. Mile był przyjęty, dobywszy z pod łapci papiery; zato też dostał krzyż Legji Honorowej.

Ale nim przyjdę do Berezyny, jeszcze jedną historyjkę wydarzoną przed jej przejściem opowiem. Ciągłe przy głównej będąc kwaterze, tam się zatrzymywałem, gdzie i ona, i biwakując z gwardzistami, wspólną dzieliliśmy biedę, głód i mróz, często śpiąc przy ognisku, smażąc się od ognia z jednej strony, a marznąc z drugiej. To też i w Studziance, siedząc raz zadumany przy biwaku, spostrzegłem Antoniego Goreckiego, poetę, jadącego kałamaszką w parę koni. Był on adjutantem przy generale Mielżyńskim, ranionym pod Tarutinem, a więc służby nie pełnił, bo generała wieziono w powozie. Tak będąc swobodnym, kałamaszeczką jadąc, z maruderami na bok drogi zjeżdżając, szukał żywności dla koni i siebie. Poznawszy

mnie, pyta co robię i jak żyję. Odpowiadam, że jako tako, ale głodny, bo król, pod Tarutinem utraciwszy ekwipaże, już nas nie karmił i sam u cesarza jadał. — „Ja mam faskę masła, którą dziś — rzecze — zrabowałem i trochę chleba niedopieczonego, który udało mi się z pieca, do którego tylko co był wsadzony, wyciągnąć, a który jak kasza jeszcze gorąca, w jaszczyku był spakowany. Wiesz co, — rzecze dalej — dzielimy się czem Bóg opatrzył, a ponieważ obaj nie pełnimy służby, jedźmy razem na mojej kałamaszce do Wilna”. Propozycja nie do odrzucenia, a więc ją przyjąłem. Kiedy my tak sobie tę gorącą rozczynę z masłem zajadamy, spostrzegam mojego Tołoczka z wymizerniałymi dwiema szkapami, już nie w kałamaszce, ale na jukach rzeczy wiozącym, a to dla prędszej ucieczki od kozaków, wszędzie siejących niepokój. Ze łzami radości witaliśmy się z Tołoczka, który, ochłonawszy nieco, powiada do mnie: „A niech jego djabli, tego pana kapitana Goreckiego, co też ja biedy miałem z jego paczkami, konie posedniłem, osobiwie z jedną paczką to bieda, taka ciężka, że ledwo podjąć można, powiadał, że bielizna”. „Co za paczki”, zawołał Antoni, którego Tołoczko nie znał. Opowiedziałem mu prośby brata. „A obaczmy co też tam jest”, rzecze. Obie te paczki były, jak zwyczajnie paczki z desek zbite, obwiązane i opieczętowane. Oddarłszy pieczęcie i pakę lżejszą odbiwszy, z zadziwieniem ujrzeliśmy najpiękniejsze rozmaitego gatunku makarony w kształcie pestek melonowych, gwiazdeczek, półksiężyców i wreszcie grube i ciężkie zwyczajne (bo też J. Gorecki był wielkim gastronomem). „Daj mu, Boże, zdrowie, — rzekł Antoni — będzie czem posilać się przy maśle”. Dalejże więc jeliśmy smażyć makarony, a podjadłszy, przystąpiliśmy do drugiego ciężkiego pakunku; lecz jeśli pierwszy nas zadziwił, drugi i zadziwił i rozgniewał, szczególnie Antoniego. W tym bowiem pakunku, mającym przynajmniej łokieć w kwadracie objętości, były cztery nadzwyczaj bogate obrazy, w szczerozłotych ramach, sadzone brylantami, szafirami, rubinami, szmaragdami i sporemi perłami. Były to wizerunki Matki Bożej, Mikoły i innych świętych, zrabowane czy w cerkwi, czy też może w sypialnych pokojach magnatów, mających zwyczaj trzymania takich obrazów w rogach pokoju sypialnego, a które, jak jest we zwyczaju

u Moskali, w posagach się dają. Każdy taki obraz pewno na pięć lub sześć tysięcy dukatów można było cenić. Antoni, rozdąsany, rzekł: „Że Francuzi rabują, to nic nowego, ale Polakowi puszczać się na takie łajdactwo, to nie do darowania, to infamja. Biorę Ciebie za świadka, Stanisławie, że jak tylko do Wilna przyjedziemy, zaraz to wszystko do Ostrej Bramy ofiaruję, bo nie chcę rąk mazać tem źle nabytem bogactwem”.

Nie zawsze wszakże projekty czynione do skutku doprowadzone być mogą, bo nie my okolicznościami, a okoliczności nami rządzą. I tak, tego dnia, w którym Napoleon przechodził most wnet po onego ukończeniu, ja z Goreckim, Bóg wie, jakimś lenistwem ogarnięci, sądząc, że będzie dosyć jeszcze na to czasu, na dzień następny odłożyliśmy nasze przejście. Lecz jakże żalowaliśmy naszego opóźnienia, bo dnia tego wszystko, co żyło, ruszyło do mostu tak, że o pięćset najmniej kroków od mostu była to jedna ława furgonów, koczów, karet, kantynierek i rozmaitych bagaży, tak jedno przy drugim ściśniętych, że pieszo nawet do mostu dobrać się nie można było, a wypadało czekać kolei, która tak powoli szła, że na kwadrans ledwo o krok jeden naprzód się posuwała. I my, tak postępując, koło południa, lubo o siódmej rano biwak opuściliśmy, stanęliśmy już tylko o sto kroków od mostu, nad brzegiem rzeki, wzdłuż jej ciągnąc. Wtem, na tyłach, okropną słyszymy kanonadę, posyłającą na nas grad kul i bomb, a w dodatku „Hurra” kozackie i krzyki napadniętych przez nich za nami. Przewidując, że pilnując się kałamaszki, możemy być zabrani do niewoli, postanowiliśmy piechotą już przebierać się do mostu, wyrzekając się masła, makaronu i bogatych ikon. Aby się to wszystko nie dostało napowrót w ręce moskiewskie, Gorecki zaproponował wrzucić to do rzeki, co też i uskuteczniliśmy wspólnymi siłami. Ale i tak ani nadziei zbliżyć się do mostu, gdyż tłumy, przerażone kanonadą i krzykiem kozaków, coraz bardziej cisnąc się naprzód, większe jeszcze robiły zamieszanie i utrudniały przez to przeprawę. Niejeden słaby żołnierz, niejeden kantynierka z dzieckiem, niejeden nareszcie koń, zabici przez kartacze, albo z osłabienia, padali w tej ściśniętej masie, która, depcąc to wszystko, jak fala na morzu, to wtył to naprzód się podawała. Cóż dopiero mówić o tych jęczących pod naszemi nogami ludziach, po których nielitościwie depta-

liśmy, czując ich oddychanie lub chwytanie za nogi z błaganiem o litość, której żadnym sposobem nikt udzielić nie mógł. Ah! okropne i pamiętne to były chwile. Wziąwszy się więc z Goreckim pod rękę dla podtrzymania jeden drugiego, dobijaliśmy się to siłą, to zręcznością do celu naszych życzeń. Wtem celnie przez Moskali rzucona bomba zapala most. Nowy alarm, nowy strach. Niektórzy, zdesperowani, rzucają się na kry, gęsto płynące, i w nurtach tej przebrzydłej rzeki grób znajdują. Już nie wiemy, co począć, gdy o kilka kroków za nami spostrzegam kompanję brodatych saperów, napróżno gwałtem dobijających się dla ratunku mostu. Młodziutki, ze szkoły politechnicznej wyszły oficer, po zabiciu kapitana prowadził tę kompanję, tak zbawienną dla wszystkich, bo poprawiony most ułatwiłby przejście choć pieszym. Ale ani jego prośby, ani krzyki na tych przerażonych ludzi nic nie działały. „Posuwaj się pan!”, krzyknąłem. — „Niema sposobu” — odpowiada. — „Jakto niema sposobu”, — wrzasnąłem — „rozkaz pan swym saperom skrzyżować bagnety, zabijecie lub zranicie kilkunastu ludzi, ale uratujecie dziesiątki tysięcy”. Usłuchał mnie młodzik, a naszpikowawszy bagnetami kilkanaście osób, otworzył sobie drogę do mostu, przy wejściu na który postawił kilku żołnierzy z bagnetami, a z resztą rzucił się gasić palące się pomościny i poprawiać niedopalone belki. W ten sposób za kwadrans już wszystko szło po moście. Rozumie się, że my, korzystając z mego przytomnego rozkazu, zaraz w środek saperów wcisnęliśmy się i pierwsi most przeszliśmy, a uklękawszy, gorliwe do Matki Boskiej zanieśliśmy dziękczynne modły*).

Za Studzianką, po przejściu mostu idąc ku Wilnu, jest miasteczko Ziembin, w którym nasz sztab główny na noc się rozlokował. Przechodząc koło domów, posłyszeliśmy w jednym z nich polską mowę, weszliśmy więc, prosząc

*) Później, w 1831 r., w dniu 14 listopada na św. Stanisława, jedliśmy u Titiusa obiad. Ktoś wspomniał, że to moje imieniny. Gorecki zerwał się i zaimprovizował dla mnie śliczne wierszyki, poczynające się od słów: „A to rzecz piękna, a to rzecz ciekawa, jak mi zapomnieć Kostki Stanisława”... i t. d. Było w tych wierszach i Berezyny wspomnienie. (*Przyp. autora*).

Wiersz ten, datowany w Wilnie 1830 roku, druk. w „Pismach” Antoniego Goreckiego, I (Lipsk, 1886), 88. (*Przyp. wyd.*).

o przytułek, choć izba była tak pełna, że już i miejsca nie było. Ale znajdujący się tam generałowie: Krasiński, Eustachy Sanguszko, Kossakowski, Dominik Radziwiłł i wielu innych pozwolili nam z sobą przenocować i dali posiłek.

Nazajutrz, gdyśmy się do dalszego pochodu zabierali, Kossakowski, widząc mnie idącego piechotą, ofiarował mi jednego z kilku jeszcze koni, które miał, z warunkiem, abym codzień na noc tego konia oddawał jego ordynansowi, jak dziś pamiętam, Czerniawskiemu, ułanowi z gwardji Krasińskiego, aby go pilnował, żeby nie był skradziony, jak się to często przytrafiało. Jechałem codziennie więc na tym koniu, błogosławiąc Kossakowskiego, gdy w Smorgoniach spotykam brata mego, Józefa, z Wilna, przez księcia Bassano wykomenderowanego z wielką partją wołów, sucharów i ryżu dla naszej armji, ciągnącej o głodzie. Brat mój, mile przez cesarza przyjęty, do stołu jego był wezwany. Mając wracać nazajutrz rano do Wilna, obiecał zabrać mnie z sobą na swoich saniach. Konia więc, podziękowawszy generałowi, oddałem Czerniawskiemu, mówiąc, że go już jutro nie będę potrzebował, gdyż odjeżdżam do Wilna. Lecz mazur zajadły, rozgniewany, że mu nic na piwo nie dałem, mówi: „A cort tego konia zabierz, — pan na nim jeździs, to go pan pilnuj sobie”, i nie wziął konia, którego wszakże obok innych postawiłem i odszedłem. W Wilnie spotykam generała, który mnie pyta o konia, wartującego z osiemdziesiąt dukatów. Odpowiadam, że go oddałem Czerniawskiemu, wzywając go na świadka, ale ten łotr zaprzeczył mi, dowodząc, że nigdy tego konia na oczy nie widział. Można sobie wystawić mój gniew i wstyd, ale żeśmy byli w marszu, odłożyłem na późniejszy czas uiszczenie się z tego długu generałowi, którego wszakże ledwo w 1818 roku, po powrocie jego z zagranicy, w Wilnie zobaczyłem.

Tu z powodu tego konia odbiegnę od tematu, nim dalej opowiadać zacznę, bo później mogę zapomnieć o tym fakcie, mało wprawdzie znaczącym. W 1818 roku, jak mówiłem, wrócił Kossakowski. Był to człowiek dobry, ale wielce drobiazgowy, i kiedy komu jakąś raz zrobił przysługę, to nie raz, ale sto i dwieście razy gotów ją był przypominać. Ja zapomniałem o koniu generała. Sam, tchnąc zawsze duchem wojskowym, lubiłem konie i miałem jednego wierzchowca mojego własnego

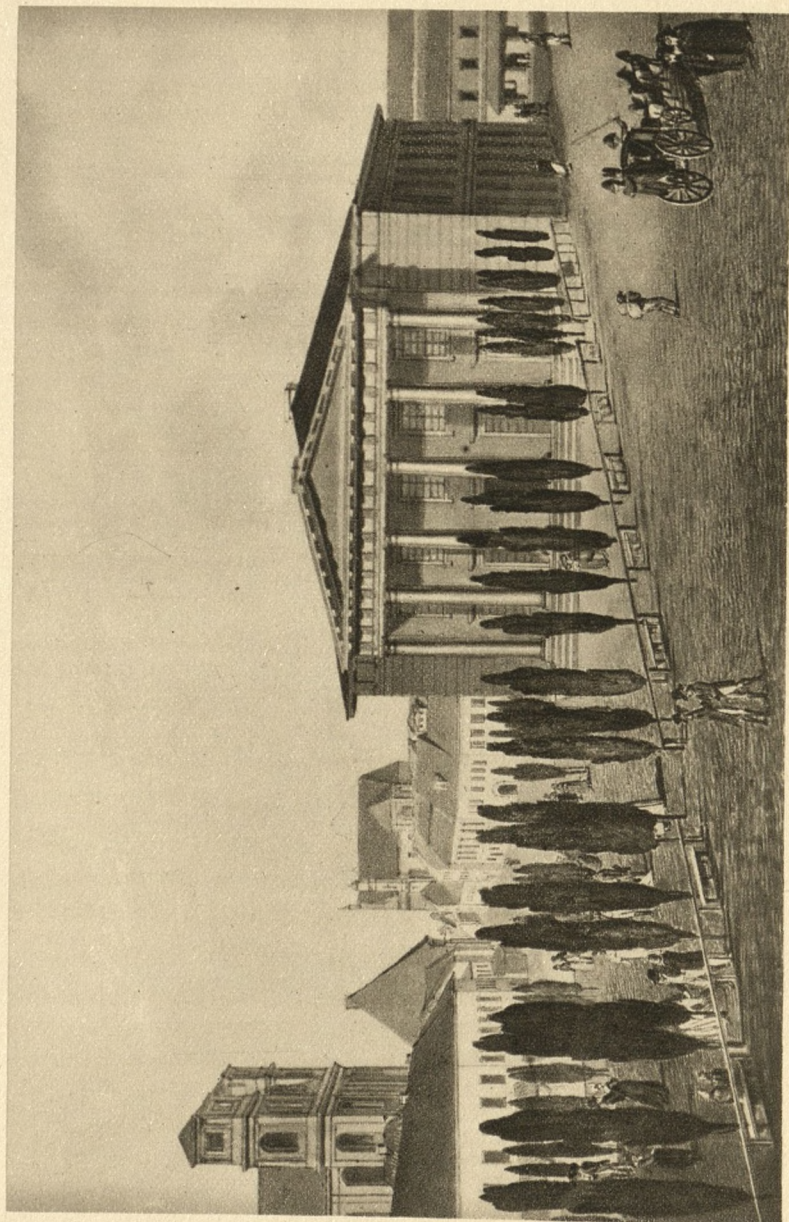
ujeżdżenia; był on nadzwyczajnie ognisty i tak dowodzący, że jak go dosiadłem, to tłumami za mną biegali, podziwiając konia i jeźdźcę, bo, nie chwając się, nie miałem równego sobie i nikt mi w tem kłamstwa nie zada, bo dziś jeszcze żyją osoby, które mi często wspominają o moim Wilczku (miał bowiem złoto-wilczą sierść). Inna bowiem to była wówczas młodzież, nie taka jak terazniejsza, co tylko na drążkach po mieście promenuje swoje wdzięki. U nas dawniej każdy młody, w mieście mieszkający, miał po dwa i trzy konie wierzchowe, i nieraz we 20 lub 30 koni odbywaliśmy wycieczki po okolicach Wilna. Dziś nie każdy pono konno umie jeździć, ale zato w preferansie grają dzień i noc, pić pokątnie umieją dobrze i innemi żartami czas marnują. Otóż tedy, gdy generał wrócił z zagranicy, zbierała się często młodzież u niego, bo był lubiany. Pewnego dnia Kossakowski wszczyna rozmowę, jak to on wiele w życiu swoim dobra czynił i jak najczęściej złem mu za to odpłacano. Wspomniał o Abramowiczu, któremu, idącemu wówczas do wojska, piękne pistolety pożyczył, a które on mu stracił; a z kolei do mnie obracając się z przyśłowiem swoim, rzekł: „Panie dobrodzieju, a kasztanek zginał, a to był tęgi koń, i kosztował mnie osiemdziesiąt czerwonych złotych, róbże teraz komu dobrze”. — „Poczuwając się do winy, choć niezupełnie, — odrzekłem — aż nadto dla generała czuję wdzięczność za pomoc, daną mi w takim razie i za konia jutro generałowi osiemdziesiąt dukatów odsyłam”. — „A ja nie potrzebuję pieniędzy, panie dobrodzieju, mnie koń potrzebny. Ot, pan masz Wilczka, niech mi go pan odda, a będziemy kwita”. Zawrzała we mnie krew; ja tego konia tak lubilem, że kiedy mi za niego trzysta dukatów ofiarowano, sprzedać go nie chciałem, bo nie mogłem pojąć, jak rozstać się z tem mojem ulubionem dzieckiem. Jednakże, zawsze mając poczucie honoru, lubo w gniewie i żalości serca, rzekłem: „Generał wie dobrze, jak drogi dla mnie jest ten koń, i że go za trzysta nawet dukatów sprzedać nie chciałem, lubo tyle nie wart; ale nie chcąc odpłacać się niewdzięcznością, jutro generałowi konia tego odsyłam”. Generał, jak rzekłem, pocziwy i szlachetny człowiek, rozczulony, wziął mnie w ramiona i rzekł: „Czyż pan sądzisz, że jabym go przyjął? Wszak ja wiem, że to Czerniawskiego wino, że nie przyjął wówczas konia;

ja tylko, panie dobrodzieju, chciałem pana wypróbować. Patrzcie panowie, — rzecz, obracając się do drugich — oto mi człowiek honorowy, oto mi człowiek"...*)

Ale czas wrócić do Smorgoń, skąd z bratem do Wilna pojechałem. Tam zastałem matkę i wielu krewnych, uradowanych z mojego powrotu, bo z tej naszej, okropnościami słynnej rejterady, nie każdemu udało się wyjść obronną ręką. Siostra i kuzynki z bojaźnią wszakże do mnie przystępowały, bo miałem na sobie niesłychane mnóstwo tych białych obrzydłych weszek, nieodstępnie towarzyszących brudnym Moskalom, które wszyscy nasi wojskowi zdobywali na biwakach moskiewskich, a potem nabierali jeszcze, awansując do Moskwy, a których ani kąpiele, ani mrozy wytepić nie mogły. Powieziono więc mnie do łaźni, zmieniono bieliznę, ale nic to nie pomogło, bo paskudztwo to w szwach sukni miało siedlisko, a takie było tego mnóstwo, że i krawcy zaradzić nie mogli, więc musiałem mundur spalić.

W Wilnie tydzień cały cieszyłem się swoimi, a przez ten czas ciągle mi persadowano, abym tak, jak wielu Litwinów, pozostał w kraju. Lecz nie chciałem być dezterterem, bo za dezterterów miałem tych, co bez dymisji opuszczali samowolnie swoje chorągwie. Ułożywszy się więc z Tomaszem Mirskim, który był przy generale Sokolnickim, — na moich sankach, trójką tęgich koni zaprzężonych, — postanowiliśmy z armją ruszać do Królewca. Jakoż pobiegłem do Belliarda, który ze zdziwieniem dowiedział się, że nie opuszczam służby, bo wielu z naszych przyszło mu zapowiedzieć, że w kraju zostają. Nie mógł im tego Belliard bronić, ale nie był z nich kontent, mnie zaś rzekł: „Postępuj pan nadal tak, jak dotąd, a zaręczam panu, że nie pożałujesz tego”.

*) Tu przychodzi mi na pamięć, że tenże Kossakowski, po abdykacji Napoleona przebywając w Paryżu, wówczas kiedy książę d'Artois, późniejszy Karol X, przybyły do Paryża z wojskami sprzymierzonymi, dla pociągnięcia za sobą Francuzów rozdawał mnóstwo krzyżów de la Fleur de Lys, godła Bourbonów, tenże Kossakowski dostał też kilka takich krzyży z patentami na nie i jeden taki, za powrotem swoim do Wilna, mnie ofiarował. Mam do dziś dnia ten patent na imię moje wydany, lecz paskudztwa tego nigdy nie nosiłem, bo nie chciałem się splamić krzyżem podłym i na który nie zasłużyłem. Wspominam tu tylko o tem, jako o dowodzie pamięci generała Kossakowskiego. (*Przypisek autora*).



WIDOK RATUSZA WILEŃSKIEGO

Wygodne wszakże życie na łonie rodziny, po odbytych przez całą kampanję trudach przy chłodzie i głodzie i mnie nieco rozleniwiło; bo kiedy nadszedł moment odjazdu, już wahać się zacząłem. Ale poczucie obowiązku, honoru i nadzieje na lepszą przyszłość, odwagi mi dodały, a dowiedziawszy się, że król z Belliardem wyjechali i że kozacy koło miasta plondrują, pożegnałem się znów z matką i rodziną i puściłem się z Mirskim ku Ponarom. Lecz tu nowy nas kłopot czekał. Płaszczyna przed górami Ponarskimi napelniona była armatami, furgonami i rozmaitemi ekwipażami, a to z tej przyczyny, że góra Ponarska była tak śliska, że niekute konie Francuzów, na nas co moment spadając, nietylko że nie mogły ciągnąć ekwipaży, ale zawaleniem drogi przez te upadki groziły i nowonadjeżdżających wstrzymywały. Wyminąć trudno było, więc wypadało czekać. Nagle, po dwugodzinnem takim oczekiwaniu, lecąca od Zakretu ćma kozaków, rzuca się na bagaże, które jak kto mógł opuszczał, przekładając ucieczkę pieszą nad dostanie się do niewoli. Już byliśmy z naszymi saneczkami blisko w pół góry, gdyśmy ten napad posłyszeli. Posuwać się wszakże nie mogliśmy, bo, jak mówiłem, droga była zawalona. Mówię więc do Tołoczki, który nas wiozł: „Czy nie możnaby jakoś bokami się przemknąć?” Temu do dwóch nie gadaj, jak to mówią, a więc uderzywszy po tęgich koniach, przez drzewka i krzewy, porastające na górze, stromej jak piec, wdrapaliśmy się na pole, gdzie już nic nam nie groziło.

Mijamy kapliczkę ponarską i spotykamy Sokolnickiego, który też, jadąc w koczku, musiał go opuścić i piechotą na górę staruszek ruszał, a ofiarowane przezemnie miejsce w saneczkach z wdzięcznością przyjął. Saneczki były tak malutkie, że ledwo dwóm obok siedzieć można było, więc Tomasz, nieco chory, i Sokolnicki siedli w tyle, a ja obok furmana. Ledwo parę staj ujechaliśmy, doganiamy Davout'a, którego dwóch adjutantów prowadziło pod ręce, bo i on, nie chcąc wpaść w ręce kozaków, zostawił też pojazdy, puszczając się na piechotę. Poznawszy Sokolnickiego, krzyczy: „Generale, generale, proszę o kawałeczek miejsca dla mnie w pańskich saniach!” — Sokolnicki w ambarasie odpowiada: „To są sanie tego pana, który z litości zabrał mnie z sobą”. Davout, który mię znał, błagalnym spojrzał na mnie wzrokiem i za rękę

biorąc mówi: „Kawałeczek miejsca...” Jakże odmówić staremu, tak zacnemu marszałkowi państwa? Więc Tomasz przesiada się na moje miejsce, generałowie wtyle, a ja, odebrawszy lejce od Tołoczki, któremu kazałem iść piechotą do Jewja, gdzie miał być nocleg, za furmana im służyłem, do tegoż noclegu. Podjeżdżając do Jewja, Davout prosił, abym go i jutro tak samo zabrał, jeśli nie znajdzie gdzie miejsca u jakiego znajomego generała. Dzięki Bogu, że znalazł tam dużo tych znajomych, którzy go zabrali. I tak już z Tołoczka, jako furmanem, ciągnęliśmy bez szczególnych wydarzeń do Kowna, zawsze z główną kwaterą, przy której Sokolnicki był potrzebny, jako wyznaczony do szczególnych poruczeń.

W Kownie, dowiedziawszy się, że Belliard, od dwóch dni tam bawiący, wyjeżdża, pobiegłem zameldować mu się. Spostrzegłszy mnie, powiada: „Cieszę się, że pana widzę. Za chwilę wyjeżdżam do Królewca, jedź pan za mną na swoich saniach. Biorę pana jako kapitana-adjutanta na miejsce Welscha, który awansował na szefa szwadronu. W Królewcu są już moje ekwipaże, w których i pan znajdzie miejsce. Otrzymałem kilkumiesięczny urlop, pojedziemy więc na południe Francji, gdzie chcę spędzić zimę, żeby trochę podreperować swoje zdrowie, a na wiosnę, jeśli wojna nie będzie jeszcze skończona, wracam na front. Będąc moim adjutantem, możesz pan zdobyć szarżę dowódcy szwadronu. Czy to panu odpowiada?” — „Niczego bardziej nie pragnę”, — odrzekłem — ale muszę uprzedzić generała Sokolnickiego, którego wiozę na swoich saniach”. Pobiegłem do generała z tą uśmiechającą mi się propozycją, ale Sokolnicki, zasmucony, powiada: „A ze mną cóż będzie? Ot, wiesz co, Szumski, Belliard dziś jedzie — my jutro dość pośpiesznym marszem wystąpimy i pewno Belliarda w Królewcu znajdziemy. Tam ja się inaczej urządzę, albo od ciebie konie i sanki odkupię, kiedy ty z Belliardem pojedziesz”. Pobiegłem znowu z tem do Belliarda, który mi powiedział: „Ma pan czas, ja zostaję osiem dni w Królewcu, tam więc na pana poczekam”.

Tak tedy dla przyjaźni zostałem z Sokolnickim, marząc o świetnej przyszłości. Boskie jednak zarządzenia inaczej postanowiły, bo zamiast wyjścia nazajutrz z Kowna, dzień dłużej zabawiliśmy, zamiast zaś *des marches forcées* armja cofała

się zbyt powolnie, będąc ciągle napadaną przez Moskali którym należało się opierać. Na dobitkę wszystkich przeciwności, pod Gumbinem, Tomasz Mirski, już bardzo cierpiący, dostał był okropnej gorączki, skutkiem której musieliśmy go zostawić w Gumbinie, gdzieśmy dwa dni zabawili. Przytem, obsługując ciągle Tomasza, sam zachorowałem na taką gorączkę i już nieprzytomnego przywieziono mnie do Królewca. Tam zacny Sokolnicki ulokował mnie na kwaterze u jakiegoś pocziwego Niemca, którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę; wiedząc, że mam na sobie trzos ze stu dukatami, zdjął go ze mnie i oddał gospodarzowi razem z listem do mnie, w którym mi to wyjaśniał. Do stu dukatów moich dołożył trzydzieści swoich, pisząc, że mi płaci za sanie i konie, na nic mi już niepotrzebne, i życząc zdrowia. Prócz tego podobny list zostawił u mego Tołoczki, aby mi go wręczył, jak odzyskam przytomność.

Tak czternaście dni, jak mi to później mówiono, w malignie przeleżałem, nic o mojej doli nie wiedząc. Powrót też do przytomności był okropny, zwłaszcza, gdy ujrzałem w moim pokoju niedaleko mnie leżącego oficera moskiewskiego. Nie umiałem zdać sobie z tego sprawy, a więc pytam, co to znaczy i czego on chce? Dopiero dowiedziałem się, że za wejściem Moskali do Królewca kazano wszystkich rannych i chorych, po domach prywatnych rozlokowanych, przenieść do szpitala, i że moi gospodarze, litując się nad moją młodością, prosili o pozostawienie mnie u nich na kwaterze, ofiarując się karmić oficera, dodanego mi za stróża. Gorzko zapłakałem, słysząc, że w niewoli, bo zawsze lękałem się tego najbardziej. Pocieszali mnie moi pocziwi gospodarze, przy których staraniu powoli wracałem do zdrowia. List Sokolnickiego i pieniądze najskrupulatniej mi oddali, a nawet, kiedym ich żegnał, nic za utrzymanie nie chcieli przyjąć, a i doktor nawet, do mnie przez nich wezwany, nie chciał honorarjum, mówiąc, że jeńcowi pieniądze się przydadzą. Dlatego zawsze z najwyższem rozczuleniem wspominam tych pocziwych ludzi.

Po czterech wszakże tygodniach rekonwalescencji, lubo jeszcze bardzo byłem osłabiony, kazano mi z innymi stawieć się u Sieversa, generała rosyjskiego, rządzącego wówczas w Królewcu. Gospodarz mój, pocziwy zawsze, widząc mnie

mocno osłabionym, sam mnie do zamku, gdzie mieszkał Sievers, zaprowadził. Tam zastałem mnóstwo oficerów polskich i francuskich, wyszłych już ze szpitala, a których miano wysłać w głąb Rosji, i mnie do tego transportu przeznaczając. Sievers, europejski wcale człowiek, grzecznie do nas przemówiwszy, oświadczył, że Napoleon (który zawsze pamiętał o swoich) prosił ich cara, aby na każdego jeńca wojennego podług rangi dane było: po osiem dukatów na poruczników, po dziesięć na kapitanów i po piętnaście na pułkowników, a dla generałów wiele który zażąda. Po tem oświadczeniu wezwał zkolei każdego dla przyjęcia, co mu się należy i pokwitowania w księdze, mającej być przesłaną Napoleonowi. Nim przyszła moja kolej, gospodarz mój, wydostawszy gdzieś druk amnestji Aleksandra dla Litwinów, podał mi go. Podchodzę więc do Sieversa, oświadczać, że, jako Litwin, chciałbym mieć udział w tej amnestji. Lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy ten europejski człowiek, zawsze dziegiem trącały, jak każdy Moskał, ze złością mnie spytał: „Pan jest Litwinem? A któż to panu pozwolił walczyć przeciw Rosji?”. Na takie głupie zapytanie, wruszywszy ramionami, ze złością odpowiedziałem: „Nie znajduję odpowiedzi na podobne pytanie”, i odwróciwszy się od niego, usiadłem na kanapce, przy ścianie nieopodal stojącej. Spostrzegł się widać Sievers, że głupstwo powiedział, a widząc mnie bardzo osłabionego, chcąc poprawić swoją niedorzeczność, przysłał mi swego adjutanta z zapytaniem, czybym nie chciał pozostać w Królewcu do drugiego transportu, za miesiąc mającego wychodzić, „bo generał lituje się nad pana słabem jeszcze zdrowiem, niezdolnem może jeszcze wytrzymać tego transportu”. Podziękowałem mu za to i z ochotą przyjąłem propozycję, a tak cztery tygodnie jeszcze odpoczywałem w Królewcu, skąd wyprawiłem z listami do matki Tołoczkę, którego, jako jeniec, nie mogłem mieć przy sobie.

Po upływie terminu stawilem się znowu u Sieversa, który mnie arcygrzecznie wypytywał o zdrowie. Rozdawszy przeznaczone nam przez Napoleona pieniądze, przy nas przykazał oficerowi, mającemu prowadzić naszą partję, aby się z nami dobrze obchodzono i nie odbierano pieniędzy, które nam się dają, dodając, że, prócz tego, z hojnej Aleksandra łaski, każdy z nas po dwadzieścia pięć kopiejek asygnacyj-

nych dziennie pensji od oficera pobierać będzie. W razie zaś doświadczonej jakiejś nieprzyjemności, polecił, abyśmy prosto do niego pisali swoje skargi, wręczając je w pierwszej każdej mieścinie będącemu tam komendantowi. Mając dosyć swoich pieniędzy, kopiejki te zgóry za cały czas oficerowi odstąpiłem, czem zyskałem sobie przyjaciela, bo Moskal bez łapówek żyć nie może. Pożegnałem więc moich pocziwych gospodarzy, małe im porobiwszy prezenty, i wyruszyliśmy z Królewca na długich czterokonnych pruskich brykach, pakując na każdą brykę po czterech oficerów. A że nas było tylko czterech Polaków, prosiliśmy, aby nas nie rozłączano, reszta zaś, trzydziestu francuskich i włoskich oficerów, razem się pilnowało. Było też 1200 prostych żołnierzy w tej partji. Oficer rosyjski, upodobawszy nas sobie, też ciągle nas się pilnował, bo mając dosyć pieniędzy, dobrze żyliśmy w drodze i jego karmiliśmy.

Tak jechaliśmy przez Gumbin na Insterburg i Szyrwinty, gdzie się poczynała granica Księstwa Warszawskiego. Tu zamiast czterokonnej bryki, ledwo po jednej gnojówce, w nędzną szkapę zaprzężoną, na nas czterech mogliśmy dostać. To też piechotą wlekliśmy się przy gnojówce, na której mantelzaczki nasze poskładaliśmy. Koledzy moi byli to: Hiż, kapitan strzelców pieszych, tęgi i sprytny chłopak, Sieciński, kapitan z 8-go pułku grenadierów księcia Michała Radziwiłła, później dyktatora z 1830 roku, tęgi też wojak, i Kamieniecki, kapitan ze sztabu Księcia Józefa, małoznacząca figura i wielki szuler.

Raz, podchodząc pod Marjampol w Augustowskiem, gdyśmy, siedząc w chałupie chłopskiej za stołem, rozmawiali, wszczęła się między nami dysputa o Napoleonie i o Aleksandrze. Oficer nasz, prawdziwy stupajka, a więc cara wyżej od Boga stawiający, począł lżyć Napoleona, na co my mu dosyć śmiało odpowiadaliśmy, dowodząc, że ich car to dureń w porównaniu do tak wielkiego człowieka. Tu winienem opisać, jak siedzieliśmy: Sieciński i ja z jednej strony wąskiego chłopskiego stołu, — naprzeciw nas Hiż, Kamieniecki i nasz oficer, który, rozgniewany, że jego boga mało respektujemy, przez ten wąski stół wyciąga rękę, mając zamiar dać pstryczka Siecińskiemu, najwięcej drwiącemu. Zoczyłem ten manewr i, nie czekając długo, tak grzmotnąłem oficera w ucho, że się

z ławy zwalił, krzycząc na swoich kozaków, w sieni, przy rozłożonem ognisku, warzących jedzenie. Wpadło ich trzech, a oficer, jeszcze na ziemi leżący, krzyknął: „Wiązać ich”. Zawsze dosyć byłem przytomny, a więc i teraz krzyknąłem: „Nie waż się dotykać, czyż nie wiesz, że ja jestem kapitanem gwardji, a ty podporucznikiem piechoty? Szarża szarżę szanować powinna”. Kacap mój, skonfundowany i policzkkiem, który dostał, i moim protestem, powstawszy, powiada: Jednakże pan mnie obraził, a jesteś jeńcem”. — „Tak, ale chociaż jestem jeńcem, zawsze jestem kapitanem, a ty podporucznikiem. Rozkaż kozakom odejść”. Tak się też i stało. Kozacy dostali rozkaz wyjścia precz, a kacap rękę wyciągając: „no, pogódźmy się”, rzecze. Nawzajem mu rękę podałem i uściskaliśmy się, puszczając w niepamięć tę awanturkę i zapiwszy ją gorzałeczką. Tu dopiero trzeba było widzieć zdziwienie moich koroniarzy na tak przyjacielskie zakończenie. Sieciński nieraz mi mówił, że nie zna tak podłego narodu, jak moskiewski, bo gdyby jego spotkało to, co tego kacapa, to pewnoby mnie zabił. A ja mu na to: „Gdybym nie znał tego bydła, inaczejbym i ja postąpił. Ale z Moskałem nic grzecznością nie wskórasz — zaimponuj mu, to będzie cię szanować, a bądź tylko grzecznym, to na kark ci wlezie”. Tak się kolegom w pamięć wraziło to zdarzenie, że w roku 1815, kiedy wszyscy wrócili z niewoli, Hiż, tylko jeden z kolegów, którego w Warszawie spotkałem, w uczęszczanej wówczas restauracji u Chauveau kolegom opowiadał tę awanturę i mnie rekomendował, niewierzącym, aby jeniec wojenny mógł tak odważnie postępować.

Aż do Kowna nic godnego uwagi nie zaszło. W Kownie trzy dni odpoczywaliśmy, czekając na pensję dla partji, których to poborów oficer dla braku pieniędzy w Izbie Skarbowej dostać zaraz nie mógł. Tu dopiero zahulaliśmy. Pieniądzy miałem dosyć; a więc, wyświeżeni, od rana siedzieliśmy w restauracji, do której przychodziło pełno ludzi, wiedząc, że się tam znajdują jeńcy polscy. Byli między nimi znajomi mi i nieznajomi. To tylko powiem, że jedliśmy i piliśmy, nie żałując sobie, a gdy przyszło wieczorem do zapłaty, restaurator odpowiadał, że już zapłacono, ale przez kogo — nie mówił. Poczciwi ludzie, i dziś was z rozrzewnieniem wspominam.

Zaopatrzywszy się w Kownie w bieliznę, ciepłe rękawice i kozuchy, ruszyliśmy do Woroneża, pomijając Wilno, do dalszego naszego przeznaczenia. O mil kilka od Kowna, idąc gościńcem, spostrzegłem niewielki dworek na wzgórzu. W karczmie, gdzieśmy stanęli wytchnąć, pytam żydka, czyj to i do kogo należy? „Postrowie pana Hoffmana” — odpowiada. „Brawo, — rzekłem do kolegów — to znajomy mój, zajdziemy do dworu posilić się, bo w tej karczmie nic dostać nie można”. Rzucamy więc przy karczmie naszą partję, a z oficerem, nieodstępny od nas, i kilku kozakami, puściliśmy się do dworu, przed którego gankiem stała buda, zaprzężona w cztery konie. Właśnie miał do niej wsiadać dobrze mi znajomy Żelwietr, trudniący się interesami wielu osób w Petersburgu, a jadący do Wilna, gdzie miałem nadzieję, że matkę moją zastanie. Żelwietr nie poznał mnie zrazu, a uradowany, że przecież żyję, zapłakał pocziwiec nad moim losem i przyrzekł wnet za przybyciem do Wilna zawiadomić matkę o mojej niewoli; jeśliby zaś jej nie było, poruczyłem mu prosić Sulistrowskiego, późniejszego gubernatora, lub chorążego Wawrzeckiego, obu moich opiekunów, aby mi dostali pieniędzy na tak odległą podróż; Żelwietrowi naznaczyłem widzenie się ze mną za trzy dni w Porudominiu, majątku mniszek benedyktynek, o trzy mile od Wilna, a o dwie od Szumska odległego, pędzono nas bowiem mimo Wilna, unikając większych miast.

Po odjeździe Żelwietra, gospodarz dworku Hoffman, z największą gościnnością nas przyjął, nakarmiwszy i dawszy zapasy jadła na drogę. Po tym traktamencie puściliśmy się na wyż rzeczne Porudominie, gdzie stanawszy na noc i położywszy się spać, usłyszeliśmy dzwonek pocztowy i znajomy głos Żelwietra, wchodzącego z żandarmem i pytającego oficera partji, do którego wiozł zalecenie zostawić mnie jako chorego, tam gdzie zachorowałem, lubo byłem zdrów.

Muszę tu opowiedzieć, jak się to stało. Żelwietr przybywszy do Wilna, zastał moją matkę całą we łzach, bo od Tołoczki, którego z Królewca wyprawilem, dowiedziała się, żem w niewolę wzięty, i nie tracąc czasu przybiegła do Wilna prosić Korsakowa, ówczesnego wojennego gubernatora, aby mnie pod pretekstem choroby zatrzymać. Korsakow odmówił jej tego i właśnie nad tem przed Żelwietrem ubolewała,

gdy przyjechała do niej Gersztorfowa, matka Olizarowej, dziś Pisankowej. Ta Gersztorfowa, Matuszewiczówna z domu, synowica ministra tego nazwiska, była w dobrym zachowaniu u Korsakowa, a dowiedziawszy się o przyczynie łez mojej matki, proponuje jej jechać znowu do Korsakowa, pewna, jak mówi, że za jej wdaniem się nie odmówi. Jakoż i pojechały. Targował się długo Korsakow, lecz zmiękczony naleganiami Gersztorfowej, dla której wielką miał słabość, posłał po Bobiatyńskiego, wówczas tylko dyrektora kancelarji, a później gubernatora grodzieńskiego i senatora, posiadającego całą jego ufność. Tymczasem Żelwietr, dobry znajomy Bobiatyńskiego, wiedząc, że „bumażkami” nie gardzi, setkę mu w rękę wetknąwszy, opowiedział, o co rzecz idzie. Jakoż zapytany przez Korsakowa o sposobie, jakimby to można było zrobić, odpowiedział, że w prawidłach dla wojennych gubernatorów jest, że jeżeliby wojenny uznał, czy z powodu choroby, czy dla jakiej innej ważnej przyczyny, potrzebę zatrzymania kogoś z jeńców, może to zrobić z tem, aby najsurowiej był pilnowany, a że mnie podano za chorego, radził Bobiatyński dać rozkaz: „Pozostawić Szumskiego tam, gdzie zachorował, i wziąć zobowiązanie od właściciela lub rządcy majątku, gdzie zachorował, że na każde wezwanie dostarczy tego jeńca”, i z tym rozkazem na imię Żelwietra z żandarmem dla większej wagi mnie odprawiono. Przebudzony oficer nasz przeczytał rozkaz i zadziwiony rzekł: „Ależ on zdrow”, na mnie pokazując; ale 50 rubli asygnacyjnych w łapę wetknięte złagodziły go, i wnet powiedział: „Szkoda nam takiego dobrego towarzysza”. Z wielkim więc smutkiem rozstałem się z kolegami, oddawszy im ze 60 dukatów, jakie miałem, i 120 jeszcze, które mi Żelwietr na moje prośby przywiózł, a że Porudominie niedaleko było Szumska, więc ekonom tamtejszy, dawszy na mnie rewers, przyjął takiż od mojego brata, który mię sekretnie w nocy do Wilna do matki przywiózł. Tam, nigdzie nie wychodząc, przebyłem dni kilka, po upływie których Korsakow raz z wizytą do matki przyjechał, pytając o moje zdrowie; na odpowiedź, że niebardzo zdrow i że ciężko na wsi bez doktora, pozwolił przywieźć mnie do Wilna, z tem, abym ciągle chorego udawał, bo, gdy wyzdrowieję, będzie zmuszony mnie odesłać. Udawałem więc chorego,



MARJA Z MIRSKICH SZUMSKA

widując wszystkich znajomych, a nawet i samego Korsakowa, który mię czasem odwiedzał, bywając u matki. Wieczorami tylko jeździłem do generała Zajączka, mieszkającego w domu Mostowskich, obok dawniejszego Koszczycowskiego, też jeńca po amputacji nogi, którą na Berezynie stracił. Nikt u niego nie bywał. Miał tylko dwóch kozaków na przedpokoju, co nie przeszkadzało go odwiedzać, jeśliby kto chciał. Tam miłe wieczory, najczęściej sam na sam z generałem spędzałem.

Tymczasem Wawrzecki, ulubieniec Aleksandra, z jego rozkazu wyjeżdżał z Wilna do Warszawy, gdzie ważne stanowisko miał zajmować, a dowiedziawszy się, że i brat jego, generał, w Królewcu też wzięty w niewolę i w Mińsku dla słabości zdrowia zatrzymany, za nim, za mną i za Tomaszem Mirskim napisał do cesarza, prosząc o uwolnienie. W kilka dni, na cztery pono tygodnie przed lipską batalją, po której ogólną dał Aleksander amnestję, otrzymaliśmy imienny rozkaz, uwalniający nas kompletnie.

Do 1815 roku siedziałem i bawiłem się w Wilnie, nic ważnego do opisywania nie znajdując. W 1815 roku zawezwano do Warszawy wszystkich wojskowych dla przyjęcia służby w nowoformujących się wojskach pod rozkazami w. ks. Konstantego, lub dla wzięcia dymisji nieżyczącym pozostać w służbie. Pojechałem i ja z innymi, lecz dobrze rozważywszy nowe rozporządzenia naszego naczelnika, wprowadzającego batog dla prostych a podłość w egzagerowanej subordynacji dla oficerów, którą to subordynację dawniej tylko w służbie znaliśmy, nie potrzebując czapkować i wyciągać się przed każdym najgłupszym nawet, aby tylko wyższą miał rangę, podaliśmy się do dymisji; pozostali więc w służbie albo z wyższemi rangami, jak generałowie i pułkownicy, albo z niższych rang ci tylko, co nie mieli z czego się utrzymać.

W Warszawie nic mi się nadzwyczajnego nie trafiło, a przehulawszy ze dwieście dukatów, które z sobą miałem, po trzymiesięcznym pobycie wróciłem do Wilna, z odstawką czyli dymisją w. ks. Konstantego, i tak, spokojnie bruki wileńskie zbijałem do roku 1819, w którym to roku ożeniłem się z kuzynką moją, Marią Mirską, która była frejliną; a więc bez zezwolenia cara, zamąż iść nie mogła; taka przynajmniej była forma. Pozwolenie otrzymano i 13 kwietnia ją zaślubiłem.

W trzy miesiące potem Aleksander przejeżdżał przez Wilno i na balu, danym dla niego, tańcząc z moją żoną, którą dawniej znał, spytał, gdzie mąż i czy jest na balu, a na potwierdzającą odpowiedź żądał, aby mię jemu sprezentowała, co też i zrobiła. Spojrzawszy na mój krzyż Legji Honorowej, którego nie zdejmowałem nawet przed cesarzem, lubo wielu to robiło, spytał: „Ah! pewno w kampanji 1812 roku byłeś?” „*Oui Sire!*” odparłem, a on, uśmiechając się, po francusku rzekł: „A! to Waćpan Moskwę paliłeś?” „Tak, N. Panie”, też śmiejąc się odpowiedziałem. Nazajutrz cesarz wyjechał z Wilna, a w kilka dni potem mnie i marszałka Mostowskiego mianowano kamerjunkturami.

Niedługo potem żyłem z żoną, bo w 1821 roku, w dziesięć dni po urodzeniu mojej drogiej córki, którą mi zostawiła, sama do wieczności z powszechnym żalem wszystkich, co ją znali, się przeniosła. Nie było sierotą drogie to moje dziecko, gdyż miała dwie babki i ciotek niemało, które ją bardzo kochały, bo też i było co kochać; a dziś, w 1851 roku, opłakuję to drogie dziecko, ale później wrócę znowu do tej niezrównanej dzieciny.

Wegetowałem lat kilka po śmierci mojej żony. W 1824 roku dla zachowania munduru kamerjunktura zapisałem się do kancelarji Korsakowa, bo wyszedł był ukaz, że kto nie służy nigdzie prawa do tego munduru nie ma. Nie dlatego wszakże wszedłem do służby, żebym bardzo dbał o to kamerjunkturstwo, ale dlatego, że na wsi między kucami sądowymi, a w mieście między czynownikami zawsze mundur imponował. W 1829 roku, niechętnego wcale, obrano mię marszałkiem powiatu wileńskiego.

II.

Rok 1830, rok pamiętnego w Warszawie powstania, zastał mnie na dosyć przykrym świeczniku, bo Gorski, marszałek gubernski, odkomenderowany na Żmudź dla przyjęcia rekrutów, nie mogąc tam się dostać i nie mogąc do Wilna wrócić z powodu powstań, po powiatach się szerzących, zważył na mnie cały ciężar i honory gubernskiego marszałkowstwa, wówczas bardzo czynnego. Godnie wszakże, nie chwając się, piastowałem ten urząd w tak trudnych okolicznościach, zwłaszcza dla mnie; bo będąc zawsze dobrym Polakiem, a przez to samo wrogiem Moskali, miałem sekretne stosunki z powstaniem, a przed Moskalami odgrywałem rolę wiernego poddanego cara. I tak potrafiłem odurzyć Chrapowickiego, wojennego wówczas gubernatora w Wilnie, że nie miał dla mnie sekretu, zwierając mi się często nawet z niepomysłnych dla nich wiadomości, wynikłych z bitew, jakie z naszymi wojskami przegrywali. Nie będę opisywać tych cudów waleczności naszego wojska i tego co się w powstaniu tam robiło — nato jest historia; ja więc tylko opowiadać będę to, co mnie się tyczy. Zmieniono wkrótce u nas gubernatora Horna, a ze stolicy przysłano Obreskowa, który był dla mnie z wielką przyjaźnią przez cały ciąg swego gubernatorstwa, dowodząc, że tak czynnego urzędnika i w takich okolicznościach trudno znaleźć, bo też wszystko, co tylko przez władze było nakazane, piorunem spełniałem, okazując im niby najlepszą wolę, a tymczasem sekretnie, co tylko można było działać przeciwko nim, to się działo. Za taką moją sprawność Chrapowicki mnie lubił i przedstawił do orderu św. Anny drugiej klasy, którego, dzięki Bogu, nie otrzymałem z następnego powodu:

Po przedstawieniu mnie do tej nagrody, Chrapowicki począł powątpiewać o mojej dla rządu przychylności, a więc nowem przedstawieniem prosił o wstrzymanie się z tą nagrodą jako „niebłahonadieżnomu“, lecz nim to jego powtórne przedstawienie doszło do stolicy, order już był w Wilnie w rządzie gubernskim, o czym, gdy się dowiedział, nie pozwolił rządowi gubernskiemu ogłaszać. Obreskow, naczelnik rządu gubern-

skiego, nie wiedząc o powtórnej działalności Chrapowickiego, wina mi tego orderu. Wiadomość ta arcyniemie zrobiła na mnie wrażenie, bo odbierać nagrody moskiewskie wtenczas, kiedy Polacy swobody się dobijają, było jakimś piętnem, niezbyt pochlebnem. Szczęście, że przyjaciele i znajomi, wiedząc dobrze o moim sposobie myślenia, konsolowali mnie zapewnieniem, że nadto trzymają o mnie i ci co mię znają i ci co mię nie znają, aby na chwilę można było powątpiewać o moim patriotyzmie. Zaczawszy jednak o tym orderze, muszę dać tego dowody, aby ktoś nie posądził o samochwalstwo lub fałsz, że do niego był przedstawiony.

W roku 1847, po wyjściu moim z powtórnego więzienia, zmuszony niewydawać się z Wilna, gdy raz siedzę sobie dumając, wchodzi do mnie Szulc, sowietnik rządu gubernskiego, któremu poruczone było zebrać krótkie wiadomości o Hornie, gubernatorze w Wilnie, wówczas zmarłym, do jego biografii. Szperając po archiwach rządu gubernskiego, znajduje Szulc przy dyplomacie na order św. Anny 1-szej klasy dla Horna jednocześnie wydany dyplom na tegoż orderu drugą klasę dla mnie, i z zadziwieniem pyta, dlaczego go nie noszę, mając wszelkie prawo, jako już dyplomata wydany z kapituły orderów; a gdy mu, jako dobrze znajomemu, powiedziałem wyżej cytowane operacje Chrapowickiego, — „to nic do tego nie należy”, rzecze — „podług *zakonu* masz prawo żądać od rządu gubernskiego wydania dyplomu, nigdzie bowiem niema późniejszego odwołania, które nawet i nie przyszło i przyjść nie mogło, bo niema praktyki, aby order akordowany mógł być cofnięty; chyba że odbierając szlachectwo, order się odbiera”. Podziękowałem mu za tę jego niby dla mnie przyjaźń, ale do orderu pretensji nie mając, propozycji jego nie przyjąłem.

Ale czas wrócić do porządku i do Chrapowickiego, na którym przestałem. Człowiek ten, jak zwykle ludzie słabej głowy, nadstawiając ucha plotkom i donosom, o które nie trudno w tym moskiewskim bezrządzie, z przyjaciela, jakim był dla mnie, zrobił się najzawziętym nieprzyjacielem, nie mogąc sobie darować, że się tak na mnie pomylił. Pewnego dnia przysłał do mnie, abym mu klucze od magazynu św. Piotra, na Antokolu będącego oddał, dla umieszczenia niby w tymże

magazynie skupowanego przez komisjonerów wojennych zboża, wiedząc, że w tym ogromnym składzie, ledwo kilkanaście tysięcy czetwerti krup i mąki tylko było, i że tam wspólnie i przez wojennego komisjonera skupowane zboże pomieścić się może. Trzeba bowiem wiedzieć, że miliony czetwerti mąki, krup, sucharów i owsa, nakazanego obywatelom przez rząd, przywożone były do Wilna pod zawiadywanie marszałka gubernskiego, który też i za całość majątkiem miał odpowiadać. Tak ogromna masa żywności wymagała ogromnych magazynów; a więc za pośrednictwem policji pozabierano i pod mój zarząd oddano wszystkie ogromne śpichlerze będące na Śnipiszkach, śpichlerze franciszkanów, karmelitów na Rudnickiej ulicy i św. Piotra na Antokolu. Nie mogąc sam dopilnować wszystkiego, zrobiłem następne rozporządzenie: wybrałem z każdego powiatu po dwóch deputatów, którym wręczone były księgi sznurowe i klucze od tych śpichlerzy, do których oni te zapasy przyjmowali, a kwity obywatelom, po podpisaniu przezemnie codziennie księgi, z mojej kancelarji, za moim też podpisem były wydawane. Tym sposobem panowie deputaci, nic na swoje konto zrobić nie mogli, chyba że na wadze i mierze, czego niepodobna było dopilnować, obywatelom coś skręcili. Prócz tego wybierano na deputatów obywateli osiadłych z odpowiednim funduszem, przez co i oni dbać musieli o całość magazynów, bo własnym majątkiem by odpowiadali.

Dlaczego tak nagle zażądał kluczy tych Chrapowicki, później objaśnił mi Obreskow, że zrobiony był donos, jakoby ja w magazynie św. Piotra miał ukrytych kilka tysięcy sztuk broni i znaczne zapasy kul i prochu, a to wszystko między workami mąki i krup. Ja, o niczem nie wiedząc, na zażądanie kluczy odpowiedziałem, że ponieważ u św. Piotra ledwo kilkanaście tysięcy czetwerti się znajduje, a więc z ochotą cały magazyn odstąpię, z tem wszakże, aby wnet odmierzone znajdującą się tam ilość podług ksiąg moich i aby mnie i deputata z niej pokwitowano; bo nie życzyłem sobie mieć w moim magazynie wspólnika komisjonera, pospolicie złodzieja, który, pokradłszy moje zboże, mógłby powiedzieć, że tyle, ile pokazano, nie było. Odmówienie to bardziej jeszcze Chrapowickiego utwierdziło w mniemaniu, że musi tam być

broń, a więc rozdąsany rzekł: „Za pół godziny czekam kluczy, a w przeciwnym razie, znajdę dla pana miejsce”. Co robić, myślę sobie, z takim fiksatem? posyłam więc po deputata, który na nieszczęście dnia tego na kilka godzin wyjechał był do żony, mieszkającej o dziesięć wiorst od Wilna, posyłam więc do Chrapowickiego z oznajmieniem, że, skoro deputat się zjawi, co niezawodnie za kilka godzin nastąpi, wraz mu klucze będą wydane. Coraz więcej wpadający w podejrzenie ten gwałtowny człowiek przysłał mi adjutanta Miłaszewicza z policmajstrem Rutkowskim i komendantem miasta, Jukiczewem, abym razem z nimi wraz jechał do św. Piotra, i aby tam w mojej obecności, w niedostatku kluczy, wytrychami zamki otworzono. Każę więc zaprzęgać konie, aż mi policmajster mówi: „A, to czasu zabierze, niech marszałek siada na moich drążkach ze mną”. Jadę więc w asystencji komendanta i adjutanta, konno obok nas galopujących. Taka wyprawa wśród dnia z taką asystencją, w tym czasie gdzie ustawnie do więzienia rozmaitych wieziono, dała sądzić tym, co mię spotykali, że i mnie tam pakują. Przyjeżdżamy na Antokol i już do wytrychów się zabierają, gdy w tem mój deputat, wróciwszy ze wsi i dowiedziawszy się w mojej kancelarji, o co chodzi, co tchu z kluczami przyleciał.

Otwierają magazyn. Skaczą policyjscy żołnierze i kwartalni po worach, przerzucają je, niby licząc, a właściwie szukając broni, i ni w pięć, ni w dziewięć, po godzinnem blisko rozrzucaniu, nie pozwalając ani mnie, ani deputatowi się oddalać, po przybyciu samego Chrapowickiego, który niby spacerem konno nadjechał i deputatowi klucze kazał oddać, mówiąc: „Dobrze obrachowawszy się, nie będę potrzebował tego magazynu”, — zaprzestali poszukiwań.

Tymczasem, powstanie coraz więcej się szerzyło. Już i Załuski, marszałek upicki, szambelan J. C. M., przysłał mi swego sekretarza Karabanowicza z zapytaniem, co robić; bo trzeba wiedzieć, że u nas w Wilnie był komitet, dyrygujący wszystkimi powstaniami, a do którego należeli: Antoni Gorecki, szwagier jego, Ludwik Zambrzycki, Edward Romer, Hrebnicki, Baliński, Leon Rogalski i ja. Ten nasz komitet komunikował się wprost z Warszawą za pośrednictwem mecenasa — tak adwokatów nazywają w Królestwie — Miłaszewicza czy Micha-

łowskiego, nie pomnę. Początkowy plan naszego komitetu był najpiękniejszy, bo zależał na tem, aby w jednym dniu i prawie o jednej godzinie we wszystkich miastach powiatowych wybuchło powstanie. Na ten cel z każdego powiatu siedział jeden obywatel w Wilnie, a na oznaczoną porę wybuchu każdy do swego powiatu zawiózłby wiadomość, nie mogliśmy bowiem jeszcze naznaczać dnia, bo czekaliśmy na to komunikacji z Warszawy. Tak urządzone jednocześnie wszędzie powstanie miało ten awantaż, że mała brygadka gen. Bartholomei, będąca na Żmudzi, nie mogłaby równocześnie być we wszystkich powiatach, a wojska moskiewskiego więcej na Litwie nie było. Nie zapominając też o innych prowincjach polskich, z grodzieńską, mińską, witebską i mohilewską gubernją zawiązywaliśmy stosunki; mińska i grodzieńska, dotrzymały nam, lecz witebska skrewiła, jak to mówią. Nie przez brak patriotyzmu, ale przez złe wyrozumowanie marszałka gubernskiego, Karnickiego, najgodniejszego zresztą człowieka i najlepszego Polaka, który rządząc się głębokim rozumem, którego mu ująć nie można, najlepsze chęci swoich współobywateli sparaliżował, sądząc, że powstanie się nie uda i że przez niemieszanie się do niczego od Syberji, prześladowania i więzienia rodaków obroni. Jakoż, będąc już wprzód zaatakowanym przez wojennego gubernatora witebskiego, Chowańskiego, aby się do niczego nie mieszał i obywatele wstrzymywał, dał słowo i uręczenie, że gubernja witebska cicho siedzieć będzie. Na odezwę wszakże naszą, nie chcąc opuścić zręczności być nam pomocnym, począł jeździć wszędzie, aby przygotować umysły do powstania, wyciągając wszakże na słowo honoru, że nikt nic bez jego zalecenia nie pocznie. Tym sposobem wychodził dobrze u patriotów, widzących w nim człowieka czynnego i ojczyźnie sprzyjającego, a niedozwalając im powstania, rząd wprawdzie zaspakajał, ale paraliżował powstanie witebskie, któreby może niezliczone przyniosło korzyści, bo za witebską, poszłaby i mohilewska gubernja, któraby znowu łączyła się z Małorusią, wyglądającą tylko na hasło rozpoczęcia. Tak to przy najlepszych chęciach najczęściej ludzie rozumni wielkie popełniają błędy. Nieraz bowiem zdarzało się, że w rewolucjach nie trzeba rozumować, ale, jak to mówią Francuzi: „il faut donner tête baissée dedans”,

bo rezonowania w rewolucjach najczęściej są chybne, żaden najgłębszy polityk najgłębszym swoim rozumem nie potrafi przewidzieć tego, co często los zrząda. Czy przewidział, na przykład, który z najgłębszych dyplomatów rewolucję we Francji, wprzód lipcową, a później 1848 roku, a za nią dalsze w Niemczech, Włoszech i Węgrzech? Mogli wprawdzie przewidywać oni nieukontentowanie i chęci do burzenia się, ale pewno żaden z nich nie przewidział tych zmian, jakie nastąpiły i jakie do dziś dnia przy istniejącej we Francji rzeczypospolitej się utrzymują.

Właśnie gdy o tem litewskim powstaniu ze ś. p. Karnickim na kilka miesięcy przed jego śmiercią rozmawialiśmy, powiedział mi: „A co, czy niedobrze zrobiłem, tak postępując? Byłaby i nasza gubernja tak nieszczęśliwa, jak wasza, i równie, jak u was, byłoby wiele osób sakryfikowanych?”

„Prawda,— rzekłem — bo rzeczy się nie udały, ale możeby się i bardzo udały, gdyby cała Białoruś i cała Małoruś, tylko tego wyglądająca, przyłączyły się do nas i czynnie działały. Nieprzewidzianeby stąd korzyści dla wspólnej sprawy mogły wyniknąć, a niepomyślności dla Rosji, której może zgubę by przyspieszyły. Wieleż bowiem Rosja wojsk miała wewnątrz kraju? Nic, bo wszystko było w Polsce. Niewyrachowane też żadnym rozumem korzyści i dla Polski by przyniosły te niespodziewane powstania. Jak się rzeczy nie powiodły, łącno mówić: „A dobrze zrobiliśmy”, ale gdyby się powiodły, coby rachuba rozumu powiedziała? a przecież najpewniejsze szanse były do pomyślnego zakończenia niewoli Ojczyzny! Powtarzam więc: w rewolucjach nie trzeba namysłu — trzeba tylko energii, entuzjazmu i dobrych chęci, a Bóg dobrej sprawie zawsze dopomoże”.

I ś. p. Karnicki, ten zacny obywatel i najlepszy Polak, aż nadto sam był później pewno przekonany, że źle postąpił, nie ufając rewolucji i powstaniom, ale przez miłość własną (a któż od niej wolny) zawsze twierdził, że można było przewidzieć niepomyślny koniec tej naszej rewolucji.

Może się i powtarzam, pisząc to, ale nie mogę nie wrócić, do tych fałszywych mniemań, że można w rewolucjach przewidzieć dobry lub zły koniec; i na poparcie tego, niech mi wolno będzie przypomnieć, czy ów tak mądry monarcha, Ludwik Filip, król francuski, i ta tak słynna z rozumu głowa



GEN. - GUB. MACIEJ CHRAPOWICKIJ

Guizota, albo więcej jeszcze słynniejsza dyplomatyka Metternicha przewidywała to, co się stało w Europie i jakie stąd wynikły skutki? Ludzie dobrej woli, niewiele przewidujący, pierwszy dali popęd, a resztę dopełniła nie dyplomatyczna rachuba, nie ogromne wojska, nie związki monarchów, ale potęga moralna, silniejsza nad wszystkie potęgi związków, rachubą skrępowanych. Tem śmieiej to powiadam, bo wiem z pewnością, że mohilewianie i małorosjanie czekali tylko chwili połączenia się z nami, zwłaszcza małorosjanie, w których duch odosobnienia się od Rosji ciągle trwał. Nie sądzono widać było u Boga, abyśmy się cieszyli wolnym bytem naszej ojczyzny, który jednak, kiedyś, kiedyś, zapomocą Tego Najwyższego Boga istnieć będzie. Nie traćmy więc nadziei, a zdawszy się na Wszechmocnego Stwórcę wszechrzeczy, może wkrótce dziękczynne Mu zanieśmy modły za swobodę Ojczyzny naszej, tak dotąd dręczonej przez obcych najeźdźców.

Tak tedy sparaliżowane powstanie białoruskie, nie podawszy ręki powiatowi lepelskiemu z tejże gubernji, w którym powstanie dosyć porządnie się wszczęło, wstrzymało powstanie mińskie, które, dowiedziawszy się od leplan, że reszta Białorusi nic nie działa, cofnęło się z leplanami ku powstaniu gubernji wileńskiej. Jak później i nasze powstania, pomimo entuzjazmu, poświęceń się i ofiar, na niczem spęzło, opisywać nie będę, bo i Spazier i Walerjan Pietkiewicz, w emigracji będący, i wielu innych obszernie pisało; więc do dalszych czynności naszego komitetu wracam. Jakiem to wyżej powiedział, plan nasz był dobry i łączny do wyegzekwowania, bo w jednym dniu, w jednej nawet godzinie, w każdym powiatowym mieście powstanie rokowało niechybną pomyślność i w dalszych czynnościach, które w powstaniu warszawskim nie małąby korzyść przyniosło.

Trzpiotalstwo wszakże dwóch młodych, lubo tęgich ludzi, wszystkie plany zniweczyło. Ci dwaj młodzi byli to: Grużewski z Kielm i Kalinowski, obaj z powiatu rosieńskiego, a mający być naczelnikami w Rosieniach, gdzie, pokłóciwszy się z pocztekspedytorem, zagorzałym Moskałem, który, wyszpiegowawszy ich kroki, odgródki robić im począł—niespokojni, aby się rzecz więcej nie wykryła, nie czekając

rozkazu z Wilna, dawszy hasło swoim, wpadli na odwach, inwalidną straż rozbroili i, pocztekspedytora powiesiwszy, dali o tem wraz znać do Szawel do Franciszka Szemiotha, aby ten również postąpił i im rękę podał, bo niedaleko Rosień będący generał rosyjski Bartholomei ze swoją brygadką nadciągał. Szemioth, taką otrzymawszy wiadomość, nie mógł zostawić braci bez pomocy, podobnie w Szawlach postąpił, dawszy znać Załuskiemu, a Załuski powiatowi wilkomierskiemu, i tak dalej. Tym sposobem powstania wybuchały co kilka dni w innym powiecie, bez związku, bez jedności, tak potrzebnej w podobnego rodzaju operacjach, a co dawało czas Moskałom cząstkowo i zkolei rozpraszać powstańców, kryjących się po lasach, niepokojąc wprawdzie Moskali, ale nie występując do bitwy, bo byli rozpiezchnięci. Tymczasem napróżno posyłałiśmy ustawnie do Warszawy, prosząc o instruktorów, dla uczenia manewrów najlepszej woli będących naszych powstańców, ale nic wojskowości nieznających.

Duchowieństwo nasze, wówczas gorliwsze, niż dziś, dla sprawy ojczyzny, samo na czele stawało, zachęcając lud do powstania. Ta gorliwość księży gniew wywołała Chrapowickiego, przyzwawszy przeto do siebie ks. biskupa Kłagiewicza, najlepszego Polaka, wielkiego wszakże tchórza, żądał od niego odezwy do księży, zabraniającej im mieszania się do powstań. Kłagiewicz, z którym oddawna w ścisłych byłem stosunkach, wiedząc, że posiadałem miłość i zaufanie ogółu ludności wileńskiej i powstańców i wiedząc ode mnie, że jego własni ludzie przychodzili mnie pytać, kiedy będzie pora wieszać biskupa, mając go za Moskala, dlatego że nie obronił w samych początkach rozstrzelanych z rozkazu Chrapowickiego trzech księży; Kłagiewicz, mówię, przyzwawszy mnie do siebie, radzi się, co robić? Mnie przyszła szczęśliwa myśl uwolnienia go od tej odezwy, któraby go jeszcze gorzej u patriotów potępiła, i poradziłem mu, aby odmówił Chrapowickiemu tej odezwy, dając powód, że najchętniejby to zrobił, ale lęka się gorzej popsuć tę sprawę, wiedząc z pewnością, że duchowieństwo nie ma żadnych dla niego uczuć za to, że nie obronił rozstrzelanych księży i że swą wczesną odezwą gorzej jeszcze umysły rozjątrzy. Pojął Chrapowicki słuszność tego odmówienia, a skonfundowany

przypomnieniem rozstrzelania księży, za których z Petersburga dostał nosa, więcej nie nalegał, a przez to i pocziwego biskupa od większych na niego krzyków oswobodził. Nieraz też później biskup dziękował mi za dobrą radę.

Tymczasem powstania żmudzkie posuwały się ku Wilnu. Już zawilejski, brasławski, dziśnieński, wilejski i wileński powiaty też powstawały i groziły Wilnu. Chrapowicki drżał w swojej moskiewskiej skórze, odważny tylko do rozstrzelań i innych gwałtownych egzekucyj, bo patrol Konstantego Parczewskiego zbliżały się aż pod przedmieście antokolskie i młodź akademicka gwałtownie się burzyła, czekając na rozkaz zaczęcia walki, której celem był napad na arsenał i uwięzienie wszystkich władz. Lecz, zdobywszy arsenał i Wilno, trzeba było doświadczonego komendanta, którego nam właśnie brakło. Na mnie ten ciężar chciano, jako na dawniejszego wojaka, zwalić, ale nie czując się zdolnym, odmówiłem i zaproponowałem Chodźkę, młodego inżyniera, przy generale Tennerze w Wilnie będącego. Młody to wprowadzie chłopczyk, o niepoczesnej minie, w randze tylko porucznika, ale dobry Polak i syn Jana Chodźki, prezydenta, więzionego dwa razy za polityczne sprawy, a który lubo tylko porucznik, jako inżynier obowiązany był znać i znał komendy pułkownicze, generalskie a nawet korpusowe, bo do tego ich wkładano. Za zgodzeniem się ogólnem naszego komitetu na ten wybór, pobiegłem do Chodźki z tą propozycją. Przyjął ją, zaklinając wszakże o sekret i ostrożność.

Przez kilka dni układało się wszystko w cichości, młodzież tylko, burzliwa i niedowierzająca, ciągle wypytywała kto niemi dowodzić będzie. Nareszcie pewnego dnia wchodzi do mnie młody człowiek, zaanonsowany przez kamerdynera, jako szlachcic z wywodowemi papierami, bo będąc marszałkiem gubernskim przydowałem w Deputacji wywodowej. Młodzieniec ten ze zwojem papierów w ręku, obejrzawszy się dokoła, czy jesteśmy sami, cicho rzecze do mnie — na potwierdzającą moją odpowiedź — „Panie marszałku, czas zaczynać, młodzieży dłużej niepodobna wstrzymać! Ja jestem Wincenty Pol, naczelnik tej młodzieży. Nie ociągajcie się panowie i zaczynajcie na miłość Boga!”. To mówiąc, łzy mu się z oczu toczyły. Później, w 1856 roku, dowiedziałem się od szwagra i szwagierki

mojej, Napoleonostwa Mirskich, że Pol, poeta z którym się w Krakowie poznali, był to ten sam młodzik, który o mnie ich wypytywał. Zdziwiony mową człowieka mi nieznanego, sądząc, że może szpieg, ofuknąłem się na niego, prosząc, aby mi głupstw nie gadał i wyszedł, jeśli nie chce, abym go przytrzymał i do policji odesłał. Ale on, ukłękawszy i łzy lejając, rzekł: „Bierzesz mnie za jakiegoś łotra i szpiega. Masz rację, w teraźniejszych czasach trzeba być ostrożnym, ale czas drogi. Nie pomyślałem o tem — znasz, marszałku, pana Jochera — to mój krewny, dobry Polak, spytaj go o mnie, a ja jutro rano przyjdę po odpowiedź”.

Pobiegłem wraz do Jochera, dobrze mi oddawna znajomego, a powziąwszy zaręczenie, że śmiało z Polem mówić można, nie chcąc na siebie jednego nic brać, zwołałem na dzień jutrzejszy kolegów, na godzinę 10 rano, na którą i Pol miał przybyć. Akuratnie się też jawił, a wyliczywszy nam swoje siły, do 2000 młodzieży wynoszące, otrzymał od nas zapewnienie, że lada dzień Wilno powstanie, że on o dniu będzie zawiadomiony i że młodzieżą i mieszkańcami wileńskimi, bo i ci byli w stosunkach z nami, komenderować będzie Chodźko, zalecając mu jaknajwiększy sekret, nawet przed młodzieżą, której lękając się płochości, nazwiska jego wyjawić nie pozwoliliśmy. Pol na wszystko przystał, prosząc o pozwolenie zakomunikowania nazwiska komendanta tylko dwom starszym, wspólną z nim władzę mającym. Nie znalazłszy nic przeciwnego, zgodziliśmy się i na to i dalsze nasze projekty poczęliśmy już w przytomności Pola układać; ale, jak to zwyczaj bywa nietylko u nas Polaków, ale i w innych narodach, wiele gadaliśmy, a mało stanowiliśmy. Mój czas był drogi, niecierpliwiłem się, a trzymając w ręku tabakierkę, przedstawiającą w pięknym malowidle: Tella, Stauffachera i Melchthala, sprzysięgających się przy świetle księżyca na oswobodzenie ojczyzny, „Patrzcie — rzekłem — oto zgórą pięć wieków temu trzech dobrej woli prostych ludzi sprzysięgło się i dokazało swego, a my tyle gawędzimy, a na niczem jeszcze nie stanęliśmy”. Przemówiło to do kolegów i, stanawszy na pewnych punktach, rozeszliśmy się. Tabakierka ta w 1832 roku będzie miała nową wzmiankę.

Po rozejściu się naszym ledwo 24 godzin spęzło, gdy

wpada do mnie Chodźko, wybladły i zasmucony. „Zgubiłeś mię — rzeczce — przed godziną wyszedłem z domu i ulicami przechodząc, mało 50 akademików, ciągle mię czapkujących i na ucho mówiących: „komendanta naszego witamy”, spotkałem”. Staralem się go uspokoić, lubo niewiele tej spokojności i we mnie było; a nazajutrz dowiedziałem się, że nagle w nocy kazano Chodźce, nie tracąc chwili, jechać na Kaukaz, gdzie mu „komenderówkę” jakąś dano, co Tennera, który go bardzo lubił, mocno zmartwiło i powiedział mu, że są silne na niego podejrzenia stosunków z patrijotami. Tak więc przez lekkomyślność młodzieży, straciliśmy komendanta, zwróciliśmy uwagę i baczność władz, a młodzież, nie widząc nadziei walczenia w Wilnie, po kilkunastu codzień zmykała do powstania, z czego się Chrapowicki cieszył, bo spokojniejszy był o Wilno. I komitet nasz się rozprzągł, bo Gorecki i Zambrzycki, lękając się być wykrytymi, a mówiąc, że użyteczniejszymi będą w powstaniu, też do niego się udali. Ja wszakże, jak ci starzy grenadjery z gwardji cesarskiej, którzy mówili, „że gwardja umiera, ale się nie poddaje”, ja, mówię, pozostałem na mojem stanowisku, oczekując dalszych wypadków. Nieustanne wszakże z Chrapowickim turbulencje miałem.

W kilka tygodni po wyjściu akademików, gdy coraz bliżej pod Wilno podchodziło powstanie, niektórzy przebrani, za włościan, niby udający się na targi z drzewem lub innemi produktami, przyjeżdżali dla widzenia się ze mną i na ulicy wprost zagabując, prosili o kupienie drzewa, mówiąc, kto są i czego chcą; gdy, mówię, coraz bardziej zbliżało się powstanie i gdy Chrapowicki coraz więcej przekonywał się o nieżyłości miasta dla Moskwy, ze strachu wydaje drukowaną odezwę (którą długo u siebie przechowywałem, ale później gdzieś zaginęła), w której bez żadnego sensu grozi mieszkańcom. Z powodu dającej się jakoby zauważyć niechęci u wielu dla prawego rządu i z powodu stosunków, jakie wie, że egzystują z powstańcami, ogłasza, że za najmniejszym przez niego dostrzeżonym ruchem na ulicach, z góry Zamkowej miasto każe bombardować i że każdy człowiek, spotkany na ulicy, jako wróg traktowany będzie.

Nic nie wiedząc o tej, tak mądrej odezwie, rano przez policję rozrzuconej, siedzę spokojnie u siebie, aż tu o godzinie

9-tej rano wpada do mnie wojewoda Pusłowski, dobrze z Chrapowickim będący, i mówi: „Waćpan siedzisz spokojnie, a tu w mieście niejedna mdleje, niejedna łyzy roni, przerażenie powszechne, a to skutkiem tego druku. Wszak to grozi miastu i mieszkańcom”. — „A cóż ja na to poradzę?” — rzekłem. — „Oto jedź waćpan — odpowiada — do Chrapowickiego i proś go, aby cofnął ten głupi druk”. — „Kiedyż on mnie niecierpi — rzekłem — i nie posłucha. I czy nie lepiejby było, aby wszystkie stany miasta do niego pojechały, prosząc, aby nie fiksował?” — „Dobrze mówisz” — odrzekł. A więc napisałem bilecik do adjutanta, aby prosił generała o posłuchanie dla mnie ze znaczniejszymi obywatelami miasta. Otrzymawszy odpowiedź, że na godzinę 12 czeka nas Wojenny, posłałem do tych obywateli zawiadomienie, skutkiem którego to zawiadomienia, gdyśmy się wszyscy zebrali u mnie, pojechalśmy do Wojennego, który ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, przyjął nas *en grande tenue*, otoczony wielu generałami. My zaś, zapomniawszy nawet o mundurach, byliśmy tylko we frakach, co Chrapowickiego znowu rozgniewało, bo chciał jakoś tej audjencji nadać urzędowy, uroczysty charakter. Dlatego zaraz zgóry zapytał po rosyjsku: „W jakiej sprawie, panowie?” Ja mu na to po francusku tylko co zacząłem mówić, a on w furji, przerywając rzeczy (po rosyjsku): „Kiedy się przychodzi w urzędowej sprawie, obowiązkiem panów jest mówić po rosyjsku i być w mundurach”. Ja mu znowu na to po francusku: „Ależ pan generał wie dobrze, że ja po rosyjsku nie mówię”; a on, jeszcze bardziej rozjuszony, znów powtórzył, żeby mówić po rosyjsku. Obok mnie stał Pusłowski, więc obracając się do niego, powiadam po polsku: „Pan marszałek mówisz po rosyjsku, a więc wytłumacz pan generałowi nasze żądania”. To rzekłszy, cofnąłem się aż pod okno. Wściekał się na mnie Chrapowicki, ale wysłuchawszy Pusłowskiego, rzekł: „Co napisałem, to napisałem, jak to Piłat powiedział”, a skłoniwszy głowę wyszedł, odprawiwszy nas z niczem.

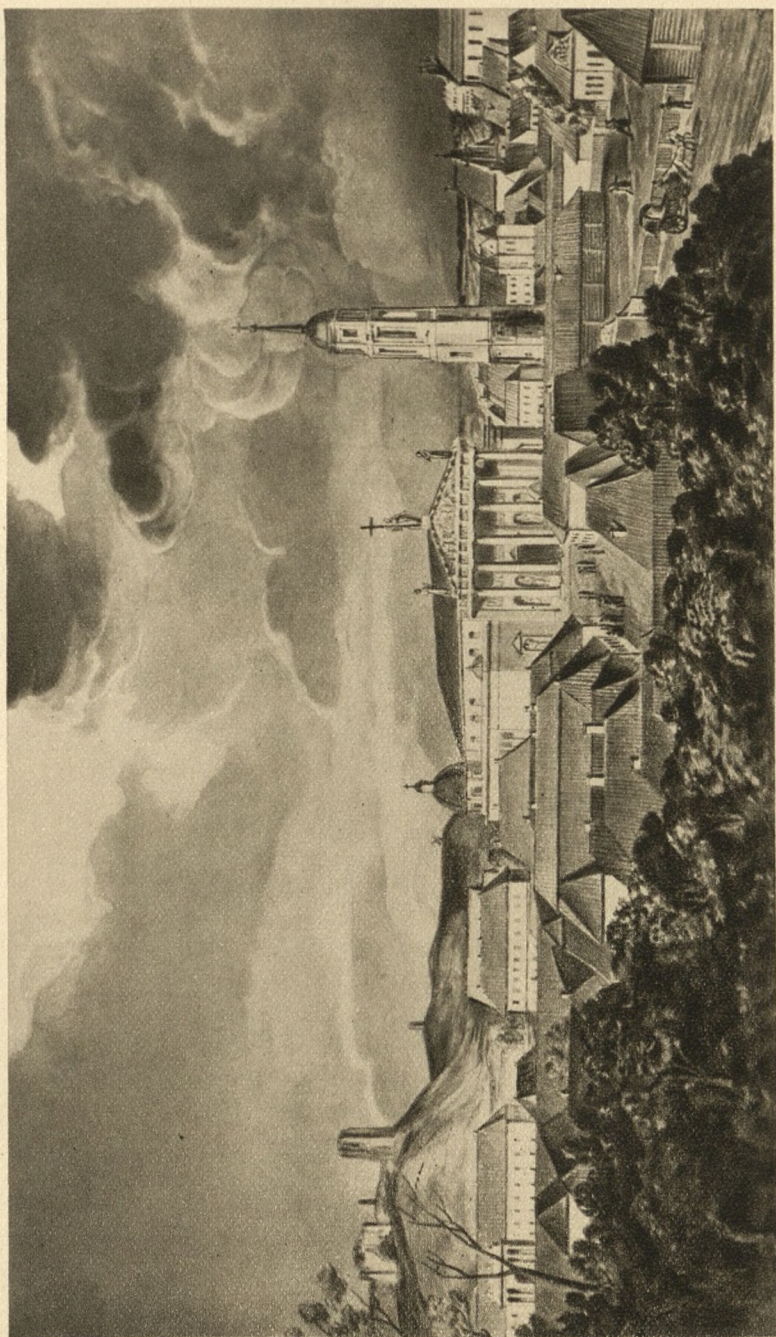
Nazajutrz rano wpada do mnie policmajster, oznajmiając, że pan generał prosi wszystkich panów, którzy wczoraj u niego byli, aby dzisiaj do niego przyszli w mundurach. Znowu więc rozesłałem zawiadomienia i znowu w tym samym porządku udaliśmy się do niego. Tym razem chytry Moskwicin

przyjął nas z łagodniejszą miną, bo nas potrzebował, spuścił więc z tonu, a zwracając się do mnie po francusku, rzekł: „Może panowie nie wiecie (ja od trzech dni to wiedziałem), że generał buntowników, Chłapowski, przedarłszy się przez tyły naszej armji, z garstką awanturników i kilkoma armatkami idzie przez Lidę na Wilno, gdzie sądzi pewno znaleźć (tu wlepił we mnie oczy) partyzantów. Ale ja zapowiadam panom, że mam siły dostateczne do obrony miasta i do utrzymania go w karchach (i to bajka) i że najmniejsza przychylność, okazana Chłapowskiemu, wywoła ruinę tego miasta, którego bym żałował. Mam bowiem podkopane miny pod arsenałem, pod św. Kazimierzem (i to była bajka) i w wielu innych miejscach, które każę podpalić, wysadzając w powietrze miasto. Sam z walecznym moim wojskiem zginę, ale z honorem”. Zamilkł po tej tyradzie i my również milczeliśmy, myśląc, do czego on dąży. Widząc, że milczymy (bo i cóż można było mówić?) rzecze: „Panowie nie odpowiadają?” a zwracając się do mnie: „A waćpana głowa, tak zawsze obfita w projekty, nic mu nie radzi?” — „Nic, Ekscelencjo, jeśli nie to, by prosić Ekscelencję, by nie poświęcał biednego miasta i w niczem niewinnych jego mieszkańców”. — „Jakże go nie poświęcić, — odrzekł — jeśli ja jestem przekonany, że wy wszyscy, jak tu jesteście, oczekujecie z niecierpliwością przybycia tego awanturnika. Byłby jednak sposób uniknięcia smutnego losu, jaki was czeka, a to uproszenie mnie, bym wam pozwolił na wysłanie deputacji wszystkich stanów miasta do generała Chłapowskiego z prośbą, by odwrócił swój marsz na Wilno, któremu w przeciwnym razie grozi tak smutny los. Mogę dać tej deputacji przyzwoitą eskortę, na której czele stanie jeden z moich adjutantów”. Oho, pomyślałem, to łapka na nas i kiedyś to nam bokiem wyjść może. Dlatego nie wahając się odpowiedziałem: „Ależ generał Chłapowski maszeruje na Wilno na skutek, bez wątpienia, rozkazu swych wyższych władz, rozkazu, który musi dokładnie wykonać pod rygorem subordynacji wojskowej, i obawiam się, że nie będzie sobie wiele robił z naszej deputacji”. — „Oh, spodziewałem się podobnej odpowiedzi, — odpowiedział rozdąsany — pan jest zawsze nieżyczliwy, zawsze pierwszy do nieposłuszeństwa”. Tu mu przerwałem, mówiąc: „Zresztą to pierwsza myśl, która

mi przysła do głowy. Zobaczymy, co powiedzą ci panowie, tutaj zebrani. Trzeba się ich poradzić co do tego”. — „To jest rozsądnie powiedziane, — odrzekł — idźcie, idźcie i przynieście mi rezultat waszych narad na piśmie, z wymienieniem osób, które zostaną mianowane przez was do tej deputacji”. Zwróciwszy się więc do księdza biskupa, rzekłem: „Może Pasterz pozwoli, jako tu naprzeciw mieszkający, abyśmy się u niego zebrali i uradzili”. Zgodzili się wszyscy na to. Po wyjściu zaraz na schodach, Pusłowski i kilka innych osób powiedziało mi: „Jeśli ma być deputacja, to ty, Szumski, na czele jej pojedziesz, bo przynajmniej głupstwo żadne się nie popełni”.

Uśmiechnęła mi się ta myśl, bo, osobiście znając jeszcze z 1812 roku Chłapowskiego, mógłbym mu choć na migi dać poznać realne Litwy i Wilna uczucia — mówię na migi, bo Chrapowicki, dodając adjutanta, szpiega nam dodawał.

Skorośmy weszli do biskupa, wnet się rozmaite okazały zdania. Ja tylko zgóry powiedziałem: „Panowie, rozważmy dobrze ten projekt i nie postępujmy lekkomyślnie. Trzeba się dobrze zastanowić nad pismem, jakie dać mamy, żebyśmy czasem nie wpadli w pułapkę”. Po wielu więc debatach, ułożono po rosyjsku pismo, które pisał Chudorowski, wówczas sekretarz marszałkowski. W tem piśmie, nieprzyjętem przez Chrapowickiego, a które w kopji do dziś dnia u siebie chowam, tak było napisane: „My, niżej podpisani, a zebrani dnia 13 maja przez J. W. Chrapowickiego, mieliśmy sobie przez niego oznajmione, że generał Chłapowski, przedarłszy się przez tyły armji rosyjskiej, maszeruje na Wilno dla podburzenia widocznie mieszkańców przeciw naszej władzy, przez co stawia J. W. Wojennego w determinacji wysadzenia raczej w powietrze miasta, jak na poddanie onego; oświadczył nam też J. W. Wojenny, że dobrzebyśmy zrobili, posyłając do generała Chłapowskiego deputację od wszystkich stanów, błagając go o odwrócenie swych kroków od Wilna, mogącego być obróconym w perzynę. Do tej deputacji przedstawiamy J. W. Chrapowickiemu: od obywatelstwa — zastępcę marszałka gubernskiego Stanisława Szumskiego, w asystencji J. W. W.: Łappy, radcy stanu, i Michała hr. Tyszkiewicza; od duchowieństwa — księdza prałata Borowskiego; od uniwersytetu —



KATEDRA WILEŃSKA OD FRONTU

J. W. Śniadeckiego i od miasta — głowę miasta W. Nowackiego”. Tu następują podpisy wszystkich zebranych u księdza biskupa, u którego zostawiwszy kolegów, sam z tym papierem do Chrapowickiego pobiegłem.

Sądziłem, że wścieknie się ze złości po przeczytaniu go; zgniótł, poszarpał papier i cisnął mi go pod nogi, największe mi mówiąc niegrzeczności i żądając innego pisma.—„Jakiegoż pan generał żąda — pytam — pisma?” — „Jakto? Pan mnie o to pytasz? — rzekł. — Czyż Pan nie widzisz, że tem pismem kompromitujecie mnie? Poco mówić w niem, że ja panom podałem ideę deputacji. Trzeba było powiedzieć, że przerażeni mojami pogroźkami wysadzenia miasta, przybiegliście błagać mnie o pozwolenie na tę deputację”. Oczywiście wiedziałem teraz to, czego się domyślałem. On chciał być czystym w oczach cesarza i rad byłby wystąpić z Wilna, a nie mógł tego zrobić bez rozkazu. Na nas więc, na naleganie i pogroźki nasze śmiałoby wszystko złożyć, mając wytłumaczenie, że był do tego zmuszony, widząc Chłapowskiego, ze znacznymi ciągnącego siłami, i całą ludność wileńską gotową wspólnie z Chłapowskim w pień wyciąć wszystkich Moskali. Wnet więc ułożywszy plan postępowania, odpowiedziałem Chrapowickiemu, że zakomunikuję kolegom jego słowa, a wyszedłszy, pobiegłem znowu do oczekujących mnie. Podawszy im treść pisma, jakiego żąda Wojenny, i widząc, że wielu skłaniało się do napisania tego, czego on żądał, rzekłem: „*Graeca fides, nulla fides*, papieru innego nie dawajmy. Nie chce tego, innego nie dostanie, a miasta nie wysadzi, bo min nigdzie niema, to są czcze pogroźki”. Widząc wszakże, że wielu zgadza się na danie żadanego pisma, przyszło mi na myśl, że ja, jako urzędnik, podwładny Wojennego, nie mam nawet prawa wchodzić z żadnymi propozycjami, a powinienem tylko spełniać rozkazy na piśmie za numerem mi danym i za numerem odpisywać. Rzekłem więc: „Kiedy pan generał da mi, jako marszałkowi, jakie pismo za numerem, to mu na nie odpiszę, a od siebie nic nie dam, i nie znajduję nawet potrzeby tu czas napróżno tracić. Panowie zaś tu zebrani macie prawo pisać, co wam się podoba”. I z tem poszedłem do Wojennego, zostawiając kolegom wolność robienia, co się im podoba.

Wojenny bardziej jeszcze wściekać się począł, gdym mu moje ultimatum, moskiewskiego prawdziwie kruczka, przedłożył: „Ah! Nie chcesz mi pan dać takiego pisma? Ja pana jednak zmuszę do tego, a jeśli nie dasz, to wraz wyszlę pana wgląb Rosji. Znam pana dobrze! A słowa pańskie *graeca fides*, które pan przed kolegami wypowiedział? Pan uważa siebie za nieprzeniknionego, ale ja znam wszystko, słyszy pan? wszystkie pańskie machinacje i przestrzegam pana, że żartować nie umiem”. — „Rób pan, co chcesz, generale” — rzekłem i wyszedłem od niego, zastanawiając się skąd Chrapowicki już wiedział o moim *graeca fides*, i to tak prędko. Któryś, z naszych, mówiono nawet, że Abramowicz, mu to doniósł, bo wymknął się wcześniej w czasie naszej sesji.

Niespokojny wszakże Chrapowicki nasadził na mnie Obreskowa, który po przyjacielsku perswadował mi, abym się na próżno nie upierał. Ale byłem nieugięty i dobrze się stało, że tak postąpiłem, bo kiedy później, po wywiezieniu biskupa ze Smoleńska do Jarosławia, stamtąd do Petersburga przyjechać mu kazano, został on wezwany do cesarza, który po innych konferencjach, jakie z nim miał, zapytał go o deputację do Chłapowskiego, dobrze już widać o niej poinformowany: „Jak się nazywał ten marszałek, który miał dobry węch, odmawiając zgody na tę deputację?” — „Szumski” — odpowiedział biskup. — „Proszę mi opowiedzieć szczegóły tej całej sprawy”. I tu biskup, jak mi sam później mówił, opowiedział carowi całą rzecz. „Miał nosa, miał nosa”, powtórzył car. I podobno czy nie skutkiem tej to deputacji Chrapowicki utracił wojenne gubernatorstwo wileńskie wtenczas właśnie, kiedy już nic do lękania się nie było.

Kilka dni po tej utarczce, nie bywając już wcale u Chrapowickiego, zajmowałem się sprawami marszałkowskimi. Tymczasem Giełgud pod Wilno podchodził. Należało się z nim skomunikować, ale było trudno. Postanowiliśmy więc my, pozostali komitetowi, posłać do niego panią Pawłową Łopacińską, z domu Wołłowiczównę, dobrą bardzo kobietę i patriotkę, zwłaszcza, że po Tyszkiewiczach była Giełguda krewną. A że to była kobieta bardzo biedna, daliśmy więc jej 30 rubli na najęcie sobie podwozy, na której i pojechała do Lukoń Kossakowskiego, gdzie Giełgud, Bóg wie poco,

siedział. Łopacińska wróciła, najgorzej się o nim wyrażając, i stąd to poszła absurdalna plotka, że pani Łopacińska, Moriconi z domu, a matka mojego teraz zięcia, jeździła do Giełguda z pieniędzmi od Wojennego. Tak często u nas wiedzą, że dzwonią, ale nie wiedzą gdzie, i kota do góry nogami przewracają.

W tymże czasie wypadła i dla mnie nowa awanturka, w które życie moje było obfite. Zostawiając Giełguda na potem, nową opowiadam historję.

Po powstaniu w Warszawie, kiedy zasekwestrowano majątki na Litwie i pałac w Wilnie generała Paca, trochę ze mną spowinowaconego, burgrabia tego pałacu, Bieliński, przyjęty przez samego Paca na dwa miesiące przed powstaniem, gdy Pac był w Wilnie, i osobiście mi przez Paca polecony, jako pocziwy i wierny od lat dwudziestu sługa, który z nim wszędzie jeździł zagranicę, przybiega prosić mnie o administrację tego pałacu, obiecując mi, że będzie chronić od roztrwonienia dobro generała. Ponieważ do marszałka wileńskiego należało naznaczenie administratora, więc go też nazaczyłem. W pałacu Paca mieszkali na trzecim piętrze Salmonowiczowie, prokuratorowie Komisji Radziwiłłowskiej i widocznie źle żyli z Bielińskim. Sidorowicz, adwokat, protegujący Salmonowicza, przychodzi do mnie, tłumacząc, żebym odebrał Bielińskiemu administrację, a dał Salmonowiczowi, człowiekowi z odpowiednim majątkiem, podczas kiedy Bieliński nic nie posiadał, co się sprzeciwia nawet zasadom Opieki Szlacheckiej, w której imieniu dałem mu administrację, i że jeszcze będę musiał odpowiadać za niego własnym majątkiem. Dodał jeszcze i to, że ten Bieliński ma powszechnie opinię szpiega Wojennego i policmajstra.

Te wszystkie przedłożenia wziąwszy pod uwagę, odebrałem od Bielińskiego administrację, a dałem Salmonowiczowi. Bieliński przybiegł, żaląc się i odwołując do przyjaźni mojej z Pacem, który napewno nie będzie z tego zadowolony. Już straciłem od kilku tygodni z oczu Bielińskiego, gdy na kilka dni przed bitwą Giełguda pod Ponarami zjawia się znowu do mnie, mówiąc: „Pan marszałek mi nie wierzy, podejrzewa, a jednak ja mam zachowanie u wszystkich ważniejszych powstańców, od których wczoraj wróciłem,

i którzy, jako to Załuski, Parczewski, Radziszewski, Szemioth, etc. bardzo się panu kłaniają”. — „Idź ty do diabła — rzekłem — ze swoim powstaniem, ja go i znać nie chcę”. „Nieprawda, — rzecze — pan dobry patryjota, ja pana znam, ale z łaski pana o mało co mię nie powieszono”. — „Co ty pleciesz?” — rzekłem. — „Posłuchaj tylko, panie, — dalej ciągnąc, mówił — wyszedłszy z Wilna, przybyłem do obozu powstańców, gdzie zastałem siedzących u stołu wielu pańskich przyjaciół. Pan pułk. Radziszewski, spostrzegłszy mnie, „Bielińsio” z radością krzyknął, a jawszy mnie o Wilno wypytywać, zarekomendował innym i do stołu sięść kazał. Bo wiadomo panu, że u Radziszewskich byłem zawsze jak domowy, z tego powodu, że żona moja, akuszerka, wszystkie ich dzieci przyjmowała. Wtem wchodzi do sali wąsaty jakiś jegomość z raportem do hr. Załuskiego, a spostrzegłszy mnie, wyjął papierek z pugilaresu i spytał hrabiego, czy nie Bieliński jestem? On, odpowiedział Załuski. A więc powiesić go potrzeba, panie hrabio, rzekł, bo to szpieg i Szumski przysłał z Wilna rozkaz, aby był powieszony. Szczęściem Radziszewski mnie na porękę wziął i oto tu wróciłem”. Można sobie wyobrazić moje zdumienie na to opowiadanie Bielińskiego. Ofuknąłem go więc i krzyknąłem: „Precz stąd, łotrze, ja żadnych z powstańcami stosunków nie miałem i mieć nie chcę”. — „Nie taj się pan — rzecze — ze swoimi patryjotycznymi uczuciami, bo i ja dobry Polak, a że Moskali durzę, to tego potrzeba, bo inaczej nie byłbym w powstaniu, któremu ważne zaniósłem wiadomości”. Przepędziłem go, wszakże nieco niespokojny, nie żebym posyłał rozkaz powieszenia go, ale że często dawałem znać, by się strzec tego lub owego. Tu zaś nadużyto mojego imienia, i w powstaniu i w Wilnie bardzo popularnego.

Dobrze jednak pomyślawszy, kazałem założyć konie i pojechałem do policmajstra, z którym dobrze żyłem, i opowiedziałem mu widzenie się moje z Bielińskim, dodając, że ponieważ często go widuję u pułkownika, lękam się, czy nie na wyciągacza do mnie przychodzi z gawędami, niemającemi sensu, gdyż nie jestem w stosunkach z powstańcami. Dlatego proszę pułkownika, by pamiętał, co mu komunikuję, a nawet chcę być u Wojennego w tej samej sprawie, bo nie życzę sobie, aby na mnie padało niesłuszne podejrzenie porozumiewania

się z powstańcami. „Bądź spokojny,—rzecze Rutkowski—i daj mi słowo, że nic o tem Wojennemu nie powiesz, a ja honorem ręczę, że ta cała sprawa między nami zostanie”.

Zdziwiło mnie to szczególniejsze protegowanie Bielińskiego, ale byłem spokojny, uprzedziwszy pułkownika. W kilka dni potem, Chrapowicki, ciągle mnie, widać, w podejrzeniu mając, jednej nocy porwać kazał mnie, marszałka Gorskiego, który był wrócił ze Żmudzi za giejtem Pahlana, Wojennego ryskiego, który Żmudź pacyfikował, i Napoleona Mirskiego. Wsadziwszy każdego z nas oddzielnie do kibitki i dawszy każdemu po żandarmie i dwudziestu pięciu czerkiesów w eskorcie, odesłano nas pocztą do Mińska, zmieniając na każdej stacji konwój czerkiesów. W Mińsku, przed domem komendanta trzymano nas dwie godziny na upale w zasznurowanych kibitkach, aby nas nikt nie widział, a po upływie tych dwóch godzin ktoś przyjechał i krzyknął: „Wieść do więzienia”. Tam nas, zawsze każdego oddzielnie, w osobnej celi umieszczono, i tak trzy dni trzymano, poczem zawieziono na badanie do gubernatora Drebusza, u którego znajdował się już wielki inkwizytor Murawjew, łotr ostatni, który sam za polityczne sprawy, 14-go grudnia 1825 roku, siedział w więzieniu, poczuł skruczę, otrzymał pardon i innych potem dręczył.

Krótko wprowadzie byłem na tem badaniu, bo niebardzo miał o co pytać. Wreszcie zapytał mnie, czy znam Aleksandra Łopacińskiego? Nie wyparłem się tej znajomości. „A poco on do Wilna przyjeżdżał?” — „Nie wiem”. „A przecież u pana bywał”. „Bywał jako dawny znajomy”. Choć prawdę mówiąc, przyjeżdżał do naszego komitetu dla ułożenia się o powstanie dziśnieńskie, i to wszystko pewien młodzik, Bogucki, znający te stosunki, przez słabość charakteru, nie przez złe serce, wypaplał. Ale kontynuuję badanie. „Jakże pan nie chcesz przyznać się, że przyjeżdżał do pana układać się o powstanie dziśnieńskie, kiedy oto jego zeznanie (pokazuje mi plik papierów), w którym on to wszystko mówi”. — „Fałsz największy,—rzekłem — niech mi to w oczy powie”. Notabene nie wiedziałem, że Murawjew nie ma go w ręku i że tylko opierając się na opowiadaniach Boguckiego, pytał.—„Wszystko coś pan powiedział, podpiszesz pan, poddając się surowości

praw, jeśli się okaże fałszem”. — „Podpiszę, bo mam sumienie czyste”. (Według stanu wojennego prawo to było takie, że jeżeli podpisane badanie okazało się potem nieprawdziwe, wówczas podpisujący sam na siebie wydawał wyrok na rozstrzelanie, już bez żadnego dalszego sądu).

Po podpisaniu pytań i odpowiedzi, znowu mnie do turmy odprowadzono, gdzie jeszcze trzy dni nas przetrzymano. Czwartego dnia, zawsze w nocy (bo Moskał, jak sowa, we dnie nic nie znaczy i nic robić nie umie), obudzono mię nagle i kazano się ubierać. Zapytałem oficera żandarmskiego, któregom spostrzegł między innemi oprawcami, dokąd mnie wieźć mają, „Nie martwcie się, — odpowiedział — pojedziecie wszyscy trzej razem, jak młodzi podróżnicy, do Smoleńska”. Bóg wie za co i poco! Bez dowiedzenia nawet winy, — taka to ich psia sprawiedliwość.

W Smoleńsku zastaliśmy już naszego biskupa Kłągiewicza, którego też z Wilna wywieźli z żandarmem, ale we własnym koczku, pozwalając mu mieć kucharza i lokaja wówczas, kiedy nam nic brać nie pozwolono, i dopiero aż do Smoleńska rzeczy nasze i pieniądze na życie z Wilna przysłano. A i te pieniądze jeszcze były u gubernatora, który nam po kilkanaście rubli tylko dawał. W Smoleńsku byliśmy zgórą trzy miesiące i nieźle się nam tam działo. Wtem przyszło do biskupa polecenie, aby się wytłumaczył ze skargi, jaką zaniósł do Chrapowickiego na sławnego rzezią oszmiańską Wiersilina, który w kościele, wyrzynając ludzi, rabował potem patyny, kielichy i inne kościelne przedmioty, które jego kozacy na rynku w Wilnie sprzedawali. Przysłano mu z Wilna zapytania, radząc, aby jak najogłędniej odpowiedział, żeby nie narazić sobie Chrapowickiego. Car bowiem, nie chcąc ściągnąć na siebie plamy rzezi oszmiańskiej, składał wszystko na Wojennego, który wyprawił tam Wiersilina, a minister, z rozkazu cesarza wprowadzie, żądał zeznań od biskupa, skarżącego się na to świętokradztwo. Biskup, przelekniony, pyta mię, co tu robić? „Prawdę, rzekłem, pisać, bo dajmy nato nawet, że się ta prawda nie podoba, zawsze księdzu biskupowi nic się nie stanie. Powiozą najwyżej dalej, ale zawsze ze wszelką czcią, należną wysokiemu kapłanowi”. Posłuchał mnie biskup i dał odpowiedź potępiającą i Chra-

powickiego i Wiersilina. Prawda, że w trzy tygodnie potem kazano mu jechać do Jarosławia, ale i tam jaknajlepiej był traktowany i szanowany, a po skończonej wojnie polskiej, wezwany do Petersburga, skąd gwiazdą udekorowany wrócił znowu do Wilna.

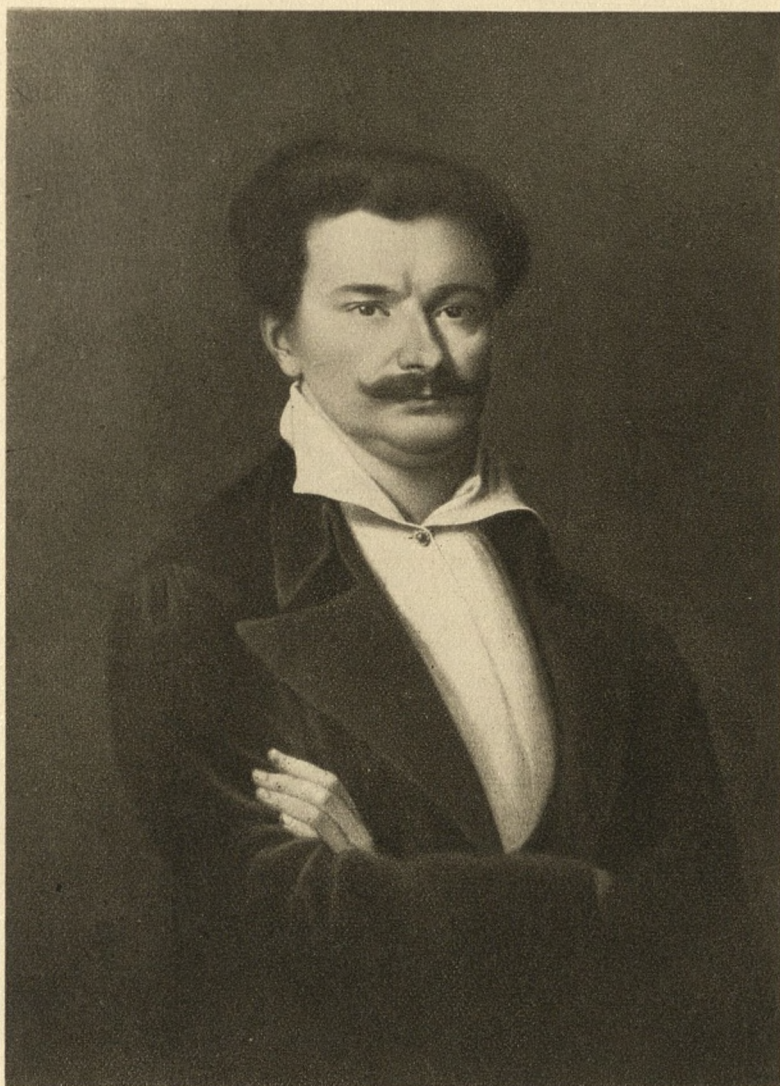
Skutkiem starań Mirskiej, mojej teściowej, przez generała Dobre, pocziwego staruszka, szefa sztabu armii rezerwowej grafa Tołstoja, u tegoż Tołstoja, wkrótce nastąpiło nasze uwolnienie. Nie zwlekając więc długo, wyruszyliśmy z Napoleonem Mirskim do Wilna, zostawiając Gorskiego, któremu powrót nie był jeszcze dozwolony.

Wkrótce po powrocie naszym do Wilna, Chrapowicki został usunięty, a na jego miejsceznaczony został Dołhowski, tłuste sadło, jedzące i pijące. Miał on wszakże czasem swoje dobre strony, jednak wiele złego dla Litwy zrobił. On to bowiem pierwszy, wchodząc w myśl carską, dekatolizował nas, depolonizował, demoralizował i rujnował, do zbytków przynaglając i kobiety polskie bałamucąc, a obywateli do cerkwi chodzić na nabożeństwa urzędowe zmuszając i ten język barbarzyński coraz więcej wprowadzając.

III.

Tu nastąpiła w życiu mojem, dotąd obfitem w wypadki, kilkoletnia przerwa, aż do roku 1838, do wzięcia Konarskiego. Okres ten upływał cicho i bez żadnych wydarzeń. Za powrotem wszakże ze Smoleńska, miał miejsce jeden fakt, którego nie mogę pominąć.

Siedział w Wilnie w więzieniu, w łańcuchy okuty, Porfiry Ważyński, dość zamożny obywatel, hulaka i gracz w karty. Trzymał on trzy stacje pocztowe od Wilna do Oszmiany. Stacje takie były pod zawiadywaniem marszałków, którzy dawali świadectwa dzierżawcom pocztowym na pobieranie z Izby Skarbowej pieniędzy, przypadających im za świadczenia, nie inaczej wszakże, jak po zrewidowaniu stacyj, czy są w należyтым stanie. W czasie powstania na Żmudzi, Ważyński zgrawszy się w karty, potrzebował pieniędzy, należnych mu za pocztę, a z wydaniem których wstrzymywałem się, wiedząc, że stacje jego nie są w zbyt dobrym porządku. Pewnego wszakże dnia, kiedy powstanie coraz więcej się szerzyło, przychodzi on znowu do mnie prosić o pieniądze, których mu znowu odmawiam. Wówczas on powiada: „Słuchaj, marszałku, wiem że masz znaczenie w powstaniu i że będziesz może już wkrótce mnie potrzebować. Komunikacje między Petersburgiem a Wilnem wszędzie przerwane, jedynym tylko traktem oszmiańskim jeszcze idą. Każ mi tylko zdjąć konie z poczty, a wnet je oddam Przeddzieckiemu, już podnoszącemu powstanie koło Oszmiany. Kilkadziesiąt koni mu przybędzie i komunikacja się przerwie, ale daj zaraz asygnatę na wzięcie pieniędzy”. Nie długo wahając się, dałem mu żadaną asygnatę i wkrótce przez wysłanego przeze mnie Klukowskiego, kazałem skasować pocztę. Sprawił się dobrze Ważyński i złączył się z Przeddzieckim, który wkrótce potem, przez Wiersilina pobity, krył się po leśnych okolicach Oszmiany. Ważyński uległ podobnemu losowi, ale przypadkiem wykryty i przez kozaków schwytany, jako ważny winowajca w kajdany okuty i do Wilna przywieziony został. Tutaj na badaniach, włączając się u stóp badających, błagał o przebaczenie, całą winę na mnie zwalając, jakoby wszystko z mojego rozkazu robił.



WINCENTY POL

Szczęściem, że Obreskow, dobrze dla mnie usposobiony, a zasiadający w tej komisji, poufnie mnie przestrzegł, że będę badany i z Ważyńskim konfrontowany. „Jeśli chcesz obronnie wyjść, — mówił — zaprzeczaj wszystkiemu”. Jakoż nazajutrz w nocy wzywają mnie na komisję, która odbywała się w domu Lachnickich. Dołhoruki, jako prezydujący, czyta mi oskarżenie Ważyńskiego. Zadałem fałsz tej denuncjacji, ale kazano przyprowadzić Ważyńskiego dla powtórzenia mi tego w oczy. Wprowadzają go okutego w łańcuchy na rękach i nogach, a ten, stając przedemną, w oczy mi wszystko wypalił. Uniosłem się gniewem na tak podłego człowieka, który dlatego, że sam ginie, chce i innych pociągnąć za sobą. Kłamstwo mu więc zadałem, dowodząc, że jest podłym człowiekiem i że tego co mi zarzuca, dowieść nie może, i że jego jednego świadectwo jest niedostateczne. A on w odpowiedzi na to rzekł: „Wezwijcie Klukowskiego, który mi ten rozkaz przywiózł, a przekonacie się o prawdzie”.

Szczęściem, że Klukowski był wyszedł z powstaniem, a więc komisja, widząc, że niema innych dowodów, mnie uwolniła, a jego w katorgę osądziła, lecz niezadowolony tem, ten łotr z więzienia jeszcze i wszędzie po drodze zawsze mnie oskarżał gubernatorom. Szczęście, że Obreskow, wysyłając go w katorgę, dał wiozącemu go oficerowi ukaz, mało komu znany, że raz zdekretowany człowiek nie ma już wiary i nie może prośb żadnych podawać. Jednakże i z Syberji, słyszę, posyłał swe prośby, zawsze bez skutku zostawione. Zboczywszy znowu gawędą o Ważyńskim, wracam do powrotu mego ze Smoleńska.

Chrapowicki, który mię nienawidził, niekontent z mojego powrotu, nie chciał mnie dopuścić do urzędowania, od którego nie miał prawa mię usuwać, bo nic mi nie dowiedziono. Ale ja rad z tego byłem, bo urząd marszałkowski już nie ten był, co przedtem: wszędzie upodlenie, spełnianie ślepo woli i fantazyj naczelników. Obreskow wszakże ciągle mnie namawiał, abym tylko upokorzył się przed Dołhorukim, który wkrótce Chrapowickiego zastąpi, a będę niezawodnie przywrócony do urzędu; ale byłem nieubłagany, dowodząc, że urząd marszałka zhańbiony był przez ciąганie mnie po turmach i że nanowo tego urzędu nie przyjmę. Kamerjunkrostwo

wszakże moje wymagało służenia gdziekolwiek, a więc w 1834 roku Dołhoruki, który jednakże dosyć mię uważał, zakładając w Wilnie, na wzór innych w Rosji, t. zw. „Komitet Turemny”, mający na celu polepszenie bytu więzionych, zrobił i mnie jednym z dyrektorów tego Komitetu i sekretarzem Komitetu Damskiego, któremu prezydowała ks. Pawłowa Sapieżyna, a dyrektorkami z polskich dam były: Łopacińska, jej siostra hrabina Plater, Czudowska, Ciechanowiecka i inne, a z ruskich—gubernatorowa Doppelmayr, Sieleżniowa i inne. Nominacje na te dyrektorstwa od cara przychodziły i ranga szła, a więc kamerjunkrostwo moje trwało. Tu znowu, na pamięć mi przychodzi mały fakt, którego ominąć nie wypada.

Na początku, zdaje mi się, 1832 roku pojechałem do Botok, majątku mojego, położonego o sześć mil od Tylży, na granicy pruskiej. Wiadomo, że Gielgud z całym powstaniem litewskim i żmudzkiem, nie mogąc się ostać na Żmudzi, do Prus pociągnął i tam, porozumiewszy się z władzami, złożywszy broń, wkraczał, gdy mu jakiś Skulski w łeb strzelił. Cała wszakże jego armijka do Prus weszła; wielu z naszych Litwinów i Żmudzinów, długi czas zostawało w Tylży, między innemi i Karol hr. Załuski, naczelnik powstania upickiego. Żydzi botoccy, często po kontrabandę jeżdżący do Tylży, widywali go i jeden z tych moich żydków, wróciwszy raz z Tylży, przynosi mi wydane po niemiecku dzieło Spaziera, pisane w trzech tomach pod dyktacją, jak Spazier mówi, Wincentego Pola, tego samego naczelnika młodzieży, o którym wyżej wspomniałem. Dzieło to zawierało opis powstania litewskiego z wielu szczegółami; przy tem dziele przyniósł mi żydek małą karteczkę w tych słowach: „Karol do Stanisława, którego przestrzega, żeby się miał na ostrożności, bo w tomie drugim jest o nim wzmianka, mogąca go skompromitować”.

Do dziś dnia mam to dzieło, do karty którego, wymienionej przez karteczkę, rzuciwszy się, znalazłem bardzo poetyczny opis sesji, na której Pol u mnie się znajdował, ze wzmianką o tabakierce z Tellem, z tą tylko różnicą, że ja tylko kilka słów powiedziałem o naszej niejedności, a Spazier kładzie mi w usta bardzo piękną długą cycerońską mowę; a zaczynając, pisze tak: „Jeden ze znakomitych

patryotów, S. S., którego nazwiska nie mogę wymienić, bo, będąc pod rządem rosyjskim ciągle prześladowanym, mógłby wpaść w nową komisję śledczą, lubo już od jednej szczęśliwie się wykręcił, i chyba pomyślniejsze dla Polski okoliczności nazwisko jego ogłosić dozwolą etc.". Wdzięczny byłem Załuskiemu za tę przyjacielską przestrożę, bo, wróciwszy do Wilna i nosząc zawsze tę tabakierkę, raz przychodzę do gubernatora Doppelmayera i, widząc u niego leżące na stole książki, poznawszy Spaziera, pytam co za dzieło?

A on, ręką zakrywając: „To jest książka zabroniona” powiada i, wlepiwszy we mnie oczy, ciągnie dalej: „I trzeba powiedzieć, wstrętna książka, która kompromituje wiele osób, chociaż podaje tylko inicjały tych, o których mówi”. Jakoż dla ostrożności odtąd tabakierkę z Tellem, do dziś dnia u mnie będącą, nosić przestałem.

Zaczawszy wszakże o Załuskim, jeszcze jednego faktu, mnie dotyczącego ominąć nie mogę. Załuski był żonaty z Amelią Ogińską, córką senatora, i przez rozmaite protekcje, kiedy wszystkich powstańców z Prus wyprawiono, jego zostawiono w Tylży z dziećmi i żoną, która często do Wilna przyjeżdżała do matki, przebywającej bądź w Wilnie, bądź w Petersburgu dla wydobycia zasekwestrowanego majątku Załuskiego. Ale żadne wysiłki nie pomagały, bo co raz w wilcze gardło wpadło, z niego się nie dobywa. Puszczono się więc na koncept. Car, zabierając majątki, brał na siebie spłatę długów prywatnych, na tych majątkach ciężących, aby tylko formalności prawne były zachowane, a mianowicie, żeby obligi i dokumenty były wydane przynajmniej na parę miesięcy przed powstaniem, bo później wydane uważano za kondyktowe. Każą więc pisać Załuskiemu w Tylży dokument, mający datę przedpowstaniową, którym oznajmia, że wzięwszy od senatorowej Ogińskiej w posagu po żonie 60.000 rs. gotówką, reformę jej robi na swoim majątku na drugie 60 tysięcy (*notabene* ani kopiejki z tego posagu nie wziął). Tym sposobem skarb, konfiskując tylko własność Załuskiego jako powstańca, nie mógł rościć prawa do sum pani Załuskiej, opartych na jego własności. Szło więc tylko o znalezienie świadków przedpowstaniowych i wetknięcie tego dokumentu

z taką datą do akt, co nie było trudnem; ale nie tak łąco było znaleźć świadków. Ogińska, dobrze mi znajoma i znająca moje przyjazne stosunki z Załuskim, zwierza mi się z tym interesem, prosząc mnie na jednego świadka i błagając o znalezienie drugiego, równie pewnego, bo trzecim świadkiem był już Sidorowicz, adwokat, plenipotent Załuskiego, który przypuszczony do tajemnicy, dokument ten pisał. Ja nie wahając się podpisałem, ale nie tak łatwo przyszło mi znaleźć drugiego. Pobiegłem do generała Wawrzeckiego, przyjaciela i sąsiada Załuskich, ale stary za nic pisać nie chciał, lękając się być pociągniętym do juramentu (przysięgi), który mógł rząd nakazać. Szwagier mój, Antoni Chrapowicki, krewny Ogińskich, również odmówił; nareszcie nie wspominając o kilku innych zawsze odmawiających, wracam zdesperowany do Sidorowicza.

Ten mi na to: „Jest tu jedna osoba, która nie przez przyjaźń, ale przez próżność, że przypuszczoną będzie do tej tajemnicy pewno podpisze. Jedź pan do p. Dowgiałły, prezydenta, a ręczę że świadek gotowy”.

Ruszam i w rzeczy samej, najmniejszej obiekcji nie robiąc, podpisałem. Wróciłem z triumfem do Ogińskiej i Załuskiej, wówczas w Wilnie będących, uściskały mnie z wdzięczności, by tym czynem 120.000 rs. zrobiłem dla familji, obdartej ze wszystkiego; mówię 120 tysięcy, bo skarb tylko 60 tysięcy zapłacił, a Ogińska oddała im nieoddane zupełnie 60 tysięcy.

Wmówiony mnie wszakże przez odmawiających podpisu skrupuł fałszywego juramentu, jeśli by był nakazany, nieco mnie dręczył. Bo nie przysiąc, okazałby się fałsz — więc Sybir; przysiąc — sumienie by dręczyło. Tu piękny, przynajmniej podług mnie, przykład wyrozumiałości religji naszej, którą wielu fanatyków nieubłaganą i straszną czynią, wspomnieć winienem.

Dręczony, jak wyżej rzekłem, myślą, że kiedy jurament nakazany będzie, jak tu fałszywie przysiąc, a przysiąc trzeba, poszedłem do ks. Bohdanowicza, superjora, a raczej wizytatora ks. ks. misjonarzy, i zwierzyłem mu się z mojej obawy. Zacny ten kapłan, a razem dobry patryjota, odrzekł mi: „Krzywoprzysięstwo jest zawsze wielkim grzechem, a nawet zbrodnią, lecz gdzie idzie o los całej familji przez gwałtowną

przemoc wydarty, tam bez obrazy Boga i praw ludzkich przysięgać można”.

Nie przyszło wszakże do tego, a błogosławieństwo matki Załuskiej i jej dzieci, którym, jak mi mówiła, kazała się modlić i prosić Boga za mnie, najsłodsza były dla mnie nagrodą.

Tymczasem nie spała emigracja. Nasyłał nam Lelewel, zapalona demagogów głowa, emisariuszów, którzy nic dobrego dla kraju nie robiąc, i owszem kompromitując najlepszych patriotów, sami kończyli na szubienicy, tej broni carskiej zjadłości. Pamiętają wszyscy powieszenie Zawiszy, Giecołda, Wołłowicza i innych. W emigracji były partje; jedni rozważniejsi, kochający prawdziwie ojczyznę, trzymali się partji ks. Czartoryskiego, któraby może znacznie dotychczas poprawiła byt ojczyzny, gdyby nie ta druga, samolubna, bezsensowna, krwią tylko tchnąca, partja Lelewela, naczelnika wyuzdanej demagogji.

Kuzyn mój, Franciszek Szemioth, naczelnik powstania szawelskiego, też w emigracji będący, chłopiec umiarkowany, z głową porządną, trzymający się partji ks. Czartoryskiego, zgłosił się do mnie pono w 1834 roku z chęcią utrzymywania stosunków z krajem, w nadziei zawsze lepszego dla ojczyzny losu. Pierwsza z nim komunikacja była przez A. G., która, widząc go zagranicą, przywiozła mi od niego instrukcję najprzód do tajnej korespondencji. Zasada tej korespondencji była na wzajemnem do siebie pisaniu krochmalkiem niezmiernie rozrzedzonym, tak, że nie zostawiał najmniejszego śladu na papierze, a który trzeba było pociągnąć jodyną, wykrywającą wnet litery pisane krochmalkiem. Ażeby nie niszczyć korespondencji, mogącej być potrzebną, po odczytaniu pociągało się ją amoniakiem, wszystko ukrywającym dopóty, dopóki znowu pociągnięty papier jodyną nie wydał liter uprzednio odczytanych.

Tym sposobem do 1838 roku ciągle korespondowaliśmy, to pocztą, pisząc na jednej stronicy mało znaczące zapytania względem zdrowia, zostawiając resztę papieru białego do odkrycia jodyną, to przez kilka dam, wracających z zagranicy, a przywożących mi pod pretekstem papieru listowego w ogromnych książeczkach, całkiem zapelniony instrukcjami

wiadomym sposobem najczystszy biały papier. Pierwszą taką otrzymawszy odezwę, sam jeden nie chcąc i nie mogąc brać na siebie działania, do których więcej osób było potrzeba, zwierzyłem się E. Romerowi, mojemu krewnemu, i J. Hrebnickiemu, ciotecznemu bratu, a po naradzie wezwaliśmy: S. Kozakiewicza, tak potem srodze w katorgę zesłanego i tak nędznie w komisji śledczej wszystko wydającego, Dobkiewicza, b. profesora szkoły młodoczańskiej, ks. kanonika Trynkowskiego, lubionego przez młodzież, Medarda Kończę, szwagra Romera, nerwowego entuzjastę, a pod koniec już Seweryna Romera i Zenona Zaleskiego, który był tylko inicjowany, ale rzadko kiedy, a nawet raz tylko na sesję nasze wezwany. W początku należał też Baliński Michał i Leon Rogalski, lecz ci, wkrótce w Warszawie w Komisji Narodowego Oświecenia umieściwszy się, zupełnie z nami zerwali. Tak więc nas ośmiu ciągłych było członków tego towarzystwa, przeze mnie zawiązanego, lubo i po powiatach każdy z nas miał po kilku inicjowanych; a że najpierwszem zaleceniem było, aby co najwięcej pieniędzy posyłać zagranicę dla młodej dziatwy emigrantów, któremi księżna i książę Czartoryscy się zajmowali, więc zajęliśmy się drukowaniem rozmaitych ksiąg na ich korzyść. I tak pismo periodyczne „Wizerunki i roztrząsania naukowe” przez nasze towarzystwo było podtrzymywane i drukowane, a co przyniosło w zysku, do tejże kasy się odkładało. P. Korsak, ofiarował nam poemat „Lara”, na język polski przez siebie przetłumaczony, i wielu innych tym sposobem zasilalo naszą szczupłą kasę. Bywały też i składki po powiatach, pod hasłem tylko — na dobry cel, bo nie wszystkim można było się zwierzać.

W roku 1836 i 1837 przysyłano nam też z zagranicy rozmaite książki, a między innemi dzieło p. t.: „Kraj i emigracja”, 120 egzemplarzy, i tyleż małych książeczek: „Wojna partyzancka” Chrzanowskiego, tak dla podtrzymania ducha narodowego, [jako też i dla zasilenia kasy emigranckiej przez ich wyprzedaż. Nietrudną też była ta wyprzedaż, bo zakazane księgi zawsze więcej ochotników do kupna miały; ja sam do naszej kasy wniosłem przed samem rozwiązaniem towarzystwa, zdaje się, 2.000 zgórą rs., za co i podziękowanie odebrałem, bo żaden z kolegów tyle nie wniósł.

Ale mówiąc o książkach, żebym nie przepomniał, tu o nich nadmienię. Paka ta „Kraju i emigracji” z „Wojną partyzancką” nadesłana została do Tylży dla przesłania do nas. W., obywatel powiatu rosieńskiego, jeden z inicjowanych, przywiózł ją aż pod Wilno i, zostawiwszy w pewnym domu, nie śmiejąc jej przewieźć przez roгатki, na których wówczas szukano nie tylko wódki ale i kontrabandy, przybiegł mię prosić o odebranie i sprowadzenie transportu. J. Hrebnicki mający folwark o cztery mile od miasta, jeżdżąc często i będąc znajomym ze strażą, podjął się przewozu i dostawił do mojej kwatery w domu Zajcowa. Niezbyt pewne było i u mnie schronienie, a więc część wyprzedawszy, część zostawiwszy u siebie, coś zgórą sto, już nie pamiętam wiele egzemplarzy, oddałem Renierowi, doktorowi, w późniejszej komisji skazanemu na katorgę. Kiedy mię do Wiatki wywożono, zapomniałem spytać o nie Reniera i później, w 1842 roku z Wiatki wróciwszy, też zapomniałem o nie spytać, lubo Reniera widywałem. Pakę tę wszakże wykrył rząd w bibliotece augustjanów; lecz do dziś dnia nie wiem, kto ją tam ulokował i kiedy i komu była oddana; dosyć, że za te książki z łaski Reniera w 1847 roku znowu mię do więzienia wtrącono; ale o tem w swoim miejscu będzie mowa.

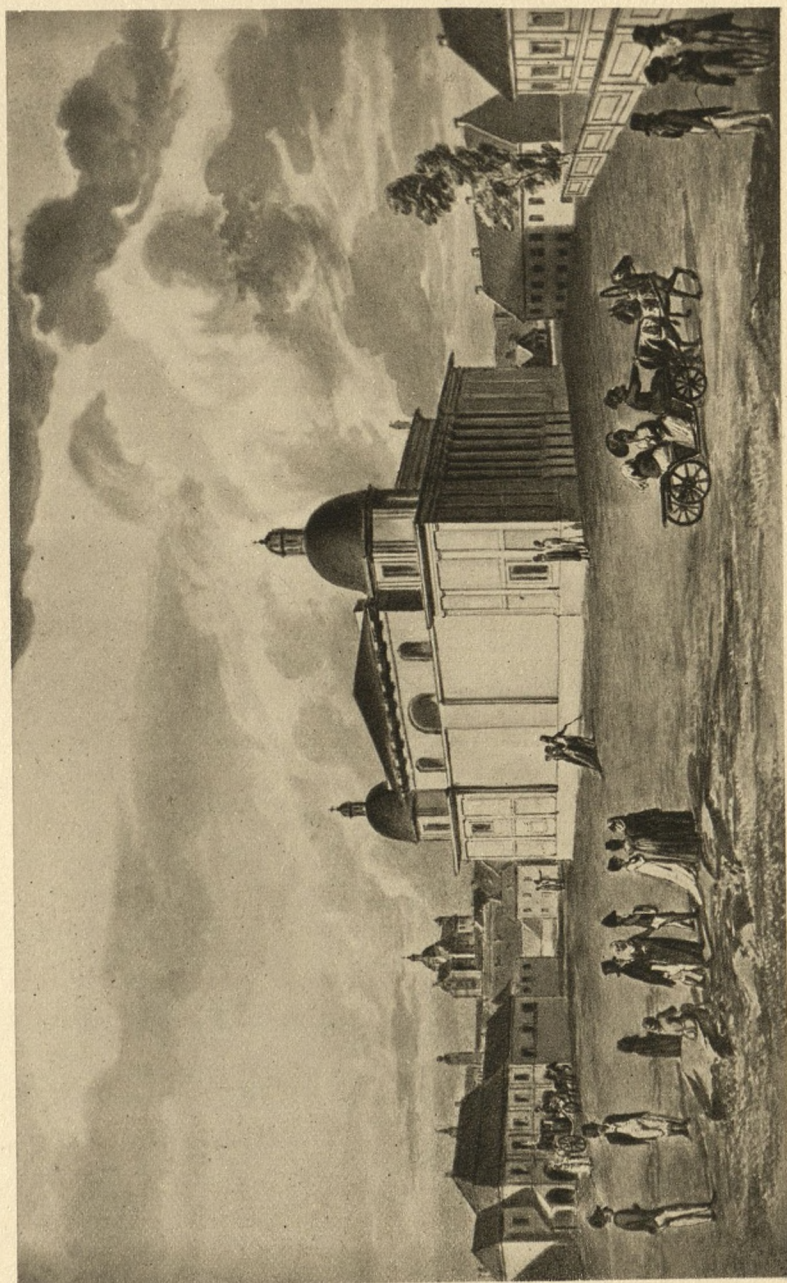
Teraz wracam do naszego towarzystwa, coraz częstsze i większe odbierającego komunikacje i instrukcje wprost od księcia Czartoryskiego, zawsze przez pośrednictwo Szemiotha. Między innemi przysłana była bardzo piękna instrukcja, mająca przygotować Litwinów do wystąpienia we wkrótce nastąpić mających wydarzeniach i tak, nie śpiesząc, nie uprzedzając rzeczy, tylko przygotowując umysły, podtrzymując ducha, sposobiąc zapasy broni, prochu, kul, materiałów na budowę mostów etc. etc., wszystko to łącno było uskutecznić, wmawiając obywatelom wiejskim potrzeby tego i czyniąc nadzieje na niezbyt odległą przyszłość. I czas już było pilnować się instrukcji księcia Czartoryskiego, bo większa część obywateli, nie przewidując już wcale nic dla ojczyzny, słabnąć na duchu i moskwiczyć zaczęła. Myśmy ten duch podtrzymywali rozsądnymi, niegwałtownymi działaniami, a nie takimi jakimi były działania demagogiczne przez emisariuszów przysyłanych, a których tylko nierozważna młodzież była

chciwa, a których przyjęcia i utrzymywania z nimi stosunków wyraźnie Szemioth odradzał, dowodząc, że oni na zgubę kraju są wysyłani. Co też się i ziściło.

Dla większego więc działania postanowiliśmy regularnie co miesiąc zjeżdżać się do Wilna, każdy przywożąc z sobą zdanie sprawy ze swoich czynności, t. j. komu się zwierzył, wielu prozelitów zrobił, jak idzie duch, czy są nadzieje, że się projekty udadzą. Nareszcie potrzebna nam była statystyka naszych prowincyj, a zatem, porozbierawszy między siebie każdy z nas jedną część kraju, na miesięcznej sesji obowiązany był przynieść na piśmie wszystko, co zrobił. Tym sposobem i ducha rozszerzaliśmy i dowiadrywaliśmy się o nim przez zawiązywane stosunki, tak na wsi, jako i w mieście, gdzie też podrzędne były stowarzyszenia, jak np. związek Towiańskiego, doktora Gutta, malarza Wańkowicza i kilku innych, do którego to związku chcieliśmy się zainicjować. W tym celu użyliśmy Hrebnickiego, zręcznego i niegłupiego człowieka, który potrafił, bądź podchlebiając członkom, których znał, bądź innemi środkami, po kilkunastotygodniowej usilności zyskać choć częściowe ich zaufanie i być przypuszczonym do niektórych tajemnic, po zobowiązaniu się najsroższą przysięgą niewyjawiania celu. Jakoż wierny przysiędze, że ten ich związek z naszym towarzystwem żadnej nie może mieć styczności i na nic się nam nie przyda, oświadczył to nam, abyśmy na nich nie liczyli, a sam czas jeszcze niejaki udawał ich zwolennika, mieniąc się być epikurejczykiem, jak oni, których jedyny ten był cel, a patryjotyzm wcale podrzędne u nich miał miejsce.

Na pierwszej po tem postanowieniu przypadłej sesji, jeden tylko Kończa przyniósł duży wypracowany artykuł o powiatach: wilkomierskim, upickim i pono kowieńskim. Romer wziął: trocki, lidzki i inne, Hrebnicki — Białoruś, ja — Żmudź, wileński, zawilejski i brasławski. Zresztą żaden z nas nic nie przyniósł na piśmie, bo żadnemu z nas nie udało się być w tych stronach, skąd były potrzebne wiadomości.

Kończa, jakim już powiedział, nerwowy entuzjasta, płynnie mówiący, poeta w mowie, zabiera z ferworem głos i oświadcza, że jeżeli tak nieczynnie dłużej postępować będziemy, to on puginałem pierwszemu nieczynnemu z nas



KATEDRA WILEŃSKA Z TYŁU

serce przeszyje, dowodząc, że trzeba nam powtórzyć to, co się w Krakowie przed kilku tygodniami działo, kiedy to na ulicy znajdowano najlepszych patriotów, pugiłami przebitych, z nadpisem: „za słabą działalność w sprawie Ojczyzny”. Oburzony młokosa tego, bo ledwo dwadzieścia pięć lat mającego, odezwą, zerwałem się i powiedziałem, że zmuszać kogo do działania dla ojczyzny jest rzeczą demagogji, i że najczęściej ci, co pugiłami wojują, w okolicznościach ważnych największymi tchórzami się okazują; że ja nadto liczę sobie lat zasług dla ojczyzny niesionych, abym chciał marnie ginąć z fantazji zapaleńca, i że ponieważ ja to towarzystwo zawiązałem, bo ja jeden komunikacje od Szemiotha odbierając, mogłem one zataić, gdybym chciał, to też rozwiązuję towarzystwo, wydalając się z niego i odtąd nikomu nic komunikować nie będę. Chwyciwszy kapelusz, zabierałem się do wyjścia, gdy Romer i inni poczęli mię przepraszać za Kończę, który i sam, postrzegłszy się, rękę do mnie wyciągnął, prosząc o puszczenie dnia tego w niepamięć. Nastąpiła więc zgoda, a Kozakiewicz, nasz sekretarz, wniósł projekt sformowania protokołu dla zapisywania naszych czynności, aby w czasie można było zdać sprawę z onych przed tymi, co nas do działania umocowali. Nie do smaku mi były te protokoły i te wszystkie pisma, mogące kiedyś nas skompromitować, wtenczas, kiedy bez tego wszystkiego równie czynnie i dobrze mogliśmy działać. Większość wszakże była za protokołem, bo na nieszczęście ludzie zawsze, czyli najczęściej, nie za rzeczami, lecz za formami upędzają się, lubo formy najczęściej są zgubne. Stało się więc na protokóle; ale żeby na przypadek wykrycia onego nie kompromitować osób, więc nazwiska nie miały być wymienione, nawet przy podpisach; a zamiast nazwisk numery sobie podawaliśmy — i tak ponieważ ja byłem najstarszy z lat, byłem więc Nr. 1, Hrebnicki Nr. 2 i t. d. Na tej więc ostatniej już sesji, bo wkrótce nas, jak będzie o tem później, pobrali, napisawszy w protokóle, co dotąd robiono i co na następną sesję miało być przyniesione, dano mi podziękowanie za wniesienie największej składki, zgórą 2.000 rs. wynoszącej, i numerami protokół podpisano. Zastrzeżono wszakże, aby wszystkie komunikacje i listy Szemiotha i sam protokół u żadnego

z nas nie znajdowały się, ale po sesjach odbywających się, aby podejrzenia nie ściągnąć, raz u mnie, drugi raz u Romera, inny u Hrebnickiego i t. d., aby, mówię, wszystko po sesji odnoszone było przez sekretarza Kozakiewicza przy asystencji Hrebnickiego do archiwum radziwiłłowskiego, gdzie miał swoje wejścia Kozakiewicz, zajmujący tam posadę.

W dwa dni po tej naszej sesji woła mię do siebie ks. Dołhoruki, który tylko co był wrócił z Petersburga, bawiąc tam coś około sześciu miesięcy. Zastaję u niego kilku jego poufałych, a między innemi Pawła ks. Sapiehę, wielkiego papłę i dworaka. Wyprowadza mię Dołhoruki do gabinetu i zaczyna temi słowy: „Co to za tajne zabiegi, które tu zastałem. Pan myślisz, że bawiąc w Petersburgu, nie wiem o tem, co się tu dzieje? I że nie wiem o tem, iż macie tu towarzystwo patriotyczne, na którego czele pan stoi. Romer i Kończa również doń należą. A wiesz, do czego to ciebie doprowadzi? Oto do zesłania wgląb Rosji!” Kiedy na takie przemówienie zacząłem wypierać się, nie pozwolił mi mówić i, dalej ciągnąc, rzekł: „Nie myśl pan sobie, że to są jakieś podejrzenia! Wiem o tem z całą pewnością. To J. C. Mość zawiadomił mnie o tem. Powiedział mi: Masz tam w Wilnie nieciekawy rząd — i pewną zapaloną głowę, pewnego Szumskiego. Oto mój ambasador w Paryżu, Pahlen, doniósł mi o tem. Szumski coś tam knuje. Zrób z tem porządek”.

Dołhoruki zasapany po wyrecytowaniu tej reprimandy, umilkł oddychając, a ja, naprędce zebrawszy myśl moją do kupy, efroncko wypaliłem, z uśmiechem niewinności na twarzy, następną moją obroną: „O, mój książę, to wszystko jest zupełnie mylne! Jeśli ktokolwiek dowiedzie mi chociażby najmniejszego przekroczenia w tym rodzaju, co mi mówisz, pozwalam powiesić siebie na tym pająku, co tu wisi”, wskazując na ogromny żyrandol nad głowami naszymi zawieszony.

I tak mu zaimponowałem moją efroncką obojętnością, że udobruchany rzekł: „Tak też ująłem się za panem przed J. C. Mością, mówiąc, że znam pana bardzo dobrze i że wiem, iż ani możesz, ani chcesz mieszać się do podobnych spraw. Ale cesarz odpowiedział mi: A jednak Pahlen donosi,

że Szumski jest na języku całej emigracji i że na niego właśnie liczą tam najwięcej, jako na jedyne go człowieka, który jest w stanie cośkolwiek przedsięwziąć”.

O mającym przybyć do Wilna Konarskim Pahlen też cesarza uwiadomił, w emigracji bowiem wielu było gałganów, co zdradzali sekrety swoich za pieniądze, które Pahlen im na rozpustę dawał.

„Ponieważ mówisz tak szczerze, bądź więc ostrożny i zawiadom o tem Kończę i Romera. Masz pan zbyt wiele sprytu, aby mieszać się do takich spraw, które nigdy nie mogą się udać. Bądźmy tedy dobrymi przyjaciółmi i nie mówmy już o tem”, a wzięwszy mnie po przyjacielsku pod rękę, co mu się nigdy nie zdarzało, wyszliśmy z gabinetu do pozostałych z zadziwieniem patrzących gości na tak poufały powrót.

Sapieha, zawsze zbieracz wiadomości, ciekawy wiedzieć, co to była za konferencja, po chwili, razem ze mną wyszedłszy, pytał, co to było? czego chciał? — „A nic”, odpowiedziałem śmiejąc się: „Sawonadkę małą dostałem, głowę mi wymył”.

W kilka dni potem, będąc u Dołhorukiego wieczorem, kiedyśmy siedzieli *en cercle*, zaczyna Dołhoruki rzucać diatryby na Wilno i na obywateli przed Kostrowickim, przybyłym z zagranicy, mówiąc i ciągle na mnie patrząc: „Niech pan sobie wyobrazi, że tu w Wilnie nie można być dobrym. Daję dobre rady, ostrzegam życzliwie, a w odpowiedzi na to skarżą się w mieście, że myję głowę. To jest oburzające!” Nie w najlepszej przyznać potrzeba byłem pozycji, bo czułem, że do mnie ta cała rzecz się stosowała. Ale wracam do pierwszego wezwania mojego do księcia.

Wraz od niego wyszedłszy, pobieglem wezwać kolegów na sesję ekstraordynaryjną do Kończy, którego w domu zastałem i któremu poruczyłem wezwanie innych, a za ich przybyciem wszystko, co Dołhoruki mówił, powiedziawszy, radziłem podwoić jeszcze ostrożności. Kończa, ten nerwowo człowiek, jak usłyszał, że i o nim była wzmianka — „Ach! co ja pocznę — rzekł trzęsący się i blady — kiedy mnie wezwie. Ty — mówi do mnie — odważny i umiesz wykręcić się, a ja to umrę ze strachu”. — „A pugiwały? — rzekłem, ściskając go — ot już tchórzysz, a jednak niema czego”.

Wszystkie te przygotowawcze do dalszych wydarzeń opisawszy fakta, przystępuję do Konarskiego, owego to prawdziwie szlachetnego i, można powiedzieć, wielkiego charakteru, bo nikogo na egzaminach, lubo Bogu na chwałę, jak był dręczony, bity, głodzony i męczony, nie skompromitował; owszem, jeśli ktoś, co bliższe z nim miał stosunki, przez słabość przyznawał się do czego, on go odwoził na „ocznych stawkach”, mówiąc: „At, pan ze strachu sam nie pamiętasz co gadasz! Pan mnie znałeś jako obywatela, ale nigdy nie wiedziałeś, że emisariusz”, i temu podobnemi rzeczami bronił tych, co byli skompromitowani, dodając im ducha i naprowadzając na to, co powinni mówić, nie zaś to, co realnie było. I dziwna rzecz, że człowiek ten, tak wyższy od zwyczajnych ludzi, że, mówię, człowiek ten przez diabła widać opętany, z głupim zegarmistrzem Duchnowskim u gałgana winiarza Rosenthala za lichem przepierzeniem bez żadnej ostrożności gadał i zwierzał się onemu. Wszakże porządnie zacząć wypada od przybycia jego do Wilna, bo z tem przybyciem i mojego uwięzienia historia się poczyną.

Konarski, zdaje mi się, w końcu lutego, czy w marcu 1838 roku, przybył do Wilna z Kozakiewiczem, który, będąc w Mińsku u Bułhaka, swego przyjaciela, poznał tam Konarskiego i na usilne jego prośby przywiózł go do Wilna, sądząc, że nasze towarzystwo będzie z niego uszczęśliwione. Jakoż wiedząc od Bułhaka, co za tęgi charakter Konarskiego, już oddawna znanego na Podolu między patriotami, powierzył mu istnienie i cele naszego towarzystwa. Mając wszakże szczupłe mieszkanie z żoną i dziećmi na Skopówce, długo nie mógł utrzymywać u siebie obcego człowieka, zwłaszcza w tym czasie, bo policja, zawiadomiona przez Dołhorukiego, że emisariusz ma być w Wilnie, ścisłą baczność miała na wszystkie domy; oprócz tego Kozakiewicz, plenipotent wielu osób, częste miewał wizyty swoich klientów, a żonie też zwierzać się nie chciał z tem, kto jest Konarski. Jak tylko przybył Kozakiewicz do Wilna, wraz przybiegł do mnie z Edwardem Romerem, donosząc nam o przybyciu Szymona, jak my go nazywaliśmy, i że Szymon ma rozkaz widzenia się z Szumskim i Romerem, mając nawet nasze nazwiska zapisane w pugilaresie. Już Romer szedł do mnie, aby razem

pójść do Konarskiego, kiedy ja temu się sprzeciwiłem, pamiętając rady Szemiotha i wiedząc dobrze, że jeszcze żadnemu emisariuszowi nie udało się swego dopiąć, zgubiwszy niejednego. A więc radziłem powiedzieć Konarskiemu, że ani Szumski, ani Romer, będący pod nadzorem policji, nie mogą się z nim widzieć i nie chcą, bo nie wierzą w emisariuszów, i że kiedy Konarski przyprowadzi ze sobą sto tysięcy wojska, to z nim będą gadać, a inaczej znać go nie chcą. Stanęło więc na tem, że Romer, nie mówiąc Szymonowi, kim jest, oświadczy mu imieniem Romera i Szumskiego to, com powiedział. Sprytny to był człowiek Konarski, bo, jak tylko Romer odezwał się z tem, co miał mówić, on mu odrzekł: „Pan sam musisz być Romerem, a że nie chcesz wyjawiać swego nazwiska, to dobrze robisz, bo w razie jakim niepomysłnym, ani pan mnie, ani ja pana nie znam. Odpowiedź wszakże odmowna nieutrzymywania ze mną stosunków nie posłuży panom, bo już poczęści wiem o ich towarzystwie, a raz poświęciwszy się dla sprawy ojczyzny, i życie moje lekceważąc poświęciłem, a więc: jeśli nic w Wilnie zdziałać nie będzie można, zważając na waszą niedobłą wolę — pójdę do Dołhorukiego, wyznam jemu, kto jestem, ale też razem i was wydam, a tak razem na szubienicy skończymy”.

Wrócił do mnie Romer z Kozakiewiczem, niosąc tę napozór zastraszającą odpowiedź. „Powiedz mu, — rzekłem do Kozakiewicza — że nie szalenie, widno, kocha ojczyznę, kiedy chce na szubienicę wyprawić tak niewielką liczbę tych, co o niej myślą. Bo jeśli nas powieszą, a z czasem będą potrzebni ludzie z sercem, pewno ich nikt nie znajdzie, bo na magnatów i grafów naszych liczyć nie można, a i reszta albo już zmoskwiczała, albo też tchórzliwa i zgnuśniała. Za powrotem Kozakiewicza do domu, pojął Konarski całą niedorzeczność swej pierwszej idei. „Prawda, — rzecze — pocziwych i użytecznych ludzi trzeba oszczędzać, a więc dajcie mi pieniędzy ze sto dukatów na kupienie drukarni i inne potrzeby, dla których zabawić tu muszę, oczekując przybycia niektórych podolanów i dla zawiązania przez zegarmistrza Duchnowskiego (którego za pierwszą swą bytnością, kilka miesięcy wprzód, poznał) stosunków z młodzieżą uczącą się, a pełną entuzjazmu”.

Gdy mnie tę wiadomość przyniesiono, przyrzekłem żądane sto dukatów, które odesłałem Kozakiewiczowi przy bileciku (który mnie później skompromitował) z warunkiem, że Konarski, po niedługiej w Wilnie gościnie, wyniesie się na Podole, skąd przybył. Zgodził się na to Szymon, prosił wszakże o parę tygodni pobytu w Wilnie. Kozakiewicz, jak mówiłem, nie mógł go trzymać u siebie, żaden też z nas nie przystał na to, aby go u siebie ulokować. Trzeba było wszakże gdzieś go podziać przez litość nad biednym Kozakiewiczem, u którego bytność jego była kompromitująca i niebezpieczna. Zawsze miałem szczególniejszy dar prędkiego decydowania się i trafnych pomysłów. Przypomniałem sobie, że przełożoną sióstr miłosierdzia szpitala św. Jakóba, jest moja dobra znajoma, zagorzała patriotka, Albertyna Milhausen, jeszcze dziś żyjąca (pisano w roku 1851 *p. w.*), i cudnym sposobem, kiedy wszystko prawie po wzięciu Szymona się wykryło, ona jedna nigdy ani posądzoną o nic nie była, bo też Konarski nie paplał. Do niej więc pojechałem, zwierając się, że mamy emisariusza, ale że jesteśmy w ambarasie względem jego umieszczenia, i zaproponowałem, aby go przyjęła jako chorego do szpitala. Uszczęśliwiona mniszeczka, że może czemkolwiek przysłużyć się dobrej sprawie, ze skwapliwością przyjęła propozycję, wprowadzie niezbyt bezpieczną, a że konferencja odbywała się w cztery oczy (bo tylko jej i moje), ułożyliśmy więc, że Szymon pod nazwiskiem Wincentego, biednego człowieka, potrzebującego leczenia się, zjawi się u niej, nie mówiąc nawet od kogo przysłany. Ona zaś, nie pytając nigdy o nic, będzie go utrzymywać (*notabene* wówczas bez paszportów do szpitala przyjmowano każdego bez wyjątku), na przypadek zaś jakiegoś niespodziewanego odkrycia jedno drugiemu kłamstwo w oczy zadamy, wypierając się znajomości tej rzeczy. Kozakiewiczowi projekt powierzyłem i Szymon, uradowany z niego, poszedł pod imieniem Wincentego, a i Kozakiewicz był spokojniejszy.

Trzeba i to dodać, że, lubo my nie chcieliśmy mieć z Konarskim stosunków przez Kozakiewicza, naszego sekretarza, chcieliśmy, i bardzo, wiedzieć wszakże o obrotach Szymona, mogących z czasem i nam się przydać, znaliśmy bowiem jego siły i zasoby w sprawie ogólnie nas interesującej.

I tak Kozakiewicz nam służąc, nie zrywał z Konarskim i wszelką jego ufność posiadał.

Niedługo wszakże biedny Szymon pozostał w tem ukryciu, bo, nie mogąc go umieścić między zwyczajnymi chorymi, których odwiedzał dr. Bielkiewicz, przez przełożoną za Moskała uważany, wmówiła mu, że będzie spokojniejszy między wenerycznymi, gdzie tylko najczęściej mniszki i dosyć głupi felczer, frykcje merkurjalne robiący, uczęszczał, lecz jak jedną i drugą taką frykcję wpakowano człowiekowi zupełnie zdrowemu, nie mógł dłużej wytrzymać, dostał okropnych salizacyj (drgawek), i uciekł ze szpitala do Kozakiewicza, narobiwszy niemało Albertynie strachu, która wraz do mnie przybiegłszy, dowiedziała się, że już w innem bezpiecznem znajduje się miejscu. Kozakiewiczowi zaś powiedział: „Każcie mi gnój palcami grzebać, drwa rąbać i nareszcie robić co chcecie, ale do szpitala nie wróć, a jednak muszę tu zostać nim przyjedzie po mnie Rodziewicz” (jego przyjaciel), u którego on na Podolu od kilku miesięcy bawiąc wpadł był w romans z panną Michalską, w której domu bywał i która z dwoma braćmi też długi czas była więziona, a bracia w katorgę posłani zostali; a wszystko to przez Rodziewicza, najlepszego człowieka, jak mi potem Szymon mawiał, ale słabego charakteru, a na nieszczęście wszystko, nawet i naszego towarzystwa istnienie, wiedzącego. On to i Kozakiewicza, którego poznał, wydał, wydając i nas. Szczęściem nie miał czasu Konarski zwierzyć się mu o szpitalu św. Jakóba, bo i toby wypaplał pod batogami, któremi go okropnie bito, tak, jak wypaplał, gdzie Szymon powtórnie był umieszczony, bo go tam Kozakiewicz zaprowadził.

Drugiem miejscem pobytu Szymona była klinika, gdzie mu daleko było lepiej, bo, poznawszy się u Duchnowskiego z młodzieżą medyczną, był tam pod ich opieką; a że niemi zawiadywał młody wówczas Józef Mianowski, który też w części należał do nas, bo go użyć musiałem dla dostania jodiny, której w żadnej aptece, jako trucizny, bez doktora nie sprzedawano, musiałem więc mu powierzyć tę tajemnicę, aby Szymona, jako zdrowego, z kliniki nie wyprowadził. A więc, nie kompromitując się wcale, nigdy z nim nie gadając, wiedział, kto on jest, i kiedy później Rodziewicz i klinikę

wypaplał, i kiedy do Komisji sprowadzono przestraszonego Mianowskiego na „oczne stawki” z Konarskim, ten nie czekając zapytania, prędko wyrzekł: „Pana doktora, który mnie nie znałeś i nie wiedziałeś, że emisariusza trzymasz w klinice, turbowano! Bardzo pana przepraszam”. Postrzegł Mianowski ten salwujący jego wybieg i rzekł: „A prawda, fizys mi znajoma, waćpan w siódmym numerze pono byłeś; ale i teraz nie wiem, kto waćpan jesteś i co znaczy ten wyraz — emisariusza w klinice trzymałeś?” Na to Trubecki, ten siepacz, jak go Brink, tylokrotnie bity, nazywał: „Któż pana do kliniki wprowadził?” — „Ja sam wszedłem. Będąc zagranicą, we wszystkich prawie stolicach wiele klinik widziałem i wiedziałem, że każdy, udający się do kliniki, aby tylko było miejsce wakujące, dla praktyki przyjmowany bywa. Idąc ulicą, widzę napis: „Klinika Cesarskiego Uniwersytetu”, a nie mając nigdzie przytułku, zaszedłem, bo realnie byłem chory, i tam, coś dni kilka, nim zostałem schwytany, przebyłem, nikomu nie mówiąc, kto jestem, bo ani młodzieży, ani profesorowi nie ufałem”. Takim to przytomnem znalezieniem się oswobodził Mianowskiego.

Jakim sposobem Szymon, targując z Duchnowskim drukarnię, podsłuchany był w winiarni Rosenthala, jak potem, wyjechawszy z Wilna, na stacji w Krzyżówce wzięty został przez sprawnika Wędziagolskiego, opisywać nie widzę potrzeby, bo wszyscy o tem wiedzieli i wiedzą. Dosyć, że 1838 roku w maju, nie pamiętam którego, całe Wilno wiedziało, że emisariusza Konarskiego wzięto. Zląkł się Kozakiewicz, bo ja i nasi niczego się nie lękali od niego. Hrebnicki, bliżej Kozakiewicza znający, przewidując, że tu coś i o nas wykryć się może, bo nie wiedzieliśmy wcale, jaki jest charakter Szymona, proponował mu ucieczkę zagranicę za naszą hojną składkę i opiekę nad żoną i dwojgiem dzieci, ale Kozakiewicz, ufny w swoje siły moralne i w znaną mu tęgość charakteru Konarskiego, nie spodziewając się dzikiego i barbarzyńskiego postępowania komisji i jej prezesa, tego tygrysa Trubeckiego, spokojnie oczekiwał wzięcia lub niewzięcia. Dla wszystkiego jednak uradziliśmy spalić wszystkie korespondencje i protokół, co też Hrebnicki z Kozakiewiczem spełnili. Dni jednak z dziesięć nie turbowano Kozakiewicza, bo jeszcze Rodziewicza



EDWARD ROMER

nie bito i nie egzaminowano, a Komisja była ciągle zajęta Konarskim, do niczego się nie przyznającym. Lecz Rodziewicz, raz tego zbity, pod batogiem zaczął śpiewać, wzięto i Kozakiewicza, który ciągle do nas mówił: „Bądźcie o siebie spokojni, Konarski was nie wyda, bo to tęgi człowiek, a ja też pewno o was pytany nie będę, bo nie mam nawet asumptu do tego. Tylko z Konarskim moje stosunki mnie frasują i, jeślibym był wzięty, pamiętajcie o żonie i dzieciach”. Lepiejby zrobił, żeby był drapnął zagranicę. Nie ucierpiałby tyle, ile ucierpiał od Trubeckiego, który, jak postrzegł, że siły fizyczne Kozakiewicza są słabe, i że raz pod batogiem jedno powiedział, używał tego środka ciągle. Nie byłby nareszcie w katordze i nie wykryłby naszego towarzystwa, bo choć Rodziewicz, posiadający wszystkie tajemnice Szymona, wiedział, że jest towarzystwo, ale nie wiedział nazwisk i nikogo z nas nie znał, a Konarski, nie pierwszy raz, powtarzam, tęgiego i przytomnego charakteru, znalazłby środek do ocalenia nas.

Nim więc Kozakiewicza wzięto, wypadło mi jechać do Lipawy do wód morskich, dla zdrowia mojej córki. Tam spokojnie sobie siedziałem, bawiąc się nawet, bo nie przewidywałem, że coś może się wykryć, chyba jedna obawa, aby Konarski, o szpitalu św. Jakóba mówiąc, nie skompromitował Albertyny, któraby i mnie wpakowała. Ale i ta obawa była mała, bo nie mając świadków, mogłem być spokojny, wypierając się choćby i w oczy Albertynie.

Wtem 17 lipca rano wpada do mnie dwóch Kurlandczyków, mówiąc mi, że w hotelu stanął Miczniow, były policmajster wileński, a podówczas wojenny naczelnik telszewski, który przyjechał po mnie z żandarmem, aby zawrócić do Wilna. U nasby tego nikt nie wiedział, ale w Kurlandji, gdzie policmajster i kwartalni są to Kurlandczycy mający i znajomości i stosunki z obywatelami, łatwo więc, od policmajstra, do którego Miczniow musiał się udać dla powzięcia wiadomości gdzie mieszkam, dowiedzieli się, że ta moskiewska figura z żandarmem po mnie przybyła i wprzódby mnie o tem zawiadomili, proponując mi ucieczkę albo na jednym z dwóch okrętów holenderskich, za godzinę odpływających, albo też na okręcie angielskim, również pod

żaglami stojącym. Lecz upewniony w mojem przekonaniu, że nasze towarzystwo nigdy wykryte być nie może i że tylko z powodu ulokowania Konarskiego u św. Jakóba mogę być zapytywany, byłem zupełnie spokojny; opuszczając więc córkę i siostrę, na mojej, mogę mówić, opiece i staraniu będące, nie obawiałem się i śmiało czekałem pokazania się u mnie Miczniowa, który w godzinę po tej propozycji Kurlandczyków zjawił się z żandarmem i policmajstrem lipawskim, którego odprawivszy, pozostał u mnie ze swoim żandarmem i wcale po europejsku postępując, z delikatnością największą oświadczył mi rozkaz Dołhorukiego dostarczenia mnie do Wilna. W tym rozkazie było zalecone, aby, nie przestraszając córki i siostry, skłonić mnie do powiedzenia im, że dla moich własnych interesów nagle zmuszony jestem wyjechać do Wilna. Nie mogłem wszakże popełnić tego niewinnego kłamstwa, bo siostra moja знаła dobrze moje interesy i wiedziała, że nic nagłego być nie może. Nareszcie cała już Lipawa wiedziała, że po mnie przyjechano, a więc nigdyby się utaić nie mógł ten mój wyjazd. Oświadczywszy mnie przeto cel swego przybycia, Miczniow zażądał mojej szkatułki z papierami, którą miał rozkaz opieczętować. I tu po europejsku postąpił, bo nim świecę do pieczętowania przyniesiono, „Może masz co do zdarcia, — rzeczy — to drzyj, ja patrzeć nie będę”. Podziękowałem mu zato, lecz nie przyjąłem i tej propozycji i ze wszystkiem szkatułkę oddałem, bo żadnych papierów tam nie miałem. Był wprowadzie przy mnie w pugilaresie listek jeden od Szemiotha, którego dwie stronice, *en blanc* zostawione, musiały być zapisane zwyczajnym sposobem naszej korespondencji; ale pisma tego jeszcze wykryć nie mogłem, bo list ten przez brata Szemiotha odebrałem w Lipawie, gdzie równie, jak i w Wilnie, jodyny dostać nie mogłem, i jakby pod natchnieniem, list ten po odejściu Miczniowa podarłem. Zabrawszy więc papiery i wzięwszy słowo honoru, że chować się nie będę, zostawił mi kilka godzin czasu na pożegnanie się z córką i siostrą i do przygotowania ich do mojego odjazdu, a sam poszedł z żandarmem do siebie nie bez pytania mię powodu, dla którego mogę być aresztowany, bo i on, w Telszach siedząc, o niczem, co się w Wilnie święci, nie wiedział. Zostawione mi kilka

godzin czasu obróciłem na pożegnanie się z córką i siostrą, i na przyjęciu mogę powiedzieć całej Lipawy, bo wieść o mojem aresztowaniu i wywiezieniu szybko rozeszła się po całym mieście, i pełno mężczyzn i dam, płaczących, klnących cara i ubolewających nad nami, ciągle nas odwiedzało; tak to, nie chwając się wiele i tam znalazłem przyjaźń i współczucie.

Po upływie tych kilku darowanych mi godzin w wygodnym kocyku Miczniowa, o godzinie trzeciej po południu wyjechaliśmy z Lipawy na noc do majątku Miczniowa w powiecie telszewskim, a po drodze położonego, ciągle jak najgrzeczniej byłem traktowany i uspakajany przez Miczniowa, że pewno dla jakiejś małej bagateli jestem w Wilnie potrzebny, bo i on nie przewidywał, co mię tam spotka. Trzeciego więc aż dnia zajechaliśmy do Wilna o godzinie dziesiątej wieczór przed mieszkanie Dołhorukiego. Miczniow, zostawiwszy mnie w pojeździe pod strażą żandarma, pobiegł zameldować mój przyjazd, a nie znalazłszy Dołhorukiego, który był w teatrze, spytał Krikuniewicza, będącego w jego kancelarji, co ma ze mną zrobić. Ten mu odpowiedział, że rozkaz jest dany, aby mnie zaraz po przybyciu prosto do Bazyłjanów, gdzie się odbywała Komisja, zawieziono. Wraca Miczniow i to mi zwiastuje, pytając, czy nie poczuwam się do czego, i że to jest rzecz ważniejsza, niż sądził; zawiadomił mnie nadto, że już u Bazyłjanów siedzą: Kończa, E. Romer, J. Hrebnicki i ks. Trynkowski. „Żle, — pomyślałem sobie — otóż i nasze towarzystwo wykryte”, a znając słabość charakteru niektórych, źle wróżyć począłem. Nie dając nic wszakże do poznania Miczniowowi, jechałem do Bazyłjanów, gdzie mnie oddał w ręce *smotritiela* więzienia, Sołowjewa, i oficera od warty. Zaprowadzono mnie do celki, pościel zaś, rzeczy i służącego, com miał ze sobą, odesłano do miasta, do mego mieszkania. W celi wraz mnie rozebrano, koszulę nawet zdejmując, a kołnierz od surduta i podszewkę spruwając; szukano papierów, których nie znaleziono. Po takiej rewizji odebrano wszystkie pieniądze, zegarek, tabakierkę nawet, słowem wszystko, co mogłem mieć przy sobie, a na przyniesionym sienniku spać pozwolono, zamknąwszy na klucz w celi. Nazajutrz o ósmej rano, wpada do mnie ks. Trubecki z otwar-

temi rękami, i ściskając, rzecze: „*Ah, mon cher Szumski*, czy mogłem spodziewać się, że kiedyś będziesz w tej pozycji? Ale bądź spokojny, wszystko to urządzimy, tylko przyznaj się do wszystkiego, bo Hrebnicki i inni wszystko już wyznali”. — „Ależ nic do wyznania nie mam”, rzekłem. „Czytaj, czytaj,— powiada, pokazując mi zeznania Hrebnickiego—nie zaprzeczaj niczemu, jeśli chcesz być ocalony”.

Tu muszę powiedzieć, jakie były moje stosunki z Trubeckim. Był on żonaty z synowicą Konstantego i Gustawa książąt Czetwertyńskich, urodzoną z Borysa Czetwertyńskiego, z pierwszego wspólnego ich ojca małżeństwa; bo ojciec ich będąc uprzednio żonaty z jakąś rosjanką, starszego syna Borysa, Olgę, późniejszą Naryszkina, faworytę Aleksandra, i Wyżkowską zostawił w Petersburgu u krewnych żony, i te troje rodzeństwa w Rosji rosyjskie odebrało wychowanie i religję, sam zaś, wróciwszy później do Polski, ożenił się z hrabianką Chołoniewską, z której byli Gustaw i Konstanty, z którymi od dzieciństwa się znałem i byłem w przyjaźni, często bywając u ich matki, wszystkim znajomej, księżny Coletty Czetwertyńskiej, mieszkającej zawsze prawie w Wilnie. U niej też codziennie prawie bywał Trubecki z żoną swoją, Nadyną, córką Borysa, i kiedy Komisja nad Konarskim ustanowioną została, codziennie przed moim aresztowaniem z Trubeckim u starej Coletty smaczne zjadaliśmy obiady. A że stara bardzo mnie lubiła, i że Gustaw, służący w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, właśnie wówczas znajdował się w Wilnie, więc też razem dnie całe spędzaliśmy, i, skoro tylko poszedł rozkaz aresztowania mnie w Lipawie, o czym Trubecki zawiadomił Gustawa, ten wraz powiedział Trubeckiemu, słynnemu już ze swojego pastwienia się nad więźniami: „Jeśli cokolwiek, co umiesz robić, zdarzy się Szumskiemu, uprzedzam cię, że ani ty, Aleksy (takie miał imię), ani Nadyna, nie postawicie u nas ani kroku, i że was będziemy traktować nie jako krewnych, lecz jako wrogów”.

Oto był powód grzecznego tego tygrysa ze mną postępowania. I Dołhoruki też, dobrze dla mnie skłoniony, zalecił był również dobre obejście się.

Wracam więc do Trubeckiego, który zaraz po wyżej cytowanej przemowie z troskliwością spytał, jak noc spędziłem

i czy mi czego nie brak; a za pokazaniem mu nędznego siennika i zakratowanego okna, wraz kraty wydrzeć i pościel z domu przynieść kazał, zostawiając mi zeznania Hrebnickiego, na które radził i prosił mnie, abym jak najrzetelniej odpowiedział na piśmie, kazał przynieść papieru, kałamarz i pióro, i obiecał przyjść za pół godziny. Widząc, że Hrebnicki, nie chcący opierać się zeznaniom Kozakiewicza, który pod batogami wyznał istnienie naszego towarzystwa; widząc, mówię, że i Hrebnicki przyznał się do niego, odpisałem, kłamiąc na potęgę, że nie pojmuję, jak p. Hrebnicki i inni mogli przyznać się do towarzystwa, kiedy realnie onego nie było; i że my, chcąc tylko podtrzymać literaturę polską, bardzo upadającą, zbieraliśmy się, to u mnie, to u Romera lub Kończy, jak się zbierają dobrze między sobą znajomi i, nie mieszając żadnych politycznych kwestyj, na gawędzie i na fajkach lub cygarach przy szklance herbaty czas zbijaliśmy, nie mając bynajmniej nigdy sekretnych schadzek, charakteryzujących każde towarzystwo. Tak odpisawszy, czekałem na powrót Trubeckiego, który po odczytaniu mojej odpowiedzi, spodziewając się zupełnie innej, wpadł w ferwor, krzycząc: „Ale gubisz siebie dobrowolnie, zaprzeczając wszystkiemu. Gorzej siebie tem kompromitujesz, bo jednakowoż wszyscy już wszystko zeznali”. Ja jednakże postanowiwszy raz nie przyznawać się do niczego, nie odmieniłem mojej odpowiedzi i Trubecki w furjach wyszedł.

Trzeba wiedzieć, że jeszcze wtenczas nikt z naszych nie był wypaplał nic o korespondencji z Franciszkiem Szemiothem i dalszych naszych czynnościach, co wszakże później wzięty od nas Kończa, człowiek mistyczny, lubo zresztą najzacniejszy (przytem nabożny, nie zaś pobożny), jak tylko został posadzony do więzienia, przy nerwowem swoim, jakim już pono powiedział, usposobieniu, nie czekając nawet zapytań, jakie będą mu dawane, poprosiwszy księdza spowiednika i odbywszy ten akt, po przyjęciu Komunii Świętej, poprosił o arkusz papieru i zaczął od tego: „W Imię Ojca etc., jak dziś odbyłem spowiedź świętą, tak nic zataić nie chcę, i wszystko następnie objaśniam”; i tu zaczął od A do Z wszystko recytować, zaco prawda później przepraszał mnie mocno. Darowałem mu też jako chrześcijanin.

W trzy dni po tej wizycie Trubeckiego, która była tylko przygotowaniem do dalszych egzaminów, które się w komplecie przy całej Komisji, złożonej z Trubeckiego — prezydującego, Anisimowa — sowieтника, Warsanofjewa — czynownika przy Dołhorukim, Juferowa — pułkownika, zięcia Perrina generała, też czynownika Dołhorukiego, Arandarenki — kapitana żandarmów i sekretarza, Andersona — sowieтника, lepszego od tych wszystkich, odbywały. W nocy wyprowadzono nas ze dwudziestu z więzienia bazyljańskiego do misjonarzy *In monte Salvatoris*. Nocny ten pochód, wart też opisania, a więc kilka słów o nim.

Koło północy przyszedł *smotritiel* z oficerem od warty, kazał mnie ubrać się, a jakiś żołnierz, zabrawszy moje manatki, z dwoma obok mnie żołnierzami wyprowadził na korytarz, na który co moment podobnaż, co mnie, kolejną wyprowadzano innych kolegów, nie pozwalając jednemu z drugim rozmawiać, i tak szliśmy od Bazylianów do Misjonarzy, między bataljonem żołnierzy, we dwa rzędy stojących, którzy z nami ten pochód aż na miejsce robili. Raz do Misjonarzy wprowadzeni, kolejką po celach po jednym zostaliśmy rozmieszczeni. Resztę więc nocy spokojnie przespałem; lecz nazajutrz rano, gdym otworzył okno, postrzegłem pełno głów wytkniętych, ale żadnej twarzy znajomej. Byli to bowiem pińczuki, mińczuki i podobanie, wszyscy za bliskie stosunki z Konarskim pobrani. W więzieniu prędko wszakże robi się znajomość, przy zapytaniu, a ty kto? a za co? i etc. Gdy tak egzaminuję te głowy w oknie, postrzegam w szóstym pono końcowem oknie (bo moje było końcowe, ale z drugiego końca), postrzegam, mówię, Hrebnickiego, który mię pyta, czy byłem egzaminowany. Odpowiadam, że byłem i że jego zeznania czytałem, ale że się do niego nie przyznałem, cytując, com odpowiedział. „A to ty rozumniej — rzecze — się znalazłeś”. — „A czemuż i ty tak nie zrobiłeś?” — rzekłem — *nie wiedaju, nie znaju*, najlepsza odpowiedź dla Moskala”, co gdy koledzy usłyszeli, dalejże mnie się radzić, co mają odpowiedzieć, kiedy ich będą pytać o ich grzechy. Stosowną każdemu dałem instrukcję, podtrzymując w wielu bardzo podupadłego ducha. To też mnie opatrnością swoją mienili i wielu po moich instrukcjach i samych się wyratowało

i innych, którychby mogli i mieli z bojaźni pociągnąć, nie pociągali, bo trzeba wiedzieć, że tym osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu więźniom, wówczas uwięzionym, jeszcze ze dwustu albo i więcej winno było swoje ocalenie, a to dzięki nie paplaniu już uwięzionych.

Tak sobie rozmawialiśmy parę godzin, nim nie nadszedł Trubecki z rzemieślnikami—sołdatami, którzy wraz w każdej celi kraty drewniane z czterocalowych w kwadrat łat przybijając poczęli, a gdy przyszła kolej na moje okno, Trubecki wszedł do mnie i rzekł: „Księżę Dołhoruki na prośbę siostry i córki, które zawczoraj wróciły z Lipawy i które są zdrowe, pozwolił panu krat nie dawać, pod warunkiem, że będziesz więcej szczerym w odpowiedziach”. Podziękowałem mu zato, jak i za wiadomość o siostrze i córce, które w Lipawie zostawiłem, a które, nie kończąc kąpeli morskich, wkrótce po mnie wróciwszy do Wilna, otrzymały dla mnie fawor niemienia krat, przysyłania mi z domu obiadu, kolacji i herbaty rano i wieczór, a w kilka dni potem, po egzaminach w Komisji (o których poniżej) i pozwolenie codziennego odwiedzania mnie w więzieniu, za biletem, który też codzień brać musiały i otrzymywały; prawda, że krótka to była pociecha, bo ledwo na minut pięć przy asystencji *smotritiela* i oficera wprowadzano ich do mnie.

Ale wracam do egzaminów. Przez kilka dni codziennie wożony byłem do Bazyljanów. Wożono nas w mającym foderdach szczelnie zapuszczony koczku, do którego siadał *smotritiel*, a za lokaja służył żandarm i ten ekwipaż całemu już miastu był znany, tylko że nikt nigdy nie wiedział, kogo wieziono na egzamin. U Bazyljanów po wysadzeniu z pojazdu prowadzono do sali śledczej i tam czytano depozycje, i kazano na nie odpisywać; a nie zgadzającym się na depozycje, jak to zawsze było ze mną, „naoczne dawano stawki” i to była rzecz najprzykrzejsza, bo temu, co w oczy mówił, że tak i tak było, musiałem wbrew powiedzieć: „Łżesz, nieprawda, nigdy z tobą o tem nie mówiłem etc.”, a potem trzeba było podpisywać takie zaprzeczenie. Z jednym tylko ks. Trynkowskim, pomimo moich nalegań, nie dawano mi naocznych stawek, bo mówiono, że zwariował. I coś na kształt tego być musiało, sądząc po jego zeznaniach, na piśmie robionych, które mi

Trubecki okazał, a w których, prócz wyjawienia całego celu naszego towarzystwa, z najdrobniejszymi szczegółami opisanym, dziwolągi też na siebie plótł, gadając o dzieciach swoich... Co się zaś mnie tyczy, to mówił, że ja najzjadlejszym zawsze byłem wrogiem Moskali i że raz mu powiedziałem: „Dziwna rzecz, że kiedy car Mikołaj przez Wilno przejeżdżał, nie znalazł się jakiś Alibaud, czy Fieschi, coby mu w łeb strzelił”. Przeczytawszy takie bezsensowne i brudne zeznania jego życia prywatnego, utwierdziłem się w mniemaniu, że on warjat i tem silniej przeczyć wszystkiemu począłem.

Nieraz też Trubecki wściekał się, widząc mój tak oczywisty upór; ale nie zrażałem się tem i postanowiłem ciągle wszystkiemu przeczyć i nie mogłem inaczej też postępować, bobym skompromitował bardzo wiele osób, a mianowicie kobiet, które, z zagranicy wracając, korespondencje od Szemiotha mi przywoziły. Mogli moi towarzysze mówić, że Szumski odbierał listy od Szemiotha, ale ja nie mogłem się do onych przyznać, bo gdybym się przyznał, wrzaby pytano, a przez kogo, coby, jak rzekłem, wiele kobiet skompromitowało, których też nie menażowano, bo kilka ich, jak p. Felińska i inne, równie w więzieniu siedziały. A więc ciągle zawsze wszystkim przeczyłem, co się nie podobało Komisji, która, nie mogąc mnie bić, jak wielu z naszych bito, różnemi innemi sposobami dręczyła. I tak często naczczo, przed herbatą, którą mi o ósmej rano przynoszono, wywożono na Komisję i razy ze dwa trzymano mnie tak o głodnym zębie do szóstej lub ósmej wieczór, chcąc mnie tym sposobem zmusić do zeznań. Słabłem prawie ze czczości, ale nigdy nie słabłem w moich negacjach. Do jednej wszakże przyznać się musiałem rzeczy, która nikogo prócz mnie nie kompromitowała, a i tę bym zaprzeczył, gdyby nie moja karteczka do Kozakiewicza, znaleziona w jego papierach, w której pisałem do niego, że posyłam mu sto dukatów na wiadomy interes. Były to właśnie te sto dukatów, dane na wyjazd Konarskiemu, o których była wyżej wzmianka i o których, jak będę mówił o dekrete na nas, jeszcze raz wspomnę. To morzenie głodem, za widzeniem się z siostrą i córką im opowiedziałem. Poleciały więc do księcia, który dał rozkaz, aby więcej już tego nie powtarzano, i odtąd grzeczniej ze mną postępowano.



WIDOK ULICY ZWANEJ „RYBNY KONIEC”, PATRZĄC OD RATUSZA
KU ZAMKOWEJ BRAMIE

Tymczasem mijały dni w nudach i niespokojności. Całą pociechą były odwiedziny, choć krótkie, kochanej siostry i córki. Miałem też i kolegę, młodego medyka Stachowskiego, tak bowiem już wielu było więźniów, że nie było gdzie ich mieścić, a więc stawiono nas po dwóch, najczęściej z oddzielnej kategorii; a że my nic wspólnego z akademikami nie mieliśmy, więc nam dawano akademików. Było przynajmniej do kogo słowo przemówić, bo już i ciągle czytać się sprzykrzyło, a czytać pozwalano, lubo książki przechodziły przez Komisję, aby czasem nie użyto onych, jako środka korespondencji; ja tego nie potrzebowałem, bo córka moja, przychodząc do mnie, zawsze miała karteczkę w ręku, którą mi podając, czy biorąc moją do pocałowania, z ręcznie mi podawała; nazajutrz odpisywałem przy pomocy kawałka ołówka i papieru, który mi sekretnie przyniosła. Korespondencja ta potrzebną mi była dla wiadomości, co który z naszych mówił i o co będę którego dnia pytany, bo brat mój, będąc dobrze z sekretarzem Andersonem, wszystko od niego wiedział. Tak przygotowany, wcześniej sobie układałem moje odpowiedzi, a moja przytomność, pomimo sideł, jakie na mnie zastawiano, zawsze śledzących tak z drogi zbijała, że wściekali się ze złości.

Pewnego wszakże dnia wpada do mnie Trubecki i mówi mi, że ksiązę Dołhoruki niezmiernie na mnie rozgniewany, że do niczego przyznać się nie chcę, tak dalece, że już usuwa mi swoją protekcję i że mi to samo dziś siostra i córka powtórzą. Jakoż przybywszy do mnie po obiedzie, siostra mi powiada, że wczoraj Dołhoruki jej oświadczył: „Nic nie mogę więcej dla niego uczynić, ponieważ przez swój upór wszystko psuje; gdyby się przyznał—mógłby być ułaskawiony”. Trzeba wiedzieć, że one często bywały u Dołhorukiego, zawsze coś dla mnie prosząc i dowodząc, że niewinnie jestem prześladowany. „Co mnie pani mówisz,—rzecze—on winniejszy od innych, lubo do niczego się nie przyznaje. Gdyby on przed swoim uwięzieniem, kiedy mu u siebie ojcowskie przestrzeżenie robiłem, gdyby — mówię — wtenczas wszystko mi był wyznał, pewnoby jego zaprotegował i nawet do śledztwa nie pociągnął”. Na to siostra mu odpowiedziała ze zwykłą kobiecą otwartością: „Ale byłby wtedy donosz-

czykiem, a książę, co tak szlachetny masz charakter, co byś o nim wtenczas powiedział?“ Zaambarasował się tem i odrzekł: „Prawda, ale zawsze łacniejby mu było wykręcić się z tej całej historii, a teraz trudno, bo i ja nic nie mogę“. Moja siostra, wszystko mi to opowiedziawszy, rzekła: „Wiesz co, możeby lepiej było, żebyś się przyznał“. A ja jej na to: „Jedź do Dołhorukiego, powiedz mu, że tyle masz influencji nade mną, że potrafisz mi wyperswadować, abym się przyznał do wszystkiego, tylko żądasz od niego słowa honoru, że mnie wraz uwolnisi; ale uważaj, mówię, na jego fizjonomję i ruch twarzy, jakie na nim to robi wrażenie“. Nie miałem wprawdzie intencji przyznać się; chciałem tylko wiedzieć, co on na to powie. Nazajutrz pojechała moja siostra do księcia z lekcją, jakiej ją nauczyłem, lecz skoro mu tylko wypaliła moją determinację, nie postrzegłszy się, chwycił ją z żywością za rękę, i w uniesieniu rzekł: „Pocóż pani tym krokiem chcesz zeszpecić jego piękny i honorowy charakter?“, a potem, jakby postrzegłszy się, z flegmą dodał: „Wszakże, ponieważ wszyscy się przyznają, dlaczegoby i on nie miał się przyznać?“ Przyniosła mi siostra tę jego konwersację, a z niej przekonałem się, że bardziej, niż kiedy, mogę śmiało wszystkiemu zaprzeczać, co też i do końca czyniłem. Tu wypada mi wspomnieć jeszcze jeden piękny ze mną postępek Dołhorukiego.

Wiadomo, że korespondencje, które odbierałem z zagranicy od Szemiotha, pisywane były sympatycznym atramentem, którego litery wykrywałem za posmarowaniem papieru jodyną, i często mniejsze takie korespondencje, jakiem to wyżej powiedział, przychodziły pocztą w listku, na którym kilka ledwo słów dowiadujących się o zdrowiu mojem było napisanych, a resztę papieru niby niezapisanego, jodyną odkrywałem. Po wykryciu na egzaminach przez Kozakiewicza sekretu jodynowego, listy, jakie tylko do mnie skądkolwiek przychodziły, odnoszono Dołhorukiemu, który również jodyny tej używał, i w ciągu mego więzienia, widno, może nie jeden taki list przyszedł do mnie, bo kiedy moja siostra, raz będąc u niego, gadała o mojej niewinności, on wyjmując list ze stolika, rzekł do niej: „Co mi pani mówisz? Oto mam w ręku nadto widoczny dowód jego stosunków z emigracją.

Jest to list do niego sympatycznym atramentem pocztą pisany, a który mi kilka dni temu oddano. To jest dowód, któryby go kompletnie potępił, gdybym ten list do Komisji odesłał; ale nie chcę go gubić i oto w oczach pani ten list palę”. Co też przy niej skutecznił, nie odsyłając tego listu do Komisji, która przy takich oczywistych dowodach mogłaby mnie gorzej potępić.

Szesnaście tygodni tak przevegetowałem u Misjonarzy, ciągle stosunki mając ze wszystkimi więźniami i nauczając ich moim przykładem, jak mają postępować. W sąsiedztwie miałem pińczuka, starego Dmochowskiego, z którym przez ścianę rozmówić się, stukając w nią, nie mogłem. (Nie wiem, czy opisać tu to stukanie w mur, tak wielu już znajome. Zasadzało się ono na tem, że literę, którą chciano powiedzieć, trzeba było wystukać do liczby, w jakiej się ona znajduje; np. chcąc spytać: „Co pytano na egzaminie?” — ponieważ litera „c” jest trzecią z porządku, więc trzy razy się stuka; „o” jest czternaste z porządku, więc czternaście razy potrzeba stuknąć. Tym sposobem przeciwna strona wie, że to wyraz „co” wystukano i t. d.). Musiałem więc do niego i do innych mówić otworzywszy okno, co też i oni robili, a lubo mnie nie widzieli, bo za kraty głów wysunąć nie mogli, ale wszystko słyszeli. Wszakże musiał kiedyś czy *smotritiel*, czy kto inny podsłuchać, jak ja tam rej wodziłem, bo pewnego dnia wszedł do mnie Trubecki, a niby ubolewając nad mojem zdrowiem i znajdując, że moja kwatera jest bardzo wilgotna, do Bazylianów mnie kazał przenieść. Smutno i mnie było rozstawać się z kolegami, z którymi się zżyłem, ale ich smutek, jak mi później mówili, był daleko większy, bo ja im ducha poddawałem i byłem, że tak powiem, duszą wszystkich więźniów. Żał mi też było cudnej pozycji i widoków, jakie miałem z mojego okna będącego na trzecim piętrze, a z którego widziałem całe miasto, Werki, Trynopol i Kalwarię.

To też jednego razu policmajster Sierebiakow, dobrze mi znany i dobry człowiek, z rozkazu Dołhorukiego przybyły oglądać porządek i czystość więzień, ujrawszy te cudne widoki, rzecze: „Ach, żeby tu perspektywę mieć, możnaby sobie czas uprzyjemnić. Ot, wiesz co? ja mam doskonałą perspektywę, spytam księcia, czy nie pozwoli jej panu dać,

a kiedy pozwoli, przyszlę”. Jakoż i przysłał. Tu nie mogę ominąć, lubo mało znaczącego opisu z powodu tej perspektywy, czy raczej długiego teleskopu, za którego pomocą nie tylko widziałam pod Kalwarią orzącego włościanina, ale mogłem widzieć szerść konia, czapkę włościanina i dalszy jego kostjum. To też ta perspektywa, czyli luneta, była dla mnie i dla kolegi mojego, Stachowskiego, nieraz powodem widzenia scen pociesznych, zwłaszcza wieczorem, kiedy po domach miejskich świece były pozapalane, a okna letnią porą otwarte, dozwalały nam przypatrywać się scenom to bardzo czułym, to znowu kłótniom, a nawet i bitwom, widno, małżeńskim, i innym takim rzeczom, które ludzie zwykle kryją przed ludźmi. Zbyt może długo rozwlekłem się nad tą lunetą, ale ponieważ ona mi wiele czasu w tych nudach więziennych ubijała, słodkie więc i teraz robi wspomnienie.

Nim wszakże opuścić Misjonarzy, nie mogę nie wspomnieć jeszcze o niektórych naszych wybiegach przeciw zbyt srogiej czynności naszych ciemieżców. I tak często Trubecki, widząc, że bicie niektórych więźniów w policzek, batogami po plecach, różgami po tyle, nie zniewala do wyznania prawdy, skazywał takich na dwie lub trzy doby do ciemnego pokoju, bez okien, najmniejszego posłania, bez stołka i stolika, dając tylko kwartę wody i ćwierć funta chleba na dobę, zdjawszy nawet wierzchnie ubranie. Leżało się więc i siedziało na gołej brudnej ziemi i zamieszkałej przez miliony pcheł. Nieszczęśliwemu koledze nie zbywało wszakże na pomocy udzielanej następującym sposobem.

Wiadomo może, że we wszystkich więzieniach trzymają więźniów pod kluczem i że na żądanie więźnia szyldwach, stojący przy drzwiach, obowiązany jest przedłożyć swej władzy jego żądania. I tak, kiedy więzień potrzebuje odbyć potrzeby przyrodzone, powinien zapukać do drzwi. Wtenczas żołdat pyta: „*Czewo izwolitie?*” Odpowiada się: „*Do wietru*” (śmieszna ekspresja). Wówczas szyldwach krzyczy: „*Kanwoj, do wietru nomier piatyj czy diesiatyj*”, z jakiego kto potrzebuje, i wnet czterech z karabinami staje przy drzwiach, które *smotritiel* przy oficerze od warty otwiera, i mając dwa takie bagnety przed sobą, a dwa za sobą, więzień triumfalnie maszeruje do tronu, niemniej spodłonego i zbrudzonego

od tronów monarszych, na których częściej zwierzęta, niż ludzie z sercem, siedzą.

Tu trzeba nieco dłuższego opisanie tych miejsc, czyli poprostu komórek poklasztornych. Ciągną się one przez wszystkie piętra klasztoru, tak że więzień będący na niższym piętrze, słyszy, kiedy ktoś jest na wyższym, i tam pomimo przeszkody żołdatów, dla których starano się zawsze mieć jaką kopiejkę, albo pozostały od obiadu kawał chleba lub mięsa, za które dusze djabłuby oddali, będąc tak niegodziwie karmieni, rozpoczyna się rozmowa następna: kto? — taki i taki; za co siedzisz? — zato i zato; kto twój sąsiad? nie wiesz, gdzie ten albo ten? i t. d. Tym sposobem dowiadujemy się, że taki lub owaki siedzi w ciemnicy, i że o tej

o tej godzinie pójdzie *do wietru*, a kiedy on z piętra, na którym ja, na przykład, jestem, to na umówioną godzinę, w pierwszej, drugiej, trzeciej czy czwartej i t. d. komórce (bo ich jest czasem osiem lub dziewięć w rząd), pod pierwszą lub drugą beleczkę wsuwa się czy kawał mięsa, czy kurczaka, bułkę białą, wszystko to zazwyczaj od herbaty lub obiadu zostawione na taki wypadek. Wówczas nieszczęśliwy, na głód skazany, rusza po swoją prowizję i kpi z postu, przez oprawców nakazanego. Trzeba wszakże wielkiej ostrożności, aby żołdaci nie postrzegli, bo gotowi to na swoje skraść conto, co też nieraz się i przytrafiało.

Opisawszy brudne wprawdzie wydarzenia komórkowe, do których, *notabene*, po sześć i osiem razy na dzień, często bez potrzeby, tylko dla rozrywki chodziliśmy, jeszcze tylko jedno u Misjonarzów wydarzenie, którego ominąć nie mogę, opowiem, a potem ruszę do Bazyljanów, na wyborze do których, dawno już czytelnika zostawiłem. Było to małe *proizszestwie*, jak to nasi panowie nazywają. Ja często miewam ataki, widno, krwi; pewnej więc nocy zaczynam we śnie krzyczeć, czując nadzwyczajną opresję, a nie mogąc żadnym sposobem się obudzić. Stachowski, mój kolega, zrywa się ze snu i woła: „Co ci jest, marszałku?” — „Nic, — odpowiedziałem — dziękuję, żeś mnie obudził, to mi się czasem przytrafia i najlepiej kiedy kto przebudzi”. Krzyk mój wszakże posłyszał szylldwach, który dał alarm. Uderzono więc w bębny i cała kompania żołnierzy, składająca naszą straż klasztorną,

w chwilę pod broń stanęła, a przebudzony *smotritiel* przybiegł z kluczami i latarnią, pytając, co to jest? Na moją odpowiedź, że to krew moja hula, uspokoił się, mówiąc: „Wielkiego nam pan narobiłeś strachu, sądziliśmy, że jeden drugiego zarzyna, taki przerażający był krzyk pański”. Nazajutrz też posłano raport do wojennego gubernatora, że takie to i takie *proizszestwie* było w nocy.

Pora wszakże wrócić do smutku, jakiego ja i koledzy moi doznaliśmy, kiedy mnie wywieziono do Bazyłjanów, u których wszakże lepiej mi było, lubo widok był tylko na ich dziedziniec. W nowej tej mojej celi znalazłem kraty, co mię bardzo zmartwiło. Ufając jednak, że moja córka i siostra wyproszą wyjęcie onych, cierpliwie do wieczora przybycia ich czekałem. Jakoż nazajutrz rano *smotritiel* otrzymał stosowny do tego rozkaz. Tu, jak tylko przybyłem, wnet komunikacje stukania w mur się zawiązały, bo w tem więzieniu siedziało najwięcej ludzi tęgich, znających się ze stukaniem, którego pouczył Konarski, mający niezmiernie rozgałęzione z więźniami stosunki, pomimo nadzwyczajnej srogości, z jaką był pilnowany; lecz i to stukanie, czyli ta komunikacja niedługo trwała. Żona bowiem Trubeckiego, przypadkiem dobrawszy się do pamiętników Andrjana, tak nieszczęśliwie pod austriackim rządem dręczonego, wyczytała w nich opisanie tej korespondencji i u ks. Czetwertyńskiej mężowi przed moją siostrą o tem mówiła. Siostra moja tegoż dnia doniosła mi to, abym przestrzegł kolegów, że ten sekret odkryty, lecz, nim wiadomość ta, przeze mnie zakomunikowana, obeszła całe więzienie, Trubecki, nie tracąc czasu, chciał sam przekonać się, czy nie posiadają tego sekretu i jego więźniowie, a znienacka z korytarza podsłuchawszy nieszczęśliwego Rapcewicza, jednego z najtęższych medyków, już i tak okropnie bitego, znowu niemiłosiernie ze dwieście pałek mu wsypał.

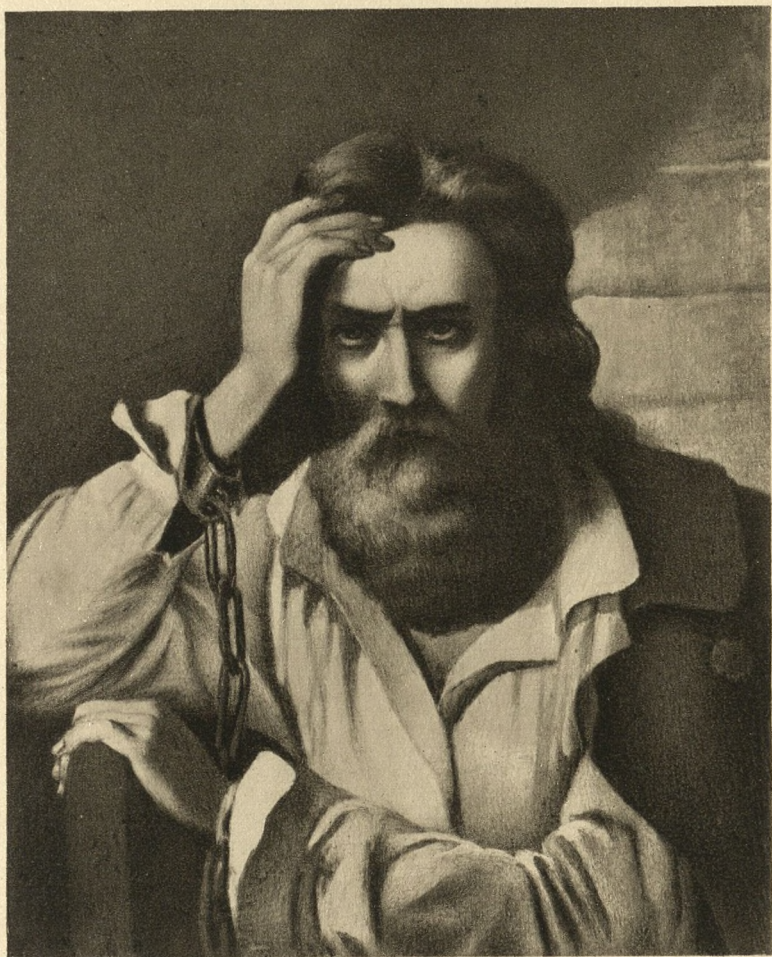
Tu następuje interesujący bardzo dla mnie opis dziewiętnastotygodniowego mego w tem nowem więzieniu pobytu z powodu stosunków, jakie zawiązałem z najważniejszym więźniem, Konarskim, którego los mi dał za najbliższego i najlepszego sąsiada, bo nad moją celą mającego swoje więzienie. Nie znałem go, jakim to już powiedział, ale

znaliśmy się wzajemnie z opinii powszechnej. Posłyszawszy stuk kajdan nad moją głową, pytam *smotritiela*, kto jest nade mną; lecz sekret nie dozwalał mu tego powiedzieć i odpowiedział: „*Nie znaju*”. A więc w chwili swobodnej słysząc go śpiewającego tęgim basem (bo śpiewać nie zabraniano), począłem, fajkę paląc, myśleć, siedząc w otwartym oknie, jakim sposobem dowiedzieć się, kto ów więzień. Wtem zaleciał w górę odór tytuniu tureckiego, który zwykle wówczas paliłem, i w tej chwili recitativem zaśpiewał Konarski: „Ach, tytuń turecki! jak mi to Podole przypomina. Na miłość Boga, kto jesteś?” — „Szumski”, odpowiedziałem szepczącym głosem, w górę głowę podnosząc dla lepszego dojścia głosu; mówię szepcząc, bo na dole wzdłuż okien więźniów przechadzał się szyldwach, broniący gadania. Prócz tego szyldwach korytarzowy ciągle przez okienko, we drzwiach wyróżnione, zazierał do mnie.

Konarski zaś miał szyldwacha w środku celi i okno jego zamurowane było od dołu do wierzchniej jednej szyby, w której miała furtkę i którą, na palcach wspinając się, wolno mu było otwierać dla powietrza, bo widzieć nic, prócz nieba, nie mógł. Skoro więc usłyszał moje nazwisko, powiedział swoje i wraz po francusku począł śpiewać: „Ach, i ty tu z mojej przyczyny, lubo nie ja ciebie wydałem, ale Rodziewicz, najlepszy w świecie człowiek, tylko słabego charakteru; co gdy Komisja postrzegła, pod batogami, których znieść nie mógł, wszystko wyśpiewał”, i dalej od niego dowiedziałem się, że tym sposobem Rodziewicz Kozakiewicza wydał i, jak ten również batożony i nas powydawał, pochwalił też i mnie, że dobrze robiłem, że wypierałem się wszystkiego. Bo ten dziwny Konarski wszystko o wszystkich więźniach wiedział i tak był pięknie wszystko swoją przytomnością urządził, naprowadzając w naocznych z nim stawkach na dobry tor tych, co się kompromitowali przez tchórzostwo, że niejednemu wmawiał, że albo go nie znał, albo, że oskarżony, znając go, nie wiedział, że Konarskiego emisariusza znał, ale jakiegoś obywatela tylko; albo też innym dowodził, że ten pan ze strachu, a może i bity, przyznaje się do rzeczy niebyłych. I tym sposobem niejednego na dobrą drogę naprowadziwszy, ocalił tak, że Komisja miała już kończyć

swoje czynności, gdy gałgan ostatni, pińczuk Orzeszko, wszystko zgubił i Komisję o trzy zgórą miesiące przedłużył, a to z następującej okoliczności.

Konarski, jak mówiłem, miał szczególniejszy dar podobania się wszystkim i durzenia wszystkich. Dnia jednego był na warcie oficer nazwiskiem Korowajew. Był to bardzo dobry chłopak i prawdziwie pokochawszy Konarskiego, zaproponował mu, czy nie chciałby przez niego komunikować się z więźniami, do celi których, jak każdy oficer od warty, miał prawo wchodzić. Konarski, wielki fizjonomista, poznał w nim człowieka z sercem i, dostawszy od niego ołówek i papier, napisał przez niego karteczkę do Orzeszki, jednego z najważniejszych związkowych Konarskiego; w której to karteczce radził Orzeszce, co ma mówić, żeby więcej ofiar nie pociągać, przez co Komisja by się zamknęła, przestając na tych więźniach, których miała w rękę. Poczciwy Korowajew, poniósł karteczkę do Orzeszki, żądając odpisu, który mu ten łotr obiecał wręczyć za parę godzin. Lecz podły ten człowiek, zamiast pisanja odpowiedzi, przez *smotritiela* prosi do siebie Trubeckiego, mając ważne, jak mówił, do zrobienia zeznanie. Trubecki uszczęśliwiony, przybiega do niego, a ten mu powiada: „Kiedy książkę, dasz mi słowo honoru, że mnie oswobodzisz, to mu ważną rzecz odkryję”. Podły ten siepacz, jak go Brynk, jeden z bitych okropnie więźniów, nazywał, daje to słowo honoru, zaklinając się na wszystko, że dla niego swobodę wyrobi. Orzeszko pokazuje wówczas paperek Konarskiego i mówi o drodze, jaką go dostał. Wściekłością przejęty Trubecki leci do Konarskiego, który wszystkiego się wypiera, nie chcąc gubić Korowajewa, którego Trubecki w ten moment kazał aresztować, a który również wypierał się pośrednictwa między Konarskim a Orzeszką. Lecz ten łotr w naocznych stawkach i Konarskiemu i Korowajewowi dowodził rzetelności tej komunikacji. Nanowo więc poczęto brać wiele osób i nanowo całe dzieło Komisja poczęła przerabiać, a Korowajewa okutego w kajdany oddano pod sąd wojenny. Długo biedak ociągał się z zeznaniem, lecz i tego oszukano. Podesłano do niego jego przyjaciela, który miał sobie dane słowo, że kiedy się przyzna, to będzie wolny. Uwierzył pocziwiec i na rozstrzelanie został osądzony, lubo



SZYMON KONARSKI

przez wielkie swe miłosierdzie car, przekładający zawsze wieczne tyranje nad chwilową śmierć, ułaskawić go, podług swego tyrańskiego mniemania, raczył, skazując po wieczne czasy w katorżne roboty, których wszakże nie dożyła ta szlachetna dusza, bo w kajdanach na pręcie pędzony, od niewygody i głodu w drodze, koło Borysowa, jak później się dowiedzieliśmy, umarł. A Orzeszko, pomimo obietnic tego podłego Trubeckiego, także w katorgę, w której do dziś dnia jeszcze egzystuje, poszedł.

Ale wracam do Konarskiego, do którego coraz większej nabierałem sympatji. Codziennie też z sobą rozmawialiśmy po kilka godzin na dzień. Opowiadał mi swój pobyt to w Londynie, to w Paryżu, to w innych stolicach Europy, to nareszcie dwie swoje bytności, już jako emisariusza, w Petersburgu. W pierwszych wszakże dniach naszej znajomości, zwierzył mi się, że bardzo niespokojny jest o pugilares z ważnemi listami, mogącemi wiele jeszcze osób kompromitować, a zawierający prócz tego klucz do korespondencji, który, gdyby był znaleziony, też mnóstwo osób mógł pociągnąć do śledztwa, i że pugilares ten, widząc siebie na stacji w Krzyżówce pod Wilnem aresztowanym, potrafił w komórce słomą krytej pod tęż słomę wetknąć. Obiecałem mu go wydobyć i spalić, bo tego żądał. A więc tegoż samego dnia, gdy siostra do mnie przyjechała, prosiłem ją, aby jakkolwiek bądź postarała mi się o ten pugilares. Jakoż siostra moja poleciła to mojemu bratu. Ten znowu użył pośrednictwa pocziwej siostry miłosierdzia, Albertyny, która przez jakąś akuszerkę, Giedrojciową, z komórki tej w Krzyżówce nietknięty wydobyła i bratu memu wręczyła, a ten nie mając pozwolenia bywania u mnie, przez siostrę moją mi go przysłał, spaliwszy wprzód listy i papiery, jak tego żądał Konarski. Siostra wręczyła mi pugilares i zawarte w nim włosy i wstążeczkę od trzewiczków panny Michalskiej, ukochanej Konarskiego. A że często Konarskiemu posyłałem na sznurku, który mi spuszczał w noc ciemną, to winogrona, to inne łakocie, które mi przynoszono, tą więc drogą i pugilares z włosami i wstążeczką na znak, że realnie był znaleziony, odesłałem. Wielce był z tego ucieszony i ładny do mnie listek, który do dziś dnia chowam, na tytuniowym

papierze ołówkiem napisał, dziękując, nie tak za te włosy, z których cieszyć się nie będzie, wiedząc, że będzie rozstrzelanym, jak za delikatną pamięć moją zrobienia mu choć tego momentalnego ukontentowania. I później przysyłał mi swoje poezyjki, tchnące duchem patriotyzmu, ale razem złorzeczące i bluźniące Opatrzności. Zawsze one były pisane na sinym od tytoniu papierze, i te drogie pamiątki też dotąd chowam. Często też przygrywał pięknie na flecie, który mu pozwolono otrzymać od matki.

Jednem słowem, kontenci byliśmy z siebie i czas nam szybko upływał. Bo albo z nim, albo z sąsiadami, póki nie wykryto sekretu stukania, stukałem w mur, a gdy to wzbroniono, na moją prośbę córka moja przyniosła mi pod salopą, którą zwykle na łóżku moim zrzucała, długi przeszło łokieć, gruby pręt żelazny, nakładany stałą, do prześwidrowania za piecem dziury do sąsiedniej celi dla rozmawiania przez tę dziurę z Małeckim, medykiem, tęgim chłopakiem, a przyjacielem Konarskiego. Udała mi się ta operacja po kilkudniowej pracy i komunikacja się zawiązała. Kochana moja córka, zręcznie bardzo, prócz tego, codziennie podawała mi sekretnie bileciki, o czym już pono mówiłem. Razu wszakże jednego, gdy nie było *smotritiela*, Trubecki, chcąc się mojej siostrze i córce przysłużyć, aby długo na korytarzu nie czekały, sam je, drzwi otworzywszy, wprowadził i asystował wizycie, zaco potem od Gustawa Czetwertyńskiego został wyłajany, że on, ks. Trubecki, prezes Komisji, spełnia służbę dozorca więzień. Bo też ta jego asystencja gorzej nas ambarasowała i siostra moja Gustawowi to powiedziała, zwłaszcza, że dnia tego, córka moja, nienawidząc Trubeckiego, miała pilny do wręczenia bilecik i przez nieuwagę, podając mi, jak zwyczajnie, rękę, w której on się znajdował, nie postrzegła, że przez woal na rękę spadły ją mi podawała. Ja, widząc, że do niego się nie dobiore, odjąłem rękę, a Maryla, sądząc, że go wziął, puściwszy rękę, wyrzuciła na ziemię bilet; lecz w ten moment postrzegłszy, rzuciła nań swój zarękawek, z którym razem go podjęła i już dnia tego nie mogła mi go oddać. Szczęściem wszakże Trubecki nie postrzegł tego wszystkiego, bo okropnie by mnie i siebie i wiele jeszcze innych osób skompromitowały mogła.

Wracam znowu do Konarskiego, który na moje prośby i dla Maryli czasem przygrywał na flecie. Z początku Trubecki dostarczał mu książek do czytania, lecz później, gdy mu ich zabrakło, prosił mię Konarski razu jednego, czybym nie mógł ich jakim sposobem jemu dostarczyć. Posyłać sznurkową drogą było niebezpiecznie, bo codziennie prawie robiono rewizje u niego po wszystkich kątach, a znalezione książki mogłyby i jego i mnie skompromitować, a więc puściłem się na koncept. Kazałem mu, aby ciągle szturmował do *smotritiela* o nie, ten zaś nigdzie ich dostać nie mogąc, a wiedząc, że dobra u mnie ich prowizja, raz spytał, czybym nie mógł pozwolić moich książek dla wielu więźniów, niemających co czytać. „Dla kogo?”, spytałem, a gdy nie chciał mi nazwiska wyjawić, powiedziałem: „bierz” i dałem mu ich kilka; a po kwadransie Konarski spytał mnie, czy to ja jemu dostarczyłem książek pod takim a takim tytułem, a które właśnie były te, com przed chwilą oddał *smotritielowi*. Tym sposobem ciągle mu dostarczałem lektury. Nie lubił wszakże rzeczy poważnych i zawsze mię prosił o romanse Paul de Cocka, bo przynajmniej naśmiać się, powiadał, można, a te wszystkie inne mądre rzeczy, przy obecnem usposobieniu, do głowy, mówił, nie leżą.

Pewnego dnia rozmawiałem z nowoprzywiezionym niejakimś Moszyńskim, nienależącym do naszej kategorii, i którego żaden z więźniów nie znał. Konarski, posłyszawszy rozmowę moją bardzo ostrożną, spytał, z kim mówię, a gdym mu powiedział, że z Moszyńskim, prosił go spytać, czy zna Konarskiego? naco Moszyński odpowiedział: „Och, i bardzo dobrze, powiedz mu *London — King street*, czyli Londyn — Królewska ulica”. Gdy te słowa zakomunikowałem Konarskiemu, począł mię prosić, abym zaklął Moszyńskiego, aby się go wypierał, że i on podobnież jego wypierać się będzie. „Bo, broń Boże, znajomość nasza wykryje się, — rzecze — nowe mogą znowu być ofiary”, albowiem i Moszyński był to emisariusz do Galicji posłany, i we Lwowie, jako bezpaszportny tylko wzięty, długi czas siedział w więzieniu, nareszcie, nie przewidując końca, podał się za poddanego rosyjskiego z Wilna, mającego ojca sekretarzem konsystorza ewangelickiego. Skutkiem tego odesłano go do Wilna, a że okazało

się, iż on uciekł z Wilna do powstania w 1830 r., więc i jego do więzienia wtrącono. Dobry to był chłopak. Po naszym już wywiezieniu pozostał był jeszcze w więzieniu, czekano bowiem z Galicji większych o nim informacji; a gdy nie wykryto, że emisariusz, posłano go tylko w żołdacy do wysługi.

Tak przeżyliśmy, mogę powiedzieć razem, do dnia 15 lutego 1839 roku, w którym Konarskiego rozstrzelano. Lecz nim to nastąpi, jeszcze kilka słów o nim.

Tegoż 1839 roku, nie pamiętam którego z początkowych dni lutego, odczytano najprzód Konarskiemu dekret na rozstrzelanie. Po wysłuchaniu go, wezwał mnie do okna zwyczajnym trybem, o którym pono nic nie mówiłem, to jest silnem chrząknięciem, albo stuknięciem kajdanami w podłogę, a na to hasło, ja wraz biegłem do mojego okna, wzajemnie ochrzakiwając, poczem poczynąła się nasza rozmowa, on śpiewając, a ja szepcząc. Wróciwszy więc z Komisji, w której mu dekret odczytano, głęboko westchnął, śpiewając: „Dzięki Bogu, na rozstrzelanie sądzony, bo niczego tak się nie bałem, jak wiecznych kazamatów”. I ja też westchnąłem, nie mając nawet słowa do pociechy; po chwili wszakże dodał: „Cóż was czeka? Czyż i wasze tak srogie będą dekreta? Mnie obiecywano katorżne. Stamtąd ludzie uciekają, byłaby więc nadzieja na przyszłość, a teraz nic”.

Wkrótce potem wyprowadzono ode mnie mojego Stachowskiego, który od Misjonarzy razem ze mną do Bazylianów był przeprowadzony. Ten ze dwie godziny, nim wszystkich akademików sprowadzono, bawił w Komisji; i ich dekret nie był łagodny, bo w żołdacy na Kaukaz bez wysługi i tegoż samego dnia mieli być wysłani. Wnet znowu Konarskiego, który chciał wiedzieć o losie wszystkich, wezwałem i o dekrete uwiadomiłem. Przychodziła i nasza kolej, na którą spokojnie oczekiwałem, wiedząc przez moją siostrę, którą najzacieśniej człowiek, generał Połozow, prezydujący w sądzie wojennym, uręczył, że tylko na kilka miesięcy do Smoleńska mnie wyszłą. Tak dalece byłem pewny, że nawet jeden z pułkowników sądu wojennego, Popow, w Wilnie mieszkający, a dobrze mi znajomy, odwiedzał sam jeden więźniów, do czego miał prawo każdy z tych pułkowników i majorów, których było

siedmiu pod prezydencją generała Połozowa, a którzy kilku dniami wprzód objęli nad nami rządy Trubeckiego i całej tej niecnej Komisji, biorąc już nas więźniów pod opiekę sądu wojennego, który nas sekretnie egzaminował o nadużyciach i zachęcał nawet do zanoszenia na pismie skarg na nią; co wszakże na nic się nie przydało. Otóż tedy Popow ten, przyszedłszy do mojej celi i widząc mnie smutnego, „odwagi,— rzecz — od trzech dni dekret pański przez nas podpisany. Zasądzony jesteś na kilka miesięcy do Smoleńska”, i z tą pocieszającą wieścią, uściskawszy mnie, wyszedł. Czekałem więc spokojnie wezwania naszego dla wysłuchania dekretu, co też wkrótce i nastąpiło.

Znaleźliśmy się przed sądem tym wszyscy razem, to jest dwóch Romerów, Kończa, Dobkiewicz, Hrebnicki i ja; Kozakiewicz zaś, jako mającego większy udział w akcji Konarskiego, nie było; brakowało również i ks. Trynkowskiego, widocznie jako warjata. Połozow pytał każdego z kolei, czy nie ma czego do dodania na swoją obronę, lub czy nie ma skargi na Komisję, a po krótkim zbadaniu każdego z osobna; zwróciwszy się do mnie, rzekł: „Pan jesteś obwiniony w wielu faktach, którym pan na rozprawach przeczył. Nieprawdaż?” — „Tak”, odpowiedziałem. „Ale przyznałeś się pan do dania Kozakiewiczowi dla Konarskiego stu dukatów i ta wina ciąży na panu”. — „Tak, — odrzekłem znowu — ale te sto dukatów dałem Konarskiemu, żeby go wydalić z Wilna i sam się z nim nie widziałem, ani widzieć nie chciałem. Zato więc, że chciałem oddalić nieszczęście od tej prowincji, spodziewałem się raczej nagrody, niż kary”. — „Prawda, — odrzekł generał — pan postąpiłeś jak człowiek honoru. Ale prawo mówi: kto ma wiadomości o emisarzuszach, a nie donosi tego władzy, jest winien tak, jakby był z nimi w porozumieniu”. Wyjąwszy potem z kieszeni papier, odczytał nam dekret, pozbawiający nas na podstawie takich a takich artykułów ustawy o sądach polowych: urzędów, szlachectwa i skazujący na osiedlenie na Syberji. Stałem, jak piorunem rażony. Spojrzałem na Popowa, pytając go oczyma, co znaczyły te jego, tak świeżo dawane, uspakajające zapewnienia. Lecz tak na jego twarzy, jak i na twarzach innych pułkowników i majorów widzę zdumienie i niezadowolenie, które mi później

Popow wytłumaczył. Otóż rzeczywiście dekrety, przez sąd cały ferowane, skazywały nas na zesłanie każdego osobno do innej gubernji w Rosji, mnie zaś, przez wzgląd na sieroctwo mojej córki, skazano na kilka miesięcy pobytu w Smoleńsku. W przeddzień jednak ogłoszenia nam tego dekretu, feldjeger carski przywiózł rozkaz pozbawienia nas urzędów, szlachectwa i skazujący nas na zesłanie na osiedlenie, a to dla dania carowi możności ułaskawienia nas przy zatwierdzaniu wyroku. Rozkazu tego nie zakomunikowano nawet sądowi wojennemu, a polecono wprost przyzwanym odczytać. Taki podstępny krok wobec członków sądu wojennego niesłychanie ich oburzył, bo i pocóż było z miejsc, odległych o kilkaset mil, sprowadzać pułkowników i majorów, żeby z nich potem błaznów robić? Mówię o kilkaset mil, bo do takich sądów prawo każe sprowadzać takich wojskowych, którzy się ze sobą nie znają, a to dla uniknięcia faworyzowania którego z więźniów i sprawiedliwego sądu według stopnia winy. Tak też nas sądzono. Po wyjściu więc naszym z Komisji napadli wszyscy na Połozowa, że tak ich podszedł, niektórzy nawet do dymisji chcieli się podać, sądząc, że to jego concept. Gdy ten im jednak przeczytał imienny carski wyrok, że tak a nie inaczej sądzeni być mamy, umilkli i afront ten musieli strawić, jak każdy oficer rosyjski, który robi, jak mu car każe.

Wracam wszakże do Połozowa, który, mając dobre serce, spostrzegł, że ten dekret nas przeraził. Mając na sumieniu zaś, że nas o zupełnie czem innem upewniał, rzekł po chwili: „Możecie się panowie uściskać i pomówić tutaj ze sobą”. Wtedy Edward Romer, widząc mnie skonsternowanego, podchodzi do mnie i, ściskając, mówi: „Czego tak się smucisz? Wszak słońce wszędzie świeci i Pan Bóg wszędzie ten sam”. Nie podobało się widocznie Połozowowi to brawurowanie, bo powstawszy ze swego miejsca i serdecznie biorąc mnie za rękę, rzekł: „Nie trzeba desperować, panie Szumski, miłosierdzie carskie jest wielkie, a ponieważ dekret nasz pójdzie do niego do zatwierdzenia, można spodziewać się wielkiego złagodzenia. Bądź więc spokojny, proszę pana o to w imieniu siostry i córki, którym obiecałem zająć się panem. A teraz wracajcie na kilka dni do swoich cel i bądźcie dobrej myśli”. Powróciliśmy więc każdy do siebie.

Stachowski, który pozostał w celi, opowiadał mi potem, jak zaraz po mojem wyjściu wpadł *smotritiel* z oficerem straży i przetrząsali materace, bieliznę i odzienie, szukając ukrytej jakiej broni, którą mógłbym odebrać sobie życie; widelce zaś, noże, brzytwy i nożyczki zabrali. Głupcy, nie przypuszczali, że Polak wierzący większe jeszcze nieszczęścia może przeżyć.

Ale nie mówiłem, zdaje się, że było nas mało takich, którym pozwalano mieć sztucce lub brzytwy; mnie też z początku przynoszono mięso pokrajane, a cyrulik co tydzień przychodził golić brodę. To też zaraz posłałem do dozorczy z prośbą, aby mi wszystko oddano, bo będąc niewinnym, nie myślę sobie odbierać życia. Wszystko to przedstawiono jednemu z pułkowników, który zkolei cały dzień przebywał w więzieniu, zabroniono już bowiem zupełnie Trubeckiemu wtrącać się do nas, pozwolono znajomym i krewnym nas odwiedzać, gdyż dopiero po zatwierdzeniu wyroku miano nas wywieźć. Sztucce i brzytwy również nam oddano.

Wywołałem znów przez okno Konarskiego, który niecierpliwie oczekiwał wiadomości o naszym losie. Gdym mu powiedział, co nas czeka, westchnął ciężko, mówiąc: „I to ja jestem przyczyną tylu łez! Och! jak mnie wszędzie przeklinać będą”. — „Bądź spokojny, — odpowiedziałem — społeczeństwo umie oceniać ludzi takich, jak ty, nikt cię nie klnie, a wszyscy żałują”. — „Ach, dzięki ci za te słowa pociechy...”

Nim wszakże przystąpię do dalszego opowiadania i do śmierci Konarskiego, nasuwa mi się na pamięć jeszcze jedno małe wydarzenie, nic prawie dla mnie nieznaczące, ale trafem robiące przysługę Konarskiemu.

Celę, gdzie mnie osadzono, zajmowało widocznie pokolei wielu innych. Była to również prawdopodobnie cela inkwizycyjna, jako najbliższej Komisji położona. Mimo tego bowiem, że ściany były poskrobane, przy pilnem jednak badaniu znajdowałem na nich albo niewyskrobane, albo nawpół tylko wytarte napisy rozmaitych, poprzednio tam przebywających, więźniów, którzy, czem kto mógł, choćby szpilką tylko, wypisywali, jakto ich tu głodem morzono, to znów, że ich tu ćwiczono, inni znowu, że przez kilka dni w upał, w piecu palono i tylko śledzie z kawałkiem chleba na pożywienie dawano, co sprawiało takie męczarnie, że

woleliby być batożeni, etc. Podpisani byli to najczęściej znajomi mi akademicy. Szukając tak po ścianach, pomyślałem sobie, czy nie znajdę też czego pod podłogą, spostrzegłem bowiem jedną deskę z jednego końca odstającą. Wzięliśmy się więc zaraz z moim Stachowskim do roboty i udało nam się wydobyć kawałek ołówka i kilka zapisanych papierków. Był to rodzaj dziennika, pisanego przez jednego z Michalskich. Mówię jednego, bo ich było dwóch w więzieniu, a obaj byli braćmi panny Michalskiej, ukochanej Konarskiego.

W tym dzienniczku, pisanym dla żony, w nadziei, że może kiedy do rąk jej dojdzie, użalał się biedak na swój los, na tortury, jakich od Trubeckiego doświadczał, na batogi i głód. Pozatem były w nim przekleństwa na Rodziewiczą, który zgubił tylu ludzi, a pochwały dla wielkiego charakteru Konarskiego, zajmującego od dziesięciu dni celę nad nim, który Michalskiemu, morzonemu głodem, część swej szczupłej strawy w nocy przez okno na sznurku spuszczał. Dalej opowiadał, jak się z Konarskim porozumiał, co i jak na badaniach mówić, jak zdołał doktorowi Beaupré, ważnemu więźniowi, jak Konarski w kajdany zakutemu, przesłać przez jakiegoś podolanina instrukcje od Konarskiego, jak mieli odpowiadać etc.

Pomyślałem sobie, że gdyby ten dzienniczek wpadł w ręce Komisji, byłaby nowa bieda. Opowiedziałem więc wszystko Konarskiemu, który wiedząc, że mam stosunki z miastem, prosił, by ten dzienniczek dostarczyć żonie Michalskiego. Oddałem go mojej siostrze, która, jak wiem napewno, przesłała go przez pewną okazję na Podole.

Stałem, zdaje się, na tem, że mieliśmy teraz daleko lepszy i łagodniejszy dozór sądu wojennego, nie zaś tych przebrzydłych oprawców cywilnych. Już nie na pięć minut, ale na trzy godziny pozwalano córce i siostrze przyjeżdżać do mnie i to bez asysty *smotritiela* i oficera. Tylko jakiś głupi podoficer stał w celi, pilnując, aby jaki więzień nie wyszedł przebrany za kogoś z odwiedzających. Odwiedzin było tyle, że miały one wygląd prawdziwych zebrań; często w tej niewielkiej celce bywało do trzydziestu osób. Herbatę, przynoszoną z domu, córka moja podawała niczem w salonie i nieraz dwa i trzy ogromne samowary kipiały na korytarzu, dostarczając zebranym tego nektaru. Nie u mnie wszakże



MOST ZIELONY W WILNIE

jednego tak było, wszystkim zezwolono na to samo, a odwiedzanie naszego więzienia tak dalece weszło w modę, że często na naszym dziedzińcu stało po kilkadziesiąt karet i koczów. Można śmiało powiedzieć, że całe Wilno było w więzieniu, co niezmiernie gniewało Dołhorukiego. Często nawet robiliśmy nowe znajomości z paniami przybyłymi z Pińszczyzny i Podola, z którymi łączyła nas wspólna niedola.

Nie opuszczałem wszakże mojego Konarskiego, z którym prowadziliśmy rankami i w nocy długie gawędy. Dnia pewnego nie mogłem dochrząkać się (nie mówię dowołać się, bo zawsze ostrożność była potrzebna) Konarskiego przez kilka godzin, choć co pół godziny prawie podchodziłem do okna. Wreszcie koło godziny ósmej wieczorem zwabił mnie on swoim chrząknięciem i zaczął mi wyśpiewywać następującą, godną uwagi scenę. Znajdował się wówczas w Wilnie młody książę Wasilczykow, fligel-adjutant carski, przybyły w celu poboru rekruta. Adjutanci cesarscy mają prawo wszędzie wszystko wiedzieć, Wasilczykow więc, korzystając z tego, przyszedł odwiedzić więźniów. Nasłuchawszy się przed tem od Dołhorukiego i innych czynowników o wielkim charakterze Konarskiego, który ich tak zdumiewał, że gdyby to było możliwe, prosiłoby cara o ułaskawienie go, Wasilczykow kazał się do celi do niego zaprowadzić, rozkazawszy szyldwachowi, trzymającemu straż wewnątrz, oddalić się. Usiadłszy na łóżku, rozpoczął z nim rozmowę, którą tu tak powtórzę, jak mi ją Konarski wyśpiewał. „Panie Konarski, — rzecze do niego po francusku — według opinii nawet sędziów pańskich wiem, że jesteś człowiekiem szlachetnym i rozumnym. Nietylko, że nikogo nie wydałeś, ale ratowałeś kogo mogłeś, przyjmując wszystkie winy na siebie. To też czyste sumienie i powszechna opinja uczciwego człowieka są pańską nagrodą. Posiadasz szacunek najzawziętszych nawet wrogów i ręczę honorem, że jeżeli będę mógł coś złagodzić w pańskim wyroku, to nie zaniedbam tego. Mój ojciec jest prezesem Rady Państwa i w wielkiem poważaniu u cesarza. Dziś jadę z dekretemi do stolicy, może coś wskóram. Jesteśmy tu sami, w cztery oczy. Nie bierz mnie za podłego szpiega i fanfaron, przyszedłem tutaj by móc poznać człowieka, którego podziwiam. Chciałbym pana jednak uprosić, abyś mi dał pewne informacje

co do niektórych osób, z którymi wiem, że byłeś w stosunkach, a których los dalszy mocno mnie obchodzi. Boga biorę za świadka, że nie przyszedłem tu po to, by z pana coś wyciągnąć, a potem zdradzić, jedynie obawa o bezpieczeństwo tych drogich mi osób mnie tu sprowadza. Powiedz mi więc, czy byłeś kiedy w Petersburgu?" — „Nie” — odpowiedziałem” (proszę pamiętać, że to Konarski i adjutant mówią) — choć to była, jak mi potem mówił, nieprawda, bo był dwa razy, bawiąc za każdym razem po trzy i cztery tygodnie. „Nieprawdę mówisz, — rzekł — czy znasz...” Tu zaczął wyliczać kilkanaście najwybitniejszych rosyjskich nazwisk. Lecz Konarski zaprzeczył, choć mi później mówił, że był z nimi w stosunkach. Męczył go tak długi czas, a nie mogąc o nikim nic z niego wyciągnąć, zerwał się i, ściskając go ze łzami w oczach, rzekł: „Nie znam szlachetniejszego człowieka od ciebie. Byłeś w bliskich stosunkach z tymi, których nazwiska wymieniłem, i otwarcie ci powiem, że między nimi są tacy, których los mocno mnie obchodzi, i drżałem, abyś czasem, ujęty obietnicą wolności, nie wydał ich. Teraz jestem spokojny, bo przekonałem się, że takiemu człowiekowi, jak ty, śmiało można zaufać, i powtarzam, że jeśli tylko zdołamy coś dla ciebie u cesarza wskórać, to zrobimy wszystko możliwe. Pozwól raz jeszcze uścisnąć siebie”. Poczem ze łzami w oczach wyszedł.

Pytałem Konarskiego, co to miało znaczyć? „Oto to, — rzecze — że bardzo wielu z tych, których on wymienił, było ze mną w stosunkach, i musiano wyprawić go do mnie dla wybadania, czy się nie wygadam, bo Moskale nie wierzą w szlachetne polskie uczucia, oni, co jeden drugiego za order, za łaskę carską, albo przez podłe tchórzostwo, zdradzają”.

W kilka dni potem, dnia czternastego lutego, oznajmiono mu, że nazajutrz, piętnastego lutego, o godzinie dziesiątej rano pójdzie na śmierć przez rozstrzelanie. Zaraz też mnie zawołał do okna, a ciężko westchnąwszy, oznajmił mi swój koniec, radząc się (bo zawsze mawiał, że mnie jak ojca szanuje), czy przyjąć proponowanego mu spowiednika i jakiego wyznania. „Bo mnie się zdaje, — rzekł — że to na nic niepotrzebne”. — „I owszem, — odpowiedziałem — proś o księdza, kiedy ci go proponują”. — „Ale jakiegoż?” — zapytał. „Jakiegoż

jesteś wyznania?” — spytałem. „Żadnego” — odpowiedział. „To źle, — rzekłem — trzeba być jakiegokolwiek religji. Do sławy, jakiej nabyłeś, potrzebna ci przykładowa śmierć, która cię jeszcze wyżej podniesie w opinji publicznej. A jeśli umrzesz bez pomocy religijnej, u wielu wspomnienia nawet dobrego nie zostawisz”. — „Masz rację, — rzekł — moi rodzice kalwini, poproszę więc o kalwińskiego księdza”. — „Proś choć tego, kiedy nie chcesz katolickiego” — rzekłem. Posłał więc zaraz z prośbą o księdza. Po dwóch blisko godzinach, znowu mnie wywołuje do okna, a gdy dał znak, że jestem, rzekł: „Przysłano mi jakiegoś policyjnego szpicla, zamiast księdza. Nie podobała mi się ta facjata i prosiłem o księdza katolickiego. Ale czy nie znasz tego, którego mi przysłano? Brunet, nos śpiczasty i ma krzyżyk św. Stanisława na sutannie”. Po dalszym dokładnym opisie poznałem, że był to Lipiński, rzeczywiście za szpiega u nas uważany, choć później okazało się inaczej. Po kilku godzinach znowu mnie woła i mówi: „Był i katolicki ksiądz bernardyn, lecz ten jeszcze bardziej mi się nie podobał, gdy mi zaczął o piekle rozprawiać... Nie dlatego chciałem księdza, żebym się mu miał spowiadać z politycznego mojego życia, ale dlatego, żeby spędzić ostatnie chwile z rozsądnym człowiekiem. Ty, co wszystkich tu znasz, wskaż mi kogoś rozsądnego”. Przyszedł mi na myśl ksiądz Markiewicz, więc powiedziałem mu: „Zaraz mi przyniesą herbatę. Napiszę do brata mego, aby pobiegł do biskupa Kłagiewicza, którego dobrze znam, i prosił go o księdza Markiewicza, którego właśnie mam za takiego, jakiego potrzeba dla mądrego człowieka podczas ostatnich jego chwil życia, a pan proś tylko o innego świeckiego księdza”.

Jakoż przez kamerdynera, który mi herbatę przyniósł, napisałem do mego brata, prosząc, aby to spełnił. Wkrótce nadeszła odpowiedź niezadawalniająca, bo biskup Kłagiewicz wynalazł gdzieś przepis czy prawo, że skazanym na śmierć mogą asystować tylko zakonnicy, i że podczas rewolucji francuskiej Ludwikowi XVI dano takiegoż spowiednika. Oznajmiłem to Konarskiemu, który rzekł: „A więc wolę mojego kalwina. Ani jeden, ani drugi niczego się ode mnie nie dowiedzą, a ponieważ ksiądz jest potrzebny, wolę tego, bo i moi rodzice są kalwińskiej wiary”. Jakoż kazał prosić

na jutro księdza Lipińskiego, a po chwili życzył mi dobrej nocy, mówiąc: „I ja muszę zasnąć przed tą wielką podróżą”.

Smutne było nasze rozstanie. Westchnęliśmy obaj. Ja położyłem się pełen smutnych myśli, a jakie jego myśli były — łatwo się domyślić.

Nazajutrz, dzień piętnastego lutego, dzień pamiętny dla całego Wilna, zajaśniał przy lekkim mrozie najpiękniejszym słońcem. O godzinie ósmej zrana, wezwał mnie Konarski, mówiąc: „Otrzymałem nadspodziewaną łaskę, że mi wolno będzie pożegnać się z towarzyszami, przynajmniej z tymi, co siedzą tu, u Bazyljanów, bo sprowadzenie tych, co znajdują się u Misjonarzy, zajęłoby zbyt wiele czasu. Prosiłem o tę ostatnią łaskę dlatego, że przed zawarciem powiek nazawsze, chciałem poznać i widzieć tych, których nie znałem, a w rzędzie których i ty jesteś. Bądź zdrow, drogi i prawdziwy przyjacielu, któryś mi nieraz osładzał moje smutne chwile. Bądź więc zdrow, bądź zdrow nazawsze”. A potem dodał: „Nie żegnam się jeszcze, bo cię jeszcze zobaczę, gdy przyjdiesz do mnie na pożegnanie”. Westchnął i zamknął okno. Przez moje okno widać było, jak na dziedzińcu szykował się już bataljon piechoty, mający go eskortować do miejsca egzekucji; przez otwartą bramę widać było na ulicy drugi podobny bataljon i kilkudziesięciu żandarmów. Wtem otwierają się drzwi mojej celi i wchodzi *smotritiel* z oficerem, mówiąc: „Proszę iść pożegnać się z Konarskim”. Na moją uwagę, że jestem jeszcze w szlafroku, orzekł, że niema czasu na ubieranie się. Ruszyłem więc z nimi na górę do celi Konarskiego, w której zastałem go stojącego, w kożuszku, w kajdanach na rękach i nogach, i palącego cygaro. Nie znałem go dawniej, więc nie wiem, czy rumieniec, jakby wyrznięty na jego twarzy, był skutkiem gorączki, czy też była to jego zwyczajna cera. Stał on w otoczeniu komendanta miasta, dwóch pułkowników sądu wojennego, policmajstra i pułkownika żandarmów. Wprowadzano do niego po jednemu z więźniów, a *smotritiel*, odgrywający rolę mistrza ceremonji, wchodząc przed więźniem, oznajmiał: „Pan Szumski”. Konarski stał zadumany, a usłyszawszy moje nazwisko, rzekł po polsku: „Przepraszam cię, kolego, że z mojej winy tu siedzisz. Pozwól, niech cię uściskę przed śmiercią”, a biorąc

mnie w swoje objęcia, począł szeptać nad uchem po francusku: „dziękuję ci za słodkie chwile...” Tu mu przerwano, wołając: „dosyć, dosyć” i tak rozstaliśmy się. Co się ze mną działo — nie pomnę, wiem tylko, że łzy miałem w oczach, a nogi pode mną drżały.

W ten sposób pokolei, wprowadzano do niego na minutę i resztę kolegów. Ze wszystkimi żegnał się serdecznie, choć nie tak czule, jak ze mną i Rodziewiczem, jak mi to później opowiadał ciągle płaczący oficer warty, Limberg. Opowiem później kilka słów o tym zacnym oficerze.

Nie mogę wszakże pominąć milczeniem pożegnania Konarskiego z Orzeszką. Gdy go wprowadzono, Konarski nie tylko ręki do niego nie wyciągnął, jak to z innymi robił, ale wtył ręce zakładając, rzekł: „Z tobą, podły człeku, nie chciałbym się nawet widzieć. Wiele złego narobiłeś, wiele łez z twej przyczyny wylanych zostało. Niech ci Bóg nie pamięta, ale ja ci tego nie przebaczę”. Zapłakał podobno skonfundowany Orzeszko, którego, przy szmerze obecnych *podlec, podlec*, zaraz wyprowadzono, bo i Moskale, prócz powszechnego współczucia dla Konarskiego, mieli swojego Korowajewa do oplakiwania.

Pożegnania te zabrały więcej niż godzinę czasu. Koło dziesiątej rano uderzono na korytarzu w bębny, a bębny z dziedzińca i ulicy odpowiedziały im na znak gotowości. Prowadzono go koło mojej celi, pobiegłem więc do drzwi i przez dziurkę od klucza widziałem, jak szedł odważnie, a przechodząc korytarzem koło cel, ciągle wołał: „Bądźcie zdrowi, koledzy”. Z okna mojego mogłem widzieć całą tę okropną paradę, opiszę ją więc w krótkich słowach. Przed wejściowym ganeczkiem naszego klasztoru stały saneczki, do których Konarski wsiadł, a obróciwszy się do wszystkich okien, z których na niego wyglądano, dłużej zatrzymał się przed swoim i moim oknem, a zdjawszy czapeczkę, zawołał: „Żegnam cię, miejsce, gdzie tyle cierpiałem i gdzie...” tu w bębny znowu uderzono i on usiadł w sankach. Obok niego siadł ksiądz Lipiński i sanki posunęły się między stojącym w dwóch rzędach bataljonem, otoczone konnymi żandarmami, a poprzedzane tymi wojskowymi, którzy mu przy pożegnaniu asystowali też na koniach.

Jaki był dalszy ten prawdziwie triumfalny pochód — opisywać nie będę, bo cała ludność wileńska, w oknach i na ulicach będąca i na jego pozdrowienia czapeczką odpowiadająca, lepiej to niż ja, widziała. Mnie to opowiadał Limberg, który potem do mnie zapłakany przyszedł. Rozstrzelania jego też opisywać nie będę, bo znane ono jest napewno każdemu od trzydziestu, a może i więcej, jak mówią, tysięcy naocznych świadków. Wzruszenie było podobno nadzwyczajne, po strzałach, z piersi kilkudziesięciu tysięcy ludzi wyrwał się wielki jęk. Mówiono mi, że to był jęk okropny.

Tak skończył Konarski, uwielbiany nie tylko przez swoich, nawet tych, co przez niego cierpieli, ale i przez Moskali, którzy oddawali wszelką sprawiedliwość jego szlachetnemu charakterowi.

Pocciwy Limberg, kurlandczyk, wróciwszy z egzekucji tak u mnie płakał, że i ja łez moich nie mogłem utulić. Między drogiemi pamiątkami po tym, tak niegodziwie straconym człowieku, potrafił on, będąc na warcie, schować sobie na pamiątkę włosy z brody, którą Konarskiemu dopiero w dniu egzekucji zgolono. Inne zaś jego nędzne sprzęty, jako to dzbanek gliniany, kawałek mydła, łyżkę drewnianą i tym podobne graty sprzedawał dozorca więzienia potajemnie, po dość dużej cenie, jako drogie pamiątki.

Od dnia piętnastego lutego, dnia tak pamiętnego, smutno mi było w mej celi, bo nie miałem już mojego Konarskiego, z którym tyle chwil miłych spędziłem. Że zaś nas trzymano w więzieniu do dnia szesnastego marca, zanim więc do tej daty przystąpię, opowiem jeszcze niektóre wspomnienia o Konarskim.

Rozgadawszy się z nim raz, spytałem go, co za cel był jego przyjazdu do Wilna i szukania drukarni? „Bo jeśli chciałeś — mówiłem — drukować podburzające odezwy, to dziwię się, że, włócząc się po świecie i znając wiele rzeczy, nie postarałeś się o kamień litograficzny. Jest to daleko bezpieczniejsze niż druk, do którego potrzeba używać więcej ludzi”. — „To prawda, — odrzekł — to mi do głowy nie przyszło”. Nieraz też, gdyśmy rozmawiali o jego planach, które nie mogły przynieść szczęścia ojczyźnie, a tylko przez

takie wybuchy nieszczęście na nią sprowadzały, mówił mi: „Byłem zbyt wielkim entuzjastą, zbyt niecierpliwym i dopiero teraz widzę, że przez zbyt ni pośpiech wszystko popsułem i opóźniłem może o pół wieku odbudowanie i szczęście naszej ojczyzny. Związek, do którego pan należał, był więcej wart. Wyście pracowali rozsądnie, w ukryciu, dla przyszłości”. To prawda, wszakże i z jego strony było wielkie poświęcenie się dla sprawy ojczyzny. A że tę sprawę nie tak pojął, to wina jego sposobu myślenia. Nie wszyscy mają jednakowy pogląd na daną sprawę. Dlatego częstokroć niesłusznie urągamy demokratom, którym się zdaje, że oni lepiej te sprawy ujmują niż inni, zbyt rozumujący.

Opowiadał mi też, jak z początku Trubecki, wściekając się, bił go swą własną ręką. Dobiero, gdy mu raz nad głową potrząsnął kajdanami i powiedział: „głowę ci, łotrze, rozwalę, jeśli się mnie dotkniesz”, Trubecki uspokoił się i zaczął być łagodniejszy, zwłaszcza, że Konarski dodał: „Nie znasz mojego charakteru: im więcej mnie będziesz dręczyć, tem mniej się ode mnie dowiesz”. Później go już więc nie bił, ale dręczył go to głodem, to ciemnicą, to karmiąc śledziami i pić nie dając, to w gorącu trzymając, to wreszcie związawszy oba wielkie palce rąk, tak go wieszał, trzymając często godzinę w tych tak podobno okropnych bólach, że aż mdlał biedak, a jednak nie słabł podczas badań w odpowiedziach.

Do szesnastego marca, jak mówiłem, trzymano nas już pod daleko mniej ścisłą strażą, zezwalając na ciągłe prawie odwiedziny nietylko rodziny, ale i obcych. W dniu tym, rano, zawołano nas do sądu wojennego i odczytano ułaskawienie najpotężniejszego cara, tak szlachetnie pastwiącego się nad ludźmi. W tem ułaskawieniu zamieniono osiedlenie z dodatkami na wygnanie na „stałe osiedlenie w oddalonych rosyjskich gubernjach”, bez pozbawienia praw szlachestwa.

Po odczytaniu tego wyroku, odprowadzono nas do więzienia, z którego w nocy miano każdego z nas odwiedzić na kilkanaście dni, zawsze pod ścisłą strażą, do domów dla załatwienia interesów przed opuszczeniem nazawsze kraju. Nim wszakże nadszedł wieczór, miałem jeszcze jedną wizytę komendanta, żandarma i policmajstra z rewirowym. Komendant odczytał mi dodatkowy rozkaz, pozbawiający mnie, jako

nieprawomyślnego, tytułu kamerjunkra i prawa noszenia munduru. Rozkaz ten kazano mi podpisać na dowód, że go wypełnię. Nie mogłem wstrzymać, przyznam się, uśmiechu na widok tych sług cara, zasmuconych tak wielkiem, podług nich, nieszczęściem, a dla mnie tak nieznaczącym faktem.

Koło godziny dziesiątej w nocy odwieziono mnie do domu, gdzie przy drzwiach, na schodach, postawiono straż z nakazem niewpuszczania do mnie nikogo, bez zezwolenia rewirowego. Zakaz ten był bezcelowy, bo w domu Zajcowa, w którym mieszkałem z siostrą i córką, było dwoje drzwi, z których jedne prowadziły do apartamentów mojej siostry i córki, drugie zaś do moich. Przez wspólny salon przyjmowałem wszystkich, rzekomo do córki i siostry przychodzących, a nawet sam, przez tylne drzwi, dobrze zasłonięty, wyjeżdżałem do miasta, kiedy musiałem kogoś odwiedzić. Księgi aktowe i rejenta, dla przekazania bratu mojemu plenipotencji, sprowadzał rewirowy do mieszkania *).

*) Kiedy nas 16-go marca wypuszczono z więzienia do domów dla załatwienia interesów naszych przed tak wielką podróżą i na tak długi czas, niektórzy zasądzeni na katorgę, pozostali w więzieniu, czekając kolejki wywiezienia. Między innemi skazany był na tę katorgę Bułhak, ten sam, który wskazał Kozakiewiczowi Konarskiego, którego też Kozakiewicz i przywiózł do Wilna, o czym już wspominałem. Otóż ten Bułhak, młody jeszcze człowiek, miał dla córeczek swoich (które matka osierociła, umierając w młodym jeszcze wieku) guwernantkę, pannę Wróblewską, jeśli mię pamięć moja nie myli. Bułhak pokochał tę pannę i chciał się z nią żenić. Ale panna Wróblewska, widząc, że rodzina jego była temu związkowi przeciwną, pomimo dość świetnej dla siebie partji, odrzucała ciągle propozycje Bułhaka. Gdy wszakże Bułhaka skazano na katorgę, a krewni Bułhakowej wzięli dzieci pod swoją opiekę, zacna ta panna Wróblewska wówczas dopiero zgodziła się pójść za niego za mąż i dzielić los nieszczęsnego katorżnika. Podała więc prośbę, by jej udzielono pozwolenia na to zamążpójście, na które z rozczeniem przystał Bułhak. Po otrzymaniu zezwolenia od rządu, ponieważ do domu nie wolno mu było wracać, wzięli ślub w więzieniu, w którym naprędce ustawiono ołtarz, a za świadków służyli strażnicy więzienia i więźniowie. Pierwszy to może w świecie wypadek ślubu, zawartego dobrowolnie w murach więzienia z więźniem, skazanym do ciężkich robót. To też opowiadano mi, że akt ten odbył się przy największem rozrzewnieniu wszystkich obecnych i kapłana, błogosławiącego ten święty związek, po którym wyruszyła nazajutrz z mężem na Syberję do kopalni. Niewielka to filozofja iść za mąż za człowieka szczęśliwego i wolnego. Ale poświęcić młodość i przyszłość

Симъ ошъ Полиціи объявлено, что заграничный Эпископъ,
Государственный преступникъ Симонъ Конарскій, за возмущитель-
ныя покушенія противъ Правительственна, приговора Военнымъ
Судомъ къ смертной казни, которая совершена будетъ завтра, 15
числа сего Февраля въ 10½ часовъ по полудни, за Подулянскою
Заставою.

14 Февраля 1839 года

W ten sposób do dnia trzydziestego pierwszego marca spędziłem czas z siostrą i córką, ciągle odbierając odwiedziny i przygotowując się do podróży do Wiatki, przeznaczonej na moje i Hrebnickiego wygnanie. Romerom i Kończy naznaczono Wołogdę, a Dobkiewiczowi, również członkowi naszego towarzystwa, Perme; Kozakiewicz zaś, jak już zdaje się wspomniałem, skazany był na ciężkie roboty do katorgi. Ksiądz Trynkowski, po pozbawieniu kapłaństwa, został skazany, głównie za „rozwiązłe życie”, o czym tak niepotrzebnie się rozpisał w swoich zeznaniach, na osiedlenie w Mińsku.

swoją dla człowieka, będącego u szczytu nieszczęścia, jest to cnota, czyli czyn, na który rzadko kto się zdobędzie. Cześć więc i chwała tej zacnej Polce. Bóg też pobłogosławił im, bo pani Bułhakowa pisywała z Syberji, że im się nieźle powodzi. Znaleźli i tam ludzi z sercem, którzy o ile możliwości, nieszczęśliwy ich los znośnym czynili. (*Przypisek autora*).

IV.

Muszę opisać nieco obszerniej w jaki sposób mieliśmy wyjeżdżać. Dla mnie, jadącego z żandarmem, przeznaczono trójkę koni, dla Hrebnickiego, też z żandarmem, również trójkę, wszystko to na koszt skarbowy, (notabene ten koszt, jak i koszt pobytu w więzieniu ściągnięto z nas później z dobrym procentem). Każdemu z nas wolno było zabrać swoją służbę. Hrebnicki więc potrzebował dla swego człowieka i rzeczy jeszcze pary koni, ja zaś biorąc kucharza i kamerdynera, znanego wszystkim Łukjanowicza, potrzebowałem jeszcze trójki koni. Na te dwie podwozy, moją i Hrebnickiego, wydano *podorożne* na nasz koszt, ale na imię żandarmów, polityką rządu bowiem było, aby na stacjach nie wiedziano kogo żandarmi wiozą. Była to zbyteczna ostrożność, bo i tak wszędzie mówiliśmy, kto jesteśmy.

Zapomniałem wszakże o jednym fakcie, który później o mały włos nie nabawił mnie wielkiego kłopotu. Na kilka dni przed wyjazdem oznajmiamą mi, że przez tylne schody od garderoby przyszedł ktoś, kto się chce ze mną potajemnie widzieć. Było to może moją wadą, że nie tylko nie unikałem wszelkich tajemniczych kroków, ale i owszem zawsze szedłem im naprzeciw. Siostra i brat perswadowali mi, abym nie wychodził do tego indywiduum, ja wszakże poszedłem i w ciemnym korytarzu pytam, kto to jest i czego żąda? Ów mi odpowiada, że jest dobrze mi znanym akademikiem, Koralkiewiczem *), przysłanym od Korowajewa, który jeszcze nie był wówczas osądzony i siedział na odwachu, a który życzy sobie koniecznie widzieć się ze mną i nawet stoi w przebraniu za bramą, otrzymawszy od swego przyjaciela, dyżurnego oficera, pozwolenie na wyjście z odwachu. — „Czego on chce ode mnie, przecież go wcale nie znam”. — „On wiele

*) Po naszym wysłaniu do Wiatki, podczas drugiej komisji, zanim Nazimow nie odkrył machinacji tej łajdackiej komisji, trafił ten biedak w ręce Trubeckiego, zaćwiczony przez niego na śmierć i powieszony został w celi na haku od drzwi. Twierdzono, że sam jakoby się powiesił. (Przypisek autora).

słyszał o panu, — rzecz — a ceniąc jego patriotyzm i piękny charakter, chciałby potajemnie pomówić”. Nie przypadła mi do gustu owa propozycja, która w obecnem położeniu na nic się przydać nie mogła, więc odmówiłem temu widzeniu się. Dobrze zrobiłem, bo kiedy później sądzono Korowajewa, jakiś lekkomyślny oficer, Francuz de Lucigné, który i Rome-rowej i Kończynej tyle potem biedy narobił, wydając ich patriotyczne rozmowy, choć podawał się za ich i mężów ich przyjaciela, otóż ten Francuz zdradził komisji wycieczki Korowajewa, któremu koledzy oficerowie pozwalali nocami wychodzić z odwachu, gdzie surowo był strzeżony. Wiedząc gdzie bywał, zacytował i mnie. Szczęściem, że żołnierz, bez którego jednak Korowajewa nie puszczano, potwierdził, że był tylko pod domem Zajcewa, ale że do środka nie wchodził.

Czas wszakże wrócić do naszego wyjazdu. Okropny to był moment rozstania się mojego z bratem, siostrą, a przede-wszystkiem córką ukochaną i tak do mnie przywiązaną, choć to rozstanie się niedługo trwać miało, bo w lecie mieli połączyć się ze mną, czego rodzinom nie zabroniono. Wszakże te przygotowania, kibitki z żandarmami, stojące na dziedzińcu, płacz przyjaciół, a do tego tłumy płaczących ludzi na ulicy, obecne przy moim wyjeździe, bo bardzo byłem lubiany, jeszcze więcej zwiększyły boleść rozstania. Wsiadliśmy wreszcie i wyruszyliśmy na Mińsk, przez Ostrą Bramę, w której pełno było mężczyzn i kobiet, modlących się i powiewających chustkami, przeważnie nieznanych mi osobiście. Nie było rozkazu pędzenia nas dzień i noc i dlatego przenocowaliśmy na pierwszej od Wilna stacji wraz z bratem moim i młodym Mianowskim, którzy nas do tej stacji, za pozwoleniem władz, odprowadzali. Nazajutrz, w Radoszkowiczach, o cztery mile od Mińska, na plebanji dobrze mi bardzo znanego, jako zacnego kapłana i dobrego Polaka, ks. Drawdzika, proboszcza tamtejszego, czekał nas obiad przygotowany przez Onufrego i, zdaje się, Kazimierza Bohdanowiczów, obywateli mińskiej gubernji, dobrych moich znajomych. Na tym obiedzie było i wielu innych obywateli, a między nimi i Wołodkowicz, bogaty bardzo człowiek, który, sądząc, że jedziemy bez pieniędzy, przywiózł nam kilkaset czerwonych złotych. Hrebnicki wziął z tych pieniędzy sto złotych dla biednych rodaków,

których jak wiedzieliśmy, jest dosyć po różnych rosyjskich gubernjach.

Po tym obiedzie, na którym rozweselono się trochę, i za który jak mi później mówiono, Bohdanowiczowie otrzymali „napomnienie“, ruszyliśmy do Mińska. Tu znowu Piszczalo, prezydent drugiego departamentu, będący dobrze z gubernatorem Suszkowem, zatrzymał nas czas jakiś, również fetując. Nazajutrz po tem przyjęciu, zaopatrzeni na drogę przez Piszczalów w ciasta i wędliny, ruszyliśmy dalej. W dzień wyjazdu naszego widzieliśmy przed kościołem katedralnym tłumy ludzi, pragnących być obecnymi przy smutnej ceremonji zdejmowania kapłaństwa z księdza Trynkowskiego, który podobno rzucał się i lajał biskupa, sprawującego ten obrządek.

Do Smoleńska, do którego jechaliśmy nie śpiesząc się, bo wolno nam było nocować i jechać choćby tylko trzydzieści wiorst na dzień, a śpieszyć nie było dokąd i poco, nic nam się ważnego nie przytrafiło. Jechaliśmy, jak mówię, powoli, co bardzo się uśmiechało naszym żandarmom, którzy brali ze skarbu strawne po dwadzieścia pięć kopiejek sreb. za sto wiorst, a jedli i pili na nasz koszt. Mając kucharza, zatrzymywaliśmy się na każdej dobrej stacji i lokowaliśmy się na noc, choćby to było południe. A i żandarmi, nie mając się czego śpieszyć, gdy ujrzeli dobrą stację, mówili: „Wasza wielmożność, tu byłoby dobrze zanocować“. Z Mińska towarzystwo nasze powiększyło się, o czem zapomniałem dodać, bo Dobkiewicz, przeznaczony do Permy, miał jechać z nami aż pod Kazań prawie i Krzeczkowski, ów niby to poeta, skazany do Wiatki na krótki czas i Bóg wie za co. Niewiele, a nawet nic nie był on winien, chyba to, że po wzięciu Konarskiego po Wilnie chodził i chwalił się, że go znał na Podolu, gdzie właśnie był na kilka miesięcy przed jego uwięzieniem. Mówię chwalił się, bo w rzeczywistości nigdy go na oczy nie widział. Dosyć wszakże, że to mówił, a wzięty do więzienia, gdy nie chciał przyznać się do tego, czego nie było, straszony przez Trubeckiego, że będzie bitym, tył mu podstawił i mówił: „bij, bij“, o co niedługo trzeba było prosić tego pastwiącego się nad więźniami człowieka. To też wysypiano mu kilkadziesiąt różeg, któremi się Krzeczkowski chwalił, bo zresztą o nic nie był badany i zesłany do Wiatki czasowo.

W Smoleńsku gubernatorem był brat naszego Trubckiego i z trudem, na prośby Kołkowskiego, tamtejszego wicegubernatora, a dobrze mi z Wilna znajomego, pozwolił nam dzień jeden odpocząć i widzieć się przy straży z krewnymi moimi Piotrowstwem Korsakami, z witebskiej gubernji, którzy tam, już nie pamiętam za co, byli od kilku miesięcy zesłani.

Ze Smoleńska do Moskwy też nic ważnego nam się nie przytrafiło, prócz tego, że w Wiaźmie dopędził nas ksiądz Trynkowski, wieziony przez trzech żandarmów, który najprzytomniej i bardzo wesoło z nami rozmawiał. Żandarmi wszakże mówili, że jak tylko na jakiej stacji wysiądzie, to nie chce wyjeżdżać i muszą go gwałtem, związanego, na sanie rzucać. Tu też, w Wiaźmie, i ja moją budę rzucić musiałem, i jechać do Moskwy już na rozstawnych koniach. Zapomniałem dodać i to, że od gubernjalnego do gubernjalnego miasta żandarmi wieźli nas wprost do gubernatora, który nam dawał nowych żandarmów, a tamci odjeżdżali zaraz zpowrotem po następny transport, bo tak wielu było do wywożenia zesłańców. Prócz dziewięćdziesięciu nas, wileńskich, jechało tym traktem jeszcze ze dwustu kijowskich, których na Syberję lub do rosyjskich gubernij trzeba było odwozić.

Tak więc na rozstawnych koniach przyjechaliśmy do Moskwy, gdzie nas zawieziono wprost do kancelarii gubernatora. Naczelnik kancelarii, wielki widać osioł, nie chciał nam pozwolić na zjedzenie nawet obiadu i pomimo zaręczeń żandarmów i przepisów, jakie mieli, by się z nami jaknajgrzeczniej obchodzić i zatrzymywać się, gdzie chcemy, posłał po świeże konie i żandarmów. Tymczasem kazał nam wyliczać, ilu żandarmów potrzeba na „prohony”. Nie bardzo znając język rosyjski i nie wiedząc, jak temu osłu wytłumaczyć nasze żądania, pytam go: „A może pan mówi po francusku?” — „Jakto?” — odpowiedział ze zdziwieniem — „jak pan śmie w miejscu, gdzie stoi zercało czy zierkało (już nie wiem, jak to paskudztwo, w sądach stojące, nazywają) mówić po francusku?” Uniesiony zwykłą moją żywością, w nos mu się roześmiałem, a zwróciwszy się do Hrebnickiego, mówię: „Widziałeś takiego osła?” i wyszedłem z kolegami do innych pokoi, których było kilka, zapelnionych piszącami.

Wtem podchodzi do mnie jakiś młody elegancik, mówiąc po francusku: „Przepraszam pana za głupotę naszego kierownika kancelarji, w której i ja pracuję. Jestem księżę Czerkaskij, słyszałem pańską rozmowę z kierownikiem. W czym mogę być panom pomocnym i kto panowie jesteście? A dokąd to panów tak paradnie wiozą i za co, jeśli wolno spytać?” Na tak grzeczne zapytanie odpowiedziałem również grzecznie, że za polityczne przestępstwa, według pojęć rządowych, zostaliśmy wysłani z Polski do Rosji. „Ach! rozumiem”, — rzekł żartobliwie — „Najj. Pan, dbając o zdrowie panów, każe wam się trochę przejechać, żeby usunąć wasze hemoroidalne cierpienia”. — „Tak jest”, również śmiejąc się odparłem. — „Ale koniec końcem” — rzecze — „czego żądacie od gubernatora?” — „Chcemy go prosić”, — rzekłem — „aby nam pozwolił zabawić kilka dni w Moskwie”. — „Wróci on za chwilę z cerkwi”, — odparł Czerkaskij — „ja tymczasem postaram się marudzić z wyprawieniem panów, dopóki on nie nadjedzie”. Podziękowałem mu grzecznie. I rzeczywiście, nie minął kwadrans, gdy na dziedziniec zajechał piękny ekwipaż, a jeden z pisarzy objaśnił mnie, że należy on do gubernatora Olsufjewa. Za chwilę wpada do kancelarji wygalonowany lokaj, wołając, że pan gubernator prosi Polaków do siebie. Ruszyliśmy więc za nim w naszych podróżnych kostjumach, ku wielkiemu niezadowoleniu pana kierownika kancelarji, któremu widocznie nasz facecista Czerkaskij, stołka podstawił.

Gubernator przyjął nas na dole, w dwóch małych pokojkach, trzymając w ręku papier. „Chcieliście panowie mnie widzieć? Kto panowie jesteście?” Jak wszędzie, tak również i tu ja głos zabrałem, bo Hrebnicki małomówny, a Krzeczowski i Dobkiewicz, nietędy Francuzi, nie brali udziału w rozmowie. Odpowiedziałem więc: „Te papiery zapewne generała poinformują”. Spojrzał na mnie i podchodząc bliżej rzekł: „Papier ten uwiadamia mię tylko, że panów do Wiatki posyłają i że trzeba panom dać żandarmów do odwiezienia. A który z panów jest Szumski?” — „Ja”, rzekłem, odpowiadając również i na zapytania, dotyczące innych. — „Ależ czego panowie ode mnie żądacie?” — „Chcemy tu w Moskwie kilka dni wypocząć”, odpowiedziałem. — „Ależ ja tego nie

mogę zrobić, — rzekł — ten papier podaje mi tylko nazwiska panów, ale nie wspomina za co jesteście zesłani”. — „Niech się pan gubernator nie lęka, my jesteśmy uczciwi ludzie. Najjaśniejszemu Panu podobało się kazać nam przejechać się z żandarmami, jedziemy więc, mając pozwolenie zatrzymać się gdzie się nam podoba”. — „Ależ za co panów wysyłają?” —

Widząc, że to człowiek dobry, że o niczem nie wie i że trzeba by choć piąte przez dziesiąte mu coś opowiedzieć, rzekłem: „To skutkiem sławnej Komisji, której przewodniczącym był książę Trubecki, zięć jednego z tutejszych magnatów, księcia Borysa Czetwertyńskiego. Byliśmy nieco zamieszani w sprawie rozstrzelanego emisariusza Konarskiego, za co skazano nas na wyjazd do Wiatki”. — „Co”, — wykrzyknął — „rozstrzelanego? i komisja była? A my nic tu o tem nie słyszeliśmy. Powiedz mi pan, proszę, co to i jak to wszystko było?” — Tu więc, rozumie się, oszczędzając siebie, dałem mu mniej więcej krótki zarys całej tej sprawy. „Jego rozstrzelano?” zapytał. — „Tak”, odpowiedziałem — „Kiedy?” — „Piętnastego lutego”. — „Jakto, już trzy miesiące temu? Wszak panowie wyjechali z Wilna trzydziestego pierwszego marca, a teraz kończy się kwiecień. Gdzież panowie tak długo bawili?” — „Jedziemy sobie, nie śpiesząc się”, — odrzekłem — „bo nam na to pozwolono i dlatego chcielibyśmy w Moskwie odpocząć kilka dni”. — „Ależ to niemożliwe, ja nawet nie mam prawa na to pozwolić, a i te pisma nic mi o tem nie mówią”. — „To niech pan gubernator każe sobie pokazać instrukcję, jaką mają żandarmi, którzy, zmieniając się od jednego gubernjalnego miasta do drugiego, odbierają od swych naczelników rozkazy najgrzeczniejszego obchodzenia się z nami i zatrzymywania się, gdzie chcemy”. Żandarmi stali przy nas. Zawoławszy więc jednego z nich do drugiego pokoju, wrócił po krótkiej z nim rozmowie, mówiąc: „Chciałbym panom dogodzić, ale boję się. Właśnie jest tu teraz adjutant cesarski, nie chcę więc bez wyższych rozkazów brać czegoś na swoją odpowiedzialność, zwłaszcza, że nie wiem, czy panów wysyłają za jakieś ważne przestępstwo, czy też za jaką bagatelkę”. Dostrzegłem w postępowaniu tego zacnego gubernatora jaknajlepsze chęci, a jednocześnie bojaźń, bo rzeczywiście, nic o nas nie wiedząc, trudno mu było decydować się na jakieś ustępstwa. I dziwna rzecz, jak to w naszym

rządzie nic nikt nie wie, bo i w Wiatce, gdzie mieliśmy się osiedlić, gubernator nie otrzymał żadnej instrukcji, tylko polecenie trzymania nas pod dozorem policji.

Postanowiwszy wszakże koniecznie w Moskwie wypocząć, użyłem następujących argumentów: „Jeśli by który z nas” — rzekłem — „zachorował, pan gubernator nie byłby tak okrutny, żeby kazać wieźć dalej chorego. Otóż właśnie jestem tak chory, że bez trzydniowego odpoczynku ruszyć dalej nie mogę, zwłaszcza, że chciałbym sobie kupić tutaj ekwipaż, bo jadąc od Wiaźmy, gdzie musiałem zostawić swoje sanie, na podwodach, jestem okropnie zmęczony”. — „Ale pan, widzę, szturmem mię bierzesz”. — „Tak” — odpowiedziałem — „i nie my jedni tak jedziemy. W kilka dni po nas transport jeden za drugim przywiezie tu ze trzydziestu takich, którzy te same prośby będą mieli”. — „Więc panów będzie jeszcze więcej? I wszyscy oni, tak jak i panowie, takiego pochodzenia i tak nieszczęśliwi?” — „Wszyscy tacy” — odparłem — „i wszyscy będą pana gubernatora prosić o odpoczynek w Moskwie”. Zamyślił się chwilę, walcząc widocznie między powinnością a swem sercem, które wszakże przemogło. Wreszcie rzekł: „No, niechże i tak będzie. Pozwolę panom zabawić tu trzy dni, ale kładę warunek, że panowie staniecie w tym hotelu, który im wskaże policja, i że będziecie mieli dodanych sobie rewirowych, którzy panów na krok nie odstąpią. Będą oni przebrani po cywilnemu, aby ta asysta nie była w oczy ludności moskiewskiej, zbyt z natury swojej ciekawej. Możecie chodzić i jeździć po mieście, prosiłbym tylko o niebywanie w teatrze i na żadnych publicznych zgromadzeniach. Czy zgoda?” — „Zgoda” — odpowiedziałem — „i dziękujemy panu serdecznie”. Tu żegnając nas, powtórzył jeszcze raz: „Wolno wam wszędzie bywać, z wyjątkiem teatru i wielkich hoteli, pamiętajcie, że biorę dużą odpowiedzialność na siebie”.

Nadszedł wezwany policmajster, który otrzymawszy instrukcję, zaprowadził nas do jakiegoś nędznego zajazdu którego właściciel, jak się później dowiedzieliśmy, był policyjnym szpiegiem. Ulokowaliśmy się tam w niezłych pokojach, ale gdy przyszło do jedzenia, nie mogliśmy się odważyć na te brudne „szczy” i inne podobne „gowiadyny”. Rewi-

rowi nasi zaproponowali nam pójść do Angielskiego hotelu, gdzie dają dobrze jeść. Że mieliśmy jednak zakazane ukazywanie się w publicznych miejscach, posilaliśmy się więc w oddzielnych gabinetach.

Przez dwa dni zwiedzaliśmy Moskwę. Trzeciego dnia rano przyjechał po nas policmajster już z gotowem dla nas podwodami i żandarmami, który przedtem zawiózł nas do gubernatora, pragnącego nas jeszcze widzieć przed odjazdem. Pojechaliśmy więc do niego. Wchodząc, już zacząłem mówić mu komplement, dziękując mu za jego grzeczność, gdy on mi przerwał, mówiąc: „To ja winienem panom dziękować za ich dobre zachowanie się, dzięki któremu nie naraziliście mnie na żadną odpowiedzialność. Bądźcie zdrowi, niech was Bóg prowadzi” *). Podziękowawszy więc sobie nawzajem serdecznie, siedliśmy na nasze kibitki, bo pojazdu nie kupilem, dowiedziawszy się, że za Moskwą od Włodzimierza nie można inaczej jechać, jak saniami. Nieopodal Kremla stanęliśmy pod pomnikiem Minina i Pożarskiego, a jeden z naszych żandarmów skoczył do komendanta, mieszkającego w Kremlinie, celem poświadczenia dokumentów podróży i zaraportowania o naszym wyjeździe. Nie chcąc siedzieć w kibitkach, wyszliśmy z nich, by przyrzyć się pomnikowi. W jednej chwili zebrało się może do dwustu gapiów, którzy, widząc kibitki i żandarmów, otoczyli nas, wypytując z życzliwością, skąd jesteśmy, kto i za co? Wtem nadjechał oberpolicmajster w randze generała. Spostrzegłszy ten tłum, a dowiedziawszy się co my za jedni, kazał czterem kozakom, zawsze za nim jadącym, nahaikami rozpędzić tłum, a nas najuprzejmiej przeprosiwszy, kazał żandarmom jechać z nami za miasto, gdzie miał odesłać żandarma, który pobiegł do komendanta.

Z Moskwy jechaliśmy na Włodzimierz, gdzie gubernatorem był stary dziwak, który nam nie pozwolił zabawić w mieście ani godziny, i chociaż noc nadchodziła, zaraz kazał wyjeżdżać. Nie było na to sposobu. Musieliśmy więc pierwszy raz od Wilna zatrzymać się na trzydziestowiorstowej stacji, która była

*) To nasze dobre prowadzenie się, które tak zadowolniło Ołsufjewa, zrobiło to, że przybył po nas do Moskwy Kończy i Romerom Ołsufjew sam zaproponował sześć dni odpoczynku i pozwolił im chodzić do teatru, prosząc tylko, by się tak zachowywali, jak my. (*Przypisek autora*)

bardzo kiepska, bo w tamtych stronach niema takich stacyj pocztowych, jak u nas. Są tylko utrzymywane przez chłopów wolnonajemne konie, niema więc prócz chałup żadnego ludzkiego domu.

Nazajutrz raniutko ruszyliśmy do Niżniego Nowgorodu, słynnego z jarmarku, zwanego dawniej Makarjewskim, na który zjeżdża się wielu kupców nietylko europejskich, ale i azjatyckich. Opisywać tego miasta nie będę, bo już go wielu, a w późniejszych czasach Klustin, opisało. Tu znowu gubernator, zdaje mi się Buturlin, robił nam trudności w pozostaniu w mieście, bo właśnie zaczynano zjeżdżać się na jarmark. Pozwolił nam wszakże przenocować i zabawić nazajutrz pół dnia.

Z Niżniego Nowgorodu *), o sto pięćdziesiąt wiorst tylko od Kazania, rozchodzą się drogi: jedna idzie na Wiatkę, druga na Kazań, przez który musiał jechać do Permy Dobkiewicz. Pożegnawszy się więc z nim, puściliśmy się do Wiatki, dokąd przybyliśmy dnia szóstego maja, już bez żadnych ważnych wydarzeń. Tutaj byliśmy dawno oczekiwani przez gubernatora, jest bowiem zwyczaj, że gubernatorów, do których wysyłają zesłańców, uprzedzają o ich przybyciu. Nie dziw, że długo na nas czekano, bo byliśmy od 30 marca do 6 maja w drodze, to jest więcej niż miesiąc, wcale się nie śpiesząc.

Zawieziono nas, tak jak i wszędzie, wprost do wicegubernatora Wasiljewa, zastępującego gubernatora Chamutowa, który był na urlopie w Petersburgu. Ten Wasiljew był kiedyś radcą w Grodnie, gdzie się ożenił z Polką, siostrą Dymitriewowej, której mąż był zawsze protegowany przez ministra

*) Tu muszę wspomnieć o jednym zabawnym wydarzeniu. Między Niżnim Nowgorodem a Wiatką jest miasteczko Koźmodemjansk, położone nad Wolgą. Rzeka ta była rozlana na szerokość trzydziestu wiorst i trzeba było wielką tę przestrzeń przepłynąć czółnem. Zaniepokojony tą przeprawą, pytam żandarma, czy niema niebezpieczeństwa i czy nie grozi nam zatopienie. „Ależ zmiłujcie się, — odpowiada żandarm — to się nie może w żaden sposób stać, wy jesteście przecież skarbowi i na mojej odpowiedzialności”. Jak to maluje charakter rosyjskiego żołnierza — służbisty, któremu ciągle wpajają, że rzecz skarbowa nie może zginąć. Człowieka zatem też za rzecz uważają. (Przypisek autora).

księcia Lubeckiego, znanego w Królestwie Polskiem. Dobry to był człowiek, ale niebardzo mądry. Przyjął nas grzecznie, ale zgóry. Pouczał nas, abyśmy się skromnie zachowywali i abyśmy pisywali do swoich nieinaczej, jak przez niego, oddając listy niezapieczętowane, i oznajmiając, że listy, do nas pisane, będą takąż drogą otwierane przez niego, odczytywane i dopiero nam oddawane. Skłoniwszy się nam, powiedział po polsku: „Teraz panowie możecie pójść poszukać sobie kwatery, a najlepiej dopomoże wam w tem rodak wasz, p. Klaudjusz Mirski, od lat kilku tu bawiący. Wygląda on was, jako dobrych podobno znajomych, z wielkiem utęsknieniem”.

Poszliśmy więc do Klaudjusza, zesłanego do Wiatki za sprawy religijne. Przyjął nas z serdecznością, na jaką stać było jego chłodną naturę. Dał nam obiad, po którym pomógł szukać kwatery, zapoznając nas z miastem i obyczajami ludzi, z którymi mieliśmy żyć.

Mieszkania w Wiatce nie są drogie. Najeliśmy więc z Hrebnickim dom za sto dwadzieścia rubli, w którym po jednej stronie miał Hrebnicki dwa pokoje i wyjście do sieni, a po drugiej stronie, również z osobnem wyjściem miałem dwa pokoje: jeden dla mnie, a drugi dla Łukjanowicza, mego kamerdynera. Za jego pokojem, przez sionki, była kuchnia z pokojem dla mojego kucharza, w środku zaś, między mojemi i Hrebnickiego pokojami, był wspólny salon, mający osobne wejście z głównej sieni. W tej sali jadalśmy, piliśmy herbatę i przyjmowaliśmy gości. Zainstalowaliśmy się więc wreszcie w naszych apartamentach.

Mirski, który był bardzo dobrze widziany u Wasiljewa, do żony którego, jak głosiła wiacka kronika, umizgał się z powodzeniem, choć był fanatycznie nabożny — widać jednak na swój sposób trzymał się tego, że co boskiego Bogu, a co ludzkiego ludziom — podjął się nam ciceronować. Będąc jednak bardzo bojaźliwym, zapowiedział nam, abyśmy z Moskalami byli grzeczni i pokorni, co też i sam czynił, najniżej każdemu czapkując, i najczęściej, kiedy był gdzie w salonie, siadał przy drzwiach na brzeżku krzeselka, (nie wiem, jak tam siadał przy pani Wasiljew). W nos mu się roześmiałem, mówiąc: „O! nie znasz, braciszku, Moskala. Bądź tylko z nim bardzo grzeczny, to on cię za nic mieć

będzie. To bydlu potrzebuje imponowania, bo każdy z nich przywykł do tego, że ranga rangę szanuje". Ale, jak to zwyczajnie bywa na świecie, Mirski pozostał przy swoim sposobie postępowania, a ja przy swoim, i każdy ze swoim zdaniem poszliśmy, wyświeżeni, oddać naszą czołobitność Wasiljewowi, a potem pułkownikowi żandarmów, Andrejewowi, wcale niezłemu człowiekowi. Wasiljew przyjął nas uprzejmie, mile uśmiechając się do Mirskiego, który z pokorą stanął przy drzwiach. Przyjął nas w swoim gabinecie, w którym prócz stołu z papierami, od którego nawet się nie podniósł, nie było ani jednego stołka. Tylko nieopodal stołu stał duży kufer, przykryty dywanem. Po pierwszych uprzejmych zapytaniach o drogę, o kwaterę etc., widząc, że siedzieć nas nie prosi, bo i nie było na czem, nie czekając długo, usiadłem na kufrze, kontynuując rozmowę. Mirski struchlał na taką odwagę, dając mi znaki porozumiewawcze, a Wasiljew, spojrzawszy ze zdumieniem, wstał po chwili ze swego krzesła i rozmawiał już stojąc. Musiałem i ja wstać, a widząc niegrzeczny sposób postępowania Wasiljewa, zwróciwszy się do kolegów, rzekłem: „Nie przeszkadzajmy panu wicegubernatorowi, chodźmy teraz, jeśli pan wicegubernator pozwoli, złożyć nasze uszanowanie jego małżonce“. — „A dobrze“, — odrzekł Wasiljew — „pan Mirski panów przedstawi mojej żonie, która jest kompatryjotką panów“. Poszliśmy więc do Wasiljewowej, prostej, bo z mieszczanek warszawskich pochodzącej, ale nieszpety i dobrej kobietki. Po prezentacji, widząc, że Mirski, zwyczajem swoim, przy drzwiach siada, ja na złość jemu ulokowałem się na kanapie obok niej, zawsze ku wielkiemu oburzeniu Mirskiego. Po kwadrans trwającej wizycie, otrzymawszy zaproszenie na bywanie wieczorami na herbacie, wyszedłem z Hrebnickim, zostawiając Klaudjusza przy jego bogini.

Wieczorem przyszedł do nas Klaudjusz i w sekrecie powiedział mi, że podobaliśmy się Wasiljewowi, ale że życzyłby on sobie, abym nie nosił legji honorowej, że w mojej obecnej sytuacji nie wypada nosić krzyża francuskiego. Krzyż ten nosiłem przez cały czas podróży, nawet podczas rozmów z gubernatorami, i Olsufjew, który pytał, co to za krzyż, żadnej mi uwagi nie zrobił. Zakomunikowałem to Mirskiemu

i zaznaczyłem, że krzyża nie zdejmę, chyba na wyraźny rozkaz, a rozkazu takiego dać nie mają prawa, bo otrzymałem nie od ich rządu; dodałem, że nie zdejmowałem go nawet przy kamerjunkrowskim mundurze, w którym prezentowałem się Aleksandrowi i Mikołajowi. Nie do smaku była Mirskiemu ta moja opozycja, ale zawsze rządziłem się przysłowiem: „Każdy krawiec swoim krojem, każdy k..... swoim strojem“.

Lubiąc zawsze towarzystwo, zapoznałem się wnet z kupcami i kupczymi, bo tam obywatelstwa niema, tak dalece, że ani marszałka gubernjalnego, ani powiatowych, ani prezydenta drugiego departamentu nie wybierają, gdyż cała gubernja składa się tylko z chłopów, majątku obywatelskiego niema ani jednego. Te moje znajomości nie podobały się Hrebnickiemu, nie lubiącego tego. Nie chcąc zaś uchodzić za dzikusa, nie chciał wtyle pozostać i włączył się, choć nie zawsze, ze mną.

W trzy tygodnie po naszym przybyciu do Wiatki, wrócił ze stolicy gubernator Chamutow i kazał nam stawić się u siebie. Ceremonja ta odbywała się tak, jak i u nas. Wszyscy urzędnicy byli w mundurach, tylko my nie, bo i nie braliśmy ich ze sobą. Było nas kilkunastu wygnańców, bo z mińskiej gubernji był Jeleński i Wysocki, a z Kijowa było też do dziesięciu zesłanych za tę samą sprawę Konarskiego. Ustawiono nas w rząd i Chamutow, po przyjęciu czołobitności od urzędników i zebranych kupców, podszedł do nas z Wasiljewym, który mu każdego z nas z nazwiska przedstawił. Poczem przemówił do nas w ojczystym swoim języku, mniej więcej w te słowa: „Mam nadzieję, że panowie będziecie się tu spokojnie zachowywać, bo inaczej narazicie mnie na to, że ich będę musiał porozsyłać po powiatach“. Zabierając głos w imieniu wszystkich, odpowiedziałem po francusku: „Zrobimy wszystko możliwe, żeby zasłużyć na względy Waszej Ekscelencji“. Zwrócił się do mnie i, spojrzawszy na krzyż, rzekł: „Jeśli się nie mylę, jest to krzyż legji honorowej?“ — „Tak jest“ — odrzekłem. „To pan służył w wojsku francuskim?“ — „Tak“ — odpowiedziałem. Skończywszy rozmowę ze mną, skłonił się wszystkim na znak pożegnania, mnie zaś zatrzymał, mówiąc, że ma ze mną do pomówienia.

Nim przystąpię do późniejszych moich przyjacielskich, że tak powiem, z nim stosunków, muszę go opisać. Był to człowiek wcale niegłupi. Służył z początku w gwardyjskim pułku moskiewskim, później przeszedł do morskiej służby, pił też tego, jak prawdziwy marynarz. To mu weszło tak w nałóg, że po obiedzie był już zawsze mocno podchmielony. Żonę miał bardzo miłą, garbatą i niepiękną, ale bogatą. Kupców bogatych łupił okropnie, za to też nazywali go łapownikiem i nie lubili, bo niebardzo z nimi przestawał, wówczas kiedy poprzednicy jego dobrze z kupcami żyli, bywając u nich i do siebie ich zapraszając. Wszakże po tym powrocie z Petersburga, widocznie otrzymawszy napomnienie, zaczął mniej pić, a więcej zbliżać się do kupców.

Ale wracam do rzeczy. Gubernator, pozostawszy ze mną sam na sam, prosił mnie siedzieć i rozpytywać począł o kampanję 1812 r., w której i on brał udział. Był niezmiernie zadowolony z tych moich opowiadań, które były zupełnie zgodne ze świeżo przez Danilewskiego wydaną historją tej kampanji. Rozmowa na temat tej kampanji nieraz później była między nami wznawianą, bo obaj wiedzieliśmy wiele i o rzeczach tych zgodnie sądzili. Potem począł rozpytywać o Konarskiego, o śledztwo i t. d. Opowiedziałem mu wszystko, co można było mówić, nie oszczędzając Trubeckiego i jego pomocników. Chamutow, poza wyżej wymienionemi wadami, był człowiekiem szlachetnym, to też wściekał się na tych łotrów, którzy prowadzili śledztwo. Pierwsza ta moja audjencja zajęła więcej, niż godzinę czasu. Odłożywszy więc na później dalsze nasze konferencje, pożegnał się ze mną, prosząc, abym wieczorami przychodził do niego na herbatę.

Koledzy moi, a zwłaszcza Hrebnicki, już zaczynali się niepokoić, że tak długo nie wracam. Gdy mię więc ujrzeli, zaczęli wypytywać, co to była za konferencja. Gdym im wszystko opowiedział, rzekli, śmiejąc się: „Strzeżmy się Szumskiego, bo on zaprzedał się gubernatorowi i gotów nas szpiegować”. Niewinny ten wszakże żart załazł w głowę Jeleńskiemu, który był na pół fiksatem, i który mnie potem o to oskarżał przed kolegami. Ale o tem później.

Mówiłem już, że prócz mnie, Krzeczковского i Hrebnickiego z Wilna, byli jeszcze z Mińska: ten fiksat Jeleński

i Wysocki, człowiek z dobrą głową, który też wiele wycierpiał od Trubeckiego. Było też przysłanych z Kijowa na służbę dziesięć osób, nie z naszego wszakże towarzystwa, ludzi bez żadnej edukacji, a zagorzałych demokratów. Byli tam i dwaj dawniej zesłani Taraszkiewiczowie, których ekonomowi ten sam Trubecki, będąc w Rosieniach w 1832 r. naczelnikiem wojennym, lał rozpalony lak na ręce, żeby go zmusić do wyznania, że jego panowie należeli do powstania. Znalazłem też zesłanych za rok 1831 chorążego Wiercińskiego z Podola i dwóch księży. Prócz tego było dużo Polaków przybyłych dobrowolnie na służbę w kancelariach, lub skarbowych geometrów. Lecz z tymi nie łączyliśmy się, bo ci byli tutaj z własnej woli.

Miałem dobrego kucharza, to też często dawałem obiadki dla kolegów. Podczas tych obiadów Hrebnicki, Wysocki, Wierciński, a czasem i Krzeczkowski, choć w nim było mało dowcipu, nie mając co gadać, dowcipkowali. Te obiadki Wysocki nazywał stanisławowskimi, nakształt sławnych dawniej w Warszawie czwartkowych obiadów u króla Stanisława Poniatowskiego, choć różnica była wielka i co do rozumów i co do wykwintności jadła. Gdy nadeszło Boże Narodzenie urządziłem staropolskim zwyczajem dla kolegów wigilię.

Raz też w rok, koło Wielkiej Nocy, przyjeżdżał ksiądz katolicki, mieszkający w Permie, który miał do objazdu dla posług duchownych kilka gubernij, bo w każdej gubernii, prócz zesłanych Polaków, było pełno po garnizonach żołnierzy polskich, z 1831 r. zabranych. Ksiądz ten jeździł z dwoma Polakami żołnierzami do posług, wożąc z sobą podróżny ołtarz i sprzęty potrzebne do odprawiania Mszy św. Trzeba było widzieć radość naszą, gdy już na dwa lub trzy tygodnie przedtem, przychodziło pismo, donoszące o jego przyjeździe, aby z pobliskich powiatowych miast zebrać katolików dla odbycia świętej spowiedzi. Wówczas policja wyznaczała dom dla księdza z obszernym pokojem dla wiernych, który stroiliśmy, jak tylko można było, dostarczając dywanów, obrazów, lichtarzy etc., ażeby dać jaknajlepszy wygląd tej improwizowanej na parę tygodni kapliczce.

Ale wracam do Chamutowa, w którego łaski wkradałem się coraz bardziej. Hrebnicki go nie lubił i Chamutow

odwzajemniał mu się, mówiąc: „Pański kuzyn niegłupi człowiek, ale charakteru ponurego”. Klaudjusza też niecierpiał do tego stopnia, że raz mi powiedział: „Powiedz Mirskiemu, że jeżeli nie przestanie robić intryg (a lubił je robić) między urzędnikami i gubernatorem, to go wyślę do najodleglejszych powiatów gubernji. Nie lubię jego jezuickich ukłonów i jezuickiej miny”.

Zapoznawaliśmy się, jak już mówiłem, z mieszkańcami i czas nieźle nam schodził. Z początku przykro nam było wychodzić na ulicę, bo łobuzi uliczni, chodząc za nami, krzyczeli: „Polak dureń, bez mózgu, Warszawę przespał”. Pytanie, kto ich tego nauczył? Raz mówiłem o tem Chamutowowi. „Nie da się przerobić” — rzecze — „tego bydła. Udawajcie, że nie słyszycie, a powoli sami przestaną dokuczać, bo byłoby gorzej, gdyby kazać policji nauczyć ich rozumu”. Jakoż później dali nam pokój.

Tak wegetowałem, odbierając prawie co tydzień listy od córki i siostry, zawsze przez gubernatora, który później był na tyle grzecznym, że często odsyłał mi listy nieodpiewczętowane. Razu pewnego wezwał on mnie do siebie przez żandarma. Poszedłem, dziwiąc się, coby to miało znaczyć. Lecz wchodząc do jego gabinetu, spostrzegłem na stoliku portret mojej drogiej córki Maryli, o niezwykłym podobieństwie, i zapomniawszy dlaczego mię tu sprowadził, wykrzyknąłem: „A cóż tu robi portret mojej córki”? — „Ach, widać, że podobny” — rzekł — „To ona przysłała go panu z tym listem”. Gdy powróciłem do domu, Hrebnicki również zawołał: „Ach! Maryla”. Dziś portret ten zupełnie jest niepodobny, wówczas jednak wielką był dla mnie pociechą.

Tak nam płynęły dni, gdy zajścia i nieporozumienia, wszczęte między rodakami jeszcze przed moim przyjazdem, poczęły się coraz więcej rozszerzać. Zawsze to tak bywa u nas Polaków, że gdzie ich jest kilku, napewno długo zgoda panować nie może. Wiedzieli o tej naszej właściwości i Moskale, postanowiłem więc to ukrócić. Chodziłem od jednego do drugiego, tłumacząc im nieprzystojność tych kłótni, szpecących charakter narodowy, i tak mi się szczęśliwie udało, że pogodziłem partje. Po moim wszakże odjeździe do Wołody, Wysocki mi pisał, że na nowo, a nawet lepiej jeszcze kłócić się zaczęli.

Prawdę mówiąc, nie wiele miałem pociechy z kolegów. Hrebnicki, rzadko kiedy w dobrym humorze, siedział najczęściej zadumany, i to tak dalece, że choć razem mieszkaliśmy, przez pięć i sześć dni zrzędu słowa nieraz do mnie nie przemówił, choć do niego zagadywałem. Klaudjusz też był niepospolitym dziwakiem. Udawał zawsze biednego, choć piękny miał fundusz. Przywioził on ze sobą do Wiatki dużo srebrnej zastawy i ciągnął, jak to mówią, obrusem, zapraszając nietylko swoich, ale i Moskali. Ale potem wszystko srebro odesłał do domu i skarżył się, że zupełnie wszystko stracił. Fanatyzm religijny posuwał do tego stopnia, że nigdy, przez ciekawość nawet, nie był w żadnej cerkwi, dowodząc, że zabrania tego nasza religja. Ja prowadziłem życie ruchliwe. Wszędzie bywałem i byłem ciekaw wszystko widzieć*), a dowiedziawszy się, że w wiackiej katedrze, niezmiernie starej i bogatej, jest zakrystja, słynąca bogatemi mszałami i bibljami, w klejnoty drogie oprawnemi, niemniej wspaniałemi ornatami i kielichami i wielu innemi osobliwościami, zawsze godnemi widzenia, zapoznałem się z jakimś tam ich starszym popem, który obiecał mi i moim kolegom, o ile ich przyprowadzę w oznaczony dzień i godzinę, pokazać te osobliwości. Wszyscy koledzy zebrali się, bardzo tem uradowani. Jeden tylko Klaudjusz nie chciał i tego widzieć, bo trzeba było przechodzić przez cerkiew. Gubernator, urzędujący od kilku lat w Wiatce, dopiero ode mnie dowiedział się o tych bogactwach i pojechał z żoną je zobaczyć. Powiedział mi potem: „Pan jest szczególnym człowiekiem, nigdy pan nie traci czasu, a miasto zna pan lepiej, niż jego mieszkańcy”.

*) Tu wypadłoby wspomnieć, że myszkując wszędzie, znalazłem raz ludzi piłujących i heblujących ogromne bryły kamienia wapiennego, z którego tam nietylko wapno palą, ale używają go jeszcze na gzymsy, cokoly i inne ornamenty architektoniczne, co mi dało myśl zrobić sobie z niego przycisk, na których wyrysowałem tuszem orły polskie, wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, a na jednym wypisałem krótką biografię moich ostatnich cierpień. Kamienie te leżą w depozycie u mego zięcia w Sarji, gdzie zupełnie taki sam kamień wapienny znalazłem i na podobnie obróbnym zacząłem notować fakty pamiętnego 1848 roku. Lecz te poczęły się mnożyć i często niepomysłnie kończyć, zaniechałem więc dalszego pisanja. Ale i ten kamień egzystuje. (*Przypisek autora*).

Jednakże ta ciekawość moja o mały włos nie wyszła mi na złe. Rzecz tak się miała. Niedaleko naszego domu wybuchł pożar. Byłem wówczas cierpiący, a widząc jak straż ogniowa biegła z sikawkami i innemi narzędziami, powiadam do Hrebnickiego: „Ot, nic nie robisz, pójdz zobacz, czy też umieją krzątać się koło pożaru”. Dzień był piękny, było to koło dziesiątej rano, więc Hrebnicki, usłuchawszy mnie, poszedł na ten pożar. Nazajutrz było mi lepiej i tylko co miałem wyjść na spacer, gdy przybiegł żandarm od gubernatora z prośbą, abym zaraz przyszedł. Wchodzę do niego, a gubernator pyta: „Co pan Hrebnicki robił wczoraj na pożarze?” Zadziwiło mnie to pytanie i ze śmiechem odpowiedziałem: „Czyż to nie wolno bywać na nich? Nic o tem nie wiedzieliśmy i to ja jego tam posłałem, aby zobaczył, jak się tutaj straż ogniowa sprawia”. — „Wierzę”, — odpowiedział — „radziłbym wszakże, abyście unikali pożarów, bo pospółstwo jest najmocniej przekonane, że to Polacy podpalają wszędzie w Rosji miasta i gdyby nie sprawność policji, mogliby panu Hrebnickiemu narobić wiele nieprzyjemności”. Trzeba bowiem wiedzieć, że wówczas w całej Rosji były niezmiernie częste pożary, które składano na Polaków tak dalece, że gubernator pokazał mi poufne pismo ministra, aby „mieć oko na Polaków, bo oni podpalają miasta”. Gubernator dodał od siebie: „Przyznam się panu, że ja w to nie wierzę i dziwię się, że minister daje temu wiarę. Miejcie się więc na baczności”. Odtąd też, jak tylko usłyszeliśmy, że gdzieś jest pożar, to uciekaliśmy w przeciwną stronę.

Tymczasem gubernator otrzymał z Wilna tajne polecenie, aby aresztować Jeleńskiego. Wywołało to między nami wielki alarm. Jeleński został osadzony w więzieniu w oddzielnej celi. Nie wiedząc, za co go uwięziono, biegnę do gubernatora zapytać go o to i prosić, aby mu wolno było przynajmniej jedzenie posyłać, lecz i na to nie pozwolono. Wreszcie po ośmiu dniach ścisłych badań Jeleński został uwolniony. Opowiadał nam później, że afera ta wynikła wskutek następującej historii: Jeden z wilnian, aresztowany, a później uniewinniony, dzięki swej gadatliwości dostał się po raz drugi do więzienia, na badania tej sławnej drugiej komisji, której szelmowstwa odkrył Nazimow. Badany zeznał, że kiedy

jeszcze siedział u Bazyljanów, Jeleński, przechodząc raz pod strażą korytarzem obok niego, idącego również z żandar-mami, szepnął mu: „Dobrze idą sprawy. I dziesiątej części nie dowiedzieli się ode mnie”. Jeleński, choć na pół warjat, dobrze się jednak z tego wykręcił i został uwolniony.

Wkrótce potem Jeleński mocno zachorował. Nie ufając powiatowemu doktorowi, a wiedząc, że gubernator miał domowego lekarza, Francuza, prosił mnie, abym go do niego sprowadził. Znając tego dobrego Francuza, pobiegłem do niego, uprzedzając go wszakże, że Jeleński ma trochę bzika. Doktor, zbadawszy Jeleńskiego, dał mu dosyć spory słoik kalomelowych pigułek, zalecając brać ich po kilka na dzień. Fiksat ten zwołuje nazajutrz wszystkich nas kolegów do siebie, a zamknąwszy drzwi na klucz, oświadcza: „Biorę wszystkich panów na świadków, że oto pan Szumski, wspólnie z gubernatorem i jego doktorem, chcieli mnie otruć. Połową tego słoika można struć kilka osób, a oni mnie takim lekarstwem traktują. Bo trzeba, żebyście wiedzieli, że Szumski jest szpiegiem i zausznikiem gubernatora”. I począł coraz więcej podobnego rodzaju głupstw prawić. Widząc, że mamy do czynienia z formalnym warjatem, rzekłem do kolegów: „Co my tu mamy z tym fiksatem rozprawiać. Wychodźmy”. Drzwi jednak zamknięte były na klucz, a on klucza nam nie dawał, ciągle coś wygadując. Uderzywszy więc silnie nogą w drzwi, wysadziłem je i wyszedłem, a za mną wyszli i wszyscy inni pomimo oporu, jaki nam Jeleński stawiał. W kilka dni jednak zorjentował się w swoim głupstwie i ze łzami w oczach przybiegł mnie przeproszać, tem więcej, że gubernator, dowiedziawszy się o jego bziku, przysłał dwóch stróżów do pilnowania go. To go zmiękczyło. Wysocki, który go znał od dzieciństwa, dowodził, że te jego warjacje nie były wynikiem choroby, tylko nadzwyczajnej dumy i miłości własnej, nieznoszącej, aby ktoś mógł więcej znaczyć, niż on. Że zaś ja byłem dobrze widziany u gubernatora, a on nie najlepiej, stąd też cała awantura.

Wkrótce potem przejeżdżał przez Wiatkę, naznaczony do Permy Anisimow, jeden z łotrów w naszej komisji, którego szelmowstwa, wykryte przez Nazimowa, pozbawiły posady w Wilnie. Dziwna rzecz, że wszystkich tych łotrów, co nas

tak dręczyli, spotkała kara. Tak to palec Boży prędszej, czy później dotyka łotrów. Ten Anisimow w Permie z desperacji poderżnął sobie gardło; Trubecki został na wieczne czasy wypędzony ze służby*); Juferow, zięć Perrina, uległ podobnemu losowi; Warsanofjew, urzędnik z kancelarii Dołhorukiego, jeden z członków tej bezecnej komisji, zdechł na suchoty zagranicą. Kozłowski, sekretarz Dołhorukiego, który opracowywał nasze sprawy dla przedstawienia ich carowi, chociaż niezły człowiek, zakończył życie uderzony przypadkiem liną na statku parowym zagranicą; jeden tylko Anderson, radca, sekretarz tej przewielebnej komisji, nie uległ żadnemu nieszczęściu i do dziś dnia spokojnie na miejscu żyje, bo też nikogo nie gubił, nie potępiał, a kiedy mógł to ratował, dając mu znaki na migi do niezeznavania, albo uprzedzając więźniów przez krewnych i przyjaciół, co mają mówić.

Tymczasem nadeszła zima. Łukjanowicz, mój wówczas kamerdyner, wszystkim dobrze znany, począł coraz więcej pić tak, że niepodobna go było dłużej trzymać. Na naleganie więc Hrebnickiego, który go nienawidził, odprawiłem go do Mińska, skąd był rodem.

Jak już uprzednio wspomniałem, porobiłem znajomości między kupcami. Synowie ich nie nosili już bród i sarafanów, a córeczki kokoszników, ubierając się podług ostatniej mody. Rodzice ich jednak zachowali dawny ubiór i dziwny był widok, kiedy na balach, które dawał gubernator na imieniny, albo na koronację carską, sala napełniona była brodatymi kupcami w granatowych sarafanach i ich połowicami w bo-

*) Później już, w 1860 r., Haller, urzędnik Nazimowa, opowiadał mi tragiczny koniec tego łotra. Podczas krymskiej kampanji, kiedy z rozkazu cara Mikołaja formowano milicję, mianowano Trubeckiego tysiącnikiem, zdaje się włodzimierskiej milicji. Tygrys ten strasznie obchodził się z milicjantami. To też ci, gdy pokój zawarto i ich do domów rozpuszczono, pomni niegodziwego postępowania Trubeckiego, czyhali na swojego naczelnika w lasach, niedaleko Moskwy, i, wyciągnawszy go, jadącego pocztą, z koczka, tak go pięknie nahajkami obili, że go napół żywego na drodze zostawili. Kamerdyner z pocztyljonem, ułożywszy go w ekwipażu, przewieźli go do Moskwy, w której nazajutrz ducha wyzionął. W sprawie tej nie robiono nawet żadnego dochodzenia. (*Przypisek autora*).

gatyh kokosznikach i spódnicach, kapiących od złota, siedzących obok pani gubernatorowej i żon urzędników. Widok ten przedstawiał kompletną Azję, choć, jak wyżej powiedziałem, młodzież miała zupełnie europejski wygląd. Panny były pięknie wychowane, przynajmniej powierzchownie, grały, śpiewały, pięknie mówiły po francusku, zupełnie jak u nas. Młodzież co do strojów również się od naszej niczem nie różniła, a liberalne poglądy dużo miejsca w ich głowach zajmowały. Mieli oni rozległe stosunki z kupcami zagranicznymi, w Archangielsku i Astrachaniu przebywającymi. Rodziny Rypinów i Maszkowcowych prym trzymały i nieraz spędzałem w ich towarzystwie przyjemne chwile. Jeden z tych Maszkowcowych, pochodzący z kupieckiego stanu, który później został honorowym obywatelem, rozmawiając ze mną o nadzwyczajnych mrozach, panujących w Wiatce, zaprosił mnie do siebie na „Nikolski mróz”. Dzień ten obchodzony jest tam pospolicie szóstego grudnia na św. Mikołaja, kiedy mróz, jakby fetując swego cara, bywa najsilniejszy. Tego dnia miał mi pokazać osobliwość, o której pisze w swoich opisach podróży po Rosji i Syberji sławny Humboldt. Osobliwość ta na tem polega, że rtęć z płynnej staje się stałą, do tego stopnia, że można ją kuć. Miałem więc i ja przyjemność, jaką miał Humboldt, że własnymi rękami, za pomocą obcęgów, w które brałem rtęć, marznącą w parę minut po wyniesieniu na mróz, młotkiem kułem ją, jak żelazo, albo raczej jak cynę. Wniesiona wszakże do pokoju rtęć ta w jednej chwili ze stałej stawała się znów płynną.

Nim opuścę Wiatkę dla Wołogdy, dokąd mnie moja kochana córka na podaną prośbę dla połączenia się ze mną i dzielenia mojego wygnania sprowadziła, wspomnieć muszę jeden fakt, charakteryzujący gubernatora Chamutowa, w którego łaski coraz więcej się wkradałem, i który, rozmawiając ze mną często o różnych rzeczach, nieraz mi mawiał: „Czemu nie piszesz swoich pamiątek, które byłyby bardzo ciekawe, bo tyle widziałeś i tak dobrze umiesz opowiadać”.

Fakt ten był następujący. Wiatka była wówczas jakby nowonarodzoną gubernją, do której trudno było dostać urzędników na rozmaite urzędy. To też car kazał ogłosić, że idącym z własnej woli na służbę państwową do wiackiej gubernji,

dawać się będzie nietylko na koszty podróży, ale jeszcze podwójną pensję i o jedną rangę wyżej, niż w innych guberniach. Moskali nie bardzo nęciła ta odezwa, ale nasi Polacy hurmem puszczali się do Wiatki. Między innemi wyjeżdżał z Wilna do wiackiej Izby dóbr państwowych, na okręgowego naczelnika, niejaki Ledóchowski. Był on dawniej szpiegiem w Warszawie, później pierwszy faworyt Nowosilcowa i Pelikana, którzy dręczyli tak słynnie młodzież wileńską. Był on obwieszony krzyżami. Dobrze go znałem. Mając zamiar, jak mówiłem, jechać do Wiatki, był on przed wyjazdem u mojej córki i siostry, proponując im, aby napisały przez niego do mnie, co chcą, i że wszystko w sekrecie będzie mi wręczone. Siostra moja była nadto ostrożną, by mu chcieć powierzyć coś poufnego. Przyjąwszy jego oświadczenie, dała mu do mnie króciutki liścik i tegoż dnia pocztą napisała mi, że za parę tygodni wyjeżdża do Wiatki Ledóchowski, przez którego znowu liścik odbiorę. List ten, pocztą wysłany, szedł, jak wiadomo, przez ręce gubernatora, który, otrzymawszy go, wezwał mnie do siebie, pytając, kto to jest ten Ledóchowski. Opisałem mu go tak, jak był tego wart. Spytał mnie więc, czy nie przypuszczam, że siostra moja nie napisze przez niego do mnie coś takiego, coby mnie mogło skompromitować, toby go bowiem bardzo zasmuciło, bo ma dla mnie wiele przyjaźni, zwłaszcza, że słysząc ode mnie teraz o tym Ledóchowskim wiele złego, chce po jego przyjeździe przeprowadzić najściślejszą rewizję w jego papierach. Będąc pewnym, że siostra ani mnie, ani siebie nigdy nie skompromituje, upewniłem gubernatora, że niczego się nie lękam. „Więc mi pozwalasz”, — rzecze — „postąpić z nim po mojemu?” — „Rób pan co chcesz”, — odpowiedziałem.

Tymczasem nadchodził Nowy Rok, w wigilię którego, rosyjskim zwyczajem, był u gubernatora bal na spotkanie Nowego Roku. Na tym balu, jak już opisywałem, było mnóstwo bród, sarafanów i kokoszników. Siedziałem między gubernatorową a starą Maszkowcową, gawędząc w najlepsze i zapomniawszy zupełnie o Ledóchowskim. Nagle spostrzegam policmajstra Kataniego, przechodzącego szybko przez salon do drugiego pokoju, gdzie gubernator grał w karty. Ten, zerwawszy się z miejsca, wybiegł również śpiesznym

krokiem za policmajstrem. W sali zapanowało niezmierne zdziwienie. Gubernatorowa, przerażona, pyta mnie: „Ach, co to? Czy nie pożar gdzie znowu?” — tak wszyscy mieli głowy nabite obawą o pożary. Po półgodzinnej niepewności gubernator wrócił sam, a przechodząc koło mnie szepnął mi z uśmiechem: „Proszę na słówko”. Poszedłem więc za nim do gabinetu, a on, trzymając list w ręku, rzekł: „Córka i siostra tym oto listem winszują panu Nowego Roku. Pozwól i mnie swoje życzenia przyłączyć”, i uściśnął mnie. Na zapytania moje, skąd ten list, odrzekł mi: „Pan Ledóchowski go panu przywiózł”. I tu począł tak się śmiać, że sądziłem, że zwarzował. Na powtórne moje pytanie, co to miało znaczyć, odpowiedział: „Chciałem zemścić się nad tym łotrem za was, Polaków, którym te czynownicy nasze tyle złego robią. Wiedząc z onegdajszego listu pańskiej siostry, że on do pana będzie miał list, i pilnując się danej mi instrukcji, aby wygnańcy inaczej nie korespondowali, jak za mojem pośrednictwem, rozkazałem poufnie policmajstrowi, aby go pilnowano na rogatce i aby go stamtąd wprost do mnie dostawiono. Już przedtem ułożyłem sobie plan postępowania, żeby go porządnie namęczyć, zwłaszcza, że według pańskiego zapewnienia byłem pewny, że list, który wiezie, nie skompromituje pana. A chciałem go pomęczyć, bo mówiłeś mi, że to porządny łotr, który tak dręczył biednych studentów w Wilnie. To też trzeba było widzieć komedję, jaką z nim odegrałem, i wściekłość jego, kiedy, odebrawszy od niego list, kazałem rewidować jego rzeczy”. Opowiedział mi dalej, że kiedy w rzeczach nic nie znaleziono, kazał szukać w skrzyniach, a wreszcie rozebrano go do koszuli, zdjęto buty i popruto suknie, wszystko w obecności gubernatora, który pastwił się nad nim. Ledóchowski robił mu najsroższe wymówki, że śmie posądzać zasłużonego, orderami okrytego urzędnika, który sam, będąc przy Pelikanie i Nowosilcowie, tak samo rewidował akademików. Gubernator mu na to odpowiedział: „A więc to chleb oddany: co pan komuś, to teraz panu”. Wściekał się Ledóchowski i odgrażał, że będzie się skarżyć do ministra. „Skarż”, — odpowiedział gubernator — „ja spełniam swój obowiązek. Szumski znajduje się pod najsurowszym dozorem i ja muszę pilnować, aby on nie

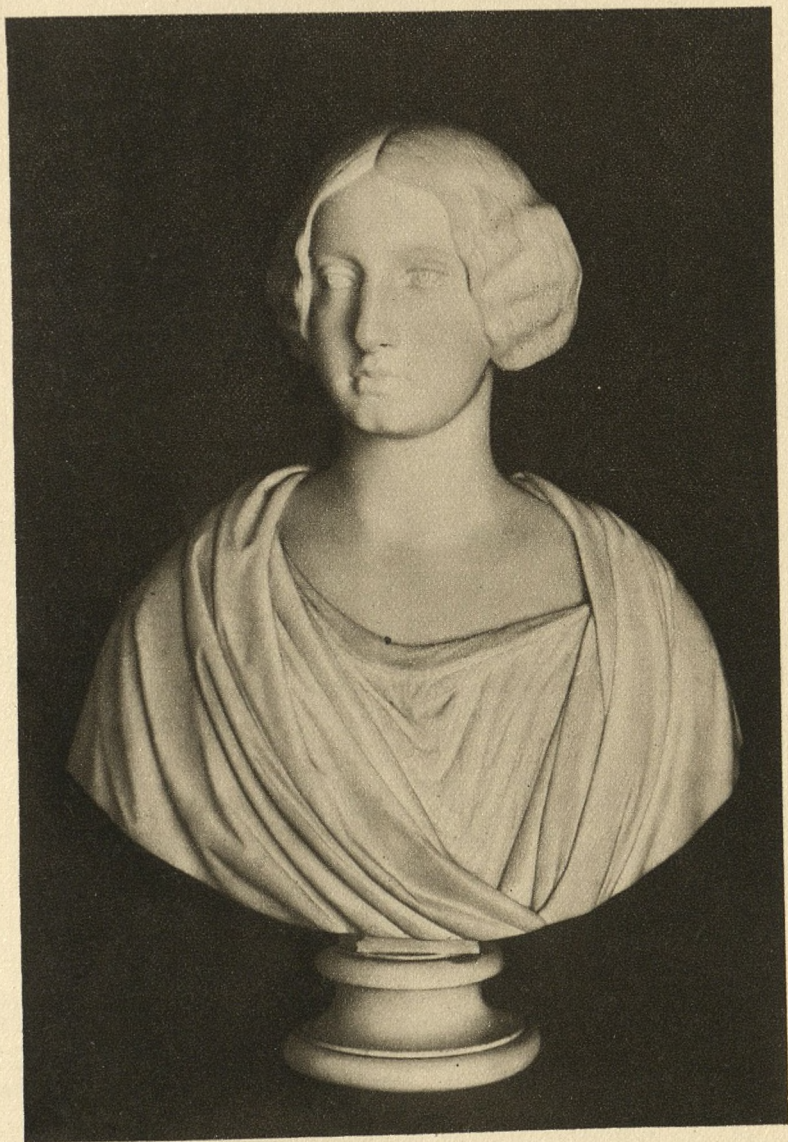
miał z nikim komunikacji, a tu z listu, wysłanego do niego pocztą, dowiaduję się, że będą do niego pisać przez pana. Jakże nie mam mieć podejrzenia? I dziwna rzecz, że pan, urzędnik, obznajmiony z podobnemi rzeczami, przyjąłeś na siebie obowiązek przewożenia potajemnie listów. To ja pana skarżyć będę”.

Po opowiedzeniu mi całej tej historii, gubernator mnie pyta: „Jak uważasz? Czy nie tego zemściłem się nad tym łotrem, któremu podobni dręczą waszą nieszczęśliwą Polskę? Opowie on to niejednemu z podobnych sobie i może nie dla jednego będzie to dobrą nauczka”. Podziękowałem gubernatorowi za tę jego dla mnie przychylność.

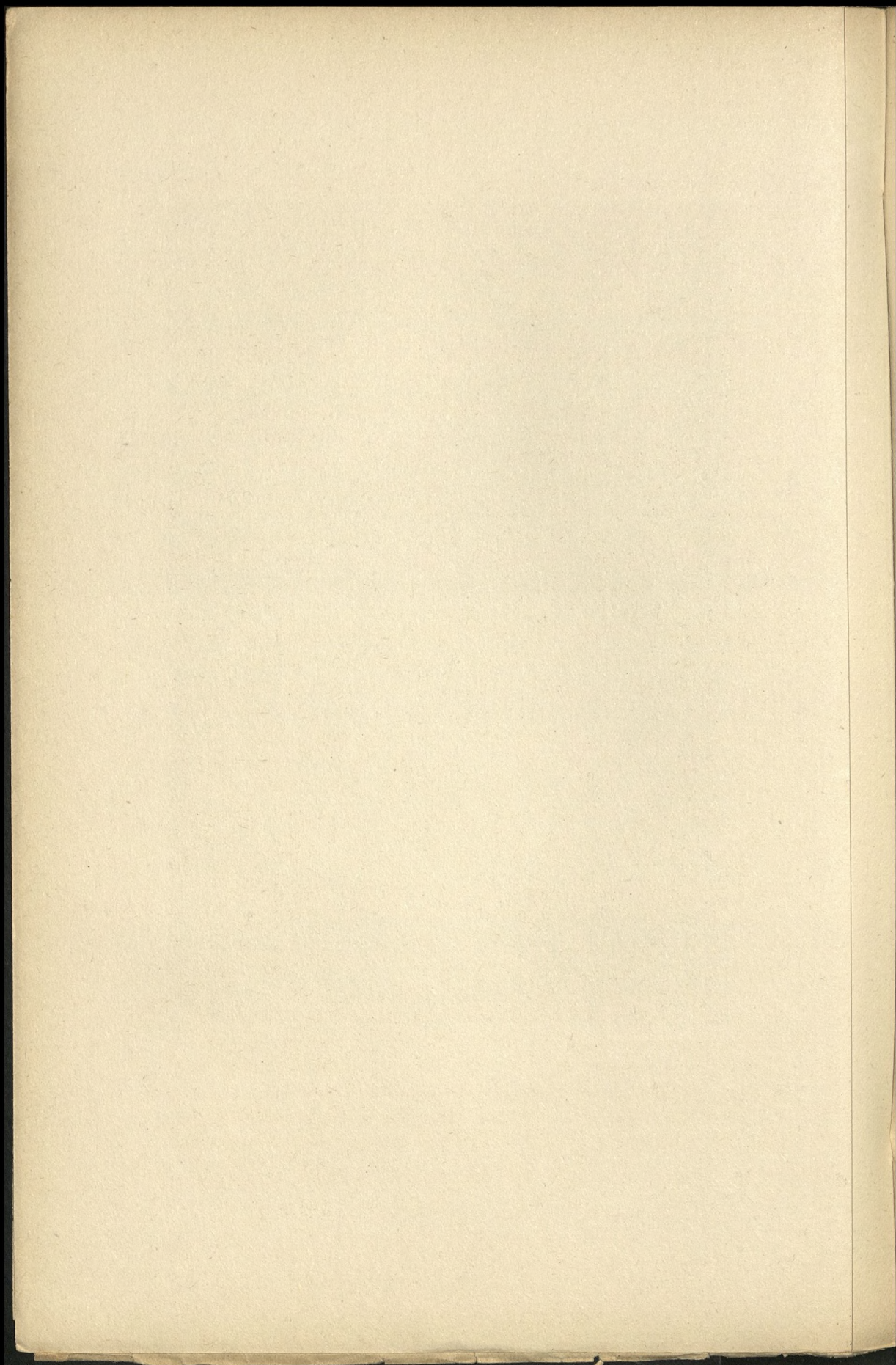
Nazajutrz Ledóchowski, przed którym udawałem, że nic nie wiem, przyszedł do mnie w furji, ubolewając nad nami, że jesteśmy w szponach takiego tygrysa, który musi nam okropnie dokuczać, jeżeli nie darował tak wiernemu urzędnikowi, jak on. Współczułem mu niby bardzo, a w duchu byłem rad, że tego łotra tak przywitano.

Wkrótce potem gubernator został wezwany do stolicy, gdzie obiecał mi swoją protekcję, najlepiej mnie przedstawiając, i prawdziwie ze łzami w oczach pożegnaliśmy się na wieczne pono niewidzenie się, bo mnie w dniu 6 marca 1840 r. za imiennym rozkazem, po podanej przez córkę moją prośbie, kazano przenieść do Wołogdy, dokąd niebardzo chciałem jechać, zżywwszy się, jak mówią, z mieszkańcami Wiatki i kolegami, którzy, nie chwaląc się, bardzo mię lubili, i na dowód tego, w dzień mojego wyjazdu, zebrani u mnie, kazali przynieść parę butelek wina, i zdrowie moje pili z kubka, umyślnie na to zrobionego, z nadpisem: „Stanisławowi Szumskiemu, rodacy, współtowarzysze niedoli, ofiarowali w Wiatce roku 1840”. Miłą tą pamiątkę chowam dotąd.

Córka zaś moja, biedna prawdziwie sierota, bo ciotkę swą, a mą siostrę straciła, nie chcąc cudzych kątów wycierać, lubo wielu krewnych do siebie ją wziąć chciało, wołała dzielić los ojca, choć wygnańca. I tak wkrótce po mojem do Wołogdy przybyciu 20 sierpnia, z bratem moim i dwiema służącemi kobietami anioł ten pocieszyciel przybył dzielić los mój do powrotu naszego do Wilna.



MARYLA SZUMSKA



Jeszcze nieco o Wołogdzie pomówię. Wołogda, miejscina o czternastu tysiącach mieszkańców, posiada kilkaset domów, przeważnie drewnianych, ale pięknie zabudowanych i mających każdy mniejsze lub większe ogródki, w których prócz brzoź, czeremchy, cedrów północnych, sosen i jodeł nic więcej nie rośnie. Tam to z zadziwieniem widzieliśmy napiekniejsze jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, a nawet i laskowe nasze orzechy, ale wszystko w ogromnie długich oranżeryjach na ten cel zbudowanych, bo klimat tamtejszy, nawet wiśni i orzechów laskowych nie wydaje. Towarzystwo wszakże lepsze, niż w Wiatce, bo Wołogda zaludniona jest przez szlachtę arystokratyczną i familje te połączone są z najpierwszemi rosyjskimi rodzinami. Dla mojej córki przyjemniej też było, niż w Wiatce. Dużo porobiła znajomości, które nawet z nią do ostatnich czasów korespondowały, bo też i tam, jak wszędzie, gdzie się tylko pokazała, była kochaną. Wołogda sławna jest z filigranowych robót srebrnych; na pamiątkę przybycia mojej córki taką tabliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej i z datą dnia jej przybycia kazałem zrobić.

W Wołogdzie mało zastałem kolegów, bo Romerów — Edwarda i Seweryna — i Kończę, po podaniu prośby przez moją córkę, aby mnie tam przeniesiono, wysłano do Wielkiego Ustiuga, o pięćset wiorst na północ pod Archangielsk, jedynie dlatego, byśmy, z jednego towarzystwa będący, nowych nie knowali rzeczy. Z Konarskiego wszakże sprawy był pińczuk Korzeniowski z żoną, dr. Mackiewicz i Młodecki, bankier odeski, bardzo zacny człowiek. Mackiewicz, młody doktor, był bardzo wzięty, bo kacapki lubią pięknych chłopców, a on nim był. To też dobrze mu się tam działo i dzieje, bo do dziś dnia, lubo już zwolniony, nie wraca i kiedym go nieraz stąd pisać, za to łajał, on mi odpisywał: „Wolę ja moją Wołogdę, bo tu i myśleć i gadać wolno, i wiem pewno, że dziś położywszy się spać w Wołogdzie, jutro w niej wstanę, a ty, mój kochany, nie jesteś pewny ani dnia, ani godziny”. Jakby przepowiedział, bo realnie już, zdaje się, spokojnie siedziałem, gdy do nowej komisji z łaski Reniera pociągnięty znowu zostałem; lecz o tem w swoim miejscu.

Prawda, że w Wołogdzie nietylko myśleć, ale i gadać dowoli mogliśmy z kacapami, liberalizującymi, jak zwyczajnie

wszyscy Moskale, na wszystkie strony, a oświeceni nieraz przez nas co do niesprawiedliwości prześladowczego narzucanego nam rządu i bezecnych nasyłanych nam urzędników, często mawiali: „Cesarz źle robi, że panów do nas na wygnanie wysyła, bo panowie nam oczy otwieracie, oświecając nas w wielu rzeczach, i można powiedzieć, że jesteście apostołami, światło przynoszącymi”.

Jak Wiatce, tak i w Wołodzie miałem mego kucharza, a że samemu, nim moja Maryla nadjechała, nudno było jeść, więc raz na zawsze Mackiewicz był moim stołownikiem.

Opisując Wołodę, muszę zrobić wzmiankę o towarzystwie tego miasta i o edukacji mieszkańców Rosji, adorujących wprzód cara, a potem Boga. Śmiało to mówię, na następnych fundując się faktach. I tak w Wołodzie ten, co ma sto dusz, żyje tak, jak u nas ten, co ma ich parę tysięcy. Meble najpyszniejsze na sprężynach, kuszetki, stołki, wszystko z rzeźbą najpiękniejszą; ściany tapetami pięknymi okryte, do tego odpowiednie firanki, dywany, posadzki wysadzane, jednym słowem, nie tylko elegancko, ale ze zbytkiem nawet przybrane salony; dodać do tego kucharzów wyśmienitych, a na wieczornych zebraniach dobrą herbatę, mnóstwo konfitur, wieczorem zaś kolacje niemniej pyszne na trzydzieście lub czterdzieście osób — i to wszystko na stu duszach? — powie ktoś. Tak, odpowiem, bo prócz tych stu dusz, są intraty z urzędów, to sowietnikowstwa Rządu Gubernjalnego, to Izby Skarbowej, to sprawnikowstwa, to prokuratura i t. p. Tam urzędy te piastują tamtejsi obywatele, którzy pomimo tego jednak łupią porządnie swoich i nie mogą inaczej robić, żyjąc nad stan, przy dziatkach, których niemało w każdym domu. A gdy zapytał niejednego, co dzieciom zostawi, tak żyjąc, dobrodusznie mi odpowiedział: „Czy pan sądzisz, że ja co wziąłem po rodzicach? Nie. Nic i ja moim nie zostawię dzieciom. Cesarz o nich będzie miał staranie. Chłopców oddam do korpusu, dziewczęta czy do Smolnego monasteru, czy do innego instytutu, skąd zamaż ich wydadzą, a chłopcy, jak wyjdą w oficerzy, to i chleba dosyć mieć będą”.

Lecz czego ich uczą po tych instytucjach? Oto adorować cara, carycę i książąt. Jakoż nieraz mi się zdarzyło słyszeć niejedną z dam już z zamężnych, wyszłych z takiego

instytutu, wybierając się do Petersburga, a na zapytanie moje poco jedzie, „Widzieć cara i rodzinę carską”, odpowiadała, a po kilkotygodniowym pobycie, o niczem nie mówią, jak o tych bogach; i nieraz słyszałem, jak jedna przed drugą wychwalała się temi słowy: Ach, duszeńka, jak jestem szczęśliwa! Widziałam cara, carową spotkałam!” — „Gdzie?” — pytają — na wybrzeżach, czy też w Carskiem Siole?” — „Gadałyście panie z nią czy z nim?” — pytam? — „Co za idea, — odpowiadają — „dosyć że go widziałam”. A więc jadą na kilka tygodni, nie aby widzieć rodzinę, znajomych, lecz cara lub carycę, tych ziemskich bogów, którzy na egzaminach, lub odwiedzając pensjonaty i instytuty, młodzież karesują, po puckach klepią i zostawiają jej wieczną pamiątkę tych faworów, do których instytutorowie i instytutorki ich sposobią.

Na dowód tej szczególniejszej miłości dla cara zacytuję jedną moją rozmowę z kilkunastu damami z powodu oczekiwanego do Wołogdy przybycia pani Olizarowej, dziś Pisankowej. Dama ta miała bliskie stosunki z Konarskim i miała być wysłaną do Wołogdy, o czem kilku miesiącami wprzód, jak jest we zwyczaju, zawiadamia się urzędownie gubernatora. Znajdował się podówczas w Wołogdzie dymisjonowany generał Kawregin, który był w 1831 roku komendantem Żytomierza, z którego więzień pani Olizarowa potrafiła mężowi dopomóc do ucieczki, która tak się pięknie udała, że Narcyz Olizar, mąż jej, do dziś dnia siedzi spokojnie w Paryżu. Trzeba wiedzieć, że ucieczka ta skuteczną została w wigilję wysłania go na wieczne czasy do katorgi. Ten Kawregin, będąc komendantem, znał całą historję tej ucieczki i rozpowiadał ją po Wołogdzie, pytając, czy to nie ta sama Olizarowa. Nikt nie mógł zaspokoić ich ciekawości. Dopiero, kiedy ja wszedłem, hurmem kilkanaście głosów zapytało mnie: „Ach! Panie Szumski, powiedz nam, czy hrabina Olizar, którą tu czekają, jest ta sama, która mężowi ułatwiła ucieczkę z więzienia w Żytomierzu?” — „Ta sama”, odpowiedziałem: „to ona ten piękny czyn spełniła”. — „Ale jak ona śmiała to zrobić?” zapytano razem. „Bo chciała” — odrzekłem — „oswobodzić męża od katorgi, na którą był skazany”. — „To dobrze”, — odpowiedziano mi — „ale jak ona śmiała tak postąpić przeciw woli

cara". — „Ależ to był jej mąż”, odrzekłem, a odwracając się do jednej z najzawziętszych za ten szlachetny postępek Ołizarowej, zapytałem: „Czy pani, co ledwo od roku jesteś zamężną i co tak kochasz swego męża, czy panibys tego nie zrobiła, gdyby nieszczęsny los go w takiej postawił pozycji?” „Tak”, odpowiedziała: „ale nigdybym się nie odważyła działać przeciw woli cesarskiej; bo uważaj tylko pan, ona mu więcej zaszkodziła, niż pomogła”. — „Jakto?” zapytałem — czyż miljonowej męża fortuny skarb nie zabrał?” — „Gdyby ona tego głupstwa nie robiła, majątekby jej zostawiono i ona mogłaby mężowi dosyłać w katordze pieniądze”. — „Ot! patrz pan, i ja mam tam kuzyna”, a druga rzecz: „Mam brata na Syberji”, inna znowu: „Ja mam dwóch krewnych tamże i cóż? majątków nie skonfiskowano, my im posyłamy pieniądze i oni tam wesoło żyją”. Oburzyłem się na takie rozumowanie, nie mogąc pojąć tych zimnych dusz, adorujących cara do tego stopnia, że przeciwko woli jego nic działać nie śmieją, i przekładających majątek i pieniądze nad swobodę. Ale cóż tłumaczyć narodowi jeszcze tak ciemnemu, który dwóch tylko zna bogów: cara i pieniądze. Nie żałowałem wprowadzić mojej wymowy, chcąc ich przekonać. Prawda, odpowiadały, z dodatkiem wszakże: „Ale zawsze źle zrobiła”. Zostawiłem więc to bytło w jego fałszywym mniemaniu.

Gubernatorem w Wołodzie był wprzód Bałchowski, bardzo dobry i grzeczny człowiek, którego wkrótce po mojem przybyciu zastąpił niejaki Walchowski, Małorusin, pocziwy, ale niemający ani manier światowych, ani nic takiego, coby charakteryzowało człowieka na takim stopniu, wyszedł bowiem na tę godność stopniami z niskiego kancelisty. Żonę miał von der Hutten, wnuczkę jakiegoś tam ich kiedyś admirała; była to śliczna i zacna kobieta, dla której towarzystwo córki mojej bardzo było miłym, to też, prócz wieczorów, co niedziela dla wszystkich dawanych, bywaliśmy u niej dosyć często i w inne dni. Listy do mnie i ode mnie pisane, zawsze, jak wiadomo, przez ręce gubernatora się posyłały. A że moja córka miała prawo *directe* swoje pisywać i odbierać, więc postanowiłem pisywać w imieniu mojej córki, lubo sam pisywałem, do kogo znajdowałem potrzebę, a podobnież i do mnie odpisywano, kładąc tylko adres mojej córki i inty-

tulację zwyczajną: „Wielmożna Mościa Dobrodziko”, lub „Łaskawa Pani”.

Jak wszędzie, tak i w Wołogdzie, kochane to dziecko miłość wszystkich sobie zjednało, i nie mogę tu zamilczeć jednego pociesznego wydarzenia. Wiadomo, a może niewiadomo każdemu, że u Moskala serce i uczucia nic nie mówią, i że wszystko na rachubie u nich jest wyrezonowaniem, i tak się zawierają najważniejsze nawet akta życia, jak np. małżeństwa, a to tym sposobem: Widzi ktoś, panna czy kawaler, w kościele czy na spacerze, osobę, która się jednej z tych stron podoba, posyła więc do tej osoby targówkę (rodzaj naszych faktorek), która jak to było ze mną, przychodzi, mówiąc: „Macie piękną córkę, mam ślicznego młodego kawalera, który posiada w majątku sto lub dwieście „dusz”, a jaki dajecie posag córce?” Po tej przemowie mówi, że tego lub takiego dnia, w tej lub owej cerkwi, w takim i takim miejscu, będzie ten kawaler, w takim a takim odzieniu, z kwiatkiem lub chustką w rękę, i że jeśli się podoba, to on przyjdzie zawrzeć znajomość. Można sobie wystawić moją złość, gdy usłyszałem propozycję takiego barbarzyńskiego targu, to też przepędziłem targówkę, nie pytając nawet o nazwisko pretendenta, czego później niezmiernie żałowałem, jedynie przez ciekawość wiedzenia, kto był tak zacnym pretendentem.

I tu, jak w Wiatce, raz na rok, około Wielkiejnocy, przyjeżdżał nasz kapelan, którego z równą niecierpliwością, również strojąc naszą kaplicę, oczekiwaliśmy. Ale ponieważ obszerniej o tem, o Wiatce mówiąc, pisałem, więc na tem tu skończę. Muszę wszakże wspomnieć o pogrzebach, jakich się trzy przytrafiło w Wołogdzie; a mianowicie panny służącej u Korzeniowskiej i dwóch oficerów Polaków, służących w garnizonie. Księdza, jak wiadomo, niema, a więc pop ruski za kilkorublową opłatą przyjmował ciało do cerkwi, stawiał, jak u nas, na katafalku i swoje modlitwy odprawiał, poczem za opłatą dziesięciu kopiejek srebrem, czytał nieboszczykowi paszport drukowany do św. Piotra, aby go „przepuścił do wiecznego mieszkania wybranych”. Prawosławnym paszport taki daje się do ręki i z nim do ziemi idzie, a naszym katolikom tylko się czyta. Potem tak jak i u nas, pop z djakami

na czele idzie śpiewając, a trumnę niosą żołnierze polscy z 1831 r. po garnizonach ruskich rozproszeni, a my za trumną, aż do cmentarza rosyjskiego, na którym też grzebią i naszych. Kilku już takich na tym cmentarzu znaleźliśmy rodaków, którym po nich pozostali skromne stawili pomniczki, a między innemi niejaki Korolków, ojca i syna, obu z 1831 r. zesłanych i tam pochowanych.

O tych Korolkach muszę wspomnieć zabawny fakt, dowodzący nieładu naszego rządu. Biedacy ci z obwodu białostockiego długi czas na różne strony szturmowali bezskutecznie, prosząc o uwolnienie, aż nareszcie, za naszej w Wołogdzie bytności w 1841 r., przybiega do mnie policmajster od gubernatora z zapytaniem, czybym ja, jako wszystko wiedzący, nie wiedział czego o tych Korolkach, dla których właśnie tylko co przyszło było uwolnienie, lubo oni od czterech lat już nie żyli. Nie można było winić gubernatora i policmajstra (w wielkim wszakże ambarasie będących, gdzie ich znaleźć), bo od ich śmierci inny gubernator i inny policmajster nastał i nigdzie w swoich archiwach śladu o nich powziąć nie mogli. Na to policmajstra zapytanie, do rozpuku śmiejąc się, odpowiedziałem, że nie potrzebują oni tego *ułaskawienia*, bo ich Pan Bóg od lat kilku *ułaskawił*. Zdziwiony policmajster odraportował to gubernatorowi, który niedowierzając, sprowadził mnie do siebie, żądając na to dowodów, co też i spełniłem, pojechawszy z nim na cmentarz, na którym postawione były dwa skromne z nadpisami nagrobki. Można z tego miarkować, jak los niewinnych ofiar polskich interesuje przebrzydłe to kacapstwo i ich przekłętogo cara, kiedy w cztery lata po śmierci przysła dla nich *ułaskawienie*. Nie jest to istne naigrzanie się z ludzi i Boga? Ale Bóg z nimi, bobym nigdy nie skończył opisywać ten bezecny bezrząd, gdybym chciał dać wolę mojemu pióru.

Nim wszakże opuszczę Wołogdę, jeszcze kilka słów o niej. Przybywszy do tego miasta, zastałem tam biskupa Inocentego, jedną, jak mówiono, z najtęższych głów rosyjskich, po Filarecie, metropolicie moskiewskim, prym biorącą. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że był to człowiek z potężnym rozumem i z dobrem sercem. Długi czas bawił w Żytomierzu, i tam, jako sam literat, nawiązał przyjaźń z Gra-

bowskim, Kraszewskim, Hołowińskim i Rzewuskim, z którymi był w korespondencji literackiej, a którą mi nieraz pokazywał. Lubił bardzo Polaków i wszystkie najnowsze książki polskie od korespondentów swoich odbierał, najzdrowiej decydując o płodach naszej literatury. Kazania jego przecudne bywały i nigdy inaczej nie mawiał, jak odczytawszy Ewangelię, z pamięci improwizował, stylem pełnym poezji. Uprzednio będący w Wołogdzie towarzysze moi bywali u niego, a pozostali, jak Mackiewicz i Korzeniowski, radzili i mnie u niego bywać, przestrzegając, że zwyczajem rosyjskiem w łapę go całować trzeba. Oburzyłem się na tę myśl i nie bywałem długi czas u niego. Pewnego wszakże dnia zaproszony byłem na wieczór imieninowy do generała Samaryna, u którego spotkałem się po raz pierwszy z tym biskupem, czyli archirejem. Krzyż legji honorowej zwrócił uwagę jego na mnie, a po zapytaniu u gospodarza, kto jestem, długo we mnie się wpatrywał. Wzrok zaś miał łagodny, ale tak dziwny, że zdaje się w głębi duszy czytał. A że był to zręczny człowiek, wszczął mowy o Napoleonie, wychwalając jego wielki genjusz. Gubernator obecny na tym wieczorze, a prawdziwy stupajka moskiewski, choć z niezłem wcale sercem, począł ganić tego wielkiego człowieka po moskiewsku, jak zwykle głupstwa na oczernienie jego gadając i dowodząc, że on Polaków „zbuntował przeciw carowi”. „Przyznasz, Ekscelencjo, że każdemu narodowi miła jest wolność, Polacy byli niegdyś wolnymi, dlaczego więc i teraz takimi byćby nie pragnęli”. Podobła mi się ta jego mowa i nabierając do niego sympatji, siedząc obok pewnego młodego Rosjanina, z rozjaśnioną twarzą rzekłem do niego: „Oto rozsądny człowiek!” Wyczytał, widocznie, Inocenty z moich oczu zadowolenie, bo po chwili, kiedy wszyscy wstali, udając się do drugiego pokoju na konfitury i frukta zastawione, podszedł do mnie, a admirując instytucję krzyża legji, spytał czy dawno jestem w Wołogdzie i jak się to dzieje, żem się z nim dotąd nie poznał, dodając: „Przyjdź pan do mnie, rad-bym się do pana zbliżyć”.

Nabierając, jak mówiłem, do niego sympatji, skłoniłem się grzecznie, obiecując poprawę, z mocnem wszakże postanowieniem niecałowania go w łapę. Jakoż nazajutrz poszedłem do niego, a zaanonsowanego mnie przez służącego w ten

moment wprowadzono do gabinetu, w którym zastałem go nad polskimi książkami. Uprzejmie mnie przyjął, a widząc, że zdaleka mu się kłaniam i nie idę do łapy, wyciągnął mi ją, podając nie do pocałowania, ale do przywitania się, jak zwyczajnie. Usiedliśmy więc i wraz nastąpiła rozmowa o literaturze polskiej, przyczem pod niebiosą wynosił Mickiewicza i innych, i spytał czy znam „Dziadów” księgę zakazaną. Rozumie się, że *negative* odpowiedziałem, na co on: „To niemożliwie! Pan się tylko nie chce przyznać wobec Rosjanina; ale to niesłusznie — nie skompromituję pana.” Wziąłem więc od niego tę część „Dziadów” i wiele innych książek polskich, a za to dawałem mu „Tygodnik Petersburski”, dla części literackiej, o której zdrowo bardzo sądził, zbijając nieraz zdania recenzentów. Tak, zapoznawszy się z nim, bywałem u niego często, zawsze interesujące prowadząc rozmowy o literaturze, o polityce, o przeszłych rzeczach; i nieraz mi mawiał: „Szkoda, że pan nie pisze swoich pamiętników”.

Raz wszakże wpadliśmy na materję religijną, w której zaczął mi dowodzić lepszość ich wiary, ofiarował mi przytem dziełko, pisane pono przez metropolitę Filareta, a przez niego na język polski przetłumaczone i jegoż kosztem do druku podane, pod tytułem: „Zapytania i odpowiedzi, wierzącego i niewierzącego”. Wierzący miał być ich wiary, a niewierzący naszej. Dziełko to, wróciwszy z Wołogdy, oddałem księdzu Dębińskiemu dla odpowiedzenia i sprostowania fałszów w niem wyrażonych. Co z nim zrobił ks. Dębiński, nie wiem. Dziełko to wziąwszy, obiecałem po kilku dniach zdać sprawę Inocentemu i moje o niem zdanie; lecz jakże się zdziwiłem, widząc najoczywistsze fałsze przeciw naszej wierze, ale tak słabo ją atakujące, a przeciwnie tak mocno ją broniące odpowiedzi niewiernego czyli katolika, że m posądził Inocentego o większą przychylność do katolicyzmu, niż do prawosławia; a że niebardzo byłem pewny moich wiadomości religijnych, udałem się do „Historji Kościoła” Kocha, którą właśnie miałem z sobą, a zasięgając w niej pomocy, na marginesach tego dziełka z niej porobiłem wyjątki, podające nietylko najwyższe fałsze, ale nawet zupełnie przeciwne daty i fakty historyczne, i z tem poszedłem do Inocentego, oświadczając moje zdanie. Zadziwił się nad

tą moją znajomością historii świętej i nad moją erudycją (czerpaną od Kocha), a widząc że nie zdoła ze mnie zrobić prawosławnego, rzekł: „Widzę, że my w tej sprawie nigdy nie dojdziemy do porozumienia, lepiej więc nie mówmy o tem. Niech pan pozostanie przy swoim zdaniu, a ja przy swoim”. I odtąd nigdy już więcej ze mną nie miał religijnych kontrowersyj. Zadziwiła mnie taka powolność w odstąpieniu od swego zdania.

Dziwny był to człowiek; posiadał język francuski, angielski, polski, niemiecki. Żadnym wszakże nie mówił jak rosyjskim, mnie zaś, źle po rosyjsku tłumaczącemu się, pozwalał mówić po polsku lub po francusku i trafnie na wszystko swoim odpowiadał językiem, jak również trafnie rezonował o tych dwóch literaturach.

Bywały też u niego co piątek wieczory literackie, na których bywali gubernator, prefekt szkoły wołogodzkiej Baczyński, rozumny człowiek, i wielu innych obywateli. Wieczory te zaczynały się o siódmej wieczór, a kończyły o dziewiątej. Na nich czytano rozmaite, albo rosyjskie rzeczy, albo tłumaczenia z innych języków, a w ciągu czytania dawano herbatę, konfitury i frukta, przerywając wówczas czytanie rozmową i zdaniami o tem, co się czytało. Wierny co piątek byłem tym wieczorom. Razu wszakże jednego, z powodu niezdrowia mojej Maryli po ósmej coś przyszedłszy, zastałem już wszystkich *en cercle* siedzących. Skoro mnie archirej spostrzegł: „Ach! Pan się dziś spóźnił!” — rzekł, podchodząc do mnie i wyciągając, jak zawsze, rękę: „Siadaj pan, siadaj, dajcie krzesło”. Przyniesiono stołek, a nie chcąc łamać tego imponującego koła, przysiadłem w drugim rzędzie z tyłu za gubernatorem, obok marszałka gubernjalnego Brenczaninowa. Gubernator skandalizowany widocznie mojem *sans façon* z archirejem przywitaniem, począł mi zcicha robić wymówki, dlaczego mu ręki nie pocałowałem. „Bo to nie jest naszym zwyczajem”, odpowiedziałem: „tem bardziej, że nie tej jestem religji”. Niekontent wszakże gubernator jeszcze swoje przedłużał remonstracje, gdy wszyscy się poruszyli do wyjścia. Ja, rozgniewany na gubernatora za tę jego nade mną guwernerję, *incognito* wymknąłem się, lecz ledwo za próg nogi postawiłem, Inocenty, który jak mówiłem, niezmiernie

bystry miał wzrok, spostrzegłszy widocznie, że gubernator robi mi wymówki, zatrzymał wszystkich, mówiąc: „Wiecie co, panowie, ja bardzo poważam i lubię pana Szumskiego, a to tem bardziej, że nie całuje mnie w rękę, gdyż u nich tego niema w zwyczaju!” Zadziwił tą mową wszystkich, a mianowicie: Nagła, prezesa sądu, Ludego, jego pomocnika, i kilku innych protestantów, łapę jego cmokających, którzy mnie to potem opowiadali, dodając, że z wielu innemi pochwałami nade mną się biskup unosił.

W niedzielę jak zwykle bywały wieczory u gubernatorstwa. Wchodzimy z moją córką, aż gubernatorowa powiada mi: „Co za szczęśliwy z pana człowiek. Wszak to nasz św. biskup Inocenty bardzo pana lubi i wielkie pochwały panu daje, znajdując dobrem to, że nie całujesz go w rękę. Ale cóż pan powiesz, że ja protestantka, a jednak to robię”. Zamilkłem, zrobiwszy gest, że nie mam nic do odpowiedzenia. A ona rzekła: „Tak, ale ja nie mogę inaczej robić, bo moje dzieci są wyznania greckiego i kiedy ja im nie dam dobrego przykładu, to one gotowe mi powiedzieć: Dlaczego, mamusi, nie całujesz biskupa w rękę?” — „Masz pani rację” — rzekłem. Nie koniec wszakże na tem przyjaznych moich stosunków z archirejem, bo w parę miesięcy po tej scenie awansowano go na arcybiskupa do Charkowa. Obywatele Wołody, niezmiernie go żałując, zrobili składkę na pożegnalny dla niego obiad, który dano w domu „Zgromadzenia szlacheckiego”, a że i ja znałem osobiście biskupa i uczęszczałem do jego domu, wezwano więc i mnie do tej składki po dziesięć rubli asygnacyjnych wynoszącej. Po sutym i wykwinnym obiedzie uderzono we wszystkie dzwony całego miasta, w którem jest coś około czterdziestu cerkwi, bo już ekipaże jego zaszły i prosto z obiadu do miejsca przeznaczenia miał się udać. Przyniesiono mu więc rizę, czyli kapę bogatą, pastorał i krzyż, a przybrany w te insygnja, pięknie przemówił do zgromadzenia, żegnając nas; poczem z pastorałem w jednym ręku, a krzyżem w drugim, poczynając od gubernatora, zkolei każdemu dawał wprzód rękę a potem krzyż do pocałowania. A gdy przyszła na mnie kolej, stanął przede mną, rozkładając ręce i mówiąc: „*Wielikaja sud'ba Bożja*. Bóg raczy wiedzieć, panie Szumski, (tak mnie zawsze nazy-

wał) czy się kiedykolwiek zobaczymy; góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może, pragnąłbym się z panem spotkać, lecz nie w takiej jak obecna sytuacji; pozwól się pan pożegnać”, tu mi brodą swoją trzy razy twarz wypendzlował, dając mi trzy pocałunki w policzek, poczem przeżegnawszy krzyżem, dał mi go do pocałowania. Trzeba było widzieć zdziwienie tego wszystkiego kacapstwa na widok tych uściśnień przyjacielskich ich biskupa, i długo nie mogli zapomnieć tego szczególnego okazanego mi faworu. Że nic tu nie dodaję, na to wzywam świadectwa obecnych kolegów. A że zacny ten arcybiskup i w Charkowie o mnie pamiętał, dowodem tego następne zdarzenia.

Po powrocie moim z Wołogdy Siemionow, gubernator wileński, wielki głupiec, zgóry mię zawsze traktował i ja też, wzajemnością mu się wypłacając, wcale o niego nie dbałem. Pewnego dnia, dowiedziawszy się, że Dołhorukowowa, z domu Wawrzecka, przyjechała do Wilna dla widzenia się z familją, poszedłem do niej, dobrze ją znając i w jakimś tam powinowactwie z Wawrzeckimi będąc. Czule mię bardzo przyjęła i ledwośmy zasiedli do gawędy, anonsują Siemionowa, który przychodził zdać jej raport, że już sprawnik pojechał przygotować dla niej konie na drodze, którą miała jechać w Wileńskie do krewnych. „Dziękuję”, sucho odpowiedziała, a pokazawszy mu stołek, do mnie się zwróciła, biorąc za rękę, i mówiąc: „Jakże rada jestem pana widzieć. Dużo nas leż kosztowałeś. Ale nie wiesz może, że codzień o panu w Charkowie mówimy z wielkim pana przyjacielem, arcybiskupem Inocentym”. — „Jakto?” — wykrzyknął ten głupiec Siemionow, gorliwy rozkrzewiciel wiary, ani prawej, ani sławnej: „Jakto? Pan znasz się dobrze z arcybiskupem tak słynnym. Winszuję panu tak wielkiego szczęścia”. — „Znam go i bardzo dobrze” — odrzekłem. A Dołhorukowowa dodała: „Są nawet w wielkiej przyjaźni”. Chciałbym żeby kto mógł widzieć wówczas głupią naszego Siemionowa postać, podwójnym głupstwem odznaczającą się z zadziwienia, że jakiś tam *miatieżnik* Szumski może być w przyjaźni z człowiekiem, nie mogę powiedzieć europejskim, ale rosyjskim, bo któż w Rosji nie słyszał o Inocentym? To też odtąd Siemionow z inną zupełnie grzecznością był dla mnie.

V.

Czas wszakże porzucić Wołogdę, którą pożegnawszy najczulej za wszystkie w niej doświadczone grzeczności, dni pierwszych sierpnia 1842 r. z córką moją opuściliśmy nibyto na sześć miesięcy. Mówię — niby, bo po śmierci mojego brata, który w kilka miesięcy po odwiezieniu mi córki do Wołogdy umarł w Wilnie, zostawiając swoje i moje interesy, któremi zarządzał, w najopłakańszym stanie, skutkiem czego kredytorowie podali prośbę o powrót mój dla ułożenia się z nimi; co też i akordowano mi tylko na sześć miesięcy. Później opowiem, jak z tych sześciu miesięcy wykerowałem się na pozostanie w kraju na zawsze.

Podróż nasza z Wołogdy do Wilna mało zawiera ciekawych szczegółów. Ponieważ nie byłem zupełnie uwolniony, a tylko na sześć miesięcy, dano mi więc żandarma, który bardzo nam w drodze był użyteczny. Podjeżdżając do Moskwy złamał się nam w karecie resor i majstrzy Moskwy trzy dni czasu na poprawkę potrzebowali, co mię nie gniewało, bo przez ten czas mogliśmy choć w części zwiedzić osobliwości moskiewskie.

Tu muszę nadmienić o pewnym fakcie. Kareta moja oddaną została kowalowi Polakowi, oddawna w Moskwie osiedlonemu. Żałuję, że nie pamiętam nazwiska tego pocziwego majstra, który widząc mię idącego z żandarmem, zamiast 35 rs., które należało mu się za robotę, nie chciał za nic wziąć więcej jak 10, dowodząc, że Polaka w tak dalekiej podróży obdzierać nie może, i błagał mnie, abym nie brał mu za złe tej jego ofiary. Muszę jeszcze i to dodać, że pędzony przez policję, aby prędzej karetę tę reparował, przybiegł pytając, czy tego żądam; a na odpowiedź moją, że nie, umyślnie marudził, chcąc mi dać czas zabawić w Moskwie.

Stanęliśmy w hotelu Angielskim. Kareta poczwórna, a przytem i żandarm, jak wszędzie, tak i w Moskwie, zrobiły ewenement. Chcąc nieco emancypować się, kazałem przynieść jedzenie dla mojej córki do jej pokoju, a sam poszedłem *à table d'hôte*, gdzie znalazłem mnóstwo *fashionabl'ów* starających się zawrzeć znajomość z człowiekiem prześladowanym

i jadącym z żandarmem. To też język mi prawie kołem stał od ciągłych odpowiedzi na ustawiczne pytania. Moskwa bowiem jest bardzo liberalna; porządnie też Moskale klęli i cara i Trubeckiego, przezwanego w Moskwie *książ łańczuk*, a powszechnie znienawidzonego.

Nazajutrz rano przybiega do mnie żandarm, mówiąc, że gubernator kazał mu do siebie przyjść, ale że on ani myśli tego robić, bo jemu może rozkazywać tylko jego żandarmska komenda. Wyperswadowałem mu wszakże, aby poszedł i pokazał instrukcję, jaką miał daną z Wołogdy, aby eskortować mnie i córkę moją, nie robiąc nam żadnych trudności. Gubernator, już nie Olsufjew, o którym wspominałem, jadąc do Wiatki, niezadowolony, że się zatrzymał w Moskwie, rozkazał żandarmowi, aby zaraz z nami wyjeżdżał. Żandarm odpowiedział, że uczynić tego nie może, bo karetą jest w reparacji, a pozatem ma rozkaz zatrzymywać się tam, gdzie ja zechcę i tak długo, jak mnie się podoba. Gubernator się dąsał, ale to nic nie pomogło, i odsiedzieliśmy w Moskwie trzy dni, włóczę się ciągle po mieście.

Następnie dojechaliśmy do Smoleńska, gdzie znów odpoczywaliśmy parę dni, przyjmowani przez Kołkowskich, którzy tam byli na wicegubernatorstwie.

Ze Smoleńska ruszyliśmy prosto do Wilna, gdzie stanęliśmy 11-go sierpnia 1842 r.

Cóż powiem o Wilnie? Wszyscy krewni i znajomi przyjęli mnie i córkę moją z prawdziwą radością. Choć bowiem zezwolono mi na sześciomiesięczny tylko przyjazd dla uregulowania moich interesów, będących w najopłakańszym stanie, cieszyłem się nadzieją niewracania już więcej do Wołogdy, bo wszystkie władze przyjęły mnie jak najlepiej, a kochana moja Maryla zjednała sobie serca wszystkich.

Nie tracąc więc czasu, zwołałem przez gazety wszystkich moich i mego brata dłużników, dla których zaspokojenia oddałem wszystkie swoje fundusze, nie zatrzymując ani jednej kopiejki. Ale i tak nie starczyło mi do wypłacenia każdemu, co mu się należało, bo ogromne obligi na sto zgórą tysięcy, które miałem na szwagrze swoim, Napoleonie Mirskim, z powodu opłakanego stanu jego interesów, nie mogły mi być wypłacone inaczej, jak czterdzieści za sto. Dłużnicy moi,

widząc (nie chwając się) szlachetność mego postępowania, zgodzili się na to, wszyscy bez wyjątku, nie tylko nie lżąc mnie za straty, jakie ponosili, ale widząc moje zmartwienie, że tak ich krzywdzę mimo mojej chęci, jeszcze mnie pocieszali, mówiąc: „Cóż robić? Postępujesz, jak uczciwy człowiek, nie mamy do ciebie pretensji“. Ta ich bezinteresowność i szlachetne znalezienie się do łez mnie rozczulały, to też pamięć o tem wiecznie zachowuję.

Oddawszy więc wszystko na zaspokojenie dłużników, za posag żony mojej, należny mojej córce, zostawiono mnie na Mirskim Obabie, które objąłem z dodatkiem niektórych jeszcze dłużników. Panu Bogu na chwałę i dzięki Jemu nieźle wychodzę na nim. Znalazłem przytem w mężu mojej córki człowieka, który ją wziął nie dla jej posagu, a jedynie dla jej zalet, które dziś, niestety, już tylko w pamięci się zachowują.

Wracam wszakże do porządku. Interesy, jak już mówiłem, układały się nieźle *). My, przez wszystkich lubiani, bawiliśmy się w Wilnie, bywaliśmy na dawanych przez władze balach i potrafiliśmy sobie zaskarbić ich względy do tego

*) Tu muszę dodać, że i tak już gołego, skarb ze swej strony jeszcze obdzierał, bo kazał zapłacić sobie tak za koszt utrzymania w więzieniu, jak i za koszt podróży do Wiatki. Na mnie wypadło zapłacić rs. 836, co było i tak jeszcze niewiele, bo inni, jak Hrebnicki i Kończka, musieli zapłacić po dwa tysiące kilkaset, a to dlatego, że postanowieniem carskiem kazano tym co mają fundusze zapłacić za tych, którzy ich nie mieli. I tak płaciliśmy za akademików, za ks. Trynkowskiego, za Kozakiewicza, ale co dziwniejsze, i za Romerów, którzy przy rozpoczęciu śledztwa wykazali, że nic jeszcze nie mieli od rodziców wydzielonego, a rodzice za dzieci płacić nie są obowiązani. Ja zaś mniej od innych zapłaciłem z następującego powodu. Na opłatę tę szedł jakiś tam procent od dochodów. Zabierając moje papiery, zabrano również obligi Napoleona Mirskiego na sto zgórą tysięcy rb. srebrnych. Na zapytanie, jaki mam fundusz, odpisałem, że między innemi mam sto tysięcy rubli kapitału, nie określając, czy w asygnatach, czy w srebrze. Trubecki, który był dobrze z Napoleonem Mirskim i znał jego zły stan interesów, zaproponował mi, by skorzystać z tego, że Szumski nie określił, jakie to były ruble, i wziął do siebie te niezaaktowane obligi, a jemu, Trubeckiemu, zwrócił obligi na sto tysięcy asygnacyjnych, bo inaczej skarb skonfiskować może fundusze, a zatem ściągać i z Napoleona ten kapitał. Mirski zrobił według rady Trubeckiego, oddawszy mi wszakże później moje obligi. W ten sposób opłaciłem tylko czwartą część tego, co się ode mnie należało. W późniejszej wszakże komisji car, unosząc się hojnością, nie ściągał żadnej opłaty (*Przypisek autora*).

stopnia, że, przedstawivszy moje doskonałe sprawowanie, proszono cara o zezwolenie na pozostawienie mnie w kraju. Lecz mściwa ta hydra na cztery tygodnie przed terminem mego sześciomiesięcznego zwolnienia na pobyt w Wilnie wydała rozkaz odprawienia mnie w określonym czasie do Wołogdy.

Trudno opisać moją boleść. Już nie chodziło mi o siebie, ale ciężko mi było myśleć o nieszczęsnym losie mojego jedy-nego dziecka, zmuszonego dzielić znowu moje wygnanie, bo za nic nie chciała rozstawać się ze mną *). Szczęśliwym dla mnie wszakże trafem (bo Opatrzność Boska zawsze w całym życiu nade mną czuwała), kiedy już zobowiązałem się na piśmie, że za cztery tygodnie wyjadę, i kiedy mnie policja pędzała, abym przygotowywał ekwipaż do tej podróży, przy-jechał do Wilna książę Gustaw Czetwertyński, pracujący w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i mający stosunki w stolicy, do której właśnie jechał. Zaczny ten, znany mi od dzieciństwa człowiek, przejęty moim smutkiem, obiecał mi swoją pomoc w Petersburgu. Jakoż bez łez wdzięczności nigdy nie wspominam tego prawdziwego przyjaciela, którego mi Bóg niedawno, bo w 1851 roku, zabrał. Przybywszy do stolicy, Czetwertyński udał się natychmiast do ministra Turkułła, sekretarza stanu Królestwa Polskiego. Był on w wiel-kich łaskach u cara, któremu, jak kronika skandaliczna podaje, dostarczał pięknych twarzyczek, na które car był łasy. Miał też za to u niego nadzwyczajne względy. Turkułła tego widziałem raz tylko podczas przejazdu jego przez Wilno z ówczesnym sekretarzem stanu, ministrem Grabowskim, po którym później objął tę godność. Wtenczas był tylko jego sekretarzem. Znajomość tę zawarłem u siebie na obiedzie, który wydałem dla przejeżdżającego Grabowskiego, matki mojej i ciotki przyjaciela.

Turkułł, będąc bardzo dobrze z Czetwertyńskim i dowie-dziawszy się od niego, o co chodzi, obiecał swoje wdanie

*) Tu wspomnieć muszę o jednym z najpiękniejszych utworów poetycznych p. Gabrieli Günther w rodzaju modlitwy do N. S. Matki Boskiej Ostrobramskiej, z równie piękną dedykacją tej modlitwy mojej Maryli, zaimprovizowaną właśnie wtenczas, kiedy już otrzymaliśmy rozkaz wyjeżdżania z powrotem do Wołogdy (*Przypisek autora*).

się w tę sprawę. Jakoż pobiegł natychmiast do żyjącego jeszcze wówczas Benkendorfa z prośbą, żeby złożył raport u uwolnienie mnie. Benkendorf wręcz odmówił, tłumacząc, że niepodobna tak prędko prosić o łaskę, której parę tygodni temu odmówiono, i że trzeba czekać przynajmniej kilka miesięcy. Turkuł, który był w przyjaźni i z Benkendorfem, nie zraził się tem, a przedstawiając mu nieszczęśliwe położenie mojej córki, a zarazem i względy, jakie on, Turkuł, ma u cara, namówił go, aby przyniósł ten raport do gabinetu cesarskiego w dniu następnym, w tej właśnie godzinie, w której i on tam będzie ze swojemi papierami, obiecując poprzeć tę sprawę u cara. Benkendorf usłuchał go i nazajutrz, zapytany przez cara, co jest nowego, odpowiedział: „Mała prośba do podpisu W. Cesarskiej Mości”. Car spojrzał na raport i z furją rzekł: „Nigdy”. Wtedy Turkuł, znając dobrze humory swego pana, odezwał się: „I ja proszę W. C. Mość za Szumskim. To biedny, nieszczęśliwy człowiek”. — „Znasz go?” spytał car. — „Znam bardzo dobrze i ręczę za niego”, — odpowiedział. Spojrzał mu car w oczy, a zwracając się do Benkendorfa, rzekł: „Daj”, i podpisał moje uwolnienie dnia 25 stycznia 1843 r., mówiąc do Turkuła: „Patrz”. Uszczęśliwiony Turkuł pobiegł oznajmić tę łaskę Czetwertyńskiemu, który tegoż samego dnia, przez jadącego do Wilna Koreywę, obywatela trockiego, wszystko mi opisał, lękając się donosić tego pocztą. Prosił wszakże, abym nikomu nic o tem w Wilnie nie mówił i czekał na urzędowe doniesienie z carskiej kancelarii.

Nadchodził już termin wyjazdu i policja coraz bardziej mnie nagliła, gdy wtem wzywają mnie do Mirkowicza, gubernatora wojennego, który ze łzami radości winszował mi łaski carskiej. Podobną scenę odbyłem i u Buxhoevdena, do którego również przyszedł taki sam rozkaz od Benkendorfa, z arcygrzecznym listem do mojej córki, że jedynie przez wzgląd na jej sytuację i na jej czułość dziecka dla ojca, łaskę tę u cara wyjednał. Zapomniałem bowiem powiedzieć, że gdy przyszedł rozkaz powrotu mego na termin do Wołogdy, Buxhoevden skłonił moją córkę do napisania wzruszającego listu do Benkendorfa, który przesłał wraz ze swoim równie wzruszającym, w którym przedstawiał naszą sytuację. I dlatego później on sobie, a Mirkowicz, który też pisał,



GEN. - GUB. TEODOR MIRKOWICZ

sobie przypisywał otrzymanie tej łaski, którą w rzeczywistości zawdzięczał tylko Turkułłowi za pośrednictwem Czetwertyńskiego.

Odebrawszy powinszowania od wszystkich znajomych, cieszących się z tej pomyślnej dla mnie wiadomości, ruszyłem do Obabia, aby skończyć urządzenie mojej chałupy dla umieszczenia córki, która tymczasem pozostała na kilka miesięcy w Szumsku u mojej byłej bratowej, która wyszła później za doktora Konstantynowicza.

W Obabiu żyliśmy spokojnie, ciesząc się swobodą, którą nareszcie odzyskaliśmy, choć pozostawiono mnie pod nadzorem policji. Nie będę opisywać, jak później córkę moją pokochał dobry i zacny zięć mój, Ignacy Łopaciński, i jak potem zamąż wyszła — dość, że zdawało się, iż odtąd żadne nieszczęścia nigdy ciążyć nade mną nie będą. Stało się wszakże inaczej, bo z najszcześniejszego człowieka zostałem najnieszczęśliwszym, straciwszy tego anioła, całą pociechę mojego życia.

Po wydaniu zamąż córki, 18 maja 1846 r., na pierwszy połóg pojechaliśmy wszyscy do Koyran, majątku mojego zięcia, odległego o dziewięć wiorst od Wilna; tam córka moja wydała na świat synka, urodzonego 7 marca 1847 r., a w cztery lata później, 31 maja 1850 r. zmarłego na dyzenterję w Sarji. Zaraz potem wyjechałem do Obabia, pożegnawszy się pierwszej w Wilnie z gubernatorem wojennym i Buxhoevdenem, — lecz tu muszę się cofnąć.

W 1847 r., na parę tygodni przed przyjazdem moim do Wilna, przybył tam również niejaki Röhr z poznańskiego, podający się za architekta. Cel jego podróży był wszakże inny. Przysłany on został od Libelta i innych, mających na celu wywołać powstanie w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Wilnie. Ów Röhr chciał widzieć się ze mną; lecz nie zastawszy mnie, zapoznał się z gorliwym patriotą Renierem, doktorem, dawnym moim znajomym, który brał udział w powstaniu 1830 r. Renier współ z innymi zwołał naradę, skutkiem której odpowiedziano Röhrowi, że na Litwie, ogołoconej z broni, z ludem mrącym z głodu, bo wielki był nieurodzaj i pomór na bydło i konie, nic zdziałać nie można. Röhr to pojął i dał pokój dalszym naleganiom, opuszczając

Wilno. Oznajmił wszakże, że dnia 21 lutego, zdaje mi się, wybuchnie niezawodnie powstanie w wyżej wymienionych prowincjach i że wtenczas Litwa będzie mogła może coś dopomóc. Na trzy tygodnie przed 21 lutego zjawiłem się i ja w Wilnie. Renier wnet mi wszystko opowiedział. Nie wierzyłem, przyznam się, tym opowiadaniom, gdy rzeczywiście dnia 21 lutego wybuchły w Warszawie, Krakowie i Poznaniu te częściowe powstania, które tak niepomyślnie zakończyły się powieszeniem w Warszawie kilku powstańców. Opisywać tego też nie będę, bo nie będąc czynnym w tej całej historii, nie znam dobrze szczegółów, a wreszcie historia i o tem pisać będzie.

Tymczasem Röhr, Bóg wie dlaczego, nie znajdował się w żadnym z tych punktów, gdzie miało być powstanie, a siedział w Grodnie, gdzie też został schwytany, jako podejrzany i osadzony w Wilnie u Dominikanów. Za nim pobrano i wielu innych grodzieńszczyzan, z Wilna tylko Reniera, ze Żmudzi Szemiothów, doktora Grossa i pannę Przeciszewską, która zyskała sobie tak piękną opinię przez swoją przytomność umysłu i niekompromitowanie nikogo. Ale i o tem pisać nie będę, powiem tylko to, co się mnie tyczy.

Jak tylko wzięto Reniera, strwożyłem się nieco, znając nerwowy stan tego prawdziwego entuzjasty i lękając się, aby czasem nie powiedział, że mi się zwierzał o Röhrze i o tem, co on mówił. Wszakże była na to rada, mianowicie zadać mu kłam, bo mówiliśmy o tych sprawach w cztery oczy. Bywałem więc w Wilnie u władz, które mnie grzecznie przyjmowały. Pytany przez swoich, czy się nie lękam czego wobec ustawicznych nowych aresztowań, odpowiadałem w najmocniejszym przekonaniu, że mnie teraz nic nie spotka, bo nie miałem już z nikim żadnych stosunków. Znajomi jednak często mawiali: „To dziwna rzecz, że tak mówisz, bo nie było dotąd śledztwa, na które nie byłbyś pociągnięty”. Żgadli znajomi, bo ledwie po połogu mojej córki wyjechałem do Obabia, gdy w parę godzin po moim przyjeździe, 2 kwietnia 1847 r., wpadł do mnie nowoaleksandrowski isprawnik z oficerem żandarmerji, asesorem i żandarmem. Przeplądrowali papiery, spisali protokół i zabrali mnie z sobą do Nowo-Aleksandrowska, a stamtąd zawlekli z oficerem i żandarmem

do Dominikanów. Nie pojmowałem za co i poco? Przypuszczałem, że chyba tylko zwierzenia Reniera mogły być tego powodem. Ale, jak mówiłem uprzednio, mogłem się z tego łatwo wytłumaczyć. Niepokoiło mnie tylko najwięcej wrażenie, jakie ta wiadomość o mojem uwięzieniu sprawiła na mojej córce, ledwo powstałej z połogu. Nie rozumiałem również, dlaczego mnie nie brano, jak byłem w Wilnie, ale wzięto z Obabia. Okazało się później, że Mirkowicz, nie chcąc martwić moich dzieci, czekał na mój wyjazd, sądząc, że ta wiadomość nie dojdzie do nich tak prędko. Ale kalkulacja ta chybiła, bo z Obabia zaraz dano im znać, że mnie porwali żandarmi.

Po przywiezieniu do Dominikanów rozebrano mnie wnet do koszuli, odebrano fajkę, zegarek, okulary, zdjęto z palców pierścionki, a nawet zmuszono oddać i tabakierkę z tabaką. Lecz i tu sobie dałem radę, bo oddając tabakierkę, wysypałem tabakę do kieszeni. Poprzednie więzienie było tysiąc razy lepsze, bo tam miałem pościel i jedzenie z domu, okna bez krat i szyby wapnem niezabielone, i wreszcie więcej wolności. A ten obmierzły Jolszyn*), prezes tej komisji, choć nie bił, jak mówią, nikogo, dręczył jednak więźniów moralnie tysiąc razy gorzej. W poprzednim więzieniu wiedzieliśmy, kto siedzi. Byli to wszystko znajomi. Tu żywego ducha nie znałem. Wreszcie tam było o czem myśleć, jak wykręcać się z zadawanych pytań. A tu i tej pociechy nie było, bo nie było się z czego wykręcać. Zaraz po przywiezieniu, Jolszyn, pokazując mi broszurkę Chrzanowskiego o wojnie partyzanckiej, spytał mnie: „Wiele pan dał takich egzemplarzy panu Renierowi?” — „Nigdy żadnych broszurek nie dawałem”, odrzekłem. Ale przypomniałem sobie dopiero wówczas, że przed wyjazdem swoim do Wiatki, dałem całą skrzynię, zawierającą ze sto pięćdziesiąt egzemplarzy tej broszurki do schowania Renierowi. Ale że były to dawne czasy i mogłem wyprzeć się tego, więc się wyparłem, sądząc, że wkrótce będę zwolniony. Lecz widocznie chciano popastwić

*) Jolszyn w 1862 r. czy 63 r. dręczył więźniów politycznych w Dyneburgu, brał od nich znaczne pieniądze, a gdy to wykryto, odebrał sobie życie (*Przypisek autora*).

się nade mną, bo trzymano mnie w tych okropnych warunkach, Bóg wie za co, przez cztery miesiące. Na moją odpowiedź, że żadnej takiej książki nikomu nie dawałem, Jołszyn mi odpowiedział: „Ach! Pan nie chce się przyznać, pan sądzisz, że to będzie takie więzienie, jak w tamtej komisji, kiedy to panowie mieliście tyle wolności? Oh! U nas tu inaczej się przedstawia. Ja panu ręczę, że pan się przyznasz, jak pan posiedzisz tu kilkanaście miesięcy. I jak pan może zapierać się tego, kiedy pan Renier już to zeznał?” — „Proszę o konfrontację z panem Renier” — rzekłem. — „Damy ją”, — odpowiedział — „a tymczasem niech pan wróci do celi”.

Prosiłem o tabakierkę, o zegarek i o pościel; nie dano mi nic, tylko brudny siennik, na którym Bóg wie kto już nie spał. Stołka nawet do siedzenia nie było. Obiad wszakże, złożony z dwóch potraw, był niezły, na kłóć się zaś dawano jedną potrawę, przyczem zrana o ósmej i wieczorem o piątej można było mieć za swoje pieniądze herbatę.

Tak przebyłem cztery dni bez dalszych badań. Piątego dnia przyniesiono mi list od mojej córki, która już wiedziała o mojem uwięzieniu i pytała, czy czego nie potrzebuję. Odpisałem, że nic nie mam, że mi wszystko zabrano; to też nazajutrz z rozkazu Mirkowicza zwrócono mi i tabakę, i okulary, i zegarek.

Tymczasem dni upływały. Córce nie pozwalano widywać się ze mną, jak na poprzedniej komisji, i tylko dwa razy na tydzień wolno mi było do niej pisywać i listy od niej odbierać *).

Przeczekawszy parę tygodni, widząc, że mnie o nic nie pytają i jakby zapomnieli o mnie, zwróciłem się sam do komisji o śledztwo, co było dozwolone w nadziei, że więzień skruszony złoży jakieś zeznania. Zaprowadzono mnie do tego piekielnego sądu i Jołszyn zapytał: „A co, czy pan namyślił się, żeby się przyznać do dawania książek?” — „Nie”, — odpowiedziałem — „ponieważ nigdy ich nie dawałem i nie

*) Na miesiąc, zdaje się, przed uwolnieniem, wszystkie te drogie pamiątki poodbierano wszystkim więźniom, z jakiego powodu nie wiem, bo w żadnych innych komisjach tego nie robiono (*Przypisek autora*).

pamiętam, żebym kiedy dawał, więc przyznać się do tego nie mogę. Ale chcę być wolny, bo za cóż mnie panowie niewinnego trzymają?” — „Jak się pan przyzna”, — odrzekł — „to pan będzie wolny, a teraz proszę nam czasu nie zabierać”. — „Proszę o konfrontację” — rzekłem. — „Damy”, — odpowiedział, i znowu odprowadzono mnie do celi.

Cela ta miała cztery kroki wszerek, a sześć wzdłuż. Zabielone okna nie dozwalały nic widzieć, sztyldwach zaś, stojący przy drzwiach, przez okienko w drzwiach zrobione podglądał każdą czynność więźnia. Prócz tego taka była surowość, że nawet o pogodę zapytany dozorca, czy oficer straży, odpowiadał zawsze: „Nie wiem”. Oh, wolałbym pięć albo i dziesięć lat więzienia za czasów Konarskiego, jak te cztery miesiące, które przebyłem z tym łotrem Jolszynem, który był przecie Polakiem, synem oszmiańskiego „sprawnika”. Bo też łotr Polak przewyższa wszystkich łotrów innych narodów.

Za sąsiada miałem młodego Żarczyńskiego, grodnianina, tęgiego chłopca, mającego do dwudziestu lat, a wziętego z powodu przyjaźni z Hoffmeisterem, młodziutkim też chłopcem, przyjacielem znów Röhra. Röhr, jako nieszlachcic, pędzony był potem przez tysiąc różeg, Hoffmeister zaś został skazany na „aresztanckie rotę”, a Żarczyński uwolniony.

Nazajutrz rozpocząłem z tym Żarczyńskim wystukiwaną rozmowę ścienną, już przeze mnie opisywaną. Biedak ten za znajomość tylko z Hoffmeisterem siedział już siedemnasty miesiąc. Obok Żarczyńskiego był Kątkowski, a za nim rozmaici inni, a między nimi i panna Przeciszewska, ta prawdziwa bohaterka, dręczona, jak i my, w więzieniu. Pewnego dnia Żarczyński wystukuje mi wiadomość z trzynastej od mojej celi, w której siedział Renier, że ten, słysząc, że wypieram się dawania mu książek i żądam konfrontacji, — sumieniem tknięty, że to zeznał, nie chce mi tego w oczy dowodzić i oświadczył na śledztwie w komisji, że zeznawał to w gorączce i że książek tych nigdy mu nie dawałem. Radzi mi więc trzymać się tego i nie przyznawać się do nich. Taka komunikacja przez trzynaście cel mogła natrafić na jakiegoś drugiego Orzeszkę, który zdradził Konarskiego. Przezornie więc kazałem odpowiedzieć tą samą drogą Renierowi,

że nigdy mu książek nie dając, nie mogę się do tego przyznawać.

Przeczekawszy parę dni, zgłosiłem się znów na komisję. Komisja jednak, widząc, że się nie przyznaję, a nie mogąc Reniera skłonić do konfrontacji, przysłała mi dozorcę, któremu miałem złożyć na piśmie moje żądania. Napisałem więc krótko przy dozorczy, że żądam konfrontacji. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zacząłem znów po paru dniach, napróżno wszakże, szturmować, bo mnie bez odpowiedzi pozostawiano. Dopiero w jakiś czas potem, gdy mnie wyprowadzono na spacer, spotkałem Jołszyna i zacząłem się z nim naprawdę kłócić o to, że mnie niewinnie trzymają, żądając konfrontacji lub uwolnienia. Przekłęta ta bestja odpowiedziała: „Przyznaj się pan, to pana uwolnią”. — „Nie przyznam się” — odrzekłem i poszedłem na spacer. Spacer ten odbywał się na otoczonym murami dziedzińcu, na którym prócz oficera rozstawionych było jeszcze kilkunastu żołnierzy dla czuwania, aby dla spacerującego albo od spacerującego nie przerzucono czegoś przez mur. Taka czujność była nie do zniesienia, to też, powtarzam, wściekałem się ze złości, zwłaszcza, że nie było czem innem głowy zająć, bo nie zadawano pytań.

Ponieważ postanowiłem pisać o wszystkim, wspomnę tu o jednym, dosyć brudnym fakcie, o czym, kto nie chce, niech nie czyta. Wiadomo, że więzień, potrzebujący załatwić swe przyrodzone potrzeby, stuka do okienka, wołając: „konwój! na dwór!” Na to hasło wnet przychodzi nadzorca z konwojem, złożonym z czterech żołnierzy z bagnetami u karabinów dla eskortowania tej potrzeby. Wieczorem wszakże, od ósmej, po capstrzyku aż do godziny siódmej rano, żeby i sto razy wołać, to nie otworzą, bo takie jest jak oni mówią, rozporządzenie. Pewnego dnia, koło godziny dziesiątej wieczorem, poczułem potrzebę wyjścia; a więc proszę. Lecz to nic nie pomaga i musiałem skorzystać z naczynia, stojącego u każdego więźnia, i przetrzymać z tem aż do ranka. Jak tylko dano capstrzyk, przyszła mi do głowy pusta, ze złością połączona myśl, którą też wnet do skutku doprowadziłem. Wołam więc: „konwój! na dwór!” Drzwi otwierają się, jak zwykle, a ja, zamiast sam wyjść, oddaję naczynie, aby go z bagnetami odniesiono na właściwe miejsce. Tu na-

stąpiło ogromne skonfundowanie: oficer straży, ani dozorca nie mogli wziąć naczyń, bo to ubliżyłoby ich godności, żołnierze, mający karabiny, też nie mogli go wziąć. Po długich rozprawach i gniewach na mnie, drzwi zamknięto i posłano po posługacza, żołnierza-inwalidę, który codzień zrana przychodził gasić palące się całą noc lampy, zamiatał cele i przynosił wodę do mycia. Ten dopiero, bez konwoju, wyniósł więźniowego więźnia.

Mijały tygodnie, a ja, prócz pociechy, jaką miałem z listów mojej córki, nie spodziewałem się żadnej innej, choć to kochane dziecko pocieszało mnie ciągle najlepszymi nadziejami. Szturmowali oni wspólnie z zięciem moim o moje uwolnienie, nie wracając nawet do Sarji, dokąd ich interesy ciągnęły.

Tu winienem oświadczyć swą wdzięczność matce ich, Łopacińskiej, która, jadąc dla zdrowia zagranicę, wyrobiła w Warszawie u księcia Paskiewicza moje uwolnienie. Nastąpiło ono dopiero w cztery tygodnie po rozkazie Paskiewicza, ale skutkiem jego było to, że dozwolono dzieciom moim pierwszy raz widzieć się ze mną w komisji, do której wezwano mnie, nie podając zupełnie powodu. Ze zdumieniem ujrzałem te drogie dzieci, rozczulone widokiem obrosłego brodą i okropnie zmizerowanego ojca swego. Nie będąc przygotowanym na te ich odwiedziny, sądziłem, że mają mnie już wywieźć i że przyszli żegnać się ze mną, zwłaszcza sądząc z płaczu mojej kochanej Maryli. Uspokojony zostałem wszakże przez nią, że wyjdę wkrótce z więzienia, bo Paskiewicz wyraźnie napisał, że jeśli jestem oskarżony o dawanie tych książek Renierowi dawniej, to należy mnie uwolnić; jeśli zaś o coś nowego, a mało znaczącego, to i tak rozkazuje mnie uwolnić. Wszakże ta przekłeta komisja, pod pretekstem robienia wywiadu, przetrzymała mnie jeszcze cztery tygodnie.

Ale wracam do tej, tak miłej i niespodziewanej dla mnie, ich wizyty. Po pierwszych uściśnieniach w obecności członków komisji, chcąc aby dzieci moje wiedziały za co siedzę i jak mnie dręczą, niezmiernie szybko wypaliłem coś naksztalt tego: „Bo też nie wiecie, że mnie trzymają za jakieś głupie książki, dawane jakoby Renierowi, których nigdy nie dawałem i czego nie mogą mi dowieść, a dręczą moralnie wię-

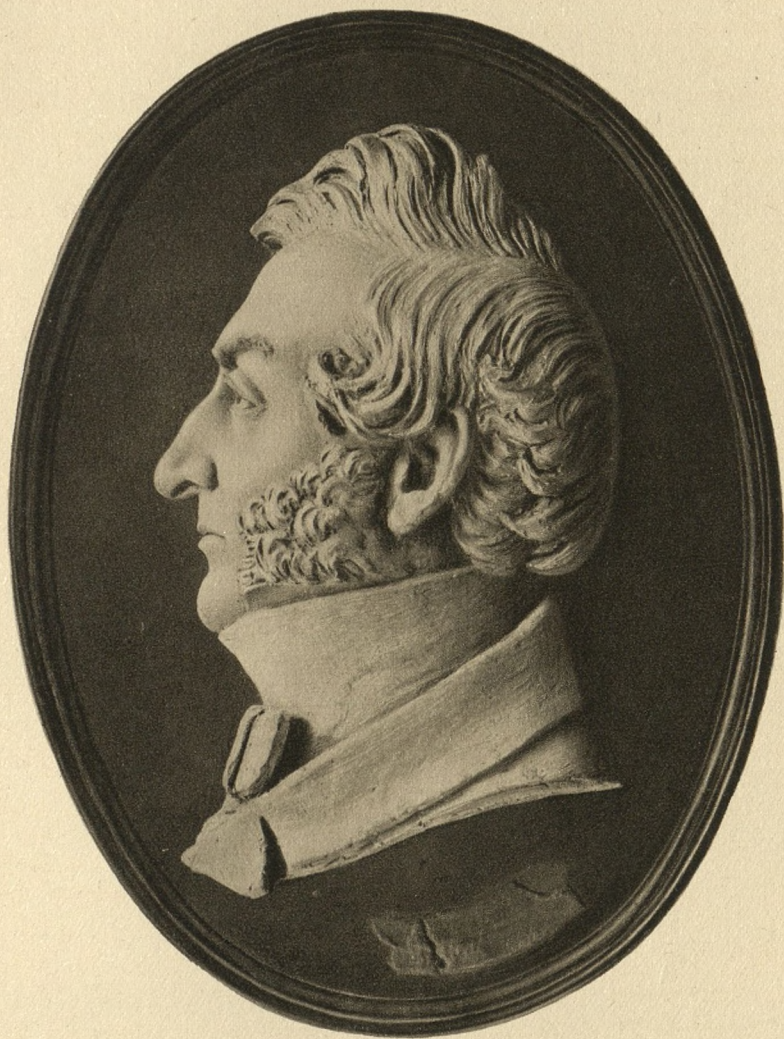
zieniem i niewygodami w moim podeszłym wieku. To jest jakaś ukryta złość, zemsta podziemna..." i t. d. Członkowie komisji ciągle mi tymczasem perswadowali: „Ależ, uspokój się pan, poco to mówić, za co pan siedzi, tego nie można mówić...", a ja jak palę swoje, tak palę, póki wszystkiego nie powiedziałem. Po tej półgodzinnej wizycie nie pozwolono im więcej mnie widzieć; może i dlatego że nagadałem im zbyt wiele o komisji.

W ciągu tego czasu nadjechał z Warszawy prezes sądu wojennego, generał Dokudowski, przysłany dla ferowania wyroków. Chodził on do wszystkich cel, badał wszystkich, mnie tylko jednego nie wzywał, bo nie było o co nawet pytać, i ja jeden nie byłem pod sądem wojennym.

Wybiła nareszcie i moja godzina. Czwartego sierpnia rano wszedł do mnie pułkownik żandarmski, nie pamiętam już nazwiska, członek komisji, donosząc mi, że tego dnia, koło południa, będę uwolniony i dał mi papier do podpisania, że ta łaska księcia została mi odczytana. Oddał mi również moje papiery, zabrane wraz ze mną, oraz pieniądze, które były przy mnie, gdy mnie brano, zalecając abym się ogolił, ubrał i spakował moje manatki, oczekując uwolnienia. Kazał mi też podpisać rewers, że nigdy przed nikim nic ani dobrze, ani źle o komisji i więzieniu mówić nie będę, i że z miasta pod żadnym pretekstem do ukończenia prac komisji, która wkrótce miała przestać dręczyć ludzi, nigdzie się nie wydalę.

Niecierpliwie oczekiwałem godziny dwunastej. Lecz minęła pierwsza, druga i trzecia i tak aż do szóstej, a mnie jak nie uwalniają, tak nie uwalniają. Począłem już desperować, gdy o godzinie szóstej zawitał policmajster, ów sławny hr. Rzewuski (o którym później), który wzięwszy mnie do swojego powozu, odwiózł do domu Tyszkiewicza na ulicy Trockiej do dzieci moich, wyglądających mnie z równą niecierpliwością. Dojrzawszy mnie zdala, wybiegły do bramy i gorąco mnie uściskały.

Opisywać naszego szczęścia nie będę, bo każdy łącznie pojmie, co się działo w naszych sercach. Wieczór ten i dzień następny przeżyliśmy razem, bo dzieci wróciły na trzeci dzień do synka, do Koyran, nie mogąc mnie z sobą zabrać,



STANISŁAW SZUMSKI (ok. 1860 r.)

bo mi nie wolno było wyjeżdżać z miasta do czasu wyegzekwowania dalszych dekrétów. Tak tedy dzieci moje spędzały czas między mną a swoim dzieckiem, a raz mi nawet przywieźli wnuka do Wilna.

Nazajutrz po wyjściu z więzienia, ofiarowałem się pójść do spowiedzi, co też i spełniłem u Franciszkanów i nie mogę nie wspomnieć o tej spowiedzi. Złapawszy pierwszego księdza, przystępując do konfesjonału powiedziałem mu, że odbyłem spowiedź wielkanocną cztery miesiące temu, i że w dni kilka po tej spowiedzi porwany do więzienia siedziałem tam do wczorajszego dnia, niczem nie grzesząc, tylko tem, że kląłem cara i rząd jego na czem świat stoi. Ksiądz spojrział na mnie, a widząc bardzo wymizierowanego więźnia, spytał: „A czy nie skompromitowałeś kogoś na badaniach?” — „Nie”, — odpowiedziałem — „mnie kompromitowano”. — „No, to zmów za pokutę...” i nazначzył kilka pacierzy. Na tych kilku słowach skończyła się moja spowiedź.

Po spowiedzi pojechałem do Mirkowicza, który mnie przyjął bardzo czule, ubolewając nad mojem niesprawiedliwym więzieniem, mówiąc: „Staraj się zapomnieć, żeś był więziony i nie gadaj nic o tem. Pokazuj się wszędzie. Bądź dobry i wesołej miny. Bywaj często u mnie, bo ja chcę waćpana podnieść w opinii publicznej, bo żadna wina na panu nie ciąży. Nieszczęsna tylko twoja gwiazda, że nie ma komisji, żebyś do niej nie był wciągnięty”.

Nazajutrz w ogrodzie botanicznym miał się odbyć festyn; Mirkowicz żądał, abym był na tem zebraniu, przysyłając mi nie rozkaz, ale prośbę przez marszałka gubernjalnego, Puśłowskiego i Seweryna Kamińskiego, abym nie odmawiał tego, bo chce publicznie dać mi dowody swego szacunku. Poszedłem więc. Mnóstwo było ludzi w ogrodzie, a Mirkowicz, ujawszy mnie po przyjacielsku, chodził ze mną. Potem poszliśmy do salonu, gdzie były damy, i tam Haller, dyrektor pensjonatu szlacheckiego, mówił do mnie: „Generał Dukodowski (ten co na sąd przybył) chciałby pana poznać, bo chciałby widzieć człowieka, którego bez najmniejszej winy cztery miesiące więziono Bóg wie za co”. Poznałem się z tym zacnym generałem, który mi powtórzył to samo, co już usłyszałem od Hallera.

Tymczasem nadchodził dzień piętnastego sierpnia, dzień imienin mojej córki, która nazajutrz z mężem i dzieckiem do Sarji miała już wyjeżdżać; a chcąc im zrobić niespodziankę, poszedłem prosić Mirkowicza o pozwolenie pojechania na kilka godzin do Koyran. — „Ach! to dzień imienin twojej córki. Jedź, jedź, i ja przyjadę powinszować, ale na noc trzeba powrócić do miasta”. Poczciwy to był człowiek, ale wielki safandula. Piętnastego więc sierpnia pojechaliliśmy ja swoją, a Mirkowicz swoją drogą do Koyran. Pod wieczór, gdy Mirkowicz zabierał się do powrotu, spytałem go, czyby nie pozwolił mi przenocować. — „Dobrze, ale pod warunkiem, że jutro rano o godzinie ósmej wrócisz.” Na drugi dzień rano dzieci również wyjeżdżały, więc zamiast na godzinę ósmą, wróciłem ledwo na dwunastą do Wilna, gdzie już na mnie od rana czekała w niepokoju policja, przybiegając co moment pytać, czym jeszcze nie wrócił, dla zaraportowania Mirkowiczowi. Uspokoilem go osobiście, stawiając się zaraz u niego.

Dzieci wyjechały, a ja musiałem jeszcze bawić w Wilnie do 13 grudnia, czekając z dnia na dzień zupełnego uwolnienia, bo dekrety dla pozostałych w więzieniu posłano do potwierdzenia do cara, który niewiadomo dlaczego ich nie odsyłał. Pouwalniano wszakże mniej winnych, ale nikomu jak i mnie, nie pozwalano opuszczać miasta.

Mirkowicz był dla mnie coraz bardziej grzeczny, zapraszał mnie często do siebie na wieczorne gawędy, odbywające się z nim sam na sam, i zawsze obiecując mi rychłe i kompletne uwolnienie. Tak cztery zgórą miesiące czekałem niecierpliwie na pozwolenie wyjazdu do Sarji, do dzieci, do których było mi bardzo tęskno. Dla zabicia czasu włóczyłem się po mieście i jego okolicach, chodząc piechotą z rozmaitymi znajomymi aż do Puszkarni i papierni. Znajomi ci nazywali mnie zawsze dziekanem więzień, dlatego że we wszystkich, wiele ich tylko w Wilnie było, wysiedziałem swoje.

Szturmowałem też ustawicznie o to zwolnienie do Mirkowicza, który wreszcie dziewiątego września powiedział mi: „Pocierp do 6-go grudnia, dnia imienin cesarza”, bo na ten dzień spodziewano się dla niektórych winniejszych złagodzenia kary i odczytania nareszcie wszystkim dekretu.

Nadszedł i szósty grudzień, lecz z nim żadnej o niczem wzmianki. Mirkowicz uniesiony dobrocią serca pozwolił mi nareszcie jechać do Sarji, za poręczeniem Pusłowskiego, marszałka gubernjalnego, i zobowiązaniem, że na każde żądanie stawię się natychmiast w Wilnie.

Uradowany tem, nie tracąc czasu, dnia trzynastego grudnia udałem się do dzieci. Tam siedziałem do dwudziestego stycznia 1848 r., oczekując co chwila szczęśliwego powtórnego rozwiązania mojej córki. Dwudziestego piątego stycznia wieczorem o godzinie ósmej przyjechał dziśniejszy sprawnik z poleceniem od Mirkowicza, aby mnie jak najszybciej dostawić do Wilna, dodawszy mi asesora sądu niższego. Zrobiło to wielki alarm w domu, a biedna moja córka, bliska rozwiązania, zalewała się łzami.

Tu muszę wbrew nawet woli rzucić klątwę na to przekłętą bydło moskiewskie. Jeśli bowiem byłem potrzebny dla wysłuchania dekretu co do innych (gdyż dekretu na mnie być nie mogło, bo byłem niewinny i uwolniony), toć można było przysłać mi sztafetę, abym się momentalnie stawiał. Uskuteczniłbym to natychmiast, dawszy na to zobowiązanie. Wszakże tchórzostwo Mirkowicza spowodowało to nagle po mnie przysłanie, bo między dekretami, Bóg wie jakim sposobem, znalazł się dekret i na mnie, wysyłający mnie na czas nieograniczony do Permy. Mirkowicz, do którego mnie wprost zawieziono, zakomunikował mi to ze łzami w oczach, dziwiąc się bardzo nawet takiemu dekretowi, któremu pod żadnym względem nie powinienem był ulec.

Ale wracam do sprawnika, który chciał zaraz w nocy wyjeżdżać. Nie zgodziłem się jednak na to i dopiero nazajutrz rano, nadrabiając cały wieczór humorem, aby nie martwić dzieci, wyjechałem do Dżisny, gdzie mi dodano asesora Borożicza, bardzo dobrego człowieka.

Nadrabiałem, jak mówię, humorem, ale w duchu czułem, że się święci dla mnie coś niedobrego. Jakoż Mirkowicz, do którego mnie wprost zawieziono, oświadczył mi, jak to już wyżej powiedziałem, że za dni kilka będą czytane dekry, między którymi i ja jestem skazany do Permy. — „Ależ to infamja, to niegodziwość”, — rzekłem — „gdzie moja winna? I czyż nie byłem już w sierpniu uwolniony?” — „Cóż

chcesz?” — odparł. — „Ja sam nie pojmuję, coby to była za przyczyna, bo i w dekreście niema wyraźnej winy”. Tu mi odczytał dekret, który chowam u siebie, a który jest dziwnego brzmienia tak dalece, że wszyscy urzędnicy, posiadający język rosyjski, dziwili się tak dziwnemu ułożeniu go, a który dla ciekawości czytających te pamiętniki tu podaję: „Obywatel Stanisław Szumski, obwiniony o wręczenie Renierowi stu trzydziestu egzemplarzy „Partyzanckiej wojny”, długo się tego zapierający, uczynił to widocznie w tym czasie, kiedy oczekiwał aresztowania w sprawie Konarskiego; znaczy to, że pragnął on ukryć je przed władzami, i dlatego, jako stale nieprzychylnego, skazuje się go na zesłanie do Rosji, ustanawiając tam nad nim nadzór”. Kto tylko znał ten język barbarzyński, przyzna, że słowo „znaczy”, nie jest dowodem, ale tylko podejrzeniem, jak więc można za podejrzenia tylko skazywać? Ale Bóg z temi łotrami, niech im Bóg Najwyższy odmierza taką miarą, jaką oni nam mierzą.

Wiadomo, że kiedy w dekreście powiedziane jest: „do Rosji”, to gubernatorom wojennym dają prawo wyznaczać gubernje. Mirkowicz, chcąc, jak mi mówił, lepiej mnie umieścić, naznaczył mi Permę zamiast Wiatki, Archangielska, Orenburga lub innych. Długo rozmawiałem z Mirkowiczem o mojej niedoli, pytając, coby mogło spowodować taki dekret. — „Cóż chcesz?” — odpowiedział, — „feldmarszałek już stary, zapomina się i sam nie wie, co mu do podpisu dają. A przytem ciągle teraz wścieka się na wszystkich, bo choć ma pasję do kobiet, nie może już w niej znaleźć zadowolenia, i to go okropnie gniewa. Widać, że ten gałgan Jołszyn przystawił panu stołka, bo wiem z pewnością, że sądził, że mu za ciebie dobrze zapłaci zięć, który jest bogaty, a to go zawiodło”. Miałem słowo w słowo podobną rozmowę z Buxhoevdensem, który również litując się nade mną, toż samo mi powtórzył. I cóż powiedzieć o tem bydle moskiewskiem, kiedy na przykład teraz, tego samego Paskiewicza, którego wówczas władze nawet znajdowały głupim, starym i do niczego niezdatnym, a dziś po węgierskiej kampanji, za przykładem i rozkazem cara temu głupcowi oddają carskie honory? Wściekać się tylko trzeba, myśląc o tak podłym i głupim narodzie.

Ale wracam do rzeczy. Przywieziono mnie, jak mówiłem, do Mirkowicza dnia 27-go stycznia, a dekrety odczytano dopiero ostatniego lutego i zaczęto powoli mniej winnych *incognito* wywozić. Winniejszych, jak Röhra, Reniera, Bogusławskiego, Hoffmeistra i jeszcze dwóch, których nazwisk nie pomnę, wywieziono pierwszego marca. Odbywało się to według nowego systemu. Ponieważ byli oni skazani na ciężkie roboty, wieziono ich na wysokich wozach, przywiązanych, każdy oddzielnie, do słupa, na którym był napis: *Złoumyszlennik protiv otieczestwa* — „Wróg ojczyzny”. Naprzód szła kompanja piechoty, za nią jechali konno żandarmi, a zaraz za nimi, również konno, policmajster hr. Rzewuski. Tuż za nim postępował kat w czerwonym płaszczu, za którym szły te wozy, po jednym więźniu w łańcuchach i, jak mówiłem, przywiązanym do słupa, a odzianym w szarą siermięgę z łatą na plecach. Triumfalny ten pochód ciągnął się od Dominikanów ulicą Niemiecką na Koński targ, gdzie każdego więźnia zdejmowano z wozu i pokolei stawiano na wysoko zbudowanym szafocie. Wówczas podchodził kat, dawał mu policzek i łamał nad jego głową szpadę na znak odjętego szlachectwa. Poczem zajeżdżała kibitka z żandarem i każdego osobno wywożono za miasto.

Tu wszakże będzie miejsce na opisanie tej procesji ludzi, towarzyszących skazańcom, która czyniła ten pochód prawdziwie triumfalnym. Mnóstwo ludu było na wszystkich ulicach, a nierozważna młodzież wyrzucała secinami w górę czapki na okrzyki Hoffmeistra i innych, którzy z wozów wołali: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Za to też biedakom, jak słyszałem, dobrze się później dostało, a młodzież cała tegoż samego dnia została wezwana do klas i czy kto był na tym pochodzie, czy nie, każdy dostał po dwadzieścia pięć różeg za wyrzucanie czapek. Röhr, jako nieszlachcic, przed odesłaniem na ciężkie roboty, jak to już wspominałem, pędzony był przez tysiąc różeg. I przy tej egzekucji było, jak słyszałem, mnóstwo ludzi łączących barbarzyństwo moskiewskie.

Są jednakże i między nimi, osobliwie między młodymi wojskowymi, ludzie z sercem, którzy mogą należeć do Europy. Podczas tego marszu przez miasto, naprz. koło domu Woelcka na Niemieckiej ulicy, dość w tem miejscu wąskiej, kilku ofi-

cerów, głośno między sobą rozmawiając, mówili jeden do drugiego: „Wiesz, bracie, co? Gdyby mi dano do wyboru katorgę czy być takim łajdakiem jak ten hr. Rzewuski, który jedzie tu przed katem, to raczej wybrałbym katorgę”. Słyszeli to ludzie wiarogodni, którzy mi to opowiedzieli, a i sam hrabia widać słyszał, bo tych oficerów tegoż dnia posadzono na tydzień na odwach.

Osób do wywiezienia było kilkadziesiąt, więc wywożono codzień tylko po dwóch lub trzech. Ja też przygotowywałem się do mojej podróży, która mogła nastąpić za parę tygodni. Miałem obiecaną drogę na Witebsk i pozwolenie zajechania na dni kilka do moich dzieci, do których nic o tem, że jadę do Permy nie pisałem. Zapomniałem wszakże powiedzieć, że dnia 25-go lutego otrzymałem od mojego zięcia sztafetę, donoszącą o szczęśliwym rozwiązaniu mojej córki, która mi 10 lutego przyprowadziła na świat wnuczka. Uspokoiło mnie też nieco i to, że i ona sama dobrze się miała.

Wtem przychodzi telegraficzna wiadomość o rewolucji wybuchłej w Paryżu 24-go lutego 1848 r. i o ogłoszeniu rzeczypospolitej.

Paskiewicz wówczas znajdował się w Petersburgu. Po konferencjach z carem miał nagle wracać do Warszawy. Powiadomił więc przez feldjegra Mirkowicza, Buxhoevdena i Kuprejanowa, komenderującego korpusem na Litwie, aby byli w Wiłkomierzu dla otrzymania stosownych rozkazów.

Dla dopilnowania egzekucji dekretów przysłany był na ten czas z Warszawy rzeczywisty radca stanu Jewecki, bardzo zacny człowiek. Był on, równie jak i inni, zdziwiony dekretem na mnie wydanym, a poznawszy się ze mną, zaręczał, że wkrótce muszę być cofnięty z wygnania, bo honor księcia Paskiewicza cierpi na tem, że podpisał taki dekret. Korzystając z nagłego przejazdu księcia marszałka, napisał sam notatkę Mirkowiczowi (z którym też do Wiłkomierza jechał), przedstawiającą moją niewinność i prosząc o uwolnienie od podróży do Rosji. Mirkowicz, zawsze najlepszy człowiek, ale tchórz, dodał w notatce, czy nie możnaby zesłać mnie na wygnanie do gubernji witebskiej, do Sarji. Pojechali więc Mirkowicz z Kuprejanowem i Buxhoevdenem, a dwaj ostatni również obiecali przemówić za mną. Kupreja-

now miał pierwszy audjencję u księcia i na pytanie, czy w Wilnie egzekwują się dekrety, odpowiedział, że egzekucja ich już się kończy i mało kto pozostał do wywiezienia. Przytem dodał: „Ale jest tam biedny Szumski, uwolniony przez Waszą Księżęcą Mość w sierpniu, a teraz wysyłany do Permy”. — „Co, co”, — wykrzyknął książę, — „Szumski, ach pamiętam, Łopacińska prosiła za nim w Warszawie. Przecież on wolny”. — „Nie”, — odpowiedział Kuprejanow. Książę, dowiedziawszy się od Kuprejanowa, że Mirkowicz ma w tej sprawie notatkę, kazał go zaraz wraz z Buxhoevdensem i Jeweckim przyzwać, a przeczytawszy zapiskę, rzekł: „Jeśli on niewinien, to lepiej go zupełnie ułaskawić, niż posyłać na zesłanie do witebskiej gubernji”, a wzięwszy pióro, podpisał: „Ułaskawić zupełnie”.

Ja, nie wiedząc, że rozstrzyga się mój los, spokojnie sobie jeszcze zasypiałem, gdy o godzinie trzeciej rano słyszę stukanie do bramy i głos czyjś, mówiący: „Od hrabiego Buxhoevdena do Szumskiego”. Zrywam się i widzę żandarma, który mi oddaje następujący bilecik, dotąd przeze mnie przechowany: „Czuję się szczęśliwym, mogąc pana zawiadomić, że książę marszałek wydał rozkazy generał-gubernatorowi Mirkowiczowi niewysyłania pana w głąb Rosji. Anioł widać, z nieba zesłany, chronił niewinnego. Proszę pana o zachowanie wiadomości tej w tajemnicy do czasu, kiedy p. Mirkowicz uwiadomi pana osobiście, gdyż jego to wstawienictwu zawdzięcza pan właśnie wstrzymanie wyroku. Już druga nad ranem, upadam ze zmęczenia i sen mnie ogarnia. Zawsze z przyjaźnią...”

Choć było jeszcze wczesnie, sen mnie już z radości odleciał, a tu o godzinie czwartej nowe stukanie. Kto? kamerdyner Kuprejanowa z następującym biletem, pisanym nietęgą francuszczyzną: „Przesyłam panu szczęśliwą wiadomość, że marszałek, za wstawienictwem generała Mirkowicza, dał rozkaz zupełnie pana uwolnić. Paweł Kuprejanow. O czwartej po północy”. To już druga dobra wiadomość. Znowu nie śpię, myślę tylko o wyjeździe do Sarji, gdy o godzinie siódmej rano zjawia się nowy żandarm, już od Mirkowicza, zapraszającego mnie do siebie na dzień czwarty marca na godzinę ósmą. Pobiegłem więc do niego, a on, rzucając mi się

na szyję, zawołał: „No, dzięki Bogu, jesteś wolny zupełnie”. Podziękowałem mu gorąco, nie żalując komplementów, i spytałem, jak prędko mogę wyjechać z Wilna? — „Choćby w tej chwili, jeśli pan chce. Trzeba jednak dopełnić niektórych formalności z gubernatorem, który jest wielkim marudą”.

Pobiegłem do Biegiczewa, u którego często bywałem. Ten, mając już na to rozkazy, odczytał mi najprzód urzędowo dekret, potem ułaskawienie, a rozkazawszy natychmiast wydać mi paszport, na który inni po dwa i trzy dni czekają, wziął potwierdzenie na piśmie, że mi odczytano dekret, i wreszcie pożegnał.

Nie tracąc czasu, kazałem zaraz zaprzęgać konie i 4-go marca 1848 r. powróciłem do Sarji, gdzie już doszła wieść o mojem wywiezieniu do Permy. Radość z mego przyjazdu i pozostania między swoimi była niezmierna.

Odtąd spokojnie i szczęśliwie czas między Sarją a moim Obabiem pędziłem, aż do ostatniej choroby mojego drogiego dziecka, po której już nie powstała, wydawszy na świat wnuka. Co zięć mój i ja cierpieliśmy i cierpimy — trudno opisywać. Wszyscy, co ją znali, wiedzą, jaką ponieśliśmy stratę, a udział i żal powszechny wszystkich znajomych i bliskich są najlepszym dowodem, jak powszechnie była lubianą. Pokój ceniom tego drogiego dziecka.

Chcieliście, zięciu i przyjaciele, abym pisał. Spełniłem wasze życzenia. Nie szukajcie stylu, ani chęci błyszczenia w czemkolwiek. Pisałem, bo takie były wasze żądania, a jeżeli pisząc, jak to mówią, co ślina do ust przyniesie, napisałem rzeczy nienadające się dla wszystkich do czytania, bo czasem trywjalne, nie weźmiecie mi tego za złe, gdyż pierwszy raz w życiu piszę coś dla innych. Wszakże, nie cierpiąc Moskali, może i niesprawiedliwy względem nich byłem, bo byli niektórzy, jak Obreskow, Dołhoruki, Kuprejanow, Mirkowicz, Chamutow, Inocenty, a nawet i Buxhoevden (choć prawdziwy żandarmski kuglarz), którzy mi bezinteresownie wielkie dowody swej przychylności i pomocy okazywali.

A więc *suum quique* — niech każdy odbiera to, na co zasłużył. Ja swoje zrobiłem.

Pisano w Sarji, roku tysiąc osiemset pięćdziesiąt pierwszego.

PRZYPISY.

Do str. 1. Łopaciński Ignacy, ur. 1822, zm. 1882, syn Józefa i Doroty z Morykonich; w 1856—59 marszałek pow. drysieńskiego, w 1863 członek „Wydziału zarządzającego prowincjami Litwy”; człowiek bardzo zacny i zdolny. Żonaty z Marią Szumską, córką autora pamiętników. Zob.: Jak. Gieysztor, *Pamiętniki, I—II* (Wilno, 1913). — Lamartine Alfons (1790—1869), poeta, historyk, polityk franc., jego „*Les nouvelles confidences*” druk. w tłumaczeniu J. I. Kraszewskiego w wileńskim „*Athenaeum*”, 1850, t. V—VI i osobno w Wilnie, 1851.

Do str. 2. Mirski Stanisław Wojciech (1756—1815), z książęcej rodziny Światopełk-Mirskich, pisarz W. Ks. Lit., gorliwy patriota, członek Najw. Rady Nar. Lit. 1794, żonaty ze Stanisławą z Koszyczów, zmarłą w 1835. Zob.: Żychliński, *Złota Księga szl. pol.*, IV, 192. — Bołosza w pow. święciańskim nad Wilją. — Dabry założył pensję w Wilnie w 1799 na mocy pozwolenia bisk. Jana Nep. Kossakowskiego; w 1819—20 była to pensja trzyklasowa żeńska utrzymywana przez Zofję d'Abry (Dabrową), mieściła się przy zaułku Bernardyńskim, w domu własnym Nr. 148. — Jasiński Jakób generał, 23 kwietnia 1794 rozpoczął powstanie w Wilnie. Zob.: Mościcki, *Gen. J. Jasiński* (Warszawa, 1917).

Do str. 3. Jundziłł Stanisław Bonifacy ks. (1761—1847), znakomity botanik, twórca ogrodu botanicznego w Wilnie, profesor Szkoły Głównej wileńskiej i Uniwersytetu wil.; w 1794—97 przebywał na studiach w Wiedniu i udzielał lekcji historii naturalnej zamieszkałym tam Polakom; „nie mogąc odmówić naleganiom Stanisława Mirskiego, pisarza w. lit., któremu niemałe winieniem był obowiązki, przyjąłem w dozór mój młodych Szumskich, koniuszyców wileńskich, i początkową ich, prawie przez rok, trudniłem się edukacją”. Zob.: Ks. Stanisław Jundziłł, *Pamiętniki* (Kraków, 1905), 31. — Hauke (Hauke) Fryderyk Karol Emanuel, ur. 1737 zm. w Warszawie 19 czerwca 1810, sekretarz Alojzego Brühla, w 1796 założył w Warszawie pensjonat dla młodzieży szlacheckiej. Syn jego, Maurycy (ur. 1775, zm. 1830), w 1790 był już minierem w Korpusie inż., brał udział w wojnie 1792 i 1794, później w Legionach, w 1806 pułkownik i szef sztabu gen. Dąbrowskiego, w 1815 generał-kwaternistrz, zast. ministra wojny. Zob.: Rembowski, *Spadek piśmienny po gen. M. hr. Hauke* (Warszawa, 1905); Louise de Hauké, *Le général Maurice comte de Hauké* (Varsovie, 1907); Paszkowski Józef, *Wspomn. o jen. Hauke* — „*Przegląd narodowy*” z 1913 r.

Do str. 4. Ludwik XVIII przebywał w Warszawie w 1801—04; zob.: Kraushar, *Bourboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie* (Warszawa, 1899); Zyg. Zborucki, *Emigracja francuska w Polsce w 1791—1805* — „*Przegląd współczesny*” z 1930 r. str. 216 sq.

Do str. 5. Wawrzecki Tomasz (1753—1816), następca Kościuszki po Maciejowicach, o jego roli w 1812 zob.: Smolka, *Polityka Lubeckiego* (Kraków, 1907), I—II. — Pac Ludwik Michał (1780—1835), magnat litewski, w 1812 generał w orszaku Napoleona; zob.: życiorys w Straszewicza, *Les Polonais et les Polonaises de la Révolution du 29 Nov.* (Paris, 1832); Skałkowski, *O kokardę Legionów* (Lwów, 1912), 275 sq.; Morawski, *Kilka lat młodości mojej w Wilnie* (Warszawa, 1924), 513 i inn. O balu dla Napoleona w Wilnie: „*Kurjer lit.*”, 1812 Nr. 53; Choiseul-Gouffier, *Mémoires* (Bruxelles, 1829), 104 sq. — Kossakowski Józef (1771—1840), w r. 1812 szef pułku strzelców pieszych litewskich, który własnym kosztem uformował. Szczegóły anegd. w (Leona Potockiego) *Pamiętnikach pana Kamertona* (Poznań, 1869), III, 67 sq. — Ogiński Gabriel (1784—1842), syn Ignacego i Józefy z Ogińskich, w 1812 szef gwardji honor. litewskiej, w 1813 w korpusie Ks. Józefa; zasłużony krzewiciel oświaty; w 1831 wódz powstania trockiego, w utworzonym przez Giełguda Tymczasowym Rządzie Centralnym Litwy wiceprezes i radca wydziału wojny, na tem stanowisku wykazał dużo energii i gorliwości; po upadku powstania emigrował do Paryża, gdzie utrzymywał się z introligatorstwa; w 1840 powrócił do kraju, zmarł w Wilnie 15 grudnia 1842. Zob.: Straszewicz, *Les Polonais*; materiały rkps. w Bibliotece rapperswilskiej; Akta Komisji gubern. wileńskiej (Archiwum państw. w Wilnie); Wrotnowski, *Zbiór pam. o powst. Litwy w r. 1831* (Paryż, 1833 i Lipsk, 1875), pass.; „*Wspomnienia o rodzinie Żałuskich*” (Kraków, 1907); Morawski, *Kilka lat*, 104, 479.

Do str. 6. Manuzzi hr. — rodzina wenecka osiedlona w Polsce, otrzymała indygenat za St. Augusta; Stanisław Manuzzi, poseł brasławski, gorliwy targowiczanie, ożenił się z Konstancją Platerówną, dziedziczką Belmontów w pow. brasławskim. Zob.: (Leon Potocki), *Pamiętniki pana Kamertona* (Poznań, 1869), III, 49 sq.; Hedemann, *Historja pow. brasławskiego* (Wilno, 1930), pass. — Mostowski Władysław, w 1812 porucznik 2 p. piech. (?), brat jego, Edward (1790—1855) był marszałkiem pow. zawilejskiego, w 1839 marsz. gub. wil., członek tow. tajnych przed 1830 r. — Zawierz w pow. nowoaleksandrowskim, od XVII w. w posiadaniu Mirskich; po bezdzietnej śmierci Napoleona Mirskiego w 1861 Zawierz przeszedł do siostrzeńców jego, Adama i Gabriela Chrapowickich, Mikołaja i Stanisława Wolskich, oraz na dzieci zmarłej poprzednio siostrzenicy, Marji Łopacińskiej, Stanisława Łopacińskiego i Zofję z Łopacińskich Rzewuską. — Belliard Augustyn Daniel (1769—1832), wybitny generał epoki napol.

Do str. 7. Gorecki Józef, syn Walentego, członka Rady Najw. Nar. Lit. w 1794 r., i Anny z Reuttów, gorliwej patrijotki; brat Antoniego, poety; nieszczej opinii, karciaż, w 1826 odebrał sobie życie. Zob.: Dr. St. Morawski, *Kilka lat*, 470; Puzynina, *W Wilnie i w dworach litew.* (Wilno, 1928), 116. — Narbutt Ksawery, porucznik 17 pułku ułanów. — Jundziłł Wiktor, podpor. 8 p. ułanów; brał udział w powst. 1830—31, w 1834 emigrował do Szwajcarii, przyjął tam poddaństwo, został członkiem Rady Min. finans. kantonu fryburskiego, za to wyrokiem 5 kwietnia 1839 skazany na pozbawienie tytułów, zesłanie do katorgi i konfiskatę

majątków Olekszyce i Brzostowica w grodzieńskim; zmarł we Fryburgu 1862.

Do str. 8. Bitwa pod Ostrownem, przy drodze z Bieszenkowic do Witebska, rozegrała się 26 lipca 1812, odznaczył się w niej m. inn. gen. Józef Niemojewski, zob.: Mościcki, Pod berłem carów (Warszawa, 1924), 62, 285.

Do str. 12 sq. Hrebnicki Justyn (1794—1868), syn Dionizego i Anny z Koszczyców, cioteczny brat St. Szumskiego, 16 grudnia 1815 na własną prośbę otrzymał dymisję jako kapitan „służby neapolitańskiej”, marszałek pow. lepeleskiego, żonaty z Teklą Gorską, w 1830 członek Komitetu wileńskiego. Antoni Gorecki poświęcił mu wiersz, zob. Pisma, I, 295. — W bitwie pod Walutynową Górą, 19 sierpn., Rosjanie stracili 5 tys. ludzi, Francuzi 8 t. — Barclay de Tolly Michał (1761—1818), jeden z wybitnych wodzów ros. w 1812, pochodził z rodziny szkockiej osiadłej w Inflantach. — Ney Michał, ks. Elchingen, ks. Moskwy, marszałek Francji (1769—1815), jeden z najwybitniejszych gen. franc. — Gudin de la Sablonnière Karol Stefan (1768—1812), gen., imię jego wyryto na Łuku Triumfalnym w Paryżu. — Tuczkow Paweł gen. (1775—1858), będąc w niewoli widział się z Napoleonem, zob. jego „Wspominania o 1812 g.” druk. w czasop. „Russkij Archiw”, 1873.

Do str. 14. Rapp Jan (1772—1821), wybitny gen. epoki napoleońskiej, pozostawił interesujące „Mémoires” (Paris, 1823).

Do str. 16. Grouchy Emanuel (1766—1847), markiz, wybitny gen. epoki napoleońskiej, w 1815 przyczynił się głównie do klęski cesarza pod Waterloo. — Jankowski Wincenty, podpor. 6 p. ułanów, 9 list. 1812 wzięty do niewoli ros. pod Smoleńskiem. — Pągowski Michał, pułkownik 6 p. ułanów, 8 list. 1812 wzięty do niewoli w Mińsku.

Do str. 18 sq. Bitwa pod Możajskiem 7 września; straty rosyjskie wyniosły przeszło 58 tysięcy w zabitych, rannych i jeńcach; francuskie — 28 tys., w tem 49 generałów; oficerów polskich padło 220. O tej bitwie przyczynki: Polikarpow, K istoriji otiecz. wojny, III (Moskwa, 1912); Kukiel, Jazda polska nad Moskwą (Poznań, 1919).

Do str. 21. Łubieński Tomasz (1784—1870), generał, wybitny uczestnik wojen napol., w 1814 gen. brygady, t. r. Aleksander polecił mu likwidację pretensyj do rządu franc. Zob.: Roger hr. Łubieński, Gen. Tomasz Pomian hr. Łubieński (Warszawa, 1899). — Ornano Filip Antoni, marszałek Francji (1784—1863), żon. z Marią z Łączyńskich Walewską; syn jej i Napoleona I Aleksander (1810—1868), wybitny mąż stanu franc., w 1855—60 min. spraw zagr. Zob.: Kraushar, Pani Walewska i jej syn (Warszawa, 1907).

Do str. 22. Umiński Jan Nepomucen, gen., szczegóły o nim: Askenazy, Łukasinski, II (1929), 367. — Radziwiłł Dominik (1786—1813), ostatni ordynat na Nieświeżu i Ołyce ze starszej linii, pułkownik wystawionego przez siebie 8 p. piech. Ks. Warsz. — Rostopczin hr. Fiodor, potomek w prostej linii (!) Czyngis-chana, ur. 1763, w 1814 r. wyjechał do Paryża, skąd wrócił w 1823, działania swoje usiłował usprawiedliwić w piśmie „La verité sur la l'incendie de Moscou” (Paris, 1823

i po ros. Moskwa, 1823). Zmarł w Moskwie 1826 r. Dzieła jego wydano w Petersburgu w 1853 r.

Do str. 25. Bitwa pod Tarutino 6 października st. st., o niej wiersz Ant. Goreckiego, zob. jego „Pisma” (Lipsk, 1886), I, 55. — W. ks. Michał, najmłodszy brat Aleksandra I (1798—1849), słynął z dowcipu, o czym liczne wzmianki w pamiątnikach i w „Dziadach” Mickiewicza („Żeby le grand duc Michel ten kalambur wiedział...”) Zob.: Mik. Malinowski, Księga wspomn. (Kraków, 1907), 117.

Do str. 26. Lauriston Aleksander (1768—1828), marszałek Francji, ambasador franc. w Petersburgu. O spotkaniu jego z Kutuzowem, 6 paźdz. 1812, inter. szczegóły w Wojenskiej, Swiaszczennoj pamiaty 12 god (Petersburg, 1912), 181 sq. — Kutuzow Michał, feldmarszałek (1745—1813), wódz naczelny ros. w 1812 r. — Cziczagow Paweł (1765—1849), admirał, wódz ros. w 1812 r., za nieudolność otrzymał dymisję i wyjechał zagranicę; w 1817 wydał swą obronę p. t. „Retreat of Napoleon”; napisał pamiątniki.

Do str. 27. Torquini, śpiewak, o nim zob.: Dr. Józ. Frank, Pamiątniki (Wilno, 1913), II, 95; III, 22 sq.

Do str. 28. Maret Hugo Bernard, ks. Bassano (1763—1839), wybitny polityk i dypl. franc., w 1812 r. był w Wilnie; zob.: Baron Ernouf, Maret duc de Bassano (Paris, 1884); Iwaszkiewicz, Litwa w 1812, pass. — Platerowa Apolinar, córka Tad. Żaby, ost. woj. polockiego, żona Kazimierza Platery, właściciela Dusiat, w 1812 szefa bataljonu pułku strzelców pieszych lit., zmarła 1847 r. Syn jej, Cezary Augustyn (1810—69), brał udział w powst. lit. 1830—31. Zob.: Morawski, Kilka lat, 55, 471 sq.; Gabr. Puzynina, W Wilnie i w dworach lit., pass.; Straszewicz, Les Polonais.

Do str. 29. Miłoradowicz Michał (1771—1825), generał ros. Spotkania jego z Muratem odbyły się 3 września st. st. pod wsią Wiazowka, 4 i 22 t. m. Zob.: Michajłowski-Danilewski, Opisanje otiecz. wojny (Petersburg, 1840), II, 2 sq.; „Russkaja Starina” (1897), XCI, 333 sq.

Do str. 30. Sebastiani Henryk Franciszek hr. (1775—1851), marszałek francuski, wybitny generał epoki nap., późniejszy minister spraw zagr.

Do str. 31. Friant Ludwik hr. (1758—1829), wybitny generał napol.—O Wieleżyńskim, „Litwinie niełękliwym”, wzmianka w wierszu Ant. Goreckiego p. t. „Przebiecie się otoczonego wojskiem ros. pułku 3-go piech. pol.”, zob.: „Pisma”, I, 58.

Do str. 34 sq. Mortier Edward Adolf, ks. Treviso, marsz. francuski (1768—1835), wybitny wódz w epoce napol., 1834—35 minister wojny. — Wintzingerode Ferdynand baron (1770—1818) był naprzemian w służbie heskiej, austriackiej, rosyjskiej; generał - adjutant Aleksandra I, zdradzał na prawo i na lewo; był czas jakiś dowódcą Korpusu litewskiego; żonaty z Polką, Heleną z hr. Rostworowskich, córką Andrzeja. Zob.: Michajłowski-Danilewski, Opis. otiecz. wojny; Wiskowatow, Imp. Aleksander I i jego spodwizniki (Petersburg, 1845—50); W. Ks. Mikołaj Michajłowicz, Russkije portriety (Petersburg, 1909), II, 197; por.: S. Woł-

konskij, Zapiski (Petersburg, 1902); Denis Dawydow, Zapiski (Moskwa, 1860—opinia nieprzychylna). O wysługiwaniu się Austrii i Prusom inter. szczegóły podaje Ulman, Russ.-preuss. Politik unter Aleksander I (Leipzig, 1899) i Ueber die Memoiren d. Fürst A. Czartoryski (Greifswald, 1898). — Michajłowski-Danilewski Aleksander gen. (1790—1848), historyk rosyjski, wydał cenne „Opisanie otieczestwiennej wojny” i wiele innych, przeważnie dotyczących wojen napol.; zbiorowe wydanie jego pism wyszło w Petersburgu w 1840 i in. — Naryszkin Leon (1785—1846), adjutant Wintzingerodego; w 1824 r. ożenił się z Polką, hr. Potocką; spokrewniony z Marią Naryszkin (1779—1854), słynną faworytą Aleksandra I, córką kasztelana Antoniego Czetwertyńskiego, powieszzonego w Warszawie w 1794. — Bronikowski Mikołaj, w 1794 pułkownik, gen. dywizji w 1809, gubernator Mińska w 1812, wzięty do niewoli ros. 19 października 1813 r. — Czernyszew Aleksander ks. (1785—1857), brał udział w kampanji 1812—15, następnie piastował wysokie urzędy; żonaty był z Polką, Teofilą Morawską, córką gen. Karola (zob. Morawski, Kilka lat, 465); o jego roli dypl. przy Napoleonie, zob. m. in. Sbornik imp. istoricz. obszczestwa, t. 121—2.

Do str. 36. Scena w Erfurcie odbyła się podczas przedstawienia „Edypa” Woltera. — Fouché Józef, ks. Otranto (1763—1820), głośny minister policji, szpieg i zdrajca Napoleona; zob.: Madelin, Fouché (Paris, 1900).

Do str. 38. Bitwa pod Małojarosławcem 23 i 24 października zdecydowała o odwrócie Napoleona. — Beauharnais Eugenjusz, syn Józefiny, późniejszej żony Napoleona I (1781—1824), wybitny wódz epoki napoleońskiej.

Do str. 40. Chrapowicki Piotr był brygadjerem w wojsku rosyjskiem.

Do str. 42. Zajączek Józef (1752—1826), gen., wybitny działacz epoki Kościuszkowskiej i napol., namiestnik Król. Pol. — Abramowicz Mikołaj, czy nie pomyłony z Ignacym? Zob.: Iwaszkiewicz, Litwa w 1812, str. 299; Morawski, Kilka lat, 483. — Gorecki Ant., syn Walentego i Reuttówny, ur. 1787 w Wilnie, kształcił się w Uniw. wil. (1802—1806), służył w wojsku Ks. Warsz., dokąd przedarł się z Litwy w 1809; odbył kampanję 1812, ranny, leczyl się w Krakowie; w 1815 odbywał liczne podróże zagranicą, w 1818 wrócił na Litwę, ożenił się z Weroniką Eydziatowiczówną; należał do Tow. Szubrawców; głośny poeta; w 1830 należał do Komitetu wileńskiego; w kwietniu 1830 udał się do Wilkomierza i brał udział w wyprawie na Wilno, jako szef sztabu zjednoczonych sił powst. Następnie otrzymał misję do Anglii, Szwecji i Paryża; razem z Mickiewiczem wyjechał do Drezna z zamiarem przedostania się do kraju; brał udział w pracach emigracji. Zmarł w Paryżu 18 września 1861. Zob.: „Przegląd Poznański” (1861), XXXII, 437; Roczn. Tow. hist.-lit. w Paryżu 1867, str. 326; „Wiadomości polskie” (Paryż, 1858), Nr. 20; Ant. Gorecki, Pisma (Lipsk, 1886); Wrotnowski, Pamiętniki o powst. Litwy w 1831 (Paryż, 1833 i Lipsk, 1875); Morawski, Kilka lat, pass. — Mielżyński Stanisław, gen., w 1812 r. dowódca brygady I dywizji.

Do str. 46. Krasiński Wincenty (1783—1858), dowódca pułku szwoleżerów, w 1812 gen. brygady. — Sanguszek Eustachy (1768—1844), w 1812 gen. brygady, zob. jego „Pamiętnik” (Kraków, 1876).

Do str. 48 sq. Mirski Tomasz, kapitan wojsk napol., członek Komitetu powst. w pow. dziśnieńskim w 1831, dziedzic Podziśnia, zmarł 1852. — Sokolnicki Michał (1760—1816), wybitny generał epoki napol. Zob.: Michał Sokolnicki, Gen. M. Sokolnicki (Warszawa, 1912). — Sievers Karol Gustaw (1772—1856), brał udział w wojnie polskiej 1792, napol. 1805—7, 9, 12, 13; od 2 kwietnia 1813 do 1815 był gubernatorem wojen. Prus Wschodnich i Królewca.

Do str. 52. Amnestja Aleksandra I, Wilno 12 grudnia st. st. 1812, zapowiadała jeńcom wojennym przebaczenie po ukończeniu wojny, nie wyłączając Litwinów, którzy, „jako Naród zdawna jednego języka i jednego plemienia z Rosjanami, nigdzie i nigdy nie mogą być tyle szczęśliwymi i bezpiecznemi, jak w zupełnem połączeniu się w jedno ciało z potężną i wspianą Rosją”.

Do str. 53 sq. Hiż Jan, od 10 marca 1808 kapitan 5 p. piechoty Ks. Warsz., albo Antoni, również od 12 kwietnia 1808 kapitan 5 p. piech. — Sieciński Kazimierz, kapitan 5 p. piech. (?). — Kamieniecki Feliks, od 31 grudnia 1811 kapitan 11 p. piechoty, od 23 paźdz. 1812 w 21 pułku jazdy.

Do str. 55 sq. Żelwietr Gaspar, popularna na Litwie postać w początku XIX w. Zob.: Dr. St. Morawski, W Peterburku (Poznań b. r.), 75 sq. — Sulistrowski Kazimierz, w 1809 i 1811 marszałek gub. wileński, w 1816—18 gubernator cyw. miński, zob.: Gabr. Puzynina, W Wilnie i w dworach lit. — Wawrzecki Michał, syn Stanisława i Anny Sielickiej, podkomorzy w 1812, podprefekt pow. brasławskiego, marsz. pow. brasł., zm. w Wilnie 1844, żon. był z Konstancją Łopacińską. — Porudominie, miasteczko w pow. wileńskim nad rzeczką Rudominą. — Szumsk, miasteczko w pow. wileńskim. — Korsakow-Rymskij Aleksander (1753—1840), gubernator woj. wileński w 1806—08 i 1812—30. Zob.: Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach” (Warszawa, 1908), 41 sq. — Gersztorfowa (Giersdorf) baronowa, córka jej wyszła za Narcyza Olizara, a następnie za Borysa Czetwertyńskiego, marszałka pow. jampolskiego (nie za Pisankę!). Zob.: Żychliński, XXI. — Matuszewicz Tadeusz (1765—1819), minister skarbu Ks. Warszawskiego. — Bobiatyński Michał, senator, w 1813—16 i 1823—24 wicegubernator wileński, następnie gubernator grodzieński, żonaty z Polką, Pauliną z Montwillów; człowiek dość uczciwy; zob.: Morawski, Kilka lat, 480; Karol Ursyn Niemcewicz, Pamiętnik (Paryż, 1863), 61.

Do str. 57. Wawrzecki Tomasz w 1813—15 był członkiem Rządu tymczasowego w Ks. Warszawskim z ramienia Aleksandra I. — Wawrzecki Józef, brat Tomasza, w 1812 dowódca 18 pułku ułanów lit., następnie generał-inspektor jazdy lit., później honorowy kurator szkół gub. wileńskiej.

Szumski otrzymał 16 grudnia 1815 dymisję na własną prośbę w stopniu kapitana „służby francuskiej”, którego „stan służby dla

wypadków wojennych nie jest wiadomy". (Akta Komisji Rząd. wojny, vol. 3057 — w Archiwum Akt dawn. w Warszawie); ożenił się 13 kwietnia 1819 z cioteczną siostrą, Marią Mirską, córką Stanisława, pisarza w. lit. i Stanisławy Koszczycówny, zmarłą 25 grudnia 1821 z powszechnym żalem krewnych i przyjaciół; zob.: dr. Frank, Pam., III, 240; Puzynina, 42 sq., 360; Ant. Gorecki, Pisma, II, 269, 295. „Babki” córki St. Szumskiego: Ludwika z Koszczyców Szumska i Stanisława z Koszczyców Mirska; ciotki — Barbara Szumska (zm. 1840), Aniela Sandersowa i Ewelina Chrapowicka, siostry Marji Mirskiej.

Do str. 59 Gorski Józef, syn Adama, starosty wiekszniańskiego i Wiktorji z Sierakowskich; marszałek gub. wileńskiej, za opuszczenie Wilna w 1831 pozbawiony tytułu szambelana. — Chrapowickij Maciej (1784 — 1847), brał udział w pochodzie włoskim Suworowa i w 1812—14, w 1824 został generałem-adjutantem; od 24 grudnia 1830 do 23 marca 1831 był gen.-gubernatorem wileńskim. Zob.: „Russkije portriety“, III, 194. — Horn Piotr, w 1824—30 był gubernatorem wileńskim, zmarł 2 września 1847 w Wilnie, żonaty był z Katarzyną Gorgini, zob.: Puzynina, W Wilnie, pass. — Obreskow Dymitr był w 1830—32 gubernatorem wileńskim.

Do str. 62. Załuski hr. Karol, syn Teofila, podskarbiego nadw. kor. i Honoraty Stępkowskiej (ur. 25 stycznia 1794 w Warszawie, zmarł w Iwoniezu 28 list. 1845); kształcił się w Krakowie; gdy matka jego rozeszła się z mężem i wyszła za mąż po raz trzeci za gen. Ottona hr. Igelströma, byłego przedstawiciela Rosji w Warszawie (1794), przeniósł się wraz z nią do majątków Igelströma na Litwie, a następnie do Petersburga. Dzięki stosunkom ojczyma w 1812 został kamerjunkerem, w 1816 attaché de légation przy poselstwie ros. w Szwajcarii, odtąd pełnił służbę dypl., w 1822 przeniesiony do poselstwa w Berlinie zajmował się sprawami likwidacyjnymi między Król. Pol. a Prusami; po śmierci ojczyma stał się dziedicem znacznej fortuny; 1825 nabył dobra Iwonicz w Galicji. W 1826 ożenił się z Amelją Ogińską i osiadł w pow. upickim; w 1826 i 1829 był marszałkiem pow. Wybuch powst. list. zastał go na tem stanowisku, niebawem objął kierownictwo ruchu i został obrany szefem rządu oraz naczelnikiem siły zbrojnej. Podczas wyprawy na Wilno sprawował naczelne dowództwo zjednoczonych oddziałów powst. Urząd naczelnika pow. upickiego pełnił aż do przyścia wojsk pol., pomimo ciężkiej sytuacji oraz usiłowań rządu ros. skłonienia go do zaniechania walki. Na zaproszenie Giełguda do Rządu Centralnego Litwy odpowiedział odmownie, wzamian proponując J. Straszewicza. Brał udział w bitwie na górach Ponarskich; po naraździe w Czabiszkach podczas odwrotu z pod Wilna mianowany generalnym intendentem armji na miejsce nieudolnego Marcina Zaleskiego, wszedł jednocześnie do Rządu Centr. Lit. w charakterze „radcy dyrygującego Wydziałem Administracji krajowej“; był w bitwach pod Plemborgiem, Szawłami, Powendeniem. Do Prus przeszedł jako major 12 p. ułanów ozdob. krzyżem wojsk. Rząd ros. zaliczył go do buntowników pierwszej kategorii i skonfiskował jego majątki. Na emigracji rozwinął ożywioną działalność, jednając sobie zaufanie i szacunek, m. in. Mickiewicza. W 1834 uzyskał obywatelstwo austriackie i osiadł w Iwoniezu. Zob.: Straszewicz,

Wrotnowski; Pietkiewicz, *La Lithuanie et sa dernière insurrection* (Bruxelles 1832); „Wspomnienia o rodzinie Żałuskich w XIX stuleciu“ (Kraków, 1907); akta Komisji gub. wil. i Kancelarii b. gen.-gub. wil. (Archiwum państwowe w Wilnie). — Zambrzycki Tadeusz Ludwik, ur. 1805 na Białorusi, żonaty z siostrą Ant. Goreckiego, Różą Wysogierdową. Razem z Goreckim w połowie kwietnia opuścił Wilno, udając się do powstania, brał udział w wyprawie na Wilno, jako adjutant K. Żałuskiego. Walczył pod Owsianiszkami, Dobrianami, Połagą; po rozproszeniu powstania lit. wyruszył do Królestwa, lecz, spotkawszy w drodze korpus Giełguda, wrócił z nim na Litwę, jako porucznik w 7 i 26 pułku piech. Z Dembińskim odbył odwrót do Warszawy i tu, w sierpniu, wszedł do sejmu jako przedstawiciel pow. brasławskiego; otrzymał krzyż złoty. Po upadku powstania zamieszkał w Paryżu z Goreckim i tam umarł 1834. Zob.: Wrotnowski; Morawski, *Kilka lat*; „Kurjer Polski“ 1831 Nr. 601; Ant. Gorecki, *Pisma*, I, 165, 172; „Kronika emigr. pol.“ (1834), I, 191; teki życiorysowe Chodźki w Bibl. rapperswilskiej. — Römer Edward (1806—1878), syn Michała i Racheli z de Raesów, kształcił się w un. wil. Należał do Komitetu Głównego z 1831; był członkiem organizacji patriotycznej w Wilnie 1834; za należenie do spisku Konarskiego skazany na śmierć, ostatecznie ułaskawiony i zesłany dożywotnio do gub. wołogodzkiej; w 1852 wrócił do kraju, w 1855 przeprowadził podanie petycji w sprawie jęz. polskiego na Litwie, w 1858—60 należał do Komitetu opracow. projekt uwłaszczenia włościan, w 1861—63 był pośrednikiem do spraw włościańskich z pow. nowoaleksandrowskiego, za podanie się do dymisji wspólnej z innymi pośrednikami został aresztowany i osadzony w areszcie domowym w Kownie. Cieszył się wielką popularnością i autorytetem wśród szlachty. Zob.: ks. Ludwik Zdanowicz, *Przemówienie na pogrzebie ś. p. Edw. Römera 4 maja 1878 w koście św. Jana w Wilnie* (Wilno, 1878); „Dziennik Poznański“ 1878, Nr. 217; „Tygodnik Illustrowany“ 1879, Nr. 176; *Monografia Römerów herbu Scipio* (Przemyśl, 1880); „Pamięci zmarłych z rodziny Römerów“ (Kraków, b. r.); Gieysztor, *Pamiętniki*. — Baliński Michał (1794—1864), znany pisarz i działacz społ., żonaty z córką Jędrzeja Śniadeckiego, Zofją. Wiadomości bio- i bibliograficzne podaje Korbut, *Literatura polska* (Warszawa, 1921), III, 536 sq.; Kraushar, *Świętokrzyżcy* (Warszawa, 1916), 54 sq.; nadto Akta osobowe Zarządu Okręgu Naukowego Warszawskiego vol. B. 2 (Archiwum Oświecenia w Warszawie). — Rogalski Leon (1806—1878), prawnik i historyk, w 1829 został p.o. sekretarza Rady un. wil., 1 kwietnia 1830 Rada un. zleciła mu wykład kursu pedagogiki w uniw. wil., 30 t. m. uzyskał stopień magistra praw; opracowywał historję un. wil., w 1832 był sekretarzem Komitetu likwidacyjnego un. wil., następnie był członkiem Rady Wychowania publ. w Król. Pol.; w dobie paskiewiczowskiej niezaszczytną odegrał rolę. Zob.: Korbut, j. w., III, 601 sq.; Kucharzewski, *Epoka paskiewiczowska* (Warszawa, 1914); Kraushar, *Świętokrzyżcy*, 57 sq.; Akta osobowe Zarz. Okr. Nauk. Warsz. vol. R. 9. (Arch. ośw.).

Do str. 63 sq. Karnicki Marcin, syn Franciszka, szambelana, marszałka pow. łucyńskiego i Anny Benislawskiej, był marszałkiem gub.

witebskim w 1825—1833. — Chowanskij ks. Mikołaj był gen.-gubernatorem białoruskim, wróg Polaków. Zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła, 96 sq.; Barzykowski, Hist. powst. lit., IV, 191. — Guizot Franciszek, polityk i historyk franc. (1787—1874), minister oświaty 1832—37, min. spraw zagr. 1840—47; prezes ministrów 1847—48; błędy jego polityki przyczyniły się do wybuchu rewolucji 1848. — Metternich Klemens (1773—1859), słynny mąż stanu austriacki, najdoskonalszy wyraziciel systemu rządów reakcyjnych. — O nastrojach przychylnych Polsce w Małorosji w 1793—94 zob.: Mościcki, Gen. Jasiński, 119, 376.

Do str. 65. Spazier Richard Otto, historyk niemiecki, wydał cenną „Historję powstania narodu polskiego w r. 1830—31” (Paryż, 1833), w jęz. polskim, francuskim i niemieckim; zob.: Pamiętnik V powsz. Zjazdu histor. pol. (Lwów, 1930), I, 496 sq. — Pietkiewicz Walerjan, ur. 5 stycznia 1805 w Mieciawiczach, pow. słuckim; kształcił się w kolegium słuckim i un. wil., w 1828 po uzyskaniu stopnia magistra praw został prof. nadzw. prawa rzymskiego. Po wybuchu powstania wziął czynny udział w pracach konspiracyjnych i został sekretarzem Komitetu Głównego; wyszedł z akademikami z Wilna i objął dowództwo oddziału, który następnie połączył się z J. Zaliwskim, brał z nim udział w bitwie pod Ponarami i odbył marsz do Warszawy; otrzymał krzyż *Virtuti militari* i wszedł do sejmu jako przedstawiciel pow. słuckiego, na sesji 17 sierpnia przemawiał w imieniu repres. ziem lit. Po upadku powstania był sekretarzem Komitetu Nar. Pol. w Paryżu, a następnie uczył niemieckiego w kolegium w Tours, brał czynny udział w życiu emigracji; zmarł w Tours 22 paźdz. 1843. Napisał „La Lithuanie et sa dernière insurrection” (Bruxelles, 1832). Zob.: Teki życiorysowe Chodźki w Bibl. rappersw. — Gruszeński Juliusz, syn Jakóba, majora wojsk lit. i Doroty Osten-Sacken, w 1831 dzielny partyzant na Żmudzi, zdobywca Rosień, zmarł w Paryżu 3 list. 1865. Zob.: Straszewicz; „Rocznik Tow. hist.-lit.” (Paryż 1867), 327; Bronikowski, Pamiętniki polskie (Paryż, 1844); Żychliński, Złota księga szl. pol., XXIV; wiersz Konst. Gaszyńskiego p. t. „Zajęcie Rosień” w tegoż „Poezjach” (Paryż, 1844); Wrotnowski. — Kalinowski Dobrosław albo Stanisław, obaj brali wybitny udział w powst. 1831 w pow. rosieńskim. Zob.: Wrotnowski. Dobrosław K., znany pod imieniem Benedykta, był członkiem licznych tow. tajnych przed r. 1830. Zob.: Kraushar, Sprawa studenta Ben. Kalinowskiego (Warszawa, 1910).

Do str. 66. Szemioth Franciszek, syn Tadeusza i Anieli z Koszczyców, cioteczny brat St. Szumskiego, ur. w 1803 w Dyktoryszkach na Żmudzi; kształcił się w szkole rosieńskiej i w un. wil., w 1825 został urzędnikiem kancelarii Sekretarjatu Stanu Król. Pol. w Petersburgu, w 1826 mianowany kamerjunkrem. Na wieść o wybuchu powst. list., która go doszła podczas urlopu na Żmudzi, początkowo chciał jechać do Warszawy, po namyśle pozostał jednak w kraju i przystąpił do prac konspiracyjnych, w tym celu porozumiewał się z przywódcami spisku na Żmudzi, jeździł w tej sprawie do Wilna, sprowadzał oręż i amunicję; jeden z pierwszych rozpoczął powstanie, 27 marca z Konstantym Herubowiczem zdobył Szawle, potem pośpieszył na pomoc powst. rosieńskim i pomógł im do powtórnego wypę-

dzenia Moskali z Rosieñ. Podczas wyprawy zjednoczonych sił powst. na Wilno, delegowany przez Źmudzinów, udał się do naczelnego wodza tej wyprawy, Załuskiego, celem dokonania akcesu, lecz przybył już po bitwie owśianiskiej, kiedy został zdecydowany odwrót do swych powiatów; odtąd ze zmiennem szczęściem toczył walkę z nieprzyjacielem w swoim powiecie; po przybyciu na Źmudź gen. Szymanowskiego przyłączył się do niego na czele dwutysięcznego oddziału; był członkiem krótkotrwałego Rządu Centralnego Źmudzkiego. Gielgud mianował go majorem; po przejściu do Prus otrzymał krzyż walecznych. Z Prus usiłował przedostać się do Warszawy, lecz został zatrzymany przez Prusaków i uwięziony w Tylży; zwolniony na reklamację gen. Rohlanda, wyjechał do Francji; w 1832 uczestniczył w charakterze ochotnika przy sztabie gen. Gérard w zdobyciu fortecy belgijskiej d'Anvers, później walczył pod gen. Dembińskim w Egipcie. Zmarł w końcu XIX w. Zob.: Straszewicz, Les Polonais; Ant. Gorecki, Pisma, I, 40; Wrotnowski; Bronikowski; Akta Sekret. Stanu Król. Pol. (Archiwum akt dawn. w Warszawie); Akta Komisji gub. wileńskiej (Arch. państw. w Wilnie); Marja z Przeddzieckich Walewska, Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie (Warszawa 1930), 64 sq. — Kłagiewicz Jędrzej Benedykt (1766—1841), w 1828—41 zarządzał diecezją wileńską, działalność jego, niedostatecznie znana, sprzecznym ulega sądom. Zob.: Puzynina, W Wilnie i w dworach lit., 167, 366; Sobarri, Obrazki lit., (Poznań, 1874), 115; Dobszewicz, Wspomnienia (Kraków, 1883), 94 sq.; Helenjusz, Listki (Kraków, 1901), I, 33 sq. — Dn. 27 marca st. st. 1831 rozstrzelany był ks. Hieronim Wojtkiewicz zamieszany w sprawę t. zw. spisku Kudrewicza, nadto kleryk Marcin Strzałka; zob.: „Powstanie 1830—31 na Litwie. Wspomnienia uczestników”, wydał H. Mościcki (Wilno, 1931), VIII.

Do str. 66. Wbrew twierdzeniu Szumskiego bisk. Kłagiewicz ogłosił 27 lutego 1831 list pasterski do duchowieństwa, w którym wzywał do „obowiązku zaprzysiężonej wierności dla Tronu” i takie dawał polecenia: „Zachowajcie się w spokojności jaka Wam, Ministrom Boga pokoju przystoi; uzbrojcie się mocą charakteru kapłańskiego przeciw nauce przewrotności, ostrożnością przeciw chytrym namowom, stałością przeciw groźbom lub obietnicom nieprzyjaciół. Toż samo wrażajcie ludziom Waszemu pasterstwu powierzonym, aby się nie dali uludzić i wtrącić w przepaść gotową... Hasłem waszem niech będzie wierność Bogu i od Boga postanowionej władzy należna...” (Druk współcz.).

Do str. 67. Parczewski Konstanty, syn Ignacego i Salomei Dziewońskiej, ur. 1801, dzielny dowódca powst. w pow. wileńskim. Zob.: Straszewicz; Wrotnowski; Ant. Gorecki, Pisma, I, 40; Pamiętnik jego p.t. „Powstanie w okolicach Niemenczyna” druk. w Bronikowskiego, Pam. pol., III, 162 sq. — Chodźko Józef, syn Jana i Klary z Korsaków, ur. 1800 w Krzywiczach, brał udział w tow. młodzieży lit., przewodnik błękitnego grona filaretów, magister filoz. un. wil., podporucznik gwardji w ros. sztabie gen., zczasem gen.-major inżynierji, wykonał triangulację Kaukazu. Zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła, 240; Mościcki, Z filareckiego świata (Warszawa, 1924), passim. — Tennner gen. inż., 1831 dowodził garnizonem w Mińsku. — Chodźko Jan, (1777—1851), głośny działacz społeczny na Litwie i pi-

sarz, podczas powst. list. wysłany do Permu. Zob.: Morawski, Kilka lat, 500; Borowy, Ign. Chodźko (Kraków, 1914). Dochował się urywek listu Jana Chodźki do sędziego Jana Kowerskiego, z Mińska 23 stycznia 1831:

„... o stanie tej ziemi, na której mieliśmy się szczęście urodzić i dla której tak słodko cierpieć, ale tu gorzej jak na wsi głucho, wielu wnosi, że do wojny nie przyjdzie, że się na układach ma zakończyć, do których pośrednikiem naznaczają króla pruskiego, drudzy głoszą, że już wojska rosyjskie wkroczyły do Polski 19 t. m. (faktycznie wojska ros. przekroczyły granicę Król. Pol. 5 lutego 1831 p. w.), lecz jeszcze do kroków wojennych nie przyszło, tymczasem to pewniejsza, że rząd wszystko niszczy co tylko podobnem do polskiego było w naszym kraju. Białorusi odebrano statut litewski i jako zasłużonych (!) porównano zupełnie ze starem rosyjskimi gubernjami, w naszych zmieniono mundury, zamiast obszlegów amarantowych kazano nosić ponsowe, zamiast guzików białych — żółte z herbem gubernji; z odmianą sposobu i serca, przynajmniej u znaczniejszej liczby osób, mniej jeszcze będzie może pracy. Wczoraj czytałem cyrkularz każący ścigać obywatela wołyńskiego Wereszczakę, który przeprawiał w Uściługu przez Bug 40 koni i sam drapnął ku Brześciowi, ale bliżej zdaje się wnosić, że za końmi popłynął. Na drodze spotkałem kilkunastu naszych Litwinów z Korpusu litewskiego jadących do Moskwy, i dalej w głąb Rosji, mówią, że przeszło już sto osób tak przesłano...” — Pol Wincenty (1807—1872), znany poeta, do Wilna przyjechał jesienią 1830 r., wykładał jęz. niemiecki w un. wil., szybko zawiązał stosunki z młodzieżą i całem społeczeństwem wileńskim; bywał w wielu znaczących domach, uważano go nawet za agenta rządu powst. z Warszawy i ostrzegano, aby był ostrożniejszy; w końcu kwietnia 1831 opuścił Wilno z grupą akademików; w tułaczce po lasach, w bardzo ciężkich warunkach wykazał hart ducha, wytrwałość i umiejętność kierownictwa, dzięki niemu oddział akad. ocalał i w końcu połączył się z oddziałem gen. Chłapowskiego, odtąd dzielił losy wojsk pol. na Litwie i wraz z niemi przeszedł do Prus w stopniu porucznika. Zob.: Estreicher, W. Pol, jego młodość i otoczenie (Lwów, 1882); M. Mann, W. Pol (Kraków, 1904); Winc. Pola „Pieśni Janusza”, wyd. „Bibl. Narodowej” ze wstępem J. Kallenbacha; Winc. Pol, Pamiętniki (rkps.).

Do str. 68. Mirski Napoleon (1804—1861), syn Stanisława, pis. W. Ks. Lit., ożeniony w 1845 z Ludwiką Godlewską, zmarła w 1859. — Jocher Adam Benedykt (1781—1860), znany bibliograf, bibliotekarz uniw. wil. Zob.: „Kur. Lit.”, 1913, Nr. 245; Brensztejn, Biblioteka uniw. w Wilnie (Wilno, 1925), 77 sq. — Tell, Stauffacher, Melchtal — legendarni założyciele związku szwajcarskiego w r. 1307.

Do str. 70. Pułowski Wojciech (1762—1833), marszałek słonimski (nie wojewoda!), popularna postać na Litwie w pocz. XIX w. Zob.: Trynkowski ks., Mowa pogrzebowa na przeniesieniu ciała Wojciecha i Józefa Pułowskich do rodzinnej majątności Pieski (Wilno, 1834); Morawski, Kilka lat; Puzynina, W Wilnie, pass.

Do str. 71. Chłapowski Dezydery (1789—1879), oficer napoleoński, wybitny uczestnik powst. lit. 1831. Napisał „Pamiętniki” (Poznań,

1899); por.: Askenazy, Wczasy hist. (Warszawa, 1902), 85 sq.; A. Z. (Kazimierz Chłapowski, wnuk Dezyderego), Wojna na Litwie w r. 1831 (Kraków, 1913). — Łappa Aleksander (1802 — 1869), marszałek pow. bobrujskiego, od 30 paźdz. 1859 do 1863 marszałek gub. miński, w 1863 zesłany do gub. permskiej. Zob.: Gieysztor, Pamiętniki, I, 345. — Tyszkiewicz Michał (1761 — 1839), w 1812 pułkownik 17 p. jazdy lit. Zob.: J. Tyszkiewicz, Histoire du 17 Rég. de caval. pol. (Cracovie, 1904). — Borowski Ignacy ks., prałat wil.

Do str. 74. Giełgud Antoni (1792 — 1831), syn Michała, marsz. nadw. lit. i Eleonory z Tyszkiewiczów, w 1812 pułkownik 21 p. piechoty, w 1831⁷ dowodził I brygadą dyw. piech. Krukowieckiego, później II dyw. piech., walczył pod Wawrem i Grochowem, wysłany na Litwę, akcję prowadził b. nieudolnie, w czasie przejścia granicy pruskiej, 13 lipca, został zabity przez kapitana 7 p. p., Skulskiego. Zob. m. in.: Wrotnowski; Kronika emigr. pol. (1837), VI, 106 sq.; Bronikowski, Pam. polskie (Paryż, 1844); Dankbar, Der Uebertritt d. poln. Corps v. Giełgud... auf das preuss. Gebiet (Koenigsberg, b. r.); por. Tokarz, Wojna pol.-ros. 1830 — 31 (Warszawa, 1930). — Abramowicz, prawdopodobnie Mikołaj, marszałek pow. wileńskiego. Zob.: Morawski, Kilka lat; Puzynina, W Wilnie, pass. — Lukonnie (Lukoynie), piękna rezydencja gen. Józ. Kossakowskiego w pow. wileńskim.

Do str. 75 sq. Salmonowicz, jeden z plenipotentów t. zw. Masy Radziwiłłowskiej; Józ. Karczewski w swym pamiętniku (rkps.) mówi o licznych jego nadużyciach i nazywa „wychrztą”. Zob.: Morawski, Kilka lat, 271. — Radziszewski Stanisław, oficer napoleoński, pułkownik 26 p. piech., naczelnik powst. 1831 w pow. zawilejskim. Zob.: Wrotnowski; Bronikowski; Puzynina, 366; portret jego w „Powst. 1830 — 31 na Litwie”, wydał H. Mościcki (Wilno, 1930). — Pahlen von der Piotr (1778 — 1864), gen.-adjutant, w 1831 dowódca I korpusu piech. — Drebusz von Aleksander, w 1831 — 35 gubernator cywilny miński. — Murawjew Michał (1796 — 1865), osławiony „Wieszatiel”; należał do spisku dekabrystów; w 1828 — 31 był gubernatorem mohylewskim, w 1831 — 35 grodzieńskim; o jego działalności w tym czasie: Piotr Dołgorukow, M. N. Murawjew (Londyn, 1864), 15 sq.; Kropotow, Żiźń gr. M. N. Murawjewa (Petersburg, 1874); Dangel St., Rok 1831 w Mińszczyźnie (Warszawa, 1925). — Łopaciński Aleksander, syn Marcina, podkomorz. pow. dziśnieńskiego, jeden z głównych organizatorów powstania w pow. dziśnieńskim, poległ przy szturmie Warszawy, we wrześniu 1831. Zob.: Wrotnowski; Dangel, Rok 1831 w Mińszczyźnie (Warszawa, 1925), 138; Hedemann, Hist. pow. brasławskiego (Wilno, 1930), 165 sq.

Do str. 78 sq. O okrutnej rzezi w Oszmianie, 16 kwietnia 1831, w której zginęło ok. 300 ludzi, podaje zestawienie Edw. Wł. Szczerbicki w rozprawie „Rok 1831 w pow. oszmiańskim”, druk. w „Roczniku państw. gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Oszmianie” na r. 1926 — 27. — Dowre (d'Auvray) Teodor (1764 — 1846), był w wojsku saskim, polskim, rosyjskim, w 1819 — 27 dowódca korpusu lit., w 1831 brał udział w wojnie jako szef sztabu Tołstoja. Zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła, 152 sq.;

„Wojennaja Gallereja 1812 g.” (Petersburg, 1912), 75; „Pietierburgskij Nie-kropol”, I, 66. — Tołstoj hr. Piotr (1761 — 1844), gen. ros., walczył z Polakami w 1794 i w 1831 na Litwie, jako szef armji rezerwowej. — Dołhoruki (Dołgorukow) Mikołaj ks., gen.-gubernator wileński od 23 marca 1831 do 18 marca st. st. 1840; dosadne charakterystyki u Morawskiego, Kilka lat, pass. i Puzyniny, W Wilnie, pass.

Udział Szumskiego w 1830 — 31 w nast. sposób scharakteryzował sąd wojenny z 14 stycznia 1839: „Szumskij sostoja w dołżnosti Wilenskawo ujezdnowo przedwoditiela dworanstwa był ogoworien priestupnikom Ważynskim w uczastji po mianie 1831 g. i po podozrienju wysłan w Smolensk pod nadzor policji, no po opriedielenju bywszej wileńskiej gubernskiej o mianie 12 oktiabria 1832 g. utwierdionnom G. Gławnokomandujuszczym 1-ju armieju wzwiędionnoje na Szumskawo podozrienie przinano biezdokazatielnym. Wproczem kak Szumskij dopustił siebia po siemu diełu k raznoobraznym objasnienjam, goworia spierwa o przedwaritielnom znani na szcót gotowiwszawosia w wileńskiej gubernii mianie a posle sdielał ot siewo otricanje i tiem podał powod k podozrienju, to położono: dozwołit' jemu wstupit' w otprawlenie swojej dołżnosti, nie prieźdie kak s protiečenjem niekatorawo wriemieni, po przedwaritielnom ispytanji jewo obraza myslej i wiernopoddaniczeskoj priedanosti”. (Arch. państw. wil.).

Do str. 80. Konarski Szymon (1808 — 1839), głośny emisariusz na Rusi i Litwie po 1831, o jego działalności zob. m. in.: Zienkowicz, Sz. Konarski (Paryż, 1859); „Russkij Archiw”, 1909, z. 4 str. 483 (rkps. Gaspara Maszkowskiego); Helenjusz, Wspomnienia lat min. (Kraków, 1876), II, 193 sq. (pamiętnik Franciszka Sawicza); tegoż, Pamiątki pol. (Kraków, 1882), II, 656 sq. (pamiętnik Spirydjona Ostaszewskiego); „Szymon Konarski w 60-tą rocznicę stracenia” (Lwów, 1902); Szpotański, Konarszczyzna (Kraków, 1906); Wł. Zahorski, Sz. Konarski (Wilno, 1907); Wielka Encyklop. powsz. ilustr., XLII, 708 sq.; Mościcki, Pod berłem carów (Warszawa 1924); dr. M. Łowicki, Duch Akademji wileńskiej (Wilno, 1925); Handelsman, Francja — Polska (Warszawa, 1926), II, 172 sq.; Janik, Dzieje Polaków na Syberji (Kraków, 1928), 123 sq.; Mościcki, Szymon Konarski (Wilno, 1924). Obszerne materiały rkps. i korespondencja w posiadaniu wydawcy niniejszego pamiętnika. — W a ż y ń s k i Porfiry, b. oficer napol., sąd o nim Szumskiego niesprawiedliwy, był bowiem ofiarnym działaczem 1831 w pow. oszmiańskim, zmarł w drodze na wygnanie, koło Smoleńska; zob.: Szczerbicki, Rok 1831 w pow. oszmiańskim — „Rocznik gimn. im. J. Śniadeckiego w Oszmianie”, 1926 — 27. — P r z e z d z i e c k i Karol, syn Michała, pisarza w. W. Ks. Lit. i Marjanny z Mostowskich, marszałek pow. zawilejskiego, 1812 pułkownik 21 p. piech. lit. i 18 jazdy lit., w 1831 naczelnik powst. w pow. zawilejskim, zmarł w Królewcu 1832; zob.: Wrotnowski; Puzynina; Szczerbicki. — K l u k o w s k i Ignacy, wybitny działacz 1831 w pow. oszmiańskim, jego pamiętnik u Wrotnowskiego, por. Szczerbicki j. w.

Do str. 82. S a p i e ż y n a Pawłowa Pelagja (1775 — 1859), córka Szczęsnego Potockiego, 1-o voto Franciszkowa Sapieżyna. — Ł o p a c i ń-

ska Dorota z Morykonich, żona Józefa, szambelana, marszałka pow. drysieńskiego (zm. 1835, zob. ks. L. Trynkowski, *Mowy w czasie żałobn. modłów za duszę ś. p. Józ. Łopacińskiego*. Wilno, 1835). — *Platerowa Felicja* z Morykonich, żona Wacława (1789—1811). — *Czudowska Justyna* z Holyńskich (1793—1841). — *Ciechanowiecka Paulina*; o tych paniach zob.: Puzynina, W Wilnie i w dwor. lit., pass. — Wzmianka o Szumskim u Spaziera, *Geschichte d. Aufstandes d. poln. Volkes* (Altenburg, 1832), II, 157; w wyd. polskim (Paryż, 1833), II, 167 sq.

Do str. 83. *Doppelmayer Grzegorz*, prokurator, następnie cyw. gub. wil., od 1836 gubernator grodzieński; zob.: Puzynina, 221, 228.

Do str. 85. *Zawisza Czarny Artur*, ur. 1808, syn Cyprjana i Marii z Karnkowskich, jeden z uczestników nieszcześliwej wyprawy 1833. do Polski, powieszony w Warszawie 26 list. 1833. — *Giecołd Stefan*, towarzysz Zawiszy, powieszony; — *Wołłowicz Michał*, ur. 1806, syn Kazimierza i Marjanny z Felkiersahmów, uczestnik wyprawy 1833 na Litwę, powieszony przez Murawjewa 21 czerwca st. st. 1833 w Grodnie; zob.: Straszewicz; Mich. Chodźko, *Ar. Zawisza i Mich. Wołłowicz* (Paryż, 1859); Giller, *Hist. powst. nar. pol.* (Paryż, 1870), III, 359; Murawjew, *Zapiski — „Russk. Starina”*, XXXVI, 627; Szerbatow, *Kn. Paskiewicz* (Petersb., 1896), V, 102; Berg, *Zapiski o polsk. zag. i wozst.* (Poznań, 1885), I pass.; Kraushar, *Partyzantka Ar. Zawiszy* (Warszawa, 1915); Mościcki, *Z filareckiego świata*, 343; *Ateneum wil.* (1923), I, 540 sq. — Organizacja, o której opowiada Szumski powstała z ramienia t. zw. „Związku jedności narodowej”, utworzonego w 1833 pod wpływem Czartoryskiego w celu „wyjednania albo wywalczenia Polski niepodległej, takiej, ażeby tak w własnej sile dostateczne zachowania swej niepodległości miała rękojmię”, zob.: *Handelsman, Francja—Polska* (Warszawa, 1926), II, 238; „*Kurjer Wileński*” z 18 kwietnia 1839. Jednym z wybitniejszych członków tej organizacji był Jan Bylewski, obywatel z Mińszczyzny, skazany na pozbawienie praw i zesłanie na Syberję, o nim wszakże Szumski nie wspomina.

Do str. 86. *Kozakiewicz Stanisław*, ur. 1802, kandydat praw, przewodnik błękitnego grona filaretów, adwokat Komisji Radziwiłłowskiej i sekretarz gub., skazany do Tomska, tamże zmarł; zob.: *Korespondencya Filomatów* (Kraków, 1913), pass.; Mościcki, *Z fil. św.*; „*Kurjer Wileński*” z 18 kwietnia 1839. — *Dobkiewicz Franciszek*, wydał „*Pisma rozmaite*” (Wilno, 1838), wysłany do Rosji. — *Trynkowski Ludwik Gabrijel*, ur. 24 marca 1805 w Pełeniach, w wileńskim, w 1836 kanonik wil., znakomity kaznodzieja-patrjota, w więzieniu zwarjował; jako obłąkany wywieziony do Irkucka, gdzie zmarł 24 marca 1849. Biskup Kłagiewicz nie chciał dokonać zdjęcia sakry kapłańskiej, uczynił to w Mińsku bisk. Mateusz Lipski. Jego utwory druk.: „*Mowa na uczcz. Wojc. Pusłowskiego...*” (Wilno, 1833); „*Mowa na pogrz. Bened. z hr. Matuszewiczów Zaleskiej...*” (t., 1833); „*Mowy... Józ. Łopacińskiego*” (t., 1835); „*Mowa na uczcz.... Jędrz. Śniadeckiego*” (t., 1838 i Warszawa. 1840); „*Mowy pogrzebowe*” (t., 1834); *Dobkiewicz*, *Trynkowski* i *K(rzechowski)*, *Pisma rozmaite* (Wilno, 1838). Zob.: „*Śmierć xda Trynkowskiego*”, poemat dramatyczny (Paryż, 1845); „*Kurjer Wil.*” 18 kw. 1839; Giller, *Z wygnania*

(Lwów, 1870), II, 20 sq.; Sobarri (Kirkor), Obrazki litewskie (Poznań, 1874), 54 sq.; dr. M. Łowicki, Duch Akad. wil., pass.; Heleniusz, Wspomnien. lat min., II, 196 sq.; Encykl. Orgelb., XXV, 645; ks. Dobszewicz, Wspomnienia (Kraków, 1883), 151; Dubiecki, Teresa z Wierzbickich Bułhakowa (Kraków, 1895), 50 sq.; bisk. Ad. St. Krasiński, Wspomnienia (Kraków, 1901), 75 sq.; Mik. Malinowski, Księga wspomnień (Kraków, 1907), 97 sq.; ks. Kurczewski, Kościół zamkowy (Wilno, 1916), 472 sq. zob. wyżej str. 132. — K o ń c z a M e d a r d (1803—1899), syn. Medarda i Rozalji z Dowgiałłów, w 1826 ukończył un. wil., w 1831 działał w powst. wilkomierskiem, adjutant Chłapowskiego; brał udział w akcji konspiracyjnej 1837—38 i za to został zesłany do gub. wołogodzkiej, w 1845 powrócił do kraju, w 1858—63 marsz. pow. wilkomierskiego; brał czynny udział w pracach przedpowstaniowych i ulegał prześladowaniom. Zob.: Gieysztor, Pam., I, pass. — R ö m e r S e w e r y n (1814—1891), syn. Michała, młodszy brat Edwarda (zob. str. 192), za udział w pracach konspiracyjnych zesłany do gub. wołogodzkiej, powtórnie wywieziony w 1863—65. Zob.: Gieysztor, Pam., I-II, pass.; nadto szczegóły o przejściach Seweryna i Edwarda Römerów zawiera „Pamiętnik życia Edwarda Römera, zwanego Cikiem, syna Edwarda i Zofji z Białozorów, ur. w Wilnie 15 stycznia 1838, zm. w Wołogdzie 9 stycznia 1844, napisany przez jego matkę”, oraz obszernie „Pamiętniki z pobytu w Rosji i w kraju, 1839 — 76” Edw. Römera (rkpisy w pos. rodziny). — Z a l e s k i Z e n o n, z wileńskiego, skazany na nadzór polic. — „Wizerunki i roztrząsania naukowe”, wychodziły w Wilnie, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego od 1834 do 1843, ogółem 60 tomików; redaktorem był do 1835 r. Leon Rogalski, później Józef Szydłowski, zob. „Kwartalnik litewski” (Wilno, 1910), IV, 69 sq. — K o r s a k J u l j a n (1807 — 1855), poeta, przekład poematu Byrona „Lara” wydał w Wilnie 1833. Zob.: Korbuc, Lit. pol., III, 93. — „Kraji Emigracja” czasopismo wydawane w Paryżu, w 1835 — 1843, przy udziale Mochnackiego i Woronicza, помещало m. in. artykuły o powstaniach, służbie wojska w polu i t. p., zob. Kucharzewski, Czasopiśm. pol. na emigracji (Warszawa, 1911). — C h r z a n o w s k i W o j c i e c h (1788 — 1861), generał, w 1831 szef sztabu głównego, w 1849 wódz naczelny armji piemonckiej, wydał szereg dzieł z zakresu wojskowości, m. in. „O wojnie partyzanckiej” (Paryż, 1835); brał czynny udział w pracach polit. i wojsk. emigracji.

Do str. 87 sq. R e n i e r (R e g n i e r) A n i c e t y dr., w 1835 r. otrzymał stopień lekarza w Akad. wil.; zesłany w 1847 do Aleksandrowskiego Zawodu pod Irkuckiem, powrócił do Wilna w 1857, zmarł tamże 1877. Zob.: „Bielński, Stan nauk lekarskich (Warszawa, 1889), 700; „Ateneum wil.” (1927), IV, 200 sq.

Do str. 88 T o w i a ń s k i A n d r z e j (1799 — 1878), słynny mistyk. G u t t F e r d y n a n d (1790—1871), filareta. W a ń k o w i c z W a l e n t y (1799 — 1842), znany malarz wil. O ich związku, zob.: Mościcki, Z filar. świata, 272, 355 sq.; bisk. Ad. St. Krasiński, Wspomnienia, 92 sq.; Morawski, W Peterburku, 338.

Do str. 89. W Krakowie zabijano szpiegów, np. w 1836 zabito Ciołka i Pawłowskiego, spowodowało to zajęcie 17 lutego 1836 Krakowa przez

wojska austr., a następnie rosyjskie i pruskie. Zob.: dr. J. Dropsy, *Wspomnienia* (Warszawa, 1914), 35 sq.; Szpotański, *Konarszczyna*, 53.

Do str. 90. *Sapieha Paweł* (1781—1855), syn Franc. Ksawerego i Teresy Suffczyńskiej, służył w artyl. lit., później w gwardji ros., w 1807 był kapitanem i adjutantem Ks. Józefa, następnie marszałek gub. augustowskiej, właściciel Wysokiego Lit. Zob.: *Puzynina*, pass. — *Pahlen von der Piotr* (1778—1864), gen., syn zabójcy Pawła I, w 1831 działał na Litwie, w 1835—41 był posłem ros. w Paryżu. Zob.: „*Russkije portr.*”, V, 178.

Do str. 92. O spotkaniach Konarskiego z zegarmistrzem Duchnowskim w winiarni Nisela Rosenthala przy ul. Niemieckiej pisze nieściśle Sobarri, 13, por. Zahorski, 44 sq. i „*Russkij Archiw*”, 1909, z. 4. — *Buthak Tomasz*, ur. 1801, syn Józefa i Bochwicówny, bratanek metropolity unickiego Józefata, brał czynny udział w spisku Konarskiego, skazany do Tomska, skąd wrócił w 1857 r.; uczestnik powst. 1863, powtórnie zesłany do Tomska, powrócił w 1874 r., zmarł w Warszawie w 1895. Zob.: „*Rocznik Literacki*” Rom. Podbereskiego (Wilno, 1849); Ruciński, *Konarszczyk* (Lwów, 1895), 143; Dubiecki, *Teresa z Wierzbickich Buthakowa* (Kraków, 1895); *Gieysztor*, Pam., II, 42, 275. — *Skopówka*, uliczka w Wilnie między placem Pałacowym a ulicą Zamkową, nazwana od Stanisława Skopa, sekret. król. — Konarski był w Wilnie kilkakrotnie, po raz pierwszy w 1836.

Do str. 95. *Bielkiewicz Adam* (1797—1840), głośny lekarz wileński, prof. Akademji med.-chir., ordynator szpitala św. Jakóba; zob.: *Bieliński*, *Stan nauk lek.*, 545 sq. — *Rodziewicz Ignacy*, właściciel *Lisowa na Polesiu*, jeden z najgorliwszych członków sprzysiężenia Konarskiego, wszakże wskutek słabości złożył kompromitujące zeznania; skazany na zesłanie do katorgi, pozbawienie praw stanu i konfiskatę majątku. — *Rodzina Michalskich* odegrała wybitną rolę w spisku K-go. — *Fryderyk M.*, właściciel *Werbki Murowanej na Podolu*, żołnierz w 1794, za udział w spisku K-go zesłany do ciężkich robót, zmarł 23 kwietnia 1848 w *Aleksandrowskim Zawodzie pod Irkuckiem*; żona *Franciszka ze Starorypińskich*, towarzyszyła mu na wygnanie i była „nieoszacowaną wygnańców pocieszycielką”; syn jego *Lucjan*, ur. 1807, ukończył *Liceum Krzemienieckie*, w 1831 wstąpił do jazdy podolskiej, dotrwał do kapitulacji *Zamościa* 22 paźdz.; za udział w spisku Konarskiego skazany do ciężkich robót i osiedlenie, powrócił do kraju w 1858 r., ponownie zesłany w 1863 r. do *Carewokokszajska*, powrócił w 1872, zmarł w 1885; pozostawił fragmenty pamiętników (*Bibl. ord. Krasieńskich*), zob.: *M. Rolle*, *Z minionych stuleci* (Lwów, 1908), 285 sq., 335 sq.; *Ruciński*, *Konarszczyk*, 40 sq. — *Emilja Michalska*, córka brata *Fryderyka*, *Stanisława* i *Magdaleny z Zielińskich*, narzeczona *Szymona Konarskiego*, przez pewien czas również więziona; po śmierci Konarskiego „miała drugiego narzeczonego, *Konrada Rulikowskiego*, po zaręczynach wysłała go, by się odznaczył na wojnę węgierską (1849); wzięty do niewoli przez wojska *Mikołaja I*, jako były oficer armji rosyjskiej, momentalnie rozstrzelany na polach węgierskich”; *Emilja M.* długie lata mieszkała u krewnych w Warszawie i tu, w zakładzie dobrocz. św. *Franciszka Salezego*, zmarła 9 czerwca 1905, pochowana na *Powązkach*; najstarsza jej siostra, *Melanja*, była narze-

czoną poety Maurycego Gosławskiego, który dedykował jej swoje utwory, m. in. popularną pieśń „Gdyby orłem być...”; wyszła za mąż za Stanisława Koczorowskiego; brat Wilhelm i bracia stryjeczni, Zenon i Ludwik, synowie Józefa, brali udział w spisku Konarskiego, ale uniknęli zesłania (informacje od rodziny), siostra stryj., Julja, córka tegoż Józefa Michalskiego i Karoliny poślubiła Jana Januszewskiego, wuja Jul. Słowackiego. Zob.: „Russkij Archiw”, 1907, z. 4 str. 497; arcb. Feliński, Pamiętniki (Lwów, 1911), I, 90 sq.; Zygm. Starorypiński, Wspomnienia (rkps.); Ksaw. z Brzozowskich Grocholska, Pamiętniki (Kraków, 1895), 301 sq.; Jul. Słowacki, Listy, wyd. Méyet (Lwów, 1899), I, 10 sq.; Aug. Iwański, Pamiętniki (Warszawa, 1928), 28. — Mianowski Józef dr. (1804 — 1879), w 1828 ukończył wydział lekarski Un. wil. i został adjunktem kliniki; w 1833 wykładał fizjologję w Un. wil. i był lekarzem naczelnym kliniki uniw.; w 1862—9 zasłużony rektor warsz. Szkoły Głównej; zob.: Bieliński, Stan nauk lek., 327; Łomaczewskij, Iz wspomnianij żandarma (Petersburg, 1880); pass. — O pobycie Konarsk. w klinice, zob. Feliński, Pam., I, 107 sq.

Do str. 96. Brynk Jerzy (w tekście mylnie „Brink”), jeden z najsłynniejszych i najdzielniejszych uczestników spisku Konarskiego, ur. ok. 1809 r. w Sielichorach, pow. lepelskim, jako syn Józefa i Elżbiety z Miennickich, kształcił się w szkole pijarskiej w Łużkach, był rachmistrzem u Radziwiłłów w Olyce. W śledztwie i więzieniu okazał niezwykle hart, skazany na pozbawienie praw, konfiskatę majątku i zesłanie do kopalń nerczyńskich, dokąd wkrótce udała się jego żona, Kazimiera z Niemirowskich, z córką; około 1860 powrócił do kraju, w 1863 powtórnie uwięziony i zesłany do Czerdynia w gub. permskiej, zmarł w Dębach, pow. słuckim w 1881. Zob.: „Kur. wil.” 18 kw. 1839; Marja Bielińska, Dwa pokolenia (Kraków, 1909), 113, 135. — Wędziagolski, sprawnik, ur. 1793 r., po aresztowaniu Konarskiego był do końca życia w powszechnej pogardzie; po nagłej jego śmierci 8 grudnia st. st. 1862 r. w Wilnie, chciano wyrzucić ciało jego z kościoła; zob.: Miłowidow, Arch. matierjały Murawjowska-wo muzeja (Wilno, 1913), I, 206 sq.

Do str. 100. Trubecki (Trubeckoj) Aleksy, książę, od 27 marca st. st. 1838 do 20 stycznia st. st. 1840 wicegubern. cyw. wileński, przewodniczący Komisji śledczej w sprawie Konarskiego, słynął z okrucieństwa, o którym zgodne relacje w pam. współcz. — Czetyrtyński Borys (1781—1865), syn Antoniego Stanisława, powieszono go w 1794 r., i Tekli Kampenhauzen wychowywał się w Petersburgu, brał udział w wojnach 1805 — 07 i 1812, w 1809 ożenił się z Nadeżdżą Gagarin, w 1856 został koniuszym dworu ros.; siostra jego Marja, żona Dymitra Naryszkina, faworyta Aleksandra (Olga była córką Szczęsnego Potockiego i greczyński Zofji, wyszła za gen. Leona Naryszkina, zob. str. 189); druga siostra, Żaneta (1777—1854), wyszła za Seweryna Wyszowskiego, generała w powst. Kościuszkowskim (1771—1859); kochał się w niej i chciał z nią zenić W. Ks. Konstanty. Antoni Stan. Czetyrtyński z drugiej żony, Coletty z Chołoniewskich, miał synów: Gustawa, posła ros. w Madrycie, senatora i prezesa Heroldji Król. Pol. (zm. 1851) i Konstantego Antoniego (1792—1871), w 1824—34 marszałka gub. grodzieńskiej, gorliwie współdziałającego w 1831

wojskom ros. Zob.: Żychliński, Złota księga, IV, 275; „Russkije portrety”, I, 104—107, 187—8; III, 35—6; V. 54.

Do str. 102. Anderson Otto, od 1820 wiceprezydent Kolegium ewang.-ref., następnie prezes wil. izby krym., należał do Komisji śledcz. w sprawie filaretów; zob.: Mościcki, Wilno i Warsz., 49, 173. — Anisi-m o w a — Luc. Michalski w swym pamiętniku rkps. nazywa „wielki arcy-tajdak” (zob. o nim: Łomaczewskij, Iz wspomnianij żandarma. Petersburg, 1880); Andersona — „bardzo łagodny i dobry”; Arendarenkę — „człowiek bardzo niebezpieczny, chociaż bardzo grzeczny i niby przyjacielski”; (o losach ich patrz str. 148). — Perrin Piotr, gen.-major, w 1826 przewodniczył w Komisji śledczej w sprawie tajnych towar-zystw białostockich; zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła i Pogoni (1923), 151 sq.

Do str. 103. Zeznania Szumskiego zreasumowane zostały przez Komi-sję śledczą 14 stycznia 1839 w sposób następujący: „Soznałsia tolko w tom, czto s 1832 goda prinadleżał k Obszczestwu, dał w składku na izdierżki Obszczestwa 100 czerwonych, znał o przyjeździe w Wilno emisara Konarskawo; w czisle proczich razriesił Kozakiewiczuz na wy-daczu emisaru Konarskomu tiech sta czerwoncew, kotoryja on Szumskij prieździe dał w składku, i prigłasił kanonika Trinkowskawo w sostaw Obszczestwa. W etom sostoit wsio soznanje Szumskawo, kotoroje on pośle dołgowriemiennawo zapiratielstwa, po ubieźdieńjam i wnuśeńjam Kommissji sdielał; wsio ostalnoje im sokryto. Po etomu Szumskawo uliczali na ocznych stawkach soobszczniki jewo po mierie towo, kak sami uczi-nili priznanje, a imiennie Kozakiewicz, czto Szumskij znał o wsiech sno-szenjach jewo s emisarami: Bylewskim, Kopiernickim i Konarskim; czto on objawlał Szumskomu o bumagach połączennych ot Konarskawo i Szum-skij wmiestie s proczimi sogłasiłsia na otwiet Konarskomu na bumagie dannyj; dalje Kozakiewicz pripominał Szumskomu wsie podrobnosti pierie-piski jewo s Szemiotom i kak on w martie miesiace siewo goda biezspor-no priniał wsie punkty Ustawa; no Szumskij na wsie uliki Kozakiewicza otzywalsia otricatielno, nie smotria na to, czto swierch Kozakiewicza s twiordostju uliczali jewo i sobstwienno na szczt priniatja im Ustawa i drugije soobszczniki: Medard Kończa, Eduard Romer, Ustin Hrebnickij i Sewerin Romer”. (Archiwum państw. w Wilnie).

Do str. 104 sq. Alibaud Ludwik, sprawca nieudanego zama-chu na Ludwika Filipa w Paryżu, 25 czerwca 1836, stracony 11 lipca t.r. — Fieschi Józef, również sprawca zamachu na Lud. Filipa, 28 lipca 1835, stracony 16 stycznia 1836. — Felińska Ewa z Wendorffów (1793—1855), znana pisarka, matka arcyb. Zygm. Szcz. Felińskiego, za udział w sprawie Konarskiego więziona i zesłana do Berezowa i Saratowa; ogłosiła „Wspomn. z podróży po Syberji i pobytu w Berezowie” (Wilno, 1850); „Pamiętniki z życia” (Wilno, 1856, 1860). Zob.: Korbut, Lit. pol., III, 583; „Russkij Archiw”, 1909, IV; „Dziennik Wileński”, 1906, Nr. 80; arch. Feliński, Pamiętniki, I, 97 sq.; Janik, Dzieje Polaków na Syberji (Kraków, 1928), 184. — Stachowski Karol, student Akad. med.-chir. wil., ska-zany za należenie do tajn. tow. akademickiego na szeregowca do korpusu

kaukaskiego. — Dmochowski Jan, skazany na nadzór polic. Zob.: „Kur. Wil.”, 18 kw. 1839.

Do str. 110. Andryane Aleksander (1797 — 1863), członek tow. węglarzy we Włoszech, więziony przez Austriaków w Spielbergu przez 9 lat, autor „Mémoires d'un prisonnier d'Etat” (Paris, 1837—38). — Rabcewicz (nie Rapcewicz) Władysław, gorliwy uczestnik spisku Konarskiego, był pośrednikiem między konspiracjami warszawskimi i wileńskimi, skazany na pozbawienie praw, konfiskatę maj. i zesłanie na Syberję. Być może, że Szumski pomylił Rabcewicza z Rapczyńskim Kazimierzem, studentem Akademii med.-chir. wil., członkiem tow. akademickiego, skazanym na pozbawienie praw i wcielenie do szeregów korpusu kaukaskiego; o nich zob.: Kraushar, Świętokrzyżcy (Warszawa, 1916), 30 sq.; Łowicki, Duch Akademii wil. (Wilno, 1925); „Kur. Wil.”. 18 kw. 1839; Luc. Michalski pisze, że „Rabcewicz ciężko był katowany”.

Do str. 112. Orzeszko Antoni, właściciel Pieszkowa w pow. pińskim, brał udział w powst. 1831 w oddziale Tytusa Pusłowskiego, gorliwy uczestnik spisku Konarskiego, lecz wskutek kompromitujących zeznań główny delator; zesłany do Tomsku. — Korowajew Kuźmin Mikołaj, podporucznik nowoingermalandzkiego pułku, został zdegradowany i zesłany na Kaukaz. Zob.: Sobarri, Obrazki lit.. 33, 48 sq.; arcb. Feliński, Pam., I, 109 sq.; Mateusz Gralewski, Kaukaz (Lwów, 1877), 541 sq. —

Do str. 113 sq. O odnalezieniu pugilaesu Konarskiego przez Kunegundę Gedrojciową zob.: „Ze wspomnień szlacheckich” (Kraków, 1896), 25 sq. — Walecki (nie Małecki) Antoni, ur. 1815, student Akademii med.-chir. wil., jeden z organizatorów tow. tajnego akad., złożył obszerne zeznania, skazany na pozb. praw i wcielenie do korpusu kaukaskiego, powrócił do kraju 1857, był kustoszem gabinetów mineralog. i paleontologicznego w Szkole Głównej warsz. i Uniw. warsz.; wybitny zoolog, autor licznych prac nauk., zmarł w Warszawie 1897. Zob.: Kraushar, Świętokrzyżcy, 33 sq.; pamiętnik Franc. Sawicza w Heleniusza Wspomnieniach lat min. (Kraków, 1876), II, 207 sq.

Do str. 115. Moszyński Aleksander, członek Stowarzyszenia ludu pol., zesłany do katorgi, zob.: Łomaczewskij, Wspom. żandarma, 15 sq. — Paul de Kock (1794 — 1871), głośny powieściopisarz francuski.

Do str. 116. Połozow, gen.-adj., nacz. I Korp. żand., prezes sądu woj. ustan. 28 list. 1838, uchodził za człowieka uczciwego.

Do str. 120. Beaupré de Antoni Józef, ur. 1800 na Wołyniu, kształcił się w Un. wil., gdzie też w 1828 otrzymał stopień d-ra medycyny; w 1831 wywieziony był do Kurska, po powrocie do kraju brał czynny udział w spisku Konarskiego na Wołyniu; skazany na śmierć, ułaskawiony i zesłany na 20 lat do kopalń nerczyńskich, w 1857 powrócił do Krzemieńca; w 1865 więziony w Równem, zmarł w Krzemieńcu 1872. Żonaty 1858 z Seweryną Iwanowską (zm. 10 sierpnia 1912). Zob.: „Russkij Archiw”, 1909, IV, 483 sq.; Bieliński, Stan nauk lek., 258; Feliński, Pam., 117; Rolle, Z min. stuleci, 338; Janik, Dzieje Polaków na Syberji, 174; „Dziennik Kijowski”, 1912 Nr. 240; list ś. p. Seweryny Beaupré do Henr.

Mościckiego, Kraków, 21 marca 1910. — O odwiedzinach w więzieniu pisze w swym pam. rkps. Zofja Römerowa: „Po rozpoczęciu sądu wojennego czas do ogłoszenia dekretów wiele miał powabu dla biednych więźniów, ich żon, matek, rodzeństwa, krewnych i przyjaciół, wszyscy mogli więźniów odwiedzać, bawić u nich bez przykrych świadków po kilka godzin, pić z nimi herbatę i cieszyć się wzajemnem opowiadaniem o tylu przeszłych umartwieniach. Dziedziniec ks. ks. bazylianów napełniony był pojazdami; karety, koczki, faetony i drażki stały od rana do nocy i w każdej celi niewinna brzmiała wesołość, gdy ci, co w niej byli na chwilę oczy na przyszłość zamknęli. Jedna tylko cela dla nikogo otwarta nie była, tam emisariusz Konarski w kajdanach najsrożej był trzymany, tylko matka jego z nim się widziała przybywszy z za Niemna na pożegnanie i przed rozstrzelaniem jego pod eskortą była wyprowadzona do domu”. O święconem w więzieniu zob.: Łomaczewskij, Iz wspom. żandarma, 64.

Do str. 121. Wasilczykow, syn Ilarjona (1776—1847), gen. i prezesa Rady Państwa i Komitetu Ministrów.

Do str. 123. Lipiński Stefan, generalny superintendent zbiorów ewang.-ref. b. W. Ks. Lit. — Markiewicz Jan Chryzostom ks., kanonik kat. wil., regens seminarjum duch. wil., przeniesiony do Kamieńca Pod. w 1855, jako „dający powody do podejrzwania go w ciągłej nieżyczliwości, wysłany do Wiatki”, skąd wrócił w 1862, zmarł 16 marca 1864 w Wilnie. Zob.: Kurczewski, Kośc. zamk. wil. (Wilno, 1916), 498, 510, 513. Ks. Dobaszewicz, Wspomn. (Kraków, 1883), 101.

Do str. 126. O egzekucji Konarskiego zob. m. in.: Łowicki, Duch Akad. wil., 59 sq.; Sobarri, Obrazki lit., 44 sq.; Feliński, Pam., 120, Helenjusz, Pam. pol. (Kraków, 1882) II, 656 sq.; „Istor. wiestn.”, 1900, t. 82; nadto inter. broszura p. t. „Rusenthalt in Litauen im Jahre 1836 und die letzten Tage des Szymon Konarski. Eine in allen ihren Momenten historisch begründete Erzählung”. Belle-Vue bei Constanzt, 1845. — Przedśmiertny list Konarskiego ogł. H. Mościcki w „Ateneum wil.” (1924), V, 225 sq. — W czasie egzekucji student Akademji med.-chir. wil., Aleksander Weystord, prawosławny, syn pocztmajstra w Ihumeniu, „po strzale z tłumu wyskakuje, rzuca się przed zamordowaną ofiarą, nie zważając na najeżone bagnety, nabrawszy w czapkę piasku z krwią męczennika ucieka między naród zebrany”; wkrótce go aresztowano i zesłano do Wiatki; później, po ukończeniu uniwersytetu kazańskiego, był lekarzem miejskim w Kazaniu i Wołogdzie (Pamiętnik rkps. Luc. Michalskiego). Ciało Konarskiego podobno staraniem Ant. Śniadeckiej wydobyto i pochowano na cmentarzu, o dochodzeniu w tej sprawie zob.: Łomaczewskij, Iz wspom. żandarma, pass.; Zahorski, Sz. Konarski, 64.

Do str. 128. Bułhak Tomasz ożenił się nie z Wróblewską, lecz z Teresą Wierzbicką ur. 1816 w Głinciskach, pow. wilkomierskim, córka koniuszego Ignacego i Anny z Dąbrowskich; była to szczerza i gorąca patrijotka; zmarła w Mickiewiczach, pow. nowogródzkim, 11 czerwca 1891. Piękny jej wizerunek pośmiertny ogłosił Marjan Dubiecki p. t. „Teresa z Wierzbickich Bułhakowa” (Kraków, 1895), zob. wyżej str. 200. O ślubie w więzieniu zob. pamiętnik Sawicza w Helenjusza, Wspomn. z lat min., II, 213.

Do str. 130. Nazimow Włodzimierz (1802—1874), jako pułkownik był w 1840 przewodniczącym Komisji śledczej w Wilnie, powołanej do rozpatrzenia związków tajnych wśród studentów Akademii medycznej oraz oficerów; Nazimow ujawnił olbrzymie nadużycia i podstępne działania członków Komisji i słusznie dowodził, że żadnego spisku nie było; za to został, na przedstawienie ówczesnego gen.-gubernatora wil. Mirkowicza, odwołany; nowy prezes Komisji, gen. A. Kawelin, całkowicie potwierdził słuszność opinii Nazimowa. Nazimow był następnie, od 10 października 1855 do 1 maja 1863, gen.-gubernatorem wil. Zob.: Łomaczewskij, Iz wspom. żandarma (Petersburg, 1880), pass.; „Fiodor Jakowlewicz Mirkowicz — 1789—1866 — jewo żiżnieopisanje” (Petersburg, 1889), I, 251 sq., II, 96 sq.; bisk. Ad. St. Krasiński, Wspomnienia (Kraków, 1900) 84 sq.; Bieleckij, Sbornik dokumentow Muzeja gr. Murawjewa (Wilno, 1906), t. I.

Do str. 131. Lucigné de Karol, chorąży pułku estlandzkiego, Francuz, z namowy Antoniny Śniadeckiej miał podobno przyczynić się do wykopania zwłok Konarskiego; skazany do Tobolska. Zob.: Zahorski, Sz. Konarski, 77; Giller, Z wygnania, I, 17 sq.; Franc. Knoll, Pamiętniki z Syberji (Poznań, 1893), 42; „Russkij Archiw”, 1869; Łomaczewskij, Wspom. żandarma, 35 sq. — Römerowa Zofja ur. 1818, druga od 1837 żona Edwarda, córka Józefa Montwid Białozora i Józefy z Chlewińskich. — Kończyna Paulina, od 1837 żona Medarda Kończy, siostra Römerowej.

Do str. 132 sq. Suszkow Mikołaj Wasiljewicz, był w 1839—41 gubernatorem cyw. mińskim, a przedtem zarządzającym kancelarią gen.-gub. wil. Zob.: „Cztienija w Obszcz. ist. i drien. ros.”, 1860, III; 1864, I; 1869 I; por. Mościcki, Pod berłem carów, 249 sq.; Łomaczewskij, Iz wspom. żandarma, pass. — Krzeczowski Józef, autor kilku powieści i wydawca noworoczników, m. in. „Znicz” (Wilno, 1834—1836), „Biruta” (tamże, 1837—8). „Rimembranza” (tamże, 1843); zob.: „Kwart. lit.” 1910, IV, 89. — „Ziercało” — graniastosłup, umieszczany w urzędach ros., na którym znajdowały się zasadnicze przepisy prawne, przypominające ściśle zachowanie sprawiedliwości.

Do str. 133. Kołkowski Bazyli żon. z Anielą Podbereską, zob.: Morawski, Kilka lat, 515; Puzynina, 300, 371.

Do str. 136. „Szezi” — ulubiona zupa ros., rodzaj kapuśniaku; „gowiadina” — pieczeń wołowa.

Do str. 137. Minin Kuźma i Pożarskij Dymitr, wodzowie ros., działający w 1611—12 przeciw Polakom w Moskwie; pomnik ich wyst. w Moskwie 1826 r.

Do str. 138. Custine (w tekście mylnie „Klustine”) Astolf, markiz ur. 1794, autor głośnego dzieła „La Russie en 1839” (Paris, 1843), w którym opisał ówcz. stosunki w Rosji; zob.: Kucharzewski, Od białego caratu do czerwonego (Warszawa, 1923), I, 214 sq.

Do str. 138. Dmitrjew, nieśl. syn gub. grodz. Łanskoja, urzędnik rządu gub. grodz., oddany i zaufany sekretarz Ksawerego Lubeckiego, znanego ministra skarbu Król. Pol. Zob.: Smolka, Polityka Lubeckiego (Kraków, 1907), I, 489 sq.

Do str. 139. Mirski Klaudjusz zesłany za czynny udział w walce z prawosławiem w obronie unji i katolicyzmu; jego sprawa dokładnie w Hedemanna, Historji pow. brasławskiego (Wilno, 1930), 187 sq.

Do str. 141. Jeleński Jan i Wysocki Jan — uczestnicy spisku Konarskiego, skazani na zesłanie. „Kur. Wil.” 18 kw. 1839.

Do str. 143. Taraszkiewiczze byli oskarżeni przez Trubeckiego o przechowywanie nielegalnej korespondencji i t. p.; nie mogąc pomimo znęcań, niczego od nich wydobyć, Trubecki usiłował zmusić do zeznań ich ekonoma, Niekrasza, którego okrutnie torturował; zob.: „Kronika emigracji pol.” (Paryż 1837), V, 138.

Do str. 148 sq. Haller von, gen.-major, poprzednio gub. grodzieński, od 17 kwietnia do 26 czerwca 1863 wileński i naczelnik kancelarii gen.-gub. Zob.: Mosołow, Wilenskie ocerki (Petersburg, 1898), 65.— Humboldt Fryderyk Aleksander (1769—1859), znakomity przyrodnik i geograf, swą podróż po Rosji w 1829 opisał w dziele „Asia centrale” (Paris, 1843).

Do str. 150. O żadnym Ledóchowskim nie znaleźliśmy wiadomości w okresie rządów Nowosilcowa. — Nowosilcow Mikołaj (1762—1838), senator, w 1824—30 kurator okręgu nauk. wil., osławiony prześladowca młodzieży. — Pelikan Wacław (1799—1873), w 1824—1830 rektor un. wil. Zob.: Mościcki, Wilno i Warsz., pass.; tegoż, Pod znakiem Orła (1923), 171 sq.; Iwaszkiewicz, Z pam. Hip. Klimaszewskiego (Wilno, 1929).

Do str. 153. Nie Korzeniowski, lecz zapewne Kurzeniecki Józef, z Mińszczyzny, skazany na zesłanie.— Mackiewicz Aleksander, kształcił się w un. wil., w 1828 otrzymał stopień doktora med., w 1830 był głównym lekarzem dóbr masy poradziwiłłowskiej, w 1834 wystąpił z memorjałem zwracającym uwagę na konieczność ulepszeń w organizacji pomocy lek. dla włościan, wywołał on wielkie zainteresowanie; w 1848—63 był lekarzem Izby dóbr państw. Zob.: „Kur. Wil.” 18 kw. 1839; Łowicki, Duch Ak. wil.; Bieliński, Stan nauk lek., 234; Kościński, Słownik lek. pol., 612; Klukowski, Organizacja pomocy lek. dla włościan w ord. nieświeskiej w pierwszej poł. XIX w. — w „Archiwum hist. i filoz. medycyny”, II z. 1.

Do str. 154. Smolnyj monastyr — znany zakład naukowy dla pańien w Petersburgu.

Do str. 155. Olizar hr. Narcyz (1794—1862), syn Filipa Ne-reusza, podczaszego w. kor. i Ludwiki ze Szczytów-Niemirowiczów, oficer wojsk napol., naczelnik zarządu cyw. gub. wołyńskiej, w 1831 kasztelan Król. Pol., aresztowany i uwięziony w Żytomierzu zdołał uciec wraz z Lucjanem Siemieńskim przy pomocy żony, z domu bar. Giersdorf, urzędnika Boczkowskiego i jego żony Joanny. Mieszkał we Francji, brał udział w pracach emigr., wydał swoje pamiętniki i wiele utworów polit. i liter. Zob.: Bronikowski, Pam. polskie, II, 22 sq.

Do str. 158. Filaret (Wasilij Drozdow), metropolita moskiewski (1782—1867), autor wielu dzieł treści religijnej, wybitny działacz pol. i kośc. — Inocenty (Iwan Borisow), głośny kaznodzieja i pisarz relig. ros. (1800—1857), w 1841 był archirejem w Wołogdzie i Charkowie; napisał m. in. „Historję Kościoła chrześc. w Polsce” (druk. w „Żurnal Min. Nar.

prośw.”), kazania jego wyd. w Petersburgu 1871—74; w petersb. Bibliotece publ. jest jego obszerna koresp., m. in. z pisarzami polskimi; zob. Butkiewicz, *Innokentij arch.* (Petersburg, 1887).

Do str. 159. Grabowski Michał (1804—1863), krytyk liter. — Kraszewski Józef Ign. (1812—1887), głośny powieściopisarz. — Hołowiński Ignacy ks. (1807—1855), w 1837 prof. teologii w un. kijowskim, w 1842 prof. i rektor Akademji duch. w Petersburgu, w 1851 metropolita mohylowski; autor licznych prac liter. — Rzewuski Henryk (1791—1856), znany powieściopisarz, autor „Listopada”. Zob. o nich: Korbut, *Lit. pol.*, III.

Do str. 160. „Tygodnik Petersburski” wychodził w 1830—1858 przy udziale wybitnych literatów ówcz. Zob.: Kucharzewski, *Czasopiśmiennictwo pol.* (Warszawa, 1911). — Dzieło Filareta nosi tytuł: „Rozmowy między wątpiącym i przekonanym o prawowierności wschodniego greko-rosyjskiego Kościoła, tłómaczone z rosyjskiego przez Innocentego archimandrytę” (Petersburg, 1829).

Do str. 163. Siemionow był gubernatorem wileńskim od 20 października 1840 do 19 września 1844. — Wawrzecka Łucja, primo voto Ignacowa Zabiełłowa, 2-do v. Mikołajowa Dołhorukowa; zob.: Morawski, *Kilka lat*, 406, 515; Puzynina, *W Wilnie i w dw. lit.*, pass.

Do str. 166. Obabie — majątek Mirskich w pow. nowoaleksandrowskim.

Do str. 167. Turkułł Ignacy (1797—1857) w 1839 minister sekr. st. i członek Rady Państwa, w 1841 członek Rady Ministrów; faworyt Mikołaja I. Zob.: Morawski, *Kilka lat*, 473. — Grabowski Stefan, syn Tomasz, gen. wojsk lit. i Doroty z Offenhausenów, dzielny wódz w 1794, obrońca Wilna, więzień ros., gen. bryg. 1812, dyrektor w min. wojny 1815, minister sekr. stanu Król. Pol. 1825—39. Zmarł w 1847. Zob.: Smolka, *Korespond. Lubeckiego* (Kraków, 1909), I, XVI sq. — Gabrjela z Güntherów Puzynina (1815—1869), znana literatka, autorka pamiętników wydanych p. t. „W Wilnie i w dworach litewskich” (Wilno). Utwór jej p. t. „Pieśń o Najświętszej Pannie Maryi Ostrobramskiej” druk. w zbiorze p. t. „W imię Boże — dalej w świat!” (Wilno, 1859), 10.

Do str. 168. Benkendorff hr. Aleksander (1783—1844), faworyt Mikołaja I, od 1826 szef żandarmów i naczelnik III Oddziału Kancelarji Ces. oraz dowódca Głównej Kwatery. — Mirkowicz Fiodor Jakowlewicz (1789—1866), gen.-adj., był gen.-gubernatorem wileńskim od 1 kwietnia 1840 do 28 lutego 1850. Do jego biografji i działalności najważniejszym źródłem jest rzadkie dzieło wyd. przez rodzinę p. t. „Fiodor Jakowl. Mirkowicz, jego życieopisanje, sostawl. po sobstwień. jego zapiskam, wospominanjam blizkich ludiej i podlin. dokumentam”. 2 tomy. Petersburg, 1889 (wyjątki w „Russkij Archiw”, 1890. I); zob. nadto: Łomaczewskij, *Wspom. żandarma; Dokudowskij, Wspominanja*, (Riazań, 1897). — Buxhoevdén, hr., gen., naczelnik okręgu żandarm. wileńskiego; o jego intrygach przeciw gen.-gub. Mirkowiczowi, którego stanowisko chciał zająć zob.: Dokudowskij, *Wspominanja* (Riazań, 1897), 120 sq.

Do str. 169. O pięknej rezydencji w Koyranach pisze Gustaw Oliżar w „Pamiętnikach” (Lwów, 1892), 294.

Do str. 169 sq. Sprawa Röhra pozostaje w związku z akcją emigracji mającą na celu wywołanie powstania w 1846. — Röhre Jan, z Poznańskiego, skazany został na tysiąc kijów i zesłanie na 12 lat ciężkich robót do Pietrowska, w powrotnej drodze z wygnania zmarł w Częstochowie 1859. — Libelt Karol (1807 — 1875), filozof i pisarz pol., brał udział w działaniach spiskowych 1846 i 1848. — Uczestnicy spisku: Antoni Szemioth, sekretarz gubernjalny i Stanisław Szemioth, ziemianie; dr. Ludwik Gross; Józefa Przeciszewska (gorąco oddana sprawie, o wielkim harcie ducha); dr. Anicety Regnier (zob. wyżej str. 119); Ludwik Żarczyński; Apolin Hofmeister, zesłany do twierdzy omskiej, zwolniony przebywał w Tobolsku, wrócił do kraju 1857, w 1863 brał czynny udział, zesłany powtórnie do Usoła, zmarł w Krakowie 1890. Michał Kątkowski; Józef Bogusławski, ur. 1819, zesłany do twierdzy ust'kamenogorskiej, następnie omskiej; wspomina o nim Szymon Tokarzewski („Siedem lat katorgi”. Warszawa, 1907. str. 101 sq.), który się z nim szczerze zaprzyjaźnił i otaczał opieką, niósł niemal całą drogę, 600 kilometrów, z Ust'kamenogorska do Omska; Dostojewskij w „Wspomnieniach z martwego domu” mówi o Bogusławskim, że był to człowiek dobry, ale chorowity i b. drażliwy; pamiętniki B-go p. t. „Wspomnienia Sybiraka” druk. w krak. „Nowej Reformie” z 1896 Nr. 249 i n.; Helenjusz, Wspomn. pol. czasów, (Lwów, 1894), II, 110 sq. O sprawie Röhra, egzekucjach, uczestnikach spisku zob.: Giller, Hist. powst. nar. pol., IV, 66 sq.; Berg, Zapiski o polsk. zag. i wozst., I, 90 sq.; „Fiod. Jak. Mirkowicz”, I, 302 sq.; Łomaczewskij, Wosp. żand.; Dokudowskij, Wospom., 100 sq.; Limanowski, Historia ruchu rewoluc. w Polsce 1846 r., 187, 08, 139; „Ateneum wileńskie” z 1923 i 1927.

Do str. 175 sq. Paskiewicz Iwan (1782—1856), feldmarszałek, ks. warszawski, namiestnik Król. Pol. — Dokudowskij Wasilij Abramowicz, gen.-major, od 1832 przebywał w Król. Pol. jako jeden z najbl. współpr. Paskiewicza, pozostawił inter. „Wspominania” z lat 1832 — 1862, druk. w „Trudach Riazanskoj Ucz. Archiwnoj Komissji” z 1897—8 i osobno. — Rzewuski hr. Florjan, syn Seweryna, stryjeczny brat Henryka, powieściopisarza, żonaty z Zawiszanką, zupełnie zruszczony, zob.: Helenjusz, Wspomn. pol. czasów, I, 151; Tad. Bobrowski, Pam., (Lwów, 1900), I, 132; „Roman Sanguszko” (Warszawa, 1927), 179. — Pułowski Franciszek, syn Wojciecha i Józefy z Druckich-Lubeckich, trzykrotnie wybierany na marszałka gub. wil., w 1846, 1849 i 1852; w 1852—56 prezes wil. Tow. Dobr., od 1852 rzecz. radca stanu; zmarł w Warszawie 15 sierpnia 1859. O jego lojalności i usposobieniu przych. dla Rosjan pisze z ironią Dokudowskij, Wspominania, 120. — Haller był w 1849 kuratorem okręgu nauk. wil.

Do str. 178 sq. Puszkarnia miejscowość pod Wilnem, niedaleko Leoniszek, niegdyś należąca do dóbr artylerji lit., w pobliżu papiernia włas. Pułowskiego. — Woelck Aleksander (1801 — 1869), prof. med. w Un. wil i Akad. med. chir. — Kuprejanow Paweł Jakowlewicz (1789 — 1874), gen., w 1831 zajął twierdzę Zamość, w 1845 dowodził 2-gim korp. piech. — Biegiczew od 26 września 1846 do 7 marca 1851 był gubernatorem wileńskim.

INDEKS NAZWISK.

- Abramowicz Ignacy** 189.
Abramowicz Mikołaj 42, 47, 74, 189, 196.
Aleksander I 4, 5, 21, 23-4, 26, 35-6, 52-3, 57-8, 100, 141, 187-90, 201.
Alibaud Ludwik 104, 202.
Anderson Otto 102, 105, 148, 202.
Andrejew 140.
Andryane Aleksander Filip 110, 202.
Anisimow 102, 147-8, 201.
Arendarenko 102, 202.
d'Artois ks. (Karol X) 4, 48.
- Baczyński** 161.
Badeni 2.
Balet 3.
Balińska ze Śniadeckich Zofja 192.
Baliński Michał 62, 86, 192.
Bałchowski 156.
Barclay de Tolli Michał 12, 187.
Bartholomei 63, 66.
Bassano zob. Maret.
Bataszew 23.
Beauharnais Eugenjusz 38, 189.
Beauharnais Józefina 189.
Beaupré de Antoni Józef 120, 203.
Beaupré z Iwanowskich Seweryna 203.
Belliard Augustyn Daniel 6, 9-11, 18, 19, 21-2, 25, 41, 48-50, 186.
Benkendorff Aleksander 168, 207.
Bergeret 13.
Berthier Aleksander, ks. Neuchatel 27, 34-5, 39.
Białłozor Montwid Józef 205.
Białłozorowa z Chlewińskich Józefa 205.
Biegiczew 184, 208.
Bielińska 76.
Bieliński 75-7.
Bielkiewicz Adam 95, 200.
Bobiatyńska z Montwiłłów Paulina 190.
Bobiatyński Michał 56, 190.
Boczkowska Joanna 206.
- Boczkowski** 206.
Bogucki 77.
Bogusławski Józef 181, 208.
Bohdanowicz Józef ks. 84.
Bohdanowicz Kazimierz 131-2.
Bohdanowicz Onufry 131-2.
Borelli 6, 7.
Borisow Iwan zob. Inocenty.
Borodnicz 179.
Borowski Ignacy ks. 72, 196.
Brenczaninow 161.
Bronikowski Mikołaj 35, 37, 189,
Brühl Alojzy 185.
Brynk Jerzy 96, 112, 201.
Brynk Józef 201.
Brynkowa z Mienickich Elżbieta 201.
Brynkowa z Niemirowskich Kazimiera 201.
Brynkówna 201.
Brzozowscy 8.
Bułhak Józef 200.
Bułhak Józefat 200.
Bułhak Tomasz 92, 128, 200, 204.
Bułhakowa z Bochwiców 200.
Bułhakowa z Wierzbickich Teresa 128-9, 204.
Buxhoevden 168-9, 180, 182-4, 207.
Bylewski Jan 198, 202.
Byron Jerzy 199.
- Castaneo** 19.
Champeau de 3.
Chamutow 35, 138, 141-52, 158, 184.
Chamutowowa 142, 145, 151.
Chłapowski Dezydery 71-4, 195-6, 199.
Chłapowski Kazimierz 196.
Chodźko Jan 67, 194-5.
Chodźko Józef 67-9, 194.
Chodźkowa z Korsaków Klara 194.
Chovot (w tekście mylnie „Chaveau”) 54.
Chowanskij ks. Mikołaj 63, 193.

Chrapowicka z Goreckich 40.
Chrapowicka z Mirskich Ewelina 191.
Chrapowicki Adam 186.
Chrapowicki Antoni 84.
Chrapowicki Gabrjel 186.
Chrapowicki Piotr 40, 189.
Chrapowickij Maciej 59-62, 66-7, 69-79, 81, 191.
✓ Chrzanowski Wojciech 86, 171, 199.
Chudorowski 72.
Ciechanowiecka Paulina 82, 198.
Ciołek 199.
Custine (w tekście mylnie „Klustine”) Astolf 138, 205.
Czartoryscy 86.
Czartoryski Adam 85, 87, 198.
Czerkaskij 134.
Czerniawski 46-7.
Czernyszew Aleksander 35-8, 189.
Czernyszewowa z Morawskich Teofila 189.
Czetwertyńska Marja 201.
Czetwertyńska Żaneta 201.
Czetwertyńska z Chołonieuskich Coletta 100, 110, 201.
Czetwertyńska z Gagarinych Nadieżda 100, 201.
Czetwertyńska z Kampenhauzenów Tekla 201.
Czetwertyński Antoni Stanisław 189, 201.
Czetwertyński Borys 100, 135, 201.
Czetwertyński Borys, marsz. pow. jampolskiego 190.
Czetwertyński Gustaw 100, 114, 167-9, 201.
Czetwertyński Konstanty Antoni 100, 201.
Czudowska z Hołyńskich Justyna 82, 198.
Czyczagow Paweł 26, 41, 188.
Czyngis-chan 187.

Dabrowa (d'Abry) Zofja 185.
Dabry (d'Abry) 2, 185.
Danilewskij-Michajłowski Aleksander 35, 142, 189.

Daumont 8, 9, 19, 31-3.
Davout Ludwik 12, 49, 50.
✓ Dąbrowski Henryk 185.
✓ Dembiński Henryk 192, 194.
Dębiński ks. 160.
Dmitrjew (Dymitrjew) 138, 205.
Dmitrjewowa (Dymitrjewowa) 138, 205.
Dmochowski Jan 107, 203.
Dobkiewicz Franciszek 86, 117, 129, 132, 134, 138, 198.
Dokudowskij Wasilij 176-7, 208.
Dołhoruki (Dołgorukow) Mikołaj 79, 81-2, 90-3, 98-100, 102-7, 110, 121, 148, 184, 197.
Dołhorukowa z Wawrzeckich Łucja 163, 207.
Doppelmayer Grzegorz 82-3, 198.
Doppelmayerowa 82.
Dostojewskij Teodor 208.
Dowgiałło 84.
Dowre (d'Auvray) Teodor 79, 196.
Drawdzik ks. 131.
Drebusz von Aleksander 77, 196.
Drozdow Wasilij zob. Filaret
Duchnowski Jan 92, 95-6, 200.

Felińska z Wendorffów Ewa 104, 202.
Feliński Zygmunt Szczęsny arcyb. 202.
Fieschi Józef 104, 202.
Filaret (Wasilij Drozdow) 158, 160, 206-7.
Fouché Józef 36-7, 189.
Friant Ludwik 31, 188.

Gaszyński Konstanty 193.
Gaulme 3.
Gérard Maurycy Stefan 194.
Gersztorfowa 56, 190.
Giecołd Stefan 85, 198.
Giedrojciowa (Gedrojciowa) Kungunda 113, 203.
✓ Giełgud Antoni 74-5, 82, 186, 191-2, 194, 196.
Giełgud Michał 196.

✓ Giełgudowa z Tyszkiewiczów Eleonora 196.

Gorecka z Eydziatowiczów Weronika 189.

Gorecka z Reuttów Anna 186, 189.

Gorecki Antoni 42-5, 62, 69, 186-9.

Gorecki Józef 7, 40, 43, 186.

Gorecki Walenty 186, 189.

Gorska z Sierakowskich Wiktorja 191.

Gorski Adam 191.

Gorski Józef 59, 77, 79, 191.

Gosławski Maurycy 201.

Grabowska z Offenhausenów Dorota 207.

Grabowski Michał 159, 207.

✓ Grabowski Stefan 167, 207.

Grabowski Tomasz 207.

Gross Ludwik 170, 208.

Grouchy Emanuel 16, 18, 187.

Grużewska Dorota 193.

Grużewski Jakób 193.

Grużewski Juliusz 65, 193.

Gudin Karol Stefan 13, 15, 187.

Guizot Franciszek 65, 193.

Gutt Ferdynand 88, 199.

Günther Gabrijela zob. Puzynina.

Haller 177, 208.

Haller von 148, 206.

✓ Hauke Fryderyk 3, 185.

✓ Hauke Maurycy 3, 185.

Herubowicz Konstanty 193.

Hiż Jan 53-4, 190.

Hoffman 55.

Hoffmeister Apolin 173, 181, 208.

Hołowiński Ignacy ks. 159, 207.

Horn Piotr 59, 60, 191.

Hornowa z Gorginich Katarzyna 191.

Hrebnicka z Gorskich Tekla 187.

Hrebnicka z Koszczyców Anna 187.

Hrebnicki Djonizy 187.

Hrebnicki Justyn 12, 21, 31, 33, 38, 62, 86-8, 89, 90, 96, 99-102, 117, 129-31, 133-4, 139-146, 148, 166, 187, 202.

Humboldt Fryderyk Aleks. 149, 206.

Hutten von 156.

Igelström Otto 191.

Inocenty (Iwan Borisow) 158-163, 184, 206-7.

Jankowski Wincenty 16, 187.

Januszewski Jan 201.

Jasiński Jakób 2, 185.

Jeleński Jan 141-2, 146-7, 206.

Jewecki 182-3.

Jocher Adam Benedykt 68, 195.

Jolszyn 171-4, 180.

Juferow 102, 148.

Jukiczew 62.

Juliano 19.

Jundziłł Stanisław Bonifacy ks. 3, 185.

Jundziłł Wiktor 7, 39, 186.

Kalinowski Dobrosław 65, 193.

Kalinowski Stanisław 193.

Kamieniecki Feliks 53, 190.

Kamiński Seweryn 177.

Karabanowicz 62.

Karczewski Józef 196.

Karnicka z Benisławskich Anna 192.

Karnicki Franciszek 192.

Karnicki Marcin 63-4, 192.

Katani 150-1, 158.

Kawelin A. 205.

Kawregin 155.

Kątkowski Michał 173, 208.

Klukowski Ignacy 80-1, 197.

Kłagiewicz Jędrzej bisk. 66-7, 72, 74, 78, 123, 194, 198.

Koch 160-1.

Kock de Paul 115, 203.

Koczorowski Stanisław 201.

Kołkowscy 165, 205.

Kołkowska z Podbereskich Aniela 205.

Kołkowski Bazyli 205.

Konarscy 123.

Konarska z Wiszniewskich Paulina 204.

Konarski Szymon 80, 91-8, 100, 102, 104, 110-17, 119-28, 132, 135, 141-2, 153, 155, 173, 180, 197, 200-5.

- Kondeusz 3.
Konstanty Pawłowicz w. ks. 57, 201.
Konstantynowicz 169.
Konstantynowiczowa 169.
Kończa Medard 86, 88-91, 99, 101,
117, 129, 137, 153, 166, 199, 202.
Kończa Medard (ojciec) 199.
Kończyna z Montwid - Białozorów
Paulina 131, 205.
Kończyna z Dowgiałłów Rozalja 199.
Kopernicki 202.
Koralkiewicz 130.
Koreywo 168.
Korolkowie 158.
Korowajew Kuźmin Mikołaj 112, 125,
130-1, 203.
Korsak Julian 86, 199.
Korsakow-Rymskij Aleksander 55-8,
190.
Korsakowie Piotrostwo 133.
Korzeniowska 157.
Korzeniowski 153, 159, 206.
Kossakowski Jan Nepomucen bisk.
185.
~~Kossakowski Józef 5, 46-8, 74, 186, 196.~~
Kostrowicki 91.
Kościuszko Tadeusz 5, 186.
Kowerski Jan 195.
Kozakiewicz Stanisław 86, 89, 90, 92-7,
101, 104, 106, 111, 117, 128-9, 166,
198, 202.
Kozłowski 148.
~~Kraśński Wincenty 46, 190.~~
Kraszewski Józef Ign. 159, 185, 207.
Krikuniewicz 99.
Krukowiecki Jan 196.
Krzeczkowski Józef 132, 134, 142-3,
198, 205.
Kudrewicz Jan 194.
Kunegunda św. 3.
Kuprejanow Paweł 182-4, 208.
Kurzeniecki Józef 206.
Kutuzow Michał 26, 188.
- Łachniccy 81.
Lamartine Alfons 1, 185.
Lauriston Aleksander 26, 188.
- Ledóchowski 150-2, 206.
Lelewel Joachim 85.
Libelt Karol 169, 208.
Limberg 125-6.
Lipiński Stefan 123-5, 204.
Lipski Mateusz bisk. 198.
Lubecki - Drucki Ksawery 139, 205.
Lucigné de Karol 131, 205.
Lude 162.
Ludwik XVI 123.
Ludwik XVIII 4, 185.
Ludwik Filip 64, 202.
- Łanskoj Dymitr 205.
Łappa Aleksander 72, 196.
Łopacińska z Morykonich Dorota 82,
175, 183, 185, 197.
Łopacińska z Wołłowiczów Pawłowa
74 - 5.
Łopaciński Aleksander 77, 196.
Łopaciński Ignacy 1, 145, 166, 169,
175-8, 182, 184 - 5.
Łopaciński Józef 185, 198.
Łopaciński Marcin 196.
Łopaciński Stanisław 186.
Łubiński Tomasz 21, 187.
Łukjanowicz 130, 139, 148.
- Mackiewicz Aleksander 153-4, 159, 206.
Majou 7.
Malo 19.
Małeki zob. Walecki.
Manuzzi z Platerów Konstancja 186.
Manuzzi Stanisław 6, 186.
Maret ks. Bassano Hugo Bernard 28,
42, 46, 188.
Markiewicz Jan Chryzostom ks. 123,
204.
Maszkowcowowa 150.
Maszkowcowowie 149.
Maszkowski Gaspar 197.
Matuszewicz Tadeusz 190.
Matuszewiczówna 56.
Melchtal Arnold 68, 195.
Metternich Klemens 65, 193.
Mianowski 131.
Mianowski Józef dr. 95-6, 120.

- Michajłowski-Danilewskij Aleksander 35, 142, 188-9.
Michalscy 120, 200.
Michalska 120.
Michalska Emilja 95, 113, 120, 200.
Michalska Julja 201.
Michalska Karolina 201.
Michalska Melanja 201.
Michalska ze Starorypińskich Franciszka 200.
Michalska z Zielińskich Michalina 200.
Michalski Fryderyk 200.
Michalski Józef 201.
Michalski Lucjan 200, 202-4.
Michalski Ludwik 201.
Michalski Stanisław 200.
Michalski Wilhelm 201.
Michalski Zenon 201.
Michał Pawłowicz w. ks. 25, 187.
Michałowski 62.
Mickiewicz Adam 160, 188-9, 191.
Mieczniow 97-9.
Mielżyński Stanisław 42, 189.
Mikołaj I 4, 74, 78, 83, 90-1, 113, 118, 121, 127, 135, 141, 148-9, 154, 165, 167-8, 178, 200, 207.
Milhausen Albertyna 94-5, 97, 113.
Miłaszewicz 62.
Miłoradowicz Michał 29, 188.
Minin Kuźma 137, 205.
Mirkowicz Fiodor 168-9, 171-2, 177-84, 205, 207.
Mirscy 5, 186, 207.
Mirska z Godlewskich Ludwika 67-8, 195.
Mirska z Koszczyców Stanisława 2, 58, 79, 185, 191.
Mirski Klaudjusz 139-41, 144-5, 206.
Mirski Napoleon 67-8, 77, 79, 165-6, 186, 195.
Mirski Stanisław Wojciech 2, 4, 185, 191, 195.
Mirski Tomasz 48-51, 57, 190.
Młodecki 153.
Mochnecki Maurycy 199.
Morawski Karol 189.
Mortier Edward Adolf 34, 188.
Mostowscy 57.
Mostowski Edward 6, 58, 186.
Mostowski Władysław 6, 19, 40, 186.
Moszyński Aleksander 115-16, 203.
Murat Joachim (król Neapolu) 6-71, 13-16, 18, 19, 21-7, 29-34, 38, 43, 49, 188.
Murawjew Michał 77, 196.
Nagel 162.
Napoleon I 2, 4-6, 9, 12-15, 17-21, 24-30, 33, 35-8, 41-4, 46, 48, 52-3, 159, 186-9.
Narbutt Ksawery 7, 186.
Naryszkin Dymitr 201.
Naryszkin Leon 35, 189, 201.
Naryszkinowa z Czetwertyńskich Marja 35, 100, 189, 201.
Naryszkinowa z Potockich Olga 100, 189, 201.
Nazimow Włodzimierz 130, 146-8, 205.
Neuchatel ks. zob. Berthier.
Ney Michał 12, 39-41, 187.
Niekrasz 143, 206.
Niemojewski Józef 187.
Nowacki W. 73.
Nowosilcow Mikołaj 150-1, 206.
Obreskow Dymitr 59, 61, 74, 81, 184, 191.
Ogińscy 84.
Ogińska Józefa 186.
Ogińska Michałowa 84.
Ogiński Gabrjel 5, 186.
Ogiński Ignacy 186.
Ogiński Michał 83.
Olizar Filip Nereusz 206.
Olizar Narcyz 155, 206.
Olizarowa z Giersdorfów 56, 155-6, 190, 206.
Olizarowa ze Szczytów-Niemirowiczów 206.
Ołsufjew 134-7, 140, 165.
Ornano Filip Antoni 21, 187.
Orzeszko Antoni 112-13, 125, 173, 203.
Ostaszewski Spirydjon 197.
Otello (służący Murata) 19, 25.

- Pac** Ludwik 5, 75, 186.
Pahlen von der Piotr 77, 90-1, 196, 200.
Parczewska z Dziewońskich Salomea 194.
Parczewski Ignacy 194.
Parczewski Konstanty 67, 76, 194.
Paskiewicz Iwan 175, 180, 182-3, 208.
Paweł I 4, 200.
Pawłowski 199.
Pągowski Michał 16, 187.
Pebord 31.
Pelikan Wacław 150-1, 206.
Perrin Piotr 102, 148, 202.
Pietkiewicz Walerjan 65, 193.
Piezerno 19.
Pisanko 190.
Pisankowa 56, 155.
Piszczalo 132.
Plater Cezary 28, 188.
Plater Kazimierz 28, 188.
Plater Władysław 28.
Platerowa z Morykonich Felicja 82, 198.
Platerowa z Żabów Apolinara 28, 198.
Pol Wincenty 67-8, 82, 195.
Połozow 116-18, 203.
Poniatowski ks. Józef 7, 11-13, 30-1, 39, 42, 53, 186, 200.
Popow 116-18.
Potocka Zofja 201.
Potocki Szczęsny 197, 201.
Pożarskij Dymitr 137, 205.
Przeciszewska Józefa 170, 173, 208.
Przemieniecki 2.
Przeddziecka z Mostowskich Marianna 197.
Przeddziecki Karol 80, 197.
Przeddziecki Michał 197.
Pusłowska z Druckich Lubeckich Józefa 195, 208.
Pusłowski Franciszek 177, 179, 208.
Pusłowski Tytus 203.
Pusłowski Wojciech 70, 72, 195, 198, 208.
Puzynina z Güntherów Gabriela 167, 207.
Rabcewicz (nie „Rapcewicz”) Władysław 110, 203.
Radziszewski Stanisław 76, 196.
Radziwiłł Dominik 23, 46, 187.
Radziwiłł Michał 53.
Radziwiłłowie 201.
Rapczyński Kazimierz 203.
Rapp Jan 14, 187.
Reizler 3.
Renier (Regnier) Anicety dr. 87, 153, 169-175, 180-, 199, 208.
Rodziewicz Ignacy 95-7, 111, 120, 125, 200.
Rogalski Leon 62, 86, 192, 199.
Rohland Franciszek 194.
Rosenthal Nisel 92, 96, 200.
Rostopczin Fiodor 23-5, 28, 187.
Rostworowski Andrzej 188.
Röhr (Roehr) Jan 169-70, 173, 181, 208.
Römer Edward 62, 86, 88-93, 99, 101, 117-18, 129, 137, 153, 166, 192, 199, 202, 205.
Römer Edward (Cik) 199.
Römer Michał 192, 199.
Römer Seweryn 86, 117, 129, 137, 153, 166, 199, 202.
Römerowa z Montwid Białozorów Zofja 131, 199, 204-5.
Römerowa z de Raesów Rachela 192.
Rulikowski Konrad 200.
Rutkowski Klemens 62, 70, 75-7.
Rypinowie 149.
Rzewuska z Łopacińskich Zofja 186.
Rzewuska z Zawiszów 208.
Rzewuski Florjan 176, 181-2, 208.
Rzewuski Henryk 159, 207-8.
Rzewuski Seweryn 208.
Salmonowiczowie 75, 196.
Samaryn 159, 161.
Samarynowa 162.
Sandersowa z Mirskich Aniela 191.
Sanguszko Eustachy 46, 190.
Sapieha Franciszek Ksawery 200.
Sapieha Paweł 90-1, 200.
Sapieżyna z Potockich Pelagia 82, 197.
Sapieżyna z Suffczyńskich Teresa 200.

- Sawicz Franciszek 197, 203-4.
Sebastiani Henryk Franc. 30, 188.
Segur hr. 24.
Segur hr. Filip 27.
Sidorowicz 75, 84.
Sieciński Kazimierz 53-4, 190.
Sieleźniowa 82.
Siemieński Lucjan 206.
Siemionow 163, 207.
Sieriebriakow Tymofiej 107.
Sievers Karol Gustaw 51-2, 190.
Skop Stanisław 200.
Skulski Kazimierz 82, 196.
Słowacki Juliusz 201.
Sokolińska 17.
Sokolnicki Michał 48-51, 190.
Sołowjew 99.
Spazier Richard 65, 82-3, 193, 198.
Stachowski Karol 105, 108-9, 116, 119-20, 202.
Stanisław August 143.
Stauffacher Werner 68, 195.
Straszewicz Józef 191.
Strzałka Marcin 194.
Sulistrowski Kazimierz 55, 190.
Suszko Mikołaj 132, 205.
Suworow Aleksander 191.
Szemieth Antoni 170, 208.
Szemieth Franciszek 66, 76, 85, 87-9, 93, 98, 101, 104, 106, 193.
Szemieth Stanisław 170, 208.
Szemieth Tadeusz 193.
Szemiethowa z Koszyców Aniela 193.
Szulc 60.
Szumska Barbara 2, 3, 27, 48, 98-9, 103, 105-6, 110, 113-14, 116, 118, 120, 128-31, 144, 150-2, 191.
Szumska Maryla (Łopacińska) 1, 58, 98-9, 103, 105, 110, 114-5, 118, 120, 128-9, 131, 144, 149-54, 156-7, 161-2, 164-7, 169-72, 175-9, 182, 184-6.
Szumska z Koszyców Ludwika 2, 5, 48-9, 52, 55-6, 58, 167, 191.
Szumska z Mirskich Marja 3, 27, 57-8, 166, 191.
Szumski Józef 2, 3, 28, 46, 48, 56, 113, 130-1, 152, 164-5, 185.
Szumski Wawrzyniec 2.
Szydłowski Józef 199.
Szymanowski Józef 194.
Śniadecka z Sulistrowskich Antonina 204-5.
Śniadecki Jan 5.
Śniadecki Jędrzej 73, 192, 198.
Taraszkiewicz 143, 206.
Tell Wilhelm 68, 82-3, 195.
Tenner gen. 67, 69, 194.
Titius 45.
Tokarzewski Szymon 208.
Tołoczko 9, 30, 40, 43, 49-52, 55.
Tołstoj Piotr 79, 196-7.
Torquini (Torquinio) 27, 188.
Towiański Andrzej 88, 199.
Trubecka z Czetwertyńskich Nadieżda (Nadyna) 100, 110.
Trubecki (Trubeckoj) Aleksy 96-7, 99, 100-5, 107-8, 110, 112-15, 117, 119-20, 127, 130, 132-3, 135, 142-3, 148, 165-6, 201, 206.
Trynkowski Ludwik (Gabriel ks. 86, 99, 103, 117, 129, 132-3, 166, 198, 202.
Tuczkow Paweł 13, 187.
Turenjusz 9.
Turkuł Ignacy 167-9, 207.
Tyszkiewicz hr. 176.
Tyszkiewicz Michał 72, 196.
Tyszkiewicz 74.
Umiński Jan Nepomucen 22-3, 187.
Walchowski 156.
Walewska z Łączyńskich Marja 21, 187.
Walewski Aleksander 21, 187.
Wałęcki (w tekście błędnie „Małecki”) Antoni 114, 203.
Wańkowicz Walenty 88, 199.
Warsanofjew 102, 148.
Wasilczyk Ilarjon 121, 203.

- Wasilczykow 121-2, 203.
Wasiljew 138-40.
Wasiljewowa 138-40.
Wawrzeccy 163.
Wawrzecka Łucja 207.
Wawrzecka z Łopacińskich Konstancja 190.
Wawrzecka z Sielickich Anna 190.
Wawrzecki Józef 57, 84, 190.
Wawrzecki Michał 190.
Wawrzecki Stanisław 190.
Wawrzecki Tomasz 5, 55, 57, 186, 190.
Ważyński Porfiry 80-1, 197.
Welsch 21, 50.
Wereszczaka 195.
Weysztord Aleksander 204.
Wędziagolski 96, 201.
Wielożyńska 32.
Wielożyński 31-2, 188.
Wierciński 143.
Wiersilin 78-80.
Wierzbicka z Dąbrowskich Anna 204.
Wierzbicka (w tekście mylnie „Wróblewska“) Teresa 128, 204.
Wierzbicki Ignacy 204.
Wintzingerode Ferdynand 34-5, 37-8, 188-9.
Wintzingerode z Rostworowskich Helena 188.
Woelck Aleksander 181, 208.
Wojtkiewicz Hieronim ks. 194.
Wolski Mikołaj 186.
Wolski Stanisław 186.
Wołowicz Kazimierz 198.
Wołowicz Michał 85, 198.
Wołowiczowa z Felkiersahmów Marjanna 198.
Wołodkowicz 131.
Woronicz Janusz 199.
Wysocki Jan 141, 143-4, 147, 206.
Wysogierdowa z Goreckich Róża 192.
Wyszkowska (w tekście mylnie „Wyżkowska“) z Czetwertyńskich Żaneta 100, 201.
Zabięłłowa z Wawrzeckich Łucja 207.
Zajączek Józef 42, 57, 189.
Zajcow 87, 128, 131.
Zaleska z Matuszewiczów 198.
Zaleski Marcin 191.
Zaleski Zenon 86, 199.
Zaliwski Józef 193.
Załuscy 84.
Załuska z Ogińskich Amelja 83-5, 191.
Załuska ze Stępkowskich Honorata 191.
Załuski Karol 62, 66, 76, 82-4, 191-2, 194.
Załuski Teofil 191.
Zambrzycka z Goreckich Róża 192.
Zambrzycki Tadeusz Ludwik 62, 69, 192.
Zawisza Artur 85, 198.
Zawisza Cyprjan 198.
Zawiszyna z Karnkowskich Marja 198.
Żaba Tadeusz 188.
Żarczyński Ludwik 173, 208.
Żelwietr Gaspar 55-6, 190.





403141

12

6/5/71/18/51

